


# ŚWIETLIK

## Życie zawieszone na linie



# ŚWIETLIK

## Życie zawieszone na linie




Świetlik, w pamięci zostaje pozostaje
Adam Golec

Iwona Demska Anna Oller

# ŚWIETLIK

## Życie zawieszone na linie

WYDAWNICTWO
·OSKAR·

Gdańsk 2012

Copyright © by Iwona Demska & Anna Oller
Copyright © for the Polish Edition by Wydawnictwo Oskar Sp. z o. o., Gdańsk 2012

Zdjęcie na okładce Zygmunt Grabowiecki

Wydawca dołożył wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć. Niestety nie zawsze było to możliwe. Wszyscy autorzy fotografii nieuwzględnieni w opisach proszeni są o kontakt info@wydawnictwooskar.pl

Redakcja Andrzej Wronowski

Korekta Beata Różańska

Projekt graficzny i skład Katarzyna Szwagulińska

Autorki oraz Wydawnictwo składają serdeczne podziękowania za pomoc i życzliwość następującym firmom i osobom

Gdańska Infrastruktura Wodociągowo-Kanalizacyjna Sp. z o.o.

PKS GDAŃSK-OLIWA SA

FUNDACJA POMORSKA
powołana do życia w 2003 roku przez Macieja Płazyńskiego

oraz
Mai, Violi i Karolowi, a w szczególności Andrzejowi za ogromne zaangażowanie w pracę nad książką – celne uwagi i wsparcie w chwilach zwątpienia.

Patronat medialny:

Poznaj Świat MIESIĘCZNIK

Plus 101,7 FM radio DLA CIEBIE MIŁEGO DNIA

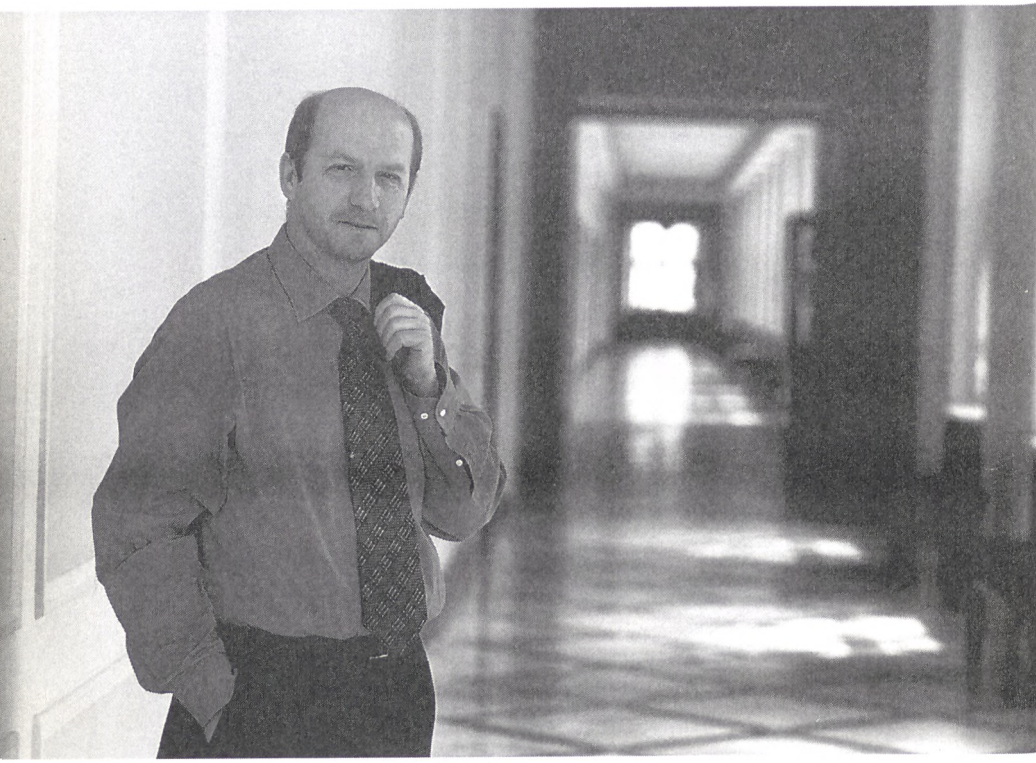
trojmiasto.pl

Wydanie I. Gdańsk 2012
ISBN 978-83-89923-74-5

Wydawnictwo Oskar Sp. z o. o.
ul. Na Piaskach 10, 80-846 Gdańsk
tel. 58 305 80 28, fax 58 712 63 09
e-mail: info@wydawnictwooskar.pl
**www.wydawnictwooskar.pl**

Księgarnia internetowa
**www.maszoperia.org**

*Maciejowi Płażyńskiemu*



***Maciej Płażyński (1958–2010)***
*fot. Krzysztof Hejke*

# Spis treści

Wstęp ..... 11

Rozdział I POCZĄTKI

Najważniejsi są ludzie
Maciej Płażyński ..... 19

Piękny kawał życia
Jarosław Czarniecki ..... 35

Energia pchała nas do przodu
Marek Kotlarz ..... 43

Na utrzymaniu Pana Boga
Tomasz Chodnikiewicz ..... 59

Rozdział II ROZKWIT

Przygody nie tylko intelektualne
Andrzej Zarębski ..... 69

Podróże z Prezesem
Janusz Pawłowski ..... 77

Kołyska elit politycznych
Mirosław Rybicki ..... 85

Tam wszystko odbywało się na żywioł
Rafał Olszewski ..... 92

Karuzela oraz inne wynalazki
Witold Merkel ..... 96

Rozdział III W BIURZE

Matka Polka
Urszula Frankiewicz ..... 107

Gdzie diabeł nie może...
Zofia Surdykowska ..... 114

Majątek Świetlika
Elżbieta Turowiecka ..... 119

Rozdział IV NIE TYLKO PIŁKA

Wierna drużyna
Andrzej Kowalczys ..... 127

Pranie pieniędzy na Mazurach
Robert Krygier ..... 134

Rozdział V NIEPOKORNI

Spółdzielnia Gdańsk – schronienie dla opozycji
Czesław Nowak ..... 149

Barwne ptaki
Jerzy Borowczak ..... 153

Kiedyś wisieliśmy wszyscy na linach jak ulęgałki
Grzegorz Lipiński ..... 165

Zawsze pod prąd
Mirosław Grabowski ..... 175

Ze Świetlikiem do końca
Henryk Frankiewicz ..... 190

Pod opieką Anioła Stróża
Lech Kosiak ..... 199

*Zbigniew Gołębiewski *Odrobina dziegciu w beczce miodu* ..... 206

## Rozdział VI MARZYCIELE

Chwile absolutnej wolności
Piotr Jahołkowski ..... 219

Życie na wysokości
Jan Turowiecki ..... 236

Życie zawieszone na cienkim sznurku
Marek Gąsiorowski ..... 242

Męski świat, roboty na wysokości i *Kokaina*
Mieczysław Wróbel ..... 254

Świetlik jak ocean
Wojciech Kmita ..... 259

## Rozdział VII PRZYJACIELE ŚWIETLIKA

*Adam Hlebowicz *„Świetlik" w ciemności* ..... 273

*Artur Matys *Malarze przemysłowi* ..... 277

*Dorota Sawczyńska-Paśko *Królowie życia* ..... 285

*Izabela Brodacka-Falzman *** ..... 289

Wspólne korzenie
Jan Krzysztof Bielecki ..... 293

*Jan Majewski *Młodzi, sprawni, zadziorni, z ułańską fantazją* ..... 299

Dobrze, że się nam wszystkim to zdarzyło
(Krystyna Wróblewska) ..... 300

*Wojciech Jankowski *Poniżej latały szybowce* ..... 303

Rozdział VIII Z DYSTANSU

Węzły przyjaźni
Jerzy Hall ..... 307

Świetlik – historia otwarta
Mariusz Wilk ..... 320

Nie ma takiej opcji
Tomasz Matulaniec ..... 325

Stypendysta zaprawiony w bojach
Wiesław Walendziak ..... 343

Męska przygoda
Donald Tusk ..... 356

Biogramy bohaterów ..... 377

Teksty oznaczone gwiazdką (*) są tekstami autorskimi zamieszczonymi bez zmian ze strony autorek książki.

# WSTĘP

W sierpniu 2001 roku przygotowywałam się do wywiadu z ówczesnym marszałkiem Sejmu Maciejem Płażyńskim. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, w dużej części właśnie na tym polega moja zawodowa praca, gdyby nie fakt, że rozmowa miała mieć luźny, niezwiązany z polityką i bieżącymi wydarzeniami, charakter. Życiorys mojego rozmówcy, oprócz oficjalnie dostępnego, był mi wówczas mało znany. Szukając klucza do tego wywiadu, skorzystałam z rady mojej przyjaciółki Ani Oller, by porozmawiać z jej dobrym znajomym – Mietkiem Wróblem, który wspominał kiedyś o pracy z Maciejem Płażyńskim w „jakiejś" spółdzielni. Trop okazał się właściwy, a temat Spółdzielni Pracy Usług Wysokościowych „Świetlik" założonej w 1983 roku przez Romana Rojka i Macieja Płażyńskiego oraz grupę przyjaciół na tyle ciekawy, że kilka lat później, już wspólnie, postanowiłyśmy stworzyć „portret pamięciowy" tego wyjątkowego – jak się przekonałyśmy – przedsięwzięcia. Stworzyła je grupa ludzi, o skrajnych czasami poglądach, zainteresowaniach i wykształceniu, idąca pod prąd szarej, beznadziejnej, peerelowskiej rzeczywistości lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Podjęłyśmy próbę zapisania obrazu Świetlika i za pomocą reportaży literackich, i refleksji osób, które splotły swój los z historią legendarnej spółdzielni – czy przez podjęcie w niej pracy, czy też przez bycie świadkiem jej powstania, działania

i zmierzchu. Dlatego w książce znajdują się zarówno głosy osób, które przez wiele lat pracowały w Świetliku, jak i związanych z firmą przyjaciół, w tym ówczesnych dziewczyn i żon oraz znajomych, którzy „otarli się" o spółdzielnię za sprawą realizowania zaledwie kilku zleceń. Zależało nam, by stworzyć możliwie różnorodny obraz firmy.

Spotkania odbywały się w różnych – bywało, dość nietypowych – miejscach, takich jak na przykład lotnisko, przydomowy ogród czy piłkarskie boisko. Czasami prowadziłyśmy bardzo intensywną korespondencję mailową, a także, co chcemy podkreślić, dostawałyśmy odręcznie pisane listy. Zdecydowana większość tekstów została zredagowana przez nas, ale jest też kilka wyjątków. Niektórzy z naszych rozmówców wyrazili chęć napisania własnych wspomnień – teksty te zostały zachowane w oryginale. Niektóre z nich mogą wydać się nieco kontrowersyjne, a zawarte w nich dygresje odległe od głównego tematu; postanowiłyśmy jednak uszanować wolę ich autorów i niczego nie zmieniać – mamy nadzieję – z korzyścią dla książki.

Pamięć ludzka bywa zawodna, a to, co w danej chwili zostaje zapamiętane, w dużej mierze zależy od przeżywanych emocji – niejednokrotnie znajdą Państwo tego przykłady, poznając kolejne, nieco różniące się między sobą, relacje tych samych zdarzeń. Świadomie pozostawiłyśmy te nieścisłości, ponieważ naszym celem nie było stworzenie obiektywnej, historycznej monografii, lecz impresyjnego obrazu – mozaiki złożonej ze wspomnień i subiektywnych refleksji. Rozmowy przeprowadzałyśmy od czerwca 2008 roku do początków roku 2010, w związku z tym niektóre fakty podawane przez rozmówców mogą być już nieaktualne.

Kilkadziesiąt odbytych spotkań i godziny rozmów utwierdziły nas w przekonaniu, że fundamentem tej firmy byli ludzie.

Bez wątpienia Spółdzielnia Usług Wysokościowych „Świetlik" to nie tylko polski fenomen, ale zjawisko unikalne w skali całego bloku wschodniego. Jedyna w swoim rodzaju społeczność obywatelska, republika wolności w państwie totalitarnym, dbająca o szeroko pojęte dobro jej członków: materialne i duchowe. Trzeba było sporej fantazji i odwagi, żeby w czasach, kiedy komunistyczny reżim miał się ciągle doskonale, a zatrudnienie znajdowało się głównie w zakładach państwowych, stworzyć firmę dającą schronienie i wsparcie osobom znajdującym się na indeksie ówczesnej władzy. Garstka kolegów, w większości byłych działaczy NZS-u, szukając po trosze pomysłu na siebie, ale także źródła godziwego utrzymania, decyduje się wykorzystać istniejące wówczas prawne możliwości i zakłada spółdzielnię, z której - jak się później okaże - wywodzić się będą liderzy partii politycznych, ministrowie rządu, prezes publicznej telewizji, marszałek Sejmu i premier. Ale nie tylko spektakularny sukces kilkunastu spółdzielców przesądza, w naszym odczuciu, o niepowtarzalności tej jedynej w swoim rodzaju „pracującej wspólnoty". Świetlik to przede wszystkim galeria wyrazistych osobowości, którą tworzą ludzie różnych zawodów, pasji i przekonań. Trudno dziś wyobrazić sobie, żeby kominy i fabryczne hale malowali obok siebie prawnik i muzyk, żeglarz i filozof czy inżynier i pisarz. Cezary Łazarewicz w tygodniku „Polityka" napisał wręcz: „Spółdzielnia pracy Świetlik, podobnie jak uniwersytet Harvarda, kształciła przyszłe elity kraju. Z tą różnicą, że w Ameryce odbywało się to w aulach uniwersyteckich, a w Polsce na kominach"[1]. Ceniący przede wszystkim niezależność, uczuleni na komunizm, kochający wolność, Gdańsk i piłkę nożną młodzi mężczyźni stworzyli ponad ćwierć wieku temu jedyne w swoim rodzaju barwne środowisko, które w bardzo trudnych czasach komunistycznej beznadziei potrafiło: po pierwsze, doskonale zarabiać,

[1] C. Łazarewicz, *Z komina więcej widać*, „Polityka", 2007, nr 22.

po drugie, dokuczać komunistycznemu systemowi, po trzecie, działać charytatywnie, a ponadto świetnie się integrować. Jak wspomina Paweł Huelle, który również w swoim życiorysie ma kominowy epizod, „spółdzielnia miała coś z hrabalowskich klimatów", co znajduje potwierdzenie w wielu opowieściach naszych bohaterów.

Rozmaicie pokierowali swoim życiem byli pracownicy firmy, różnie potoczyły się ich losy, jednak na hasło „Świetlik" reakcja prawie zawsze jest taka sama: „formuła nie do powtórzenia", „fantastyczna przygoda", „prawdziwa szkoła życia". Mamy świadomość, że lata zacierają przykre wspomnienia, a dawne konflikty, których w Świetliku przecież też nie brakowało, zdecydowanie wyblakły. Jednak główne starcie między dwoma przyjaciółmi i założycielami spółdzielni – Maciejem Płażyńskim i Romanem Rojkiem – położyło się głębokim cieniem na ich dalszej relacji. W tym przypadku czas nie okazał się cudownym lekarstwem, dlatego zabrakło w naszej książce tak istotnego głosu pierwszego szefa rady nadzorczej spółdzielni. Decyzję Romana Rojka, nie bez żalu, musiałyśmy jednak uszanować i pogodzić się, że kulisy sporu obydwu protagonistów spółdzielni pozostaną niewyjaśnione.

Jeszcze jedną zagadką jest sprawa nadzoru służby bezpieczeństwa nad działaniami spółdzielców. Wielu z tych ostatnich zdrowy rozsądek podpowiadał, że musi być wśród nich „esbecka wtyka", choć wskazanie konkretnej osoby okazało się niemożliwe i do dziś pozostaje jedynie w sferze domysłów i podejrzeń. Rzeczywiście może zastanawiać fakt, że w Instytucie Pamięci Narodowej nie ma teczki Świetlika, choć trudno uwierzyć, by taka nigdy nie istniała, zważywszy zaangażowanie większości spółdzielców w opozycyjną działalność. Zatem bez odpowiedzi, jak dotąd, pozostaje pytanie, komu i dlaczego zależało, by usunąć materiały operacyjne związane ze spółdzielnią Świetlik.

Praca nad książką była dla nas szczególnym sposobem patrzenia na historię. Przede wszystkim jednak stała się okazją do wyjątkowych i inspirujących, choć czasem trudnych, spotkań. Wszystkim, którzy zgodzili się raz jeszcze powrócić do wydarzeń sprzed prawie trzydziestu lat – dziękujemy.

*Autorki*

# Początki

# Najważniejsi są ludzie

– Pamiętam, pociąg przyjechał o trzeciej nad ranem – trochę za wcześnie na prowadzenie poważnych, biznesowych rozmów. Tak więc, przy dość skromnej ofercie gastronomicznej, w obskurnej dworcowej restauracji przesiedziałem do dziewiątej. Na szczęście od alpinisty przemysłowego nikt nie oczekiwał wtedy garnituru, zatem czułem się dość swobodnie w towarzystwie stałych bywalców lokalu. W końcu, kiedy uznałem, że pora jest odpowiednia, poszedłem do petrochemii, trafiłem do kogo trzeba i przekonałem, że warto nas zatrudnić – opowiada Płażyński.

## Maciek i Roman

Choć Maciej Płażyński już dawno zamienił kultowy czarny sweter w serek na garnitur i krawat, wciąż bliższy jest mu niezobowiązujący styl. Pierwszy prezes Świetlika czuje się doskonale na imprezach w gronie dawnych przyjaciół, wśród tych, z którymi wspólnie zakładał firmę.

– Ciągle jakieś służbowe spotkania, terminy, wyjazdy. Dlatego tym chętniej przychodzę, żeby pogadać i napić się wódki z kolegami – mówi Płażyński na walnym zgromadzeniu z okazji dwudziestopięciolecia powstania spółdzielni i po cichu pewnie liczy, że taka okrągła rocznica przyciągnie dawnego przyjaciela Romana Rojka. – Może przy następnej okazji – zastanawia się głośno.

Od chwili burzliwego rozstania Rojka ze Świetlikiem w 1986 roku właściwie ze sobą nie rozmawiają, a przecież ćwierć wieku temu tworzyli naprawdę świetny tandem.

W 1977 roku Maciej zaczyna studiować prawo na Uniwersytecie Gdańskim. W jego grupie jest przyszły prezes Grupy Atlas Roman Rojek. Od początku doskonale się rozumieją.

– Po prostu pasowaliśmy do siebie. Jak się ma dziewiętnaście lat, to niespecjalnie chce się analizować przyjaźnie. Jedni czują się dobrze razem, inni nie. My się lubiliśmy, i nie da się wskazać prostych powodów, dlaczego tak było – mówi były marszałek Sejmu. – Na pewno Roman wyróżniał się inteligencją i błyskotliwością, jest nieprzeciętnie zdolny – dodaje po chwili.

Przez cały czas studiów są najbliższymi kolegami, sporo razem pracują, a w ważnych życiowych momentach także mogą na siebie liczyć.

– Ja byłem świadkiem na ślubie Romana, a on na moim – podkreśla zażyłość Płażyński.

## Co dalej?

W 1982 roku Roman Rojek jest już świeżo upieczonym magistrem prawa, gdy tymczasem Płażyński nieco przedłuża swoje studia.

– To miało też dobre strony, mogłem jeszcze pracować w Techno-Service i innych miejscach, a Roman jako absolwent już nie. W związku z tym on był bardziej zainteresowany znalezieniem jakiegoś stałego źródła utrzymania, zwłaszcza że niedawno się ożenił – tłumaczy.

Pytanie: „Co dalej?" zadaje sobie większość kolegów, już z dyplomami w rękach, jednak bez perspektyw na znalezienie jakiejś sensownej pracy. Nie wyobrażają sobie zatrudnienia w oficjalnych strukturach, zwłaszcza w podporządkowanym całkowicie władzy wymiarze sprawiedliwości.

– Wciąż jeszcze trwał stan wojenny, my działaliśmy w NZS-ie, co oczywiście powodowało, że byliśmy na indeksie ówczesnej władzy – wyjaśnia Płażyński.

Swoją szansę widzą w nowym prawie spółdzielczym, które właśnie weszło w życie. Na początku lat osiemdziesiątych taka forma działalności gospodarczej wydaje się najbardziej atrakcyjna. Zakłady pracy chętniej współpracują i rozliczają się ze spółdzielniami niż z dopiero raczkującymi firmami prywatnymi. Poza tym łatwiej dostaje się zgodę na prowadzenie spółdzielni.

– Roman przekonywał nas, że trzeba założyć coś własnego, a ja się specjalnie nie broniłem. Mieliśmy już pewne doświadczenia, przyglądaliśmy się, jak robią to inni, choćby firma Absolwent, dla której sam znalazłem ze dwa zlecenia. Pomyślałem, że nie warto oddawać prowizji, skoro można mieć wszystkie pieniądze dla siebie – mówi pierwszy prezes Świetlika.

Spółdzielczość w latach PRL-u jest w dużej mierze upaństwowiona, ale nowo powstające firmy powoli już mogą wymykać się spod kontroli nomenklatury politycznej. To wszystko przyspiesza decyzję, i wiosną 1983 roku Maciej Płażyński wraz z kilkoma kolegami jedzie na spotkanie z profesorem Wiesławem Chrzanowskim, specjalistą od prawa spółdzielczego, znanym już wtedy opozycjonistą. Rozmowa z profesorem ostatecznie przekonuje Macieja, że trzeba skoczyć na głęboką wodę. Zresztą tak samo myślą pozostali uczestnicy spotkania.

– Tak więc złożyliśmy odpowiednie dokumenty w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Pracy w Gdańsku i w czerwcu 1983 roku powstał Świetlik – mówi Maciej Płażyński.

## Kumple to grunt

Ze skompletowaniem dziesięciu członków założycieli, by spełnić wymogi ustawy, nie mają żadnego problemu. Od samego początku o składzie Świetlika decyduje klucz czysto towarzyski, a praca w sprawdzonym, kumplowskim gronie daje pewność, że będą się czuli jak u siebie.

– Było nas wtedy jedenastu – liczy kolegów Płażyński. – Oprócz mnie i Romana byli jeszcze w tej grupie między innymi Jarek Czarniecki, Tomek Chodnikiewicz, Jurek Hall i paru

innych kolegów. Kilka zaprzyjaźnionych osób po prostu użyczyło nam swoich nazwisk, de facto nie pracując w spółdzielni. Mieliśmy jednak do nich pełne zaufanie, że nie będą potem robić problemów, taka dżentelmeńska umowa.

Formalny podział na prezesa, zastępcę i szefa rady nadzorczej, przynajmniej na samym początku, nie funkcjonuje. Wszyscy pracują fizycznie w małych, trzy- lub czteroosobowych grupach. To sprawdzony system, który wypracowali już wcześniej w Techno-Service.

– Każdy wykorzystywał swoje najlepsze umiejętności, ja najczęściej załatwiałem zlecenia i rozliczałem się z kontrahentami – tłumaczy Maciej.

W krótkim czasie z małej, „rodzinnej" firmy Świetlik staje się poważną instytucją, a po roku działalności spółdzielnia zatrudnia już prawie pięćdziesiąt osób. Rekrutacja odbywa się pocztą pantoflową, bez żadnego oficjalnego naboru, zresztą chętnych do pracy nie brakuje. Rozmowa z prezesem jest krótka. Właściwie wystarczy mieć rekomendację kogoś, kto już w spółdzielni pracuje.

– Nie robiłem żadnego przesłuchania, ponieważ zakładałem, że ten, kto przychodzi, wie o firmie tyle, ile potrzeba. Mówiłem po prostu: OK, jutro jest robota w rafinerii, zgłoś się do chłopaków. I to wszystko, i po sprawie – lakonicznie stwierdza Płażyński.

Niektórzy zahaczają się na jedno czy dwa zlecenia, z góry zakładając, że to powinno wystarczyć na szybkie podreperowanie domowego budżetu. Czasem okazuje się jednak, że nie każdy jest w stanie sprostać stawianym wymaganiom – bardzo ciężkiej pracy fizycznej o szczególnym charakterze. Przeszkodą bywa lęk wysokości lub po prostu brak kondycji.

– Jednak lęk wysokości nikogo nie dyskwalifikował, staraliśmy się dostosować pracę do umiejętności ludzi i nie robić sztywnych podziałów na „wysokościowych" i „dołowych" – mówi Maciej.

## Przebojem i bez kompleksów

Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Świetlik wchodzi na rynek usług wysokościowych, szczęśliwie nie ma zbyt dużej konkurencji. Wprawdzie od kilku lat ten sam rodzaj usług oferuje firma Alpineks, jednak spółdzielnia szybko przełamuje jej monopol. Jedno z pierwszych zleceń, które Świetlik zdobywa w przetargu, to malowanie dźwigów w gdyńskiej stoczni Nauta.

– Zaczęliśmy od najprostszej rzeczy, czyli od rywalizacji cenowej. Daliśmy połowę tego, co konkurencja z klubu wysokościowego i wygraliśmy. Byli wściekli, że psujemy im rynek i zaniżamy stawki. Filozofia tamtej firmy była prosta: złapać kilka zleceń w roku za duże pieniądze, a potem mieć czas i środki na wyprawy alpinistyczne – mówi Maciej Płażyński.

Początki Świetlika to w dużej mierze dość spontaniczna improwizacja, która bywa jednak skuteczna. Choć nie mają jeszcze wyrobionej marki i właściwie żadnej protekcji, potrafią zrobić doskonałe wrażenie. To daje im przepustkę do kolejnych zleceń. W niedługim czasie podbijają też rynek na południu Polski i w kilku dużych firmach zakotwiczają się na stałe.

– Naprawdę czasami trzeba się było mocno postarać, żeby dostać zlecenie w zakładzie, gdzie byliśmy kompletnie nieznani. Bywało, że kończyliśmy pracę kolacją i jakimś souvenirem, co oczywiście bardzo ożywiało tak cenne dla nas kontakty. Poza tym inżynier czy kierownik budowy czuł, że ma do czynienia z nietypową grupą, z ludźmi, którzy inaczej się zachowują i po prostu budzą sympatię – wspomina pierwszy prezes Świetlika.

## Każdemu według zasług

Zgodnie z wcześniejszą umową, pieniądze zarobione przy pierwszych zleceniach dzielą równo, dopiero po jakimś czasie następuje zróżnicowanie wynagrodzenia.

– W pewnym momencie przestaliśmy już być kumplowskim gronem i trzeba było ustalić jakieś stawki. Ludzie na wysokościach więcej ryzykowali i ciężej pracowali, dlatego też mieli lepsze pieniądze – tłumaczy Płażyński.

Taki podział nie budzi większych sprzeciwów. Pracujący na dole wiedzą, że są tam z własnego wyboru i pewnych fizycznych ograniczeń, a nie za karę. Nowi spółdzielcy przyjmują panujące reguły gry, wiedzą, że na lepsze zlecenie i lepsze pieniądze trzeba sobie zapracować.

– To było jasne, że robimy gest w ich stronę, dzielimy się pracą i pieniędzmi – wspomina Płażyński.

Maciej Płażyński podczas pracy w spółdzielni, lata osiemdziesiąte.
*(z arch. rodzinnego E. Płażyńskiej)*



Generalnie wysokość wynagrodzeń zależy od zlecenia – im bardziej intratne i szybciej wykonane, tym większe pieniądze. Poza wszystkim stawki w Świetliku są nierynkowe.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby patrzeć, ile w firmie obok kosztuje podawanie wiadra i pędzla. Zawsze płaciliśmy pół stawki wysokościowca, która wychodziła z całości zlecenia. W tym sensie była to firma absolutnie niekapitalistyczna – podkreśla Maciej Płażyński.

## Bardzo gdańscy

W 1987 roku firma zmienia nazwę na: Spółdzielnia Pracy Usług Wysokościowych „Gdańsk" (SPUW „Gdańsk").

– W pewnym momencie zaczęliśmy robić już bardzo poważne prace, jakieś ekspertyzy techniczne, remonty, współpracowaliśmy z poważnymi kontrahentami i nazwa „Świetlik"

Pracownik spółdzielni po zmianie jej nazwy ze „Świetlik" na „Gdańsk"
*(fot. Zygmunt Grabowiecki)*



wydawała się nam taka bardzo studencka – wyjaśnia Maciej Płażyński.

Wewnętrzny konkurs na nową nazwę spółdzielni, w którym stawką jest beczka piwa, wygrywa Mariusz Wilk – zakochany w Gdańsku, rdzenny wrocławianin.

– Mariusz przekonał nas tym „Gdańskiem", mówiąc, że ma to dodatkowy, ideowy wymiar. Gdańsk się wtedy kojarzył rzeczywiście z Solidarnością i to była nasza wizytówka – ludzi z opozycji, jednocześnie lokalnych patriotów mających swoją „małą ojczyznę". Byliśmy mocno gdańscy, stąd ta nazwa spółdzielni – podkreśla Maciej.

## W podróży

– Jeszcze kilkanaście lat temu mógłbym się pochwalić świetną znajomością geografii naszego kraju i wyjątkową odpornością na warunki, jakie oferowały Polskie Koleje Państwowe – śmieje się Płażyński.

Przez pierwszych kilka lat Maciej jest nieustannie w drodze; odbywa setki spotkań, rozmawia, omawia warunki. Interpersonalne zdolności i talent do negocjacji pierwszego prezesa Świetlika nie są tu bez znaczenia – Płażyński jak mało kto potrafi zjednać sobie ludzi. Zwykle wcześniej umawia się z kontrahentami, jednak bywa i tak, że udaje się na rozmowy do danej firmy prosto z ulicy. Tak jest w przypadku petrochemii w Płocku, która w krótkim czasie staje się jednym z głównych klientów spółdzielni.

– Pamiętam, pociąg przyjechał o trzeciej nad ranem – trochę za wcześnie na prowadzenie poważnych, biznesowych rozmów. Tak więc, przy dość skromnej ofercie gastronomicznej, w obskurnej dworcowej restauracji przesiedziałem do dziewiątej. Na szczęście od alpinisty przemysłowego nikt nie oczekiwał wtedy garnituru, zatem czułem się dość swobodnie w towarzystwie stałych bywalców lokalu. W końcu, kiedy uznałem, że pora jest odpowiednia, poszedłem do petrochemii, trafiłem

do kogo trzeba i przekonałem, że warto nas zatrudnić – opowiada Płażyński.

Petrochemia to dla świetlikowców przysłowiowa kura znosząca złote jaja – olbrzymi zakład, w którym ciągle jest coś do remontu, nigdy nie ma problemów z wypłacalnością, a pieniądze zawsze są na czas.

– To był chyba nasz najlepszy klient, dlatego bardzo „pielęgnowaliśmy" kontakty z nimi – mówi Maciek.

## W tym szaleństwie jest metoda

Po pewnym czasie prezes Płażyński już wie, z kim tak naprawdę należy się dogadać w sprawie współpracy. Okazuje się, że dla spółdzielców ze Świetlika w dużych zakładach pracy ważniejszy od dyrektora jest zwykle ktoś na dużo niższym stanowisku, najczęściej decydujący o zleceniach szef remontów czy kierownik budowy.

– Uważałem, że musimy brać na początku trudne roboty, a więc takie, których nikt nie chciał, i udowodnić, że jesteśmy dobrzy – wyjaśnia Maciej Płażyński. – Potem już prawie zawsze mogliśmy liczyć na stałe zlecenie w tym miejscu – dodaje.

Nie wszyscy jednak podzielają entuzjazm prezesa, twierdząc, że bierze rzeczy niemożliwe do wykonania. W niektórych sytuacjach koledzy zarzucają mu wręcz brak zdrowego rozsądku. Jednak najczęściej racja okazuje się być po stronie Płażyńskiego. Tak jest w Kędzierzynie-Koźlu, gdzie na remont czeka ogromny, rozsypujący się komin – poprzedni wykonawca nie dał sobie rady i musiał się wycofać. Maciej decyduje się podjąć ryzyko, przekonany, że zlecenie jest w zasięgu ich możliwości i pociągnie za sobą następne, równie intratne.

– Obok stało pięć innych kominów, wierzyłem, że też je dostaniemy i na długi czas będziemy mieć dobrze płatne zajęcie – wyjaśnia.

W ciągu pierwszego roku współpracy z Zakładami Azotowymi w Kędzierzynie-Koźlu Maciej Płażyński jest tam stałym

gościem. Wielokrotnie zlecenie wisi na włosku i prezes osobiście jedzie ratować sytuację.

– Potrafili rano zadzwonić i powiedzieć: albo pan jutro przyjeżdża, bo trzeba wyjaśnić kilka rzeczy, albo zrywamy umowę. Wsiadałem w samochód i jechałem na drugi koniec Polski prostować, pić wódkę i zapewniać, że będzie lepiej. Rozmowy z kontrahentem wymagają nie tylko dużej tolerancji na powszechnie panujący biesiadny styl, ale też sporej elastyczności i cierpliwości. Musiałem być przygotowany na różne kaprysy i często spokojnie tłumaczyć, że jak się panu nie podoba, zrobimy inaczej, skrócimy terminy, jutro będzie nowa ekipa i tym podobne – wspomina Płażyński.

Kędzierzyn wprawdzie mocno daje im w kość, jednak z pojedynku: Świetlik kontra kędzierzyńskie Azoty, ten pierwszy wychodzi zwycięsko, zwłaszcza finansowo.

## Koniak, beczka śledzi oraz inne argumenty

– Dziś o tym, jak przekonać potencjalnego zleceniodawcę, przeczytać można w setkach marketingowych podręczników, ale dwadzieścia kilka lat temu trzeba było polegać przede wszystkim na własnej intuicji, i ja chyba ją miałem – mówi Maciej Płażyński.

Niezawodne, jak zawsze, okazują się stare, sprawdzone metody. W latach osiemdziesiątych luksusowym towarem na Śląsku są ryby, dlatego wybierając się na południe, Płażyński zawsze pamięta, żeby oprócz pudeł z farbą, wrzucić do samochodu beczkę śledzi.

– Kupowaliśmy je u rybaka i sami soliliśmy. Po przyjeździe rozdawałem je swoim kontrahentom. Potem już każda moja wizyta kończyła się poważną kolacją, na tyle, na ile sił starczyło – wspomina z uśmiechem pierwszy prezes Świetlika.

Zdarza się, choć bardzo rzadko, że kontrahent mówi otwarcie o należnej mu „prowizji", jednak najczęściej ma ona postać dobrej kolacji i markowego alkoholu, przeważnie wysokiej klasy koniaku.

## Andrzej Gwiazda

W niespełna dwa lata od założenia Świetlika sytuacja ekonomiczna firmy jest znakomita. Pewna pozycja na rynku i stale zwiększająca się liczba zleceń pozwalają na większą aktywność społeczną.

– Wiedzieliśmy, że dajemy sobie radę, mamy już stabilną pozycję i znaczenie, i możemy finansowo pomóc wielu opozycjonistom czy nawet instytucjom, które były nam ideologicznie po drodze – wspomina pierwszy prezes spółdzielni.

I właśnie wtedy Płażyński staje przed poważnym moralnym dylematem – wśród spółdzielców toczy się dyskusja, czy przyjąć Andrzeja Gwiazdę, który w tym czasie jest jednym z głównych filarów Solidarności. Na czarnej liście służby bezpieczeństwa wyżej jest już tylko Lech Wałęsa.

– Zastanawialiśmy się, czy przyjęcie Andrzeja nie popsuje sytuacji wielu osób, czy warto narażać innych, a też być może całą spółdzielnię, aby pomóc jednej, wprawdzie wyjątkowej osobie – wspomina Maciej Płażyński.

Zwycięża wariant romantyczny. Oprócz czysto pragmatycznych argumentów, podkreślających fakt, że Gwiazda jest właściwie gotowym pracownikiem, ze względu na swoje alpinistyczne doświadczenia, decydujące znaczenie ma jednak ten o charakterze czysto ideologicznym.

– Skoro do tej pory zatrudnialiśmy wszystkich, z wrogami systemu włącznie, wykluczenie Andrzeja Gwiazdy byłoby naszą porażką i narzuceniem jakiejś autocenzury – rekonstruuje sposób myślenia sprzed ćwierćwiecza Płażyński.

Do konfrontacji z władzą jednak nie dochodzi – Gwiazda zaproszenia do spółdzielni nie przyjmuje, bo wcześniej udaje mu się znaleźć jakieś inne zajęcie.

– Pamiętam, że wtedy odebrałem decyzję kolegów również jako swój osobisty sukces i cieszyłem się, że w naszej spółdzielni zwyciężyło niepragmatyczne podejście i większość zdecydowała się zaryzykować naprawdę duże, jak na tamte czasy, pieniądze w imię idei – kończy były marszałek Sejmu.

## Bezpieka

Nigdy nie została rozstrzygnięta sprawa, kto w firmie zatrudniającej tak wielu opozycjonistów współpracował ze służbą bezpieczeństwa. Wydaje się jednak, że także dziś nie jest to temat, który nadmiernie zajmuje uwagę pracowników Świetlika. Zdaniem Macieja Płażyńskiego, z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że SB miała w spółdzielni swoich informatorów.

– W latach osiemdziesiątych każde środowisko, w którym znajdowali się antykomuniści, było pod kontrolą, więc nie miałem złudzeń, że również nas esbecja pilnowała. Nie odczuwaliśmy jednak tego bezpośrednio – mówi Płażyński.

Zdarza się jednak, że w niektórych zakładach pracy, głównie na Śląsku, ludzie Świetlika nie są mile widziani. Kierownikom remontu czy odpowiedzialnym za pracę inżynierom, decydującym o zleceniach, nierzadko sugeruje się zmianę decyzji, dając do zrozumienia, że grupa z Gdańska może oznaczać kłopoty. Od czasu do czasu któryś z chłopaków trafia do więzienia, jednak nie za pracę w spółdzielni, ale działalność opozycyjną. Świetlik jest w tamtym czasie oazą wolności i nikt nie patrzy na drugiego jak na potencjalnego donosiciela, nikt nie boi się wygłaszać swoich poglądów, choćby najbardziej radykalnych.

– Udało nam się uniknąć mentalności „oblężonej twierdzy". Nie martwiło mnie na co dzień, dlaczego SB na to pozwala. Myślałem, jeśli pozwala, to trzeba korzystać, a jaka była kalkulacja po tamtej stronie, to nie wiem – wyjaśnia Maciej.

## W przeciwnych kierunkach

Mniej więcej po dwóch latach działalności Świetlika coraz wyraźniej widać, że Roman i Maciej inaczej widzą firmę, którą stworzyli razem. Płażyński, etatowy pracownik spółdzielni i mocno z nią związany emocjonalnie, myśli o Świetliku idealistycznie, podejście Rojka zaś jest czysto pragmatyczne.

– Być może Roman poczuł się w pewnym momencie trochę na uboczu, był wtedy mocno zajęty pracą na uczelni. Z tego, co pamiętam, miał pisać doktorat z prawa karnego i siłą rzeczy nie wyjeżdżał na zlecenia. Nie był też tak bardzo zaangażowany towarzysko – wyjaśnia Płażyński.

Pierwsza podstawowa różnica między wyobrażeniami przyjaciół na temat spółdzielni dotyczy liczby zatrudnionych w niej osób. Płażyński chce, żeby firma była otwarta dla wszystkich i miała charakter bardziej demokratyczny. Nie zgadza się na strukturę przypominającą piramidę, na górze której siedzi niedostępny prezes i kilku najbliższych doradców. Nie tworzy sztucznego dystansu między władzami firmy a pracownikami.

– Moim zdaniem to była główna siła Świetlika, magnes, który przyciągał i powodował, że wszyscy czuli się u nas dobrze – wyjaśnia Płażyński.

W tym względzie nie zgadza się z Rojkiem, dla którego spółdzielnia to przede wszystkim stara gwardia, a nabór dodatkowych ludzi powinien odbywać się na zasadzie czysto rynkowej i tylko w sytuacji koniecznej. Konflikt zaostrza się, kiedy Roman chce wejść do zarządu Świetlika i trafia na zdecydowany opór Macieja.

– Uważałem, że nie ma takiej potrzeby. To spowodowałoby jakiś niepotrzebny dysonans w funkcjonowaniu spółdzielni, w której moim zdaniem wszystko dobrze działało: ja organizowałem zlecenia, a Iżi, czyli Jarek Czarniecki, zajmował się księgowością. Nie widziałem miejsca w zarządzie dla Romana, który zresztą nie chciał być tam społecznie, tylko za pieniądze. Płacenie dywidendy z tytułu zasług wydawało mi się zbędnym wydawaniem gotówki – wspomina.

Dochodzi do ostrej wymiany zdań: Rojek zarzuca Płażyńskiemu nielojalność i zdradę, przypomina, że zakładali firmę razem i mają do niej równe prawa.

– Roman wykrzyczał mi, że to skandal, oszustwo i Bóg wie, co jeszcze. Nie było przyjemne słuchać tego wszystkiego, jednak

nie poczułem się przekonany do jego racji. Po prostu Roman mnie wtedy nie przekonał – wyjaśnia Maciej.

Reakcja Romana Rojka jest natychmiastowa, jako szef rady nadzorczej decyduje o całkowitym obcięciu premii prezesowi. Z uzasadnienia tej decyzji Płażyński dowiaduje się, że źle zarządza firmą i naraża ją na straty.

– Nie odebrałem tego jako spór o pieniądze, ale o pomysł na firmę, a decyzja rady była raczej próbą upokorzenia mnie – twierdzi pierwszy prezes Świetlika.

## Ostateczne starcie

Do ostatniego starcia dochodzi na zwołanym w trybie pilnym walnym zgromadzeniu. Uniesiony honorem Maciek postanawia odwołać się do ogółu i składa dymisję.

– Stoczyliśmy wtedy debatę, która zakończyła się głosowaniem. Większość była po mojej stronie, w związku z tym cała rada nadzorcza zrezygnowała z dalszej działalności. Nie miałem jednak pewności, że tak się stanie. Przecież decyzję podejmowali ludzie, którzy finansowo mogli zyskać, gdyby stery przejął Roman. Ale zwyciężyła idea, i przyznaję, że czułem wtedy dużą satysfakcję – wspomina Płażyński.

Przez jakiś czas Rojek jeszcze formalnie pracuje w Świetliku, jednak w firmie pojawia się już bardzo rzadko. Kilka miesięcy po konflikcie ostatecznie odchodzi ze spółdzielni i zakłada własną firmę o podobnym profilu. Były szef rady nadzorczej pociąga za sobą kilka osób, między innymi nieżyjącego już dziś Irka Gusta i przede wszystkim ludzi z rzeszowskiej filii, między innymi Andrzeja Kubiaka, z którym Roman utrzymuje wówczas bardzo dobre relacje.

## Zadra

Od pamiętnego sporu, który ostatecznie podzielił dwóch liderów i założycieli Świetlika, drogi dawnych przyjaciół skrzyżowały się tylko dwukrotnie – raz na oficjalnym spotkaniu

i drugi raz, przypadkowo na lotnisku. Jednak klimatu do choćby krótkiej, neutralnej rozmowy nie było. Mimo upływu wielu lat, emocje wzięły górę.

– Nie jest to dla mnie rzecz, z której się cieszę i nie potrafię dać odpowiedzi, dlaczego ta zadra u Romana jest wciąż tak żywa i ostra – zastanawia się Maciej Płażyński. – To pewnie kwestia emocjonalności, a emocje nie są racjonalne – dodaje po krótkim namyśle.

W jego ocenie Rojek ma wszelkie podstawy, żeby czuć się człowiekiem spełnionym.

– Odniósł sukces zawodowy, finansowy, mógł rozwijać się naukowo i być w wielkiej polityce, ale wybrał chyba to, co uznał dla siebie za najlepsze – stwierdza Płażyński. – Jednak każdy reaguje inaczej, i to też trzeba przyjąć do wiadomości – kończy temat.

## Miara przyjaźni

– Czy przyjaźń uzasadnia aprobatę każdego rozstrzygnięcia? – głośno zastanawia się były marszałek Sejmu.

Te dylematy pojawiają się także po latach, w politycznej działalności Płażyńskiego. I wtedy, kiedy zakłada Platformę, i kiedy z niej odchodzi.

– W dalszym ciągu uważam, że czasami trzeba naruszyć przyjaźń, mając oczywiście zupełne przekonanie, że można coś osiągnąć w interesie publicznym. Jeśli wymiar ideowy zgadza się z towarzyskim, to świetnie. Ale jeśli tak nie jest, to raczej trzeba się rozstać, choć bywa to dramatyczne i bolesne – mówi z przekonaniem pierwszy prezes Świetlika.

Maciek w dalszym ciągu broni swojej decyzji sprzed ponad dwudziestu lat, kiedy twardo powiedział nie najbliższemu przyjacielowi.

– Jak tylko można było zrobić coś przeciwko komunie, to nie odpuszczaliśmy i dokładaliśmy swoją cegiełkę w walce z chorym systemem – stwierdza z przekonaniem.

W ocenie Płażyńskiego nietypowa, nawet w skali kraju, działalność spółdzielni pozwoliła kilkuset ludziom żyć w miarę normalnie, i co ważniejsze – zgodnie z własnym sumieniem. I pewnie dlatego na jubileuszowe święto spółdzielni przyjeżdżają prawie wszyscy powiadomieni o spotkaniu świetlikowcy.

– Mam satysfakcję, że wszyscy uważają ten czas za najpiękniejszy w swoim życiu. Wiem, że wtedy byliśmy młodzi i dziś pewnie trochę mitologizujemy tamtą rzeczywistość, ale jednak to była szczególna przygoda – podsumowuje pierwszy prezes Świetlika.

Zjazd świetlikowców z okazji 25. rocznicy powstania spółdzielni, Sobieszewo 2008 r.
*(fot. G. Szrejder)*



# Piękny kawał życia

– Któregoś razu umówiłem się z panem z urzędu skarbowego na, jak dobrze pamiętam, rutynową kontrolę. Chodziło między innymi o to, żeby uniknąć podatku od ponadnormatywnych wynagrodzeń. Spotkaliśmy się w sobotę, w firmie, gdzie chwilowo pomieszkiwałem. W piątek mocno udzielałem się towarzysko i byłem, krótko mówiąc, trochę „nieświeży". Natychmiast wyczuł to mój gość, też zresztą „zmęczony". Zaproponowałem coś na rozkręcenie rozmowy, a moja propozycja spotkała się z dużym zrozumieniem. Nawet dobrze nam się gawędziło, tyle tylko, że urzędnik nabrał niebywałej ochoty na kolejne spotkania, co odbiło się niekorzystnie na moim organizmie. Zdecydowanie lepiej wyszła na tym firma – wspomina Jarosław Czarniecki.

## Samotnik z wyboru

Ostatni prezes Świetlika do dziś chadza własnymi drogami. Jak twierdzi, niezależność ma we krwi, a niechęć do podporządkowania się jakiejkolwiek strukturze pozostała w nim jeszcze z czasów studenckich. W 1983 roku Jarek Czarniecki, czyli Iżi, jest absolwentem handlu zagranicznego Uniwersytetu Gdańskiego i szuka pomysłu na życie. Jako że nie spieszy mu się do siermiężnej, socjalistycznej rzeczywistości, dodatkowo studiuje prawo. Jego przygoda ze spółdzielnią zaczyna się całkiem zwyczajnie. Pracuje, podobnie jak spora grupa

gdańskich studentów, w firmie Techno-Service. Czyści okna i świetliki w zakładach pracy, między innymi w tczewskim Polmo, gdzie solidnie dostaje w kość.

– Olbrzymie powierzchnie, dosłownie hektary szkła – wspomina Czarniecki.

W ekipie jest też Rojek i Płażyński, którego zna ze słynnej ósemki, akademika w Sopocie. Mycie okien przynosi całkiem dobre pieniądze i przekonanie, że najchętniej pracowaliby na własną rękę. Wprawdzie perspektywa wiszenia na kominie nie może być dla absolwenta uniwersytetu zwiastunem świetlanej kariery, jednak chęć niezależności przeważa nad egzystencjalnymi rozterkami. Czarniecki, choć jest w zarządzie firmy od jej powstania, podobnie jak inni macha pędzlem i zjeżdża na linach. Pierwsze zlecenie i od razu głęboka woda, a właściwie bardzo wysoki, bo stupięćdziesięciometrowy, komin w gdańskiej rafinerii.

– Nie mam lęku wysokości i w dodatku byłem wtedy bardzo sprawny fizycznie, a jednak widok ruszającego się cienia komina i ludzi wyglądających jak mrówki robił wrażenie – wspomina Czarniecki.

Warunki pracy są mocno siermiężne. Początkowo chałupniczo skonstruowany sprzęt wożą ze sobą, a ponieważ poruszają się głównie autobusami, budzą żywe zainteresowanie.

– No bo co myśleć o facetach objuczonych jakimiś dziwnymi ławeczkami, linami i wiadrami – uśmiecha się Jarek.

Po dwóch latach oddelegowany zostaje za biurko. Nie daje się dłużej łączyć pracy fizycznej z papierami i zarządzaniem firmą.

– Koledzy żartobliwie, a bywało, także złośliwie mi docinali, że teraz jestem ważniakiem i się od nich odcinam. Oni tam na linach to sól ziemi, a my w ciepłych kapciach nie mamy pojęcia o prawdziwej robocie – wspomina Jarek.

Na swoje ostatnie, zresztą bardzo intratne zlecenie, jedzie do Rzeszowa, gdzie mieści się jedna z filii spółdzielni. Stąd też

pochodzi Andrzej Kubiak, który załatwia pracę. Sporych rozmiarów hala sportowa Resovii była wtedy łakomym kąskiem dla wielu firm.

– To jedno z lepiej płatnych zleceń – przyznaje Jarek.

Jednak malowanie tego obiektu okazuje się dla spółdzielców prawdziwym poligonem doświadczalnym. Powierzchnię porównywalną do hali Olivii w Gdańsku trzeba obstawić rusztowaniami, oczyścić i pomalować.

– Jak ktoś potrzebował wtedy pracy i nie miał żadnych zobowiązań, to się go wysyłało do Rzeszowa. Nie wszyscy jednak dawali radę, ciężka i niewdzięczna robota – wspomina Czarniecki.

## Wysokość raz jeszcze

Jak to jest popatrzeć na świat z góry, poczuje Jarek Czarniecki raz jeszcze w Bieszczadach. W 1988 roku wychodzi z wojska i przed powrotem do papierów firmy, którymi pod jego nieobecność zajmuje się Marek Kotlarz, postanawia pojechać z chłopakami na zlecenie. Ponieważ jest odrobinę „uprzywilejowany" i ma pewną swobodę, wybiera malowanie wież telewizyjnych nad Zalewem Solińskim.

– To była rewelacja – wspomina. – Późna wiosna, malownicze krajobrazy, a widoki z tych wież... no, prawdziwy raj po peerelowskim wojsku.

Zlecenie jest w pewnym sensie prestiżowe, ponieważ ma być materiałem do filmowej reklamówki o spółdzielni. Odpowiada za to Mariusz Wilk, który też powoli kończy karierę robociarską, a bardziej zajmuje się wizerunkiem firmy.

– Z tym wizerunkiem to wtedy do końca nie wyszło, jak trzeba – przyznaje Jarek Czarniecki.

Ekipa filmowców zjawia się w najmniej odpowiednim momencie. Ale nie ma rady, więc przebierają się w robocze ciuchy i idą na wieże.

– Byłem po koszarowym życiu towarzysko nadaktywny i co tu dużo ukrywać, trochę sobie z kolegami pofolgowałem.

Wyraźnie widać to na filmie i po mocno zmarszczonym czole prezesa Płażyńskiego – śmieje się Jarek.

## Za biurkiem

Ponieważ firma szybko się rozrasta, Jarek zajmuje się już tylko jej finansami i administracją. Na początku jest to zupełna partyzantka. W biurze przy Pańskiej, w jednym pokoju, pełniącym funkcję zaimprowizowanego naprędce sekretariatu, siedzą dziewczyny, w drugim, czyli „gościnnym" stoi okrągły stół, a na nim góra pieniędzy, którą dzielą chłopaki. Początkowo wystarcza kasetka, wkrótce jednak dorabiają się kasy pancernej. Po wypłaty do banku jeździ kasjerka w towarzystwie kilku postawnych mężczyzn, których w firmie nie brakuje.

– Wprawdzie już wtedy były możliwe przelewy i zleceniodawca płacił z konta, tak jak teraz, jednak prawie wcale nie było kont indywidualnych i pensję wypłacało się z ręki do ręki, a robił to Maciek, który przypominał chodzący bankomat – w każdej kieszeni miał poupychane banknoty, czyli środki przeznaczone na różne cele – wspomina Czarniecki.

Po pieniądze jeżdżą taksówką, dopiero po dwóch latach dorabiają się samochodu służbowego. Sensacją jest jednak pierwsze prywatne auto – Fiat 125 P, które kupuje sobie Jarek Połoczański.

– To było prawdziwe wydarzenie – mówi Czarniecki. – Osobiście jechałem tym samochodem na zlecenie do Stalowej Woli – po prostu rewelacja!

## Poświęcenie

„Opieka" nad finansami Świetlika przypomina czasami sporty ekstremalne. W latach osiemdziesiątych „batem" na firmy uzyskujące niezłe przychody jest podatek od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń, tak zwany popiwek. Znacznie hamuje on wzrost pensji, w innym przypadku zmusza, aby oddawać państwu odpowiedni haracz. Rzecz jasna, że firmy stosują uniki i „racjonalizatorskie rozwiązania". Pracownik urzędu

skarbowego nie jest najmilej widzianym gościem, zwłaszcza kiedy kwestionuje wyliczenia spółdzielni. Umiejętności znalezienia „wspólnego języka" są w tych przypadkach bezcenne.

– Któregoś razu umówiłem się z panem z urzędu skarbowego na, jak dobrze pamiętam, rutynową kontrolę. Chodziło między innymi o to, żeby uniknąć podatku od ponadnormatywnych wynagrodzeń. Spotkaliśmy się w sobotę, w firmie, gdzie chwilowo pomieszkiwałem. W piątek mocno udzielałem się towarzysko i byłem, krótko mówiąc, trochę „nieświeży". Natychmiast wyczuł to mój gość, też zresztą „zmęczony". Zaproponowałem coś na rozkręcenie rozmowy, a moja propozycja spotkała się z dużym zrozumieniem. Nawet dobrze nam się gawędziło, tyle tylko, że urzędnik nabrał niebywałej ochoty na kolejne spotkania, co odbiło się niekorzystnie na moim organizmie. Zdecydowanie lepiej wyszła na tym firma – wspomina z uśmiechem Jarek.

Dyskusja o finansach i planach spółdzielni raz albo dwa razy w roku przenosi się w plener. Firmy tego typu mają w statucie obowiązkowy zapis o konieczności zorganizowania przynajmniej raz w roku walnego zgromadzenia. Teoretycznie na takim spotkaniu bilansowano cały rok i zastanawiano się, jak rozdysponować ewentualne nadwyżki. W Świetliku jest zasada, że te ostatnie dzielone są między członków spółdzielni, a część przeznacza się na tak zwane szczytne cele i działalność charytatywną. To właśnie spółdzielnia wsparła w 1987 roku budowę pomnika majora Piwnika „Ponurego". Jednak walne zgromadzenia Świetlika są jedyne w swoim rodzaju z zupełnie innych powodów – to prawdziwe święto firmy. Na pięciolecie do Jastrzębiej Góry przyjeżdża prawie dwieście osób. Spotkania zawsze odbywają się w jakimś ośrodku wypoczynkowym, którego kierownictwo jest lojalnie uprzedzane, że przyjedzie duża, głównie męska grupa o rozrywkowych skłonnościach.

– Było naprawdę wesoło i za kołnierz nie wylewaliśmy, jednak nigdy niczego nie zdemolowaliśmy – wspomina Czarniecki.



Walne zgromadzenie spółdzielni w Jastrzębiej Górze; przerwa na piłkę nożną. Na pierwszym planie Robert Krygier.
*(z arch. rodzinnego R. i B. Krygierów)*

## Zamknięcie

Rok 1989, który przynosi przemiany ustrojowe i gospodarcze, to dla spółdzielni próba ogniowa. Następuje gwałtowny ubytek sił – kilku czołowych pracowników Świetlika odchodzi do polityki, między innymi Maciej Płażyński, któremu ówczesny premier Tadeusz Mazowiecki powierza stanowisko wojewody gdańskiego. Arkadiusz Rybicki zostaje sekretarzem stanu w kancelarii Lecha Wałęsy. Do Belwederu trafia też Marek Zająkała, jeden z członków rady nadzorczej Świetlika. Ze spółdzielnią żegna się również Donald Tusk, który najpierw pracuje w Komisji Likwidacyjnej RSW Prasa, a wkrótce stojąc na czele Kongresu Liberałów, trafia do Sejmu. Otwierają się także nowe możliwości gospodarcze i część ludzi to wykorzystuje,

zakładając własne firmy. Naturalnie pojawia się w tej sytuacji pytanie o dalszy kierunek dla Świetlika.

– Myśleliśmy o stopniowej zmianie profilu, zwłaszcza że zlecenia nie były już tak dochodowe jak kiedyś, a my stawaliśmy się coraz starsi – mówi Czarniecki, który po odejściu Macieja Płażyńskiego zarządza firmą.

W miarę upływu czasu proporcje między robotami typowo wysokościowymi a budowlanymi zdecydowanie przechylają się na korzyść tych drugich, a firma nie jest w tym wyspecjalizowana. Dochodzi do kłótni i spięć – głównie na tle płacowym. Potężnym sprawdzianem dla Świetlika staje się remont kapitalny budynku po dawnym urzędzie skarbowym przy ulicy Do Studzienki we Wrzeszczu.

– To było poważne przedsięwzięcie – wspomina Czarniecki. – Podmokły teren no i problemy technologiczne, które się tam pojawiły, trochę nas przerosły, tak że niestety „popłynęliśmy" na tym zleceniu – przyznaje.

Powoli tracą też kolejne do tej pory świetne źródła dochodu. Upadają państwowe molochy, a to przecież głównie z nich dotychczas firma czerpała zyski.

– Przedsiębiorstwa zaczęły tracić zdolności płatnicze, w związku z tym robiły się finansowe zatory, co powodowało kłopoty w naszej spółdzielni – przyznaje Czarniecki.

W 1993 roku firma nie jest w stanie zapłacić wszystkich podatków, rok później zobowiązania spółdzielni przekraczają prawie dwukrotnie wartość majątku. Zarząd firmy poważnie zaczyna myśleć o jej zamknięciu. Trwają wprawdzie przymiarki do przekształcenia spółdzielni w spółkę prawa handlowego, brakuje jednak determinacji, żeby to zrobić. Firmowi idealiści twierdzą, że jak jest dobry ludzki potencjał, to w każdej formule się sprawdzi. Sporo jest jednak głosów sceptycznych. Zaczyna przeważać opinia, że oprócz udziałów członkowskich powinien być konkretny kapitałowy właściciel, który trzymałby to wszystko w ręku. W lipcu 1994 roku zostaje zwołane walne

zgromadzenie, które po rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw podejmuje uchwałę o likwidacji spółdzielni. Likwidatorem zostaje Wiesław Kamiński i on dalej pilotuje sprawę aż do grudnia, kiedy sąd ogłasza upadłość.

– Może nawet firmę dałoby się jakoś uratować – stwierdza Czarniecki – jednak zabrakło czegoś więcej: tego entuzjazmu, tej dynamiki i energii z pierwszych lat. Odeszły przecież osoby, które nadawały ton Świetlikowi, spółdzielnia stawała się powoli już tylko firmą socjalną – dodaje.

„Rdzenni" pracownicy Świetlika decyzję o likwidacji przyjmują z mniejszym niepokojem, wiedzą, że nie zostaną na bruku. Część z nich przechodzi do mieszczącej się w tym samym budynku firmy o podobnym profilu, ale innej formule. Gorzej z robotnikami, którzy zostali zatrudnieni później, już na innych warunkach, im naprawdę trudno jest się pogodzić z tym, co się dzieje. Gremialnego zamknięcia nie ma, jak podkreśla Jarek, nikt nie chce stypy. Jest jednak ogromne wzruszenie, które widać na twarzach członków zarządu.

– To przecież piękny kawał życia – kończy z nutką nostalgii Jarosław Czarniecki.

## Energia pchała nas do przodu

Przyjaciołom od samego początku. M. K. Kotlarz

(...) wizyta pewnej sympatycznej i niebrzydkiej pani z Centralnego Związku Spółdzielni Pracy mocno wryła się w pamięć nie tylko Marka Kotlarza. W firmie kręci się sporo młodych, fajnych chłopaków, a to sprzyja podtrzymywaniu kontaktów.

– Pani się do nas bardzo przywiązała i chętnie przychodziła na kontrolę, a ja, chcąc nie chcąc, spędzałem z nią sporo czasu – opowiada Marek.

Powoli spotkania nabierają bardziej towarzyskiego charakteru, aż w końcu zażyłość staje się tak duża, że kontrolerka jedzie na dwudniowe walne zgromadzenie firmy do Jastrzębiej Góry.

– Oj, mocno huczało potem w spółdzielni, a pani przestała nas odwiedzać. Być może musiała podjąć inne życiowe wyzwania – kończy opowieść Marek Kotlarz i uśmiecha się tajemniczo.

### Przyjaciele

– Najpierw próbowaliśmy znaleźć jakiś sposób na życie w tym chorym systemie, i wymyśliliśmy spółdzielnię. Po prostu chcieliśmy zarobić parę złotych w możliwie niezależny sposób, nie było w tym jeszcze żadnej ideologii – tak o początkach Świetlika mówi Marek Kotlarz, wówczas jeden z wiceprezesów firmy, dziś szef wydawnictwa Exter.

Podobnie jak większość z założycielskiego grona Świetlika alpinistyczne szlify Kotlarz zdobywa w studenckiej spółdzielni Techno-Service. Podczas historycznego zlecenia w tczewskiej Fabryce Przekładni Samochodowych „Polmo" coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że własna firma jest najlepszym rozwiązaniem.

– Mieliśmy oczywiście różne wątpliwości, ale nie było innej, rozsądnej alternatywy. Myślałem, dlaczego więc nie zaryzykować, zwłaszcza że dobrze się znaliśmy i mieliśmy do siebie zaufanie.

Na pytanie, kto właściwie rzucił hasło założenia spółdzielni, Marek nie potrafi dać jednoznacznej odpowiedzi.

– Naprawdę, nie wiem. Może rzeczywiście Roman Rojek pierwszy zaczął o tym mówić, ale mnie się wydaje, że to była nasza wspólna decyzja.

Jeszcze przed formalnym rozpoczęciem działalności umawiają się co do podziału kompetencji. Płażyński i Rojek dzielą się najważniejszymi funkcjami: pierwszy zostaje prezesem spółdzielni, drugi szefem rady nadzorczej. Przepisy wymagają jednak, żeby władze spółdzielni wyłonić w głosowaniu.

– No więc przyszedł pan z Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Gdańsku i dopełniliśmy formalności – wspomina Kotlarz.

Entuzjazm od samego początku jest ogromny i stanowi podstawowy kapitał firmy, bo oprócz niego mają niewiele. Po latach każdy z nich powie, że wbrew wszystkiemu pomysł musiał wypalić.

– To nie tylko absurdy komuny, ale jakaś fantastyczna energia pchała nas do przodu – mówi z przekonaniem Marek Kotlarz.

## Pęknięcie

Przedsięwzięcie nabiera rozpędu i staje się dochodowe, jednak już wkrótce nad spółdzielnią zaczynają pojawiać się czarne chmury. O dziwo, problem nie ma swojego źródła na zewnątrz, lecz wewnątrz firmy – Płażyński i Rojek stają po przeciwnych

stronach barykady. Konflikt wisi w powietrzu, nikt jednak nie przypuszcza, że będzie miał tak dramatyczny finał.

– Nawet cieszyłem się wtedy, że idę do wojska, bo sytuacja stawała się nie do wytrzymania. Nagle obaj zobaczyli, że wszystko ich różni i dalej razem już nic nie zrobią – wspomina Kotlarz.

Jego zdaniem podejście Romana Rojka do firmy było czysto pragmatyczne: spółdzielnia miała przede wszystkim przynosić dochody, a płace powinny być zróżnicowane.

– Rojek nie akceptował wydawania pieniędzy na puste etaty i ludzi, którzy w spółdzielni faktycznie nie pracowali. Ówczesny szef rady nadzorczej chciał, żeby spółdzielnia była zamknięta dla nowych pracowników, jeśli nie przynosili firmie dochodu, i zbierała z rynku zlecenia gwarantujące tylko największe zyski. Natomiast koncepcja Maćka, i też między innymi moja, nie twierdzę, że była lepsza, ale po prostu zupełnie inna. Naszym celem było budowanie szerokiego środowiska społecznego o określonych poglądach. Myśleliśmy o takiej firmie, która, owszem, pozwoliłaby dobrze zarobić, ale też miała konkretną ideologię. Chcieliśmy, żeby spółdzielnia była otwarta i uspołeczniona. W tym sporze wygrać mógł tylko jeden, i tak się stało – podsumowuje Kotlarz. – Chociaż, przyznać trzeba, zastosowanie wielu pomysłów Romana wymusiły potem na nas zasady rachunku ekonomicznego – dodaje.

## Akrobaci

Zanim Marek na dobre zajmie się administracją spółdzielni, przejdzie „chrzest bojowy" na kominie. Praca na wysokości przypomina trochę cyrkową sztukę. Kiedy się patrzy z dołu na sprawnie poruszające się postacie w kombinezonach, można odnieść wrażenie, że to akrobaci ćwiczą w niecodziennych warunkach. W zawodzie alpinisty przemysłowego taka żonglerka na linie z rekwizytami to chleb powszedni, więc absolutnie zimna krew jest tutaj niezbędna.

– Kiedy się wchodzi na stupięćdziesięciometrowy komin, a bywały i takie, które miały trzysta metrów, trzeba mieć świadomość, że jeden nieuważny ruch i po tobie – mówi Kotlarz. – Iżi mógłby powiedzieć o tym coś więcej. W Gdańsku podczas malowania komina w rafinerii nieźle go odwiało i trzasnął parę razy o beton. Żółw uwiesił się na dole jego liny i na szczęście jakoś go wyhamował. Jarkowi nic się nie stało, był tylko lekko oszołomiony – opowiada z przejęciem.

Wspinaczka na wysokość mniej więcej pięćdziesiątego piętra po pionowej drabince wymaga dużej sprawności fizycznej i siły, zwłaszcza że często ciągnie się za sobą podwieszany na linie hobok, czyli olbrzymie metalowe wiadro z kilkunastoma litrami farby.

– Wisiało nam to tak między nogami, właściwie był to trochę komiczny widok, ale nie mieliśmy innego wyjścia, bo ręce musiały być wolne, żeby trzymać się drabinek – tłumaczy Kotlarz.

Wciągarki, w które zaopatrują się po pewnym czasie, sięgają tylko do określonej wysokości, dalej trzeba już liczyć na własne siły. Wyposażenie pracownika spółdzielni wygląda nieco egzotycznie. Już samo robocze ubranie odbiega od standardów – jest kombinacją wszystkich możliwych uniformów do pracy fizycznej, dostępnych wówczas na rynku. Najważniejsze są jednak „pasy bezpieczeństwa".

– To taka specjalna uprząż, którą na początku, jak wszystko zresztą, robiliśmy sami. Szył ją ręcznie Żółw, a raczej wyplatał to „coś" z nylonowej liny specjalnym szydłem. Zakładaliśmy uprząż na siebie, zawiązywaliśmy i przyczepialiśmy karabinki, a na końcu wieszaliśmy hoboki z farbą. Tak objuczeni ruszaliśmy w górę – tłumaczy Kotlarz.

Z czasem, już bardziej doświadczeni, wiążą dodatkową linę, tak zwaną strunę, do której przyczepia się karabinek; to daje większe zabezpieczenie przed silnym wiatrem.

– Pracowaliśmy oczywiście nie tylko na kominach. Były też inne konstrukcje: wieże oraz instalacje różnego typu, których

przeznaczenia w rafinerii nikt z nas nie był w stanie pojąć – mówi Marek.

## Kapeluchy

Jedno z określeń, które na stałe weszło do „słownika" spółdzielni, powstało na szczycie komina, skąd widać jedynie nakrycia głów osób, które znajdują się na dole. „Kapeluch" to początkujący pracownik spółdzielni, który wykonuje prace pomocnicze, na przykład podczepia wiadra, podaje pędzle albo trzyma liny. Są też tacy, którzy mimo odpowiedniego stażu ciągle należą do tej mało prestiżowej grupy – to osoby z lękiem wysokości.

– Kiedy rozkręcaliśmy firmę, to oprócz Żółwia właściwie wszyscy byliśmy kapeluchami – mówi Marek Kotlarz.

Malowanie zaczyna się od samego szczytu i wykonuje etapami. Najpierw komin trzeba wyczyścić i uzupełnić ubytki, a potem tak przygotowany pomalować. Mniej więcej co czterdzieści metrów rozmieszczone są galeryjki, czyli pomosty z barierką, między którymi „kursuje się" na linie ze sprzętem. To też miejsce, gdzie rozrabia się farbę, odpoczywa i je.

## Realizm i metafizyka

Widok z samej góry robi ogromne wrażenie, zwłaszcza w pełnym słońcu, kiedy ruszający się cień pokazuje, jak chwieje się komin.

– Po takiej dłuższej huśtawce czułem się, jakbym miał chorobę morską – mówi Marek.

Komin, który czasem jest jak prawdziwy obóz przetrwania, trzeba oswoić i polubić. Nie dość, że wiatr szarpie na wszystkie strony, to jeszcze dokuczają skrajne temperatury. Jeśli się tego nie zaakceptuje, lepiej zostać na dole.

– Nie raz klątem pod nosem i myślałem, za jakie grzechy ja to robię, cały zakurzony, brudny. Wciąż coś sypało się na twarz, bo maski i okulary nie chroniły całkowicie – wspomina.

Na takim betonowym lub ceglanym olbrzymie nie tylko się pracuje, ale też je, odpoczywa i załatwia potrzeby fizjologiczne.

– Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby schodzić godzinę tylko po to, żeby zrobić siku – mówi Kotlarz.

Zabawna historia wiąże się z kominem w gdańskiej rafinerii. Zgodnie z wymogami dotyczącymi wysokich budynków każdy obiekt o określonej wysokości powinien być pomalowany w biało-czerwone pasy.

– Pamiętam, jak wzięliśmy przez pomyłkę puszki z różnymi kolorami farby. Wydawały się zupełnie takie same, dopiero jak pomalowaliśmy, widać było różnicę w odcieniach, no i trzeba było poprawiać – wspomina.

Na kominie spędza się prawie cały dzień, głównie samotnie, jest więc sporo czasu na myślenie.

– Wiedliśmy żywot Szymona Słupnika – śmieje się Marek. – Dla mnie było to czasami wręcz metafizyczne przeżycie, kiedy tuż przed sobą miałem beton, a wystarczyło się odwrócić i... jakiś zupełnie inny świat: Wisła, portowe dźwigi albo senny, lekko depresyjny krajobraz Żuław – zamyśla się.

## Luksus w PRL-u

Jedno z większych i niezwykle intratnych zleceń Świetlik realizuje w Gdańsku, gdzie na terenie rafinerii jest do pomalowania sporych rozmiarów komin. To dla firmy potężny zastrzyk finansowy, do kasy wpływa okrągły milion złotych. Każdy następny kontrakt też przynosi niezłe pieniądze. Tak dobrą koniunkturę odczuwają oczywiście sami spółdzielcy – zarobki w Świetliku kilkakrotnie przewyższają średnią pensję krajową, a w związku z tym wiele dóbr materialnych, ogólnie niedostępnych, można kupić w Peweksie. Takim towarem marzeń jest na przykład pralka automatyczna – rzecz nieosiągalna dla przeciętnego Kowalskiego nawet po kilku miesiącach pracy.

– Po dwóch tygodniach na kominie w Płocku kupowało się „automat" od ręki w Peweksie za dwieście dolarów, kiedy na

krajowy Polar trzeba było czekać w społecznej kolejce trzy miesiące – wyjaśnia Kotlarz.

Przeciętne miesięczne wynagrodzenie na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku to około trzydzieści dolarów – takie pensje dostawali na przykład lekarze. W spółdzielni w 1985 roku, czyli w okresie pełnego jej rozkwitu, można było zarobić miesięcznie dwieście tysięcy złotych, czyli dziesięć razy więcej niż wynosiła średnia krajowa.

– Doskonale pamiętam przelicznik, bo kiedy przyjechałem właśnie ze zlecenia w płockiej petrochemii, porównywałem zarobki z moim teściem, lekarzem z wieloletnią praktyką. No to się wtedy trochę ubawiliśmy – wspomina Marek Kotlarz.

## Raczkowanie w administracji

– Byliśmy po studiach z tytułami magistra ekonomii, handlu, prawa i Bóg wie jeszcze czego, a nie wiedzieliśmy, jak się robi przelewy, ćwiczyliśmy więc na „żywym organizmie" – przyznaje Marek.

Na początku działalności spółdzielnia liczy zaledwie kilkanaście osób, a cała dokumentacja firmy mieści się właściwie w jednej pokaźnej szufladzie szafy, w mieszkaniu pani Herminy Mechlińskiej, teściowej Romana Rojka. Nie ma nikogo do sekretariatu ani księgowości. Kasjerką, kadrową i po części księgową jest Jola, żona Romana, wówczas jedyna dziewczyna w firmie.

– Te początki to była prawdziwa prowizorka, bardzo zresztą uciążliwa, zwłaszcza dla Joli i Romana, ale chyba przede wszystkim dla ich mamy. Przecież w prywatnym mieszkaniu, gdzie zazwyczaj od pracy się odpoczywa, prowadzili zwariowane biuro, bo spółdzielcy wpadali, kiedy chcieli, nie bacząc na to, że to pora kolacji, kąpania czy karmienia dziecka. A wszystko *pro publico bono*, bo dopiero za następny lokal zaczęliśmy płacić czynsz. Prawdę mówiąc, to chyba nikt za to pani Mechlińskiej nawet nie podziękował. Potem doszła Basia Chodnikiewicz i Ewa Minkiewicz, ale to już w nowej siedzibie na Poznańskiej,

gdzie wynajmowaliśmy jeden pokój, i to były całe nasze piękne kadry – wspomina Kotlarz.

Wkrótce dorabiają się walizkowej maszyny do pisania, Marek osobiście odbiera ją w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Pracy. W takich partyzanckich warunkach działają do przeprowadzki na ulicę Poznańską, gdzie jeden wydzielony pokój to jednocześnie biuro, magazyn i świetlica towarzyska.

– Tam był klimat jak w popularnym wtedy serialu „Posterunek przy Hill Street", czyli istne szaleństwo, zamieszanie i chaos, ale za to wesoło – mówi Kotlarz.

Na biuro z prawdziwego zdarzenia mogą sobie pozwolić dopiero po kilku latach. Przenoszą się do wygodnego domku szeregowego na gdańskim Suchaninie, gdzie do dyspozycji mają trzy kondygnacje.

– Tam była już porządna administracja, jakiś sekretariat, magazyn, kasa pancerna w oddzielnym pomieszczeniu – wspomina.

## Pewna pani

Zdobywana w szybkim tempie praktyczna wiedza zakłada również sztukę „obłaskawiania" urzędników.

– Mieliśmy swoje sprawdzone metody – uśmiecha się Kotlarz. – Na początku ważne jest tak zwane dobre wrażenie i „przyjacielski" stosunek do kontrolera.

Jeśli chodzi o ten ostatni aspekt, wizyta pewnej sympatycznej i niebrzydkiej pani z Centralnego Związku Spółdzielni Pracy mocno wryła się w pamięć nie tylko Marka Kotlarza. W firmie kręci się sporo młodych, fajnych chłopaków, a to sprzyja podtrzymywaniu kontaktów.

– Pani się do nas bardzo przywiązała, chętnie przychodziła na kontrolę, a ja, chcąc nie chcąc, spędzałem z nią sporo czasu – opowiada Marek.

Powoli spotkania nabierają bardziej towarzyskiego charakteru, aż w końcu zażyłość staje się tak duża, że kontrolerka jedzie na dwudniowe walne zgromadzenie firmy do Jastrzębiej Góry.

– Oj, mocno huczało potem w spółdzielni, a pani przestała nas odwiedzać. Być może musiała podjąć inne życiowe wyzwania – kończy opowieść Marek Kotlarz i uśmiecha się tajemniczo.

## Perpetuum mobile

– W warunkach systemu kapitalistycznego tak funkcjonująca spółdzielnia jak nasza nie miałaby racji bytu. Żerowaliśmy na systemie, który był chory, i trzeba mieć tego świadomość. Do dziś nie mogę uwierzyć, że tak skutecznie działaliśmy. To było skrzyżowanie kibucu z hipisowską komuną i przedsiębiorstwem socjalistycznym – śmieje się Kotlarz.

„Załatwić" i „skombinować" – bez tych bezcennych umiejętności w gospodarce totalnych niedoborów nie tylko Świetlik, ale każda inna niepaństwowa firma musiała ponieść klęskę. Zdobycie worka cementu, puszki farby czy zwykłych pędzli było nie lada wyczynem.

– Ludzie, którzy mieli dostęp do tych „skarbów", w zamian za umożliwienie ich zakupu życzyli sobie specjalnego wynagrodzenia, czyli łapówki. I wszyscy wiedzieli, że coś takiego funkcjonuje, a to wymuszało oczywiście powszechną „lewiznę" – tłumaczy Kotlarz.

Pieniądze, jeden z najmocniejszych argumentów w negocjacjach, nie zawsze jednak wystarczają – równie ważne są odpowiednie znajomości.

– Organizowanie materiałów nie odbywało się tak jak teraz: telefon z zamówieniem do hurtowni i za dwie godziny wszystko jest na miejscu. Trzeba było wiedzieć, do kogo uderzyć i czasami zaoferować coś więcej niż gotówkę – to znaczy wymieniało się towar za towar. Także rozmowa przy wódce oraz przywożone „souveniry" skutecznie otwierały wiele drzwi – mówi Marek.

Jednak to „urabianie" odpowiedniego człowieka bywa często męczące. Po kilkunastu godzinach ciężkiej fizycznej pracy marzy się już tylko o tym, żeby rzucić się na łóżko, a tymczasem trzeba jeszcze udzielać się towarzysko.

– W Płocku pewien pan kierownik, który decydował o przydzielaniu zleceń, tak się z nami „zaprzyjaźnił", że w pewnym momencie już dzień w dzień przesiadywał w naszym hotelu. Zaczęliśmy nawet wyznaczać dyżurnych do picia, i to już było tragikomiczne – przyznaje Marek.

## Czarna kasa

W miarę rozwoju firmy zwiększają się jej potrzeby sprzętowe, „chałupnicze rękodzieło" już nie wystarcza, zresztą „spadochroniarze" chcą także bardziej profesjonalnego wyposażenia. Trudność polega na tym, że często są to artykuły niedostępne na polskim rynku. Część alpinistycznego wyposażenia sprowadzają prywatnymi kanałami, na przykład z Francji.

– Oczywiście, nie mogliśmy w takim wypadku wziąć rachunków, a trzeba było normalnie za to zapłacić.

Znajdowanie pieniędzy na deficytowy towar jest równie ryzykowne jak wspinaczka na trzystumetrowy komin. Tak zwaną „czarna kasę", jak nazywają pieniądze na nieoficjalne zakupy i wydatki socjalne, spółdzielcy zdobywają na różne sposoby, na przykład zatrudniane są „na niby" jakieś osoby, które nie wykonują żadnej pracy, ale otrzymują wynagrodzenie, które wpływa z powrotem do firmy.

– Teraz to mnie bawi, ale wtedy naprawdę myślałem, że nas zamkną, i to nie za politykę, ale za machloje finansowe – śmieje się Kotlarz.

## Życie towarzyskie i uczuciowe

– Ja sam nie potrafię tego do końca wytłumaczyć. No bo normalnie ludzie po wyczerpującej pracy nie mają już specjalnie ochoty na bardzo aktywne życie towarzyskie, a my wręcz przeciwnie, chcieliśmy się spotykać – dziwi się Marek.

Najprościej jest oczywiście w siedzibie spółdzielni, gdzie krzyżują się szlaki wracających i wyruszających na zlecenia, gdzie można spotkać się z zarządem i pogadać. Wspólne świet-

likowe wigilie, choinka dla dzieci czy spotkania podczas weekendu cementują przyjaźnie, z których wiele, jak się później okaże, przetrwa próbę czasu. Bywa, że świętują pod czujnym okiem „ochroniarzy" z SB.

– My w ciepełku dzielimy się opłatkiem, a oni tam stoją na mrozie i przytupują na rozgrzewkę, no to wyszły dziewczyny z ciepłą herbatą do „zapracowanych" smutnych panów – wspomina jedną z wigilii.

Świetlikowcom towarzyszy i udziela duchowego wsparcia ojciec Sławomir Słoma, dominikanin z kościoła św. Mikołaja.

– To niezwykle barwna postać, wielki przyjaciel spółdzielców i duszpasterz młodzieży akademickiej. Bardzo mi pomagał

Opłatek w siedzibie na Suchaninie, przy ul. Małcużyńskiego 50, na poddaszu, czyli w klubie K2, 18 XII 1987 r. Od lewej: Wiesiek Kamiński, Maciej Płażyński, widoczna w połowie Asia Leczkowska, NN, Jola Kosznicka, Marylka Rybicka, Alicja Fijał, Kazimierz Grochowski, Krzysiek Kamiński „Kochanieńki".
*(z arch. rodzinnego E. Płażyńskiej)*



osobiście jeszcze w okresie przedświetlikowym, kiedy się ukrywałem – dodaje po chwili.

Po przeniesieniu dominikanina do Tarnobrzega wigilie Świetlika odbywają się często z udziałem księdza Henryka Jankowskiego.

Mniej formalne i bardziej spontaniczne imprezy przenoszą się do miasta i prywatnych mieszkań. „Własna knajpa", jak mówią o „Kurkowej" w Gdańsku, to miejsce, gdzie regularnie przesiadują.

– Na początku to miał być klub, właściwie w tym celu wynajęliśmy salę, szybko jednak zrezygnowaliśmy z naszych ambicji na rzecz bezpretensjonalnego relaksu przy piwie – śmieje się Kotlarz. Wśród stałych bywalców w „Kurkowej" jest między innymi Żółw.

– „Kurkowa" powstała u schyłku dekady, a spotykaliśmy się tam jeszcze wtedy, gdy już część osób w spółdzielni nie pracowała, między innymi Maciek, Donald czy ja. Wcześniej tułaliśmy się po innych knajpach. Pamiętam, że jako pierwszy „Kurkową" prowadził Robal, potem Czerwik, czyli Wojtek Czerwiński – wspomina.

Zresztą ulubionych lokali mają w Trójmieście więcej, wybór zależy od okoliczności i miejsca, w którym akurat najlepiej się spotkać.

– Nie mieliśmy scenariusza – wyjaśnia Marek. – Chodziliśmy do „Rzemieślnika" albo „Pod wieżę" i obowiązkowo do słynnej z miłej dla oka rozrywki – „Amazonki". Stamtąd już tylko trzy kroki do Maćka na wódkę, i tam zazwyczaj kończyliśmy imprezę – wspomina.

Bywa, że zaczynają roboczym spotkaniem u Płażyńskich, które daje początek całonocnej balandze. Szukają otwartych do późna lokali i miejsc, gdzie mogliby zaopatrzyć się w alkohol. A tych, zwłaszcza na początku lat osiemdziesiątych, nie ma specjalnie dużo. Czynna prawie do rana „Kamienna" w Sopocie też znajduje się na szlaku ekipy Świetlika. Dobrze się bawią

i nieźle rozrabiają. W tym towarzystwie zawsze można się było spodziewać nieprzewidzianych zdarzeń.

– Pamiętam, jak kiedyś wracając po zleceniu Iżi, Tomek Matulaniec i Mirek Błaszkiewicz zaczęli zrywać czerwone flagi. Z nisko wiszącymi nie było kłopotu, ale oni ambitnie chcieli zdjąć wszystkie, więc zaczęli wspinać się po piorunochronach. A tu pech i przyjeżdża milicja. Nie wszystkim udało się zwiać – Błaszkiewicz przesiedział pół roku w więzieniu.

## Skutki uboczne

Ułańska fantazja i męska solidarność ma jednak także swoje ciemne strony – czasem dotkliwie odczuwa to rodzina.

– Szczęśliwie nasze panie naprawdę dużo nam wybaczały i rozumiały, że musimy jakoś odreagować. Ta praca w koszmarnych warunkach z byle jakim zabezpieczeniem i ciągła zabawa w kotka i myszkę z urzędnikami to naprawdę był ogromny stres – mówi Kotlarz. – Myśmy byli rewolucjonistami i z rewolucjonistkami się żeniliśmy.

Podczas spotkania z okazji osiemdziesiątych urodzin profesora Jana Majewskiego, mentora i wielkiego entuzjasty Świetlika, przypominają sobie pewien dialog sprzed lat. Prezes Płażyński pomagał kiedyś meblować mieszkanie Kotlarzy i nieco się u nich zasiedział. Na pytanie zatroskanego teścia Marka: „Czy pan uprzedził żonę, że późno wróci?", Płażyński miał odpowiedzieć: „Tak, przed ślubem".

– Chyba nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę, jak musiało być czasem naszym żonom ciężko. Tygodniami same z małymi dziećmi, a potem jeszcze impreza. Ale jakoś im to potrafiliśmy zrekompensować – usprawiedliwia się Marek Kotlarz i już z rozbawieniem wspomina jeden ze swoich powrotów ze zlecenia w Płocku. – Było bardzo wcześnie, powoli zaczynało świtać. Szczęśliwy, że po kilku tygodniach zobaczę żonę i kilkumiesięczną córkę, szedłem coraz szybciej. Już prawie dotykałem klamki, kiedy z sąsiedniego mieszkania wyleciał facet, a za

nim poduszka – zupełnie surrealistyczna scena. Zapukałem do drzwi, a tu nic. Zapukałem więc jeszcze raz i dalej nic, a on tak stał w samych gaciach. Myślałem już, że razem z nim będę witał dzień na tej poduszce. W końcu otworzyła mi zaspana Gosia. Wszedłem do kuchni, a tam puste flaszki i sterta brudnych naczyń. Koledzy przyszli ją pocieszyć i sprawdzić, czy żona nie potrzebuje jakiejś pomocy – opowiada z uśmiechem.

## Konwicki, Orwell i fantasy

Tak bardzo aktywne życie towarzyskie oczywiście nie jest codziennością.

– Żaden organizm by tego nie wytrzymał – śmieje się Kotlarz. – Te nasze zakrapiane biesiady zdarzały się od czasu do

Po pracy podczas zlecenia w płockiej rafinerii. Od lewej: Lech Kosiak, Tomasz Matulaniec, Ryszard Walenczewski i Marek Kotlarz.
*(fot. A. Jodel)*



czasu. Mieliśmy też jakieś swoje ambicje i zainteresowania, które mogliśmy realizować dzięki pracy w Świetliku – dodaje.

Wielką zaletą pracy w spółdzielni jest nienormowany czas pracy, a w efekcie możliwość zajęcia się rozrywką nieco bardziej wyrafinowaną. Państwowa telewizja – propagandowa tuba ówczesnej władzy, szczelna kurtyna odgradzająca od nowości z Zachodu i brak dostępu do lektur zagrażających ustrojowi budzą naturalny sprzeciw w spółdzielcach, którzy szarą, jednowymiarową rzeczywistość lat osiemdziesiątych kontestują w różny sposób. Od propagandowej papki uciekają w literaturę „drugiego obiegu", bibułę i fantasy. Na liście lektur obowiązkowych jest oczywiście Orwell i jego *Rok 1984*, *Bez ostatniego rozdziału* Władysława Andersa, dalej książki Czapskiego i paryska „Kultura". Łapią wszystko, co uda się przemycić z Paryża czy Londynu. Już oficjalnie, choć ciągle niechętnie, wydawane są „niewygodne" książki Tadeusza Konwickiego – *Wschody i zachody księżyca* oraz *Wniebowstąpienie*, a potem *Mała apokalipsa*, tytuły doskonale znane sporej części spółdzielców.

– Zaczytywaliśmy się też w modnym wtedy Tolkienie i chodziliśmy na rzadkie pokazy wideo filmów fantasy. Do dziś pamiętam, jak duże wrażenie zrobił na mnie *Willow* Rona Howarda. Byliśmy tak zwariowani na punkcie fantastyki, że założyliśmy nawet stowarzyszenie miłośników science fiction. Oprócz mnie należeli do niego między innymi Ewa Mincewicz i oczywiście Wódz, czyli Jarek Irzykowski – wspomina Kotlarz.

W galerii niezwykłych osobowości Świetlika Irzykowski wyróżnia się nie tylko dość charakterystyczną fizjonomią, ale przede wszystkim niebywałą erudycją. Nazywają go Wódz, bo przypomina jednego z bohaterów kultowego *Lotu nad kukułczym gniazdem*: jest potężny, ma długie włosy i czarną dużą brodę. Do tego posiada ogromną wiedzę na temat literatury i filmu oraz biegle włada angielskim. Z drugiej strony jest w nim pewna życiowa nieporadność.

– Gdyby patrzeć na firmę tylko i wyłącznie przez liczby i zarobione pieniądze, to Wódz nie powinien się w niej znaleźć.

Myśmy jednak nie chcieli się pozbywać takich ludzi, oni byli solą tej firmy, i to też stanowiło o wyjątkowości Świetlika. Dla każdego było miejsce – dla muzyka, lekarza, poety, inżyniera i prostego robotnika. W jednej spółdzielni. Dziś formuła zupełnie nie do powtórzenia – kończy Marek Kotlarz.

# Na utrzymaniu Pana Boga

Częste wyjazdy Tomasza Chodnikiewicza do Niemiec wzmagają czujność kontrwywiadu i Służby Bezpieczeństwa. Po każdym powrocie z zagranicy Tomasz „zapraszany" jest na rozmowę.

– Skubańcy wiedzieli, że tam nie pracuję i strasznie ich interesowało, z czego żyję. Przez trzy lata przesłuchiwał mnie w Elblągu ten sam młody człowiek, chyba w stopniu majora; w kółko zadawał te same pytania: kto mi załatwia pracę, kto mnie utrzymuje i jakie mam kontakty. A ja miałem jedną i tę samą odpowiedź: „Pan Bóg mnie utrzymuje".

## Desant z Pasłęka

Na liście członków Spółdzielni Usług Wysokościowych „Świetlik" Tomasz Chodnikiewicz zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Z firmą związany jest od samego początku – wszak jest jednym z jej założycieli, potem zostaje członkiem rady nadzorczej, kierownikiem budów, a na końcu specjalistą do spraw transportu.

– Od Świetlika właściwie zaczęło się moje życie zawodowe; no i tutaj poznałem żonę – mówi z ujmującym uśmiechem Tomasz. – Basia, niestety, nie mogła przyjść – pojutrze wyjeżdżamy na zasłużony urlop do Toskanii; może po wakacjach uda mi się ją namówić na zwierzenia, wszak była ze spółdzielnią bardzo związana – usprawiedliwia nieobecność żony.

Siedzimy w ogródku osiedlowej pizzerii, zaledwie kilkadziesiąt metrów od firmy budowlanej, którą prowadzi nasz rozmówca. Grupa Nord jest w dużej mierze kontynuacją tego, co robił przeszło ćwierć wieku temu.

Z Maćkiem Płażyńskim znali się jeszcze z czasów szkolnych, kiedy chodzili do liceum w Pasłęku. Ten sam ogólniak skończyli także dwaj bracia Tomka: Andrzej i Grzegorz oraz Janusz Starzyński, kiedyś również spółdzielca. Wszyscy świetnie się rozumieją, to kapitał na późniejsze wspólne interesy i przyjaźń. „W boju" sprawdzają się jeszcze przed Świetlikiem, wszyscy zahaczają się w Techno-Service.

– My jesteśmy „grupa pasłęcka", dlatego trzymaliśmy się razem – śmieje się Tomek. –Nasza znajomość przetrwała zresztą do dzisiaj. W dalszym ciągu utrzymujemy z Maćkiem kontakt. Choć nie rozumiem niektórych jego decyzji politycznych, ufam mu jednak tak po ludzku. Kiedy Maciek był marszałkiem Sejmu, ja i moi bracia byliśmy na „specjalnej" liście telefonicznej ludzi, których należy łączyć bez zbędnych pytań – podkreśla zażyłość Tomasz Chodnikiewicz.

## Alpinista z teatralnym zacięciem

– Byłem w spółdzielni takim lotnym ogniwem, podróżowałem między Gdańskiem a Niemcami – opowiada Chodnikiewicz.

Tomek na przemian pracuje w spółdzielni, studiuje i gra w teatrze.

– Fenomen Świetlika polegał na tym, że to ja sam sobie ustalałem, kiedy pracuję, a kiedy nie. Tak mi się jakoś ułożyło, że mogłem się uczyć w kraju i za granicą. Właściwie każda uczelnia za Odrą była dla mnie otwarta. Wyjeżdżałem na zaproszenie, udawałem się na uniwerek, pokazywałem legitymację studenta z Gdańska i byłem przyjęty – wyjaśnia Tomasz Chodnikiewicz.

Sytuacja alpinisty przemysłowego z teatralnym zacięciem jest na obczyźnie wyjątkowo komfortowa. Tomasz może le-

galnie pracować, jednak nie korzysta z tego przywileju. Jego urok osobisty i otwartość podoba się niemieckim przyjaciołom.

– Miałem wiele sympatycznych koleżanek i równie miłych rodziców tych koleżanek, którzy zapewniali mi praktycznie wszystko: dom i samochody do dyspozycji – Chodnikiewicz uśmiecha się tajemniczo.

Od 1980 roku gra w akademickim teatrze „Logos", który zaprzyjaźniony jest z teatrami w Hamburgu i Bremie. To daje początek licznym znajomościom i kontaktom, które zostaną skrzętnie wykorzystane później, także na rzecz spółdzielni.

– Niemcy, zwłaszcza młodzi, byli wtedy bardzo otwarci i ciekawi tego, co działo się za ich wschodnią granicą, pomagali mi więc, jak mogli. Miałem tylko się uczyć i grać, żeby potem wykorzystać zdobyte umiejętności w nowej Polsce – taką mieli wizję. Pierwszy prawdziwy sprzęt alpinistyczny spółdzielni został zakupiony z pieniężnych składek studentów z Bremy. Przywoziłem Maćkowi pasy alpinistyczne, karabińczyki marki Stubai. Wtedy to był rarytas w alpinistycznym świecie i za taki jeden dostawało się pięć krajowych – mówi z dumą.

## Na Boga utrzymaniu

Częste wyjazdy Tomasza Chodnikiewicza do Niemiec wzmagają czujność kontrwywiadu i służby bezpieczeństwa. Po każdym powrocie z zagranicy Tomasz zapraszany jest na rozmowę.

– Skubańcy wiedzieli, że tam nie pracuję i strasznie ich interesowało, z czego żyję. Przez trzy lata przesłuchiwał mnie w Elblągu ten sam młody człowiek, chyba w stopniu majora; w kółko zadawał te same pytania: kto mi załatwia pracę, kto mnie utrzymuje i jakie mam kontakty. A ja miałem jedną i tę samą odpowiedź: „Pan Bóg mnie utrzymuje". Bo jak wytłumaczyć fakt, że obcy ludzie dają mi samochody, mam kilka domów w Bremie i Hamburgu, w których mogę zamieszkać. No i kto mi to załatwia? – wspomina swoje rozmowy z funkcjonariuszem SB. – Oni mnie też prosili, żebym zapisywał, jakie są

opinie na temat Polski w środowisku teatralnym, wśród studentów i polityków. Mówiłem im, że zapomniałem, jak się trzyma długopis w ręku, bo ciągle pracuję. I tak sobie gadaliśmy – dodaje.

Choć spółdzielnia jest jego żywiołem, Chodnikiewicz nie miesza się do polityki, o wiele bardziej interesuje go religia i rozwój duchowy.

– W Świetliku nazywali mnie Prachrześcijaninem. To z powodu religijnych poglądów i zaangażowania w ruch „Światło-Życie". Wierzyłem, że wolność przyjdzie przez wolność duchową, przemianę moralną. To jest to, czego nauczał Jezus Chrystus z Nazaretu: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Wybaczaj i zmieniaj samego siebie, to daje inny wymiar życia – wyjaśnia Tomasz.

Jego religijna droga pełna jest zakrętów. W swoich poszukiwaniach Chodnikiewicz przechodzi przez różne szkoły mistyki, antropozofię propagowaną przez austriackiego filozofa i mistyka Rudolfa Steinera, żeby ponownie wrócić do Biblii i ostatecznie zakończyć w ruchu religijnym „Życie uniwersalne".

– To jest międzynarodowy ruch, który nawiązuje do prachrześcijaństwa; ruch dla tych, którzy poprzez oczyszczenie sfery myśli, podświadomości, sfery uczuć, starają się wejść głębiej i zrozumieć bardziej innych ludzi, zwierzęta i naturę – wyjaśnia Tomek.

## Basia

W 1987 roku Tomasz postanawia zakończyć „wędrowny" tryb życia i zbudować coś trwałego w Polsce. Zamierza jeszcze bardziej zaangażować się w spółdzielnię i powoli myśli o założeniu rodziny.

– Miałem już dwadzieścia osiem lat i doszedłem do wniosku, że koniec z tułaczką i trzeba zacząć poważne życie. Rozpuściłem informacje, że szukam żony, takiej jak moje koleżanki z pracy, czyli kogoś z zasadami, o zdecydowanych poglądach, patriotki – mówi Chodnikiewicz.

W spółdzielni jest kilka dziewczyn, między innymi Asia Reczkowska, Maryla Rybicka i... Basia, która zajmuje się księgowością. Barbara do 1981 roku pracuje w Solidarności, a w stanie wojennym jest osobistą sekretarką Lecha Wałęsy. Do Świetlika trafia przez środowisko opozycyjne, odpowiada jej ideowy charakter firmy.

– Wyciągnęliśmy ją chyba ze spółdzielni Absolwent – głośno zastanawia się Chodnikiewicz. – Jak się dowiedziała, że wokół Świetlika gromadzą się ludzie przeciwni ówczesnej władzy, nie zastanawiała się długo nad zmianą pracy – dodaje.

Znajomość nabiera bardziej intymnego charakteru, kiedy Tomek zaczyna wynajmować od Basi mieszkanie.

– Ona była jeszcze wtedy dziewczyną Zbyszka Gołębiewskiego, ale chyba nie do końca im się układało, sama mi zresztą to powiedziała i zaproponowała, żebyśmy spróbowali razem, z czego ja się bardzo ucieszyłem. Basia teraz się tego wypiera, ale ja pamiętam, że tak było – zapewnia z uśmiechem Tomasz Chodnikiewcz.

## Nowe wyzwania

Ostateczne pożegnanie Chodnikiewicza z kominami następuje w 1988 roku, wcześniej pracuje jeszcze fizycznie w śląskim Dzierżoniowie, gdzie pomaga kolegom, którzy stracili pracę, stworzyć własną spółdzielnię.

– Oni pracowali przez rok pod naszymi skrzydłami, w jednym z sześciu krajowych oddziałów Świetlika, potem, jak się już usamodzielnili, jeszcze trochę im pomagałem. W końcu jednak wymogliśmy na nich, żeby stanęli na własne nogi. Ja przez rok byłem nawet prezesem zarządu firmy. Do dziś chyba zresztą nieźle funkcjonują jako Spółdzielnia Usług Wysokościowych „Atlas" – wyjaśnia Chodnikiewcz.

Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczynają się tworzyć przy spółdzielni inne działalności.

– To wszystko po to, żeby ludzie, którzy pokończyli wyższe uczelnie, nie musieli tkwić całe życie na kominach. Mnie

przydzielono rolę realizowania tych pomysłów – wyjaśnia Tomasz.

Ponieważ w Świetliku jest spora grupa ludzi, którzy od lat zajmują się poligrafią podziemną, w pewnym momencie pada hasło stworzenia wydawnictwa.

– Ja miałem się zająć sprowadzeniem maszyn i stroną prawną całego tego przedsięwzięcia. I tak w krótkim czasie powstało Wydawnictwo Gdańskie – mówi Tomasz.

Żeby uniknąć długich i pracochłonnych procedur, Chodnikiewicz wpada na pomysł praktyk zawodowych w Niemczech.

– Przetarłem już szlaki w tamtejszych urzędach, poznałem sposób myślenia urzędników, sam wielokrotnie z nimi wojowałem, ale w końcu udała mi się ta sztuka – mówi nie bez dumy.

Między spółdzielnią a jedną z niemieckich firm zajmujących się remontami i montażem zostaje podpisana umowa – dziesięć osób ze Świetlika jedzie do Niemiec na praktyki zawodowe. Mają tam zapewnione mieszkanie i wyżywienie, niestety nie mogą pobierać wynagrodzenia.

– I z tym sobie poradziłem – mówi Tomasz Chodnikiewicz. – Wymyśliliśmy usługi marketingowe w Polsce, za które płaciła nam strona niemiecka. Podpisywałem kwity za takie zlecenie, tymczasem myśmy wykonywali roboty, za które Niemcy płacili nam całkiem niezłe pieniądze – wyjaśnia. – Część z nich szła na wypłaty dla pracowników, pozostałe środki na maszyny poligraficzne. No i ściągnęliśmy trzy takie fajne, duże urządzenia, które potem przejął Jurek Kowalski, twórca Wydawnictwa Gdańskiego – opowiada.

## W tył zwrot

–Byłem przekonany, że wydawnictwo Jurka ma być dla całej firmy, a nie dla trzech osób, czyli dla mnie, Witka Merkla i Jurka – kontynuuje wątek poligraficzny Chodnikiewcz. – Tymczasem na radzie nadzorczej dowiedziałem się, że to jest sprawa prywatna między nami i sami mamy się dogadywać. To mnie bardzo zezłościło, czułem się oszukany. Powiedziałem

wtedy na zebraniu, że to przecież nie kto inny jak spółdzielcy wypracowali kapitał na te urządzenia i wspólnie musimy podjąć decyzję, ale niestety nie przekonałem ich – dodaje nie bez cienia żalu Tomasz.

Koledzy również nie mogą dogadać się między sobą i maszyny ostatecznie lądują w garażu Kowalskiego. Chodnikiewicz wycofuje się z wydawnictwa. Po wspomnianej radzie nadzorczej postanawia rozstać się z firmą. Jest rozczarowany decyzją przyjaciół.

– Poszedłem do domu i powiedziałem Basi, że mnie to przestaje bawić i rezygnuję. Ona również podjęła taką decyzję. Następnego dnia złożyliśmy wypowiedzenie i rezygnację z uczestnictwa w członkostwie spółdzielni. Usłyszałem wtedy od Maćka: „Jeszcze tego pożałujesz, jeszcze do nas wrócisz".

Jednak Chodnikiewicz do firmy już nie wraca. Czuje, że tak mu bliska idea wspólnoty i spółdzielczości zaczyna się rozsypywać.

## Rozum w prawo, serce w lewo

Na pamiętnym walnym zgromadzeniu, które jest swoistym votum zaufania dla Maćka Płażyńskiego, Tomasz Chodnikiewicz opowiada się za koncepcją prezesa spółdzielni, a jego żona Barbara wstrzymuje się od głosu.

– Dziś, kiedy sam prowadzę firmę, widzę wiele racji po stronie Romana Rojka, jednak wtedy podchodziłem do tego bardziej emocjonalnie i, muszę przyznać, nie żałuję tamtej decyzji; wtedy tak czułem i byłem do niej przekonany. A Basia? – zastanawia się głośno Tomek. – Ona bardzo szanowała Romana i ufała jego intuicji, z kolei sercem i emocjami czuła to, co mówił Maciek. Nasze wybory miały potem ogromne znaczenie – stwierdza Chodnikiewicz.

W trudnym okresie przejściowym, po odejściu Chodnikiewiczów ze Świetlika, Roman Rojek okazuje się lojalnym przyjacielem Basi.

– Bez zmrużenia oka dostała od niego pomoc, a ja popadłem w niełaskę i usłyszałem, że mam sobie iść do swoich kolegów polityków. Cały Roman. Jednak wdzięczny mu jestem za to, co dla nas wtedy zrobił – mówi z przekonaniem.

Dla Tomasza Chodnikiewicza Świetlik to przede wszystkim wielkie bogactwo wspomnień i przykład ogromnej ludzkiej solidarności, później, niestety, gdzieś zagubionej.

– Szkoda, bo my chyba wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że gdybyśmy przetrwali w tym środowisku jako firma, moglibyśmy stanowić przeciwwagę, również gospodarczą, dla takich różnych postkomunistycznych układów politycznych – dywaguje Tomasz, przypominając sobie wydarzenia sprzed ćwierćwiecza.

Choć od kilku lat nie jest już członkiem spółdzielni, zjawia się na walnym zgromadzeniu zamykającym działalność firmy.

– Ciągle byłem z nimi bardzo związany, zresztą wielu z nas miało wtedy łzy w oczach.

Upadek Świetlika upatruje Chodnikiewicz w braku prawdziwych liderów, takich motorów napędowych, którzy pociągnęliby dalej spółdzielnię.

– Szkoda gadać – stwierdza z żalem Tomek. – Wszystko się rozwaliło, pokłócili się i rozeszli. Jak to opisała, chyba w 1994 roku, któraś z gazet, był to jedyny przypadek w historii Trójmiasta, kiedy po ogłoszeniu upadłości majątek firmy został porzucony. Nie do wiary! Może gdyby zostali ludzie z ikrą, tacy jak Roman, gdyby Maciek nie poszedł w politykę, to może by to przetrwało? – zastanawia się głośno. – Niestety, byliśmy chyba jeszcze zbyt niedojrzali emocjonalnie i strukturalnie – kończy swoją opowieść.

Rozkwit

# Przygody nie tylko intelektualne

– Jak wjeżdżaliśmy do Siarkopolu, siedzący na bramie strażnik spytał nas, co mamy w samochodzie. Zgodnie z prawdą kierowca odpowiedział, że dynamit. Na co usłyszał poirytowany głos: „Bo jak cię kopnę w dupę, to zobaczysz dynamit". I tak wjechaliśmy na teren zakładu chyba najbardziej wtedy w Polsce wybuchowym samochodem. Potem poszliśmy na komisariat i za kolejne pół litra wynajęliśmy milicjanta z pistoletem do pilnowania tego naszego majdanu. Nie do wiary, ale właśnie tak to wówczas działało – śmieje się Andrzej Zarębski.

## Powoli na prostą

Po rocznym internowaniu w Strzebielinku, 2 grudnia 1982 roku, Andrzej Zarębski wreszcie cieszy się wolnością, ale właściwie nie bardzo wie, co dalej ze sobą zrobić. Przed stanem wojennym najpierw uczył języka polskiego, później pracował w Komisji Krajowej Solidarności, gdzie kierował serwisem informacyjnym. Jednak w nowych okolicznościach o powrocie do dawnych zajęć nie może być mowy.

– To była kompletna katastrofa. Brak pracy, rodzina mi się rozsypała, ogólna rozpacz i brak perspektyw – opisuje sytuację po wyjściu z „internatu".

Ostatecznie zatrudnia się w sklepie prowadzonym przez swojego ojca i przez najbliższe pięć lat handluje pasmanterią

oraz, jak to określa, „różnymi dziwnymi rzeczami". W tym czasie rozpoczyna też współpracę z kolegami z „Przeglądu Politycznego".

– Wszedłem do redakcji od trzeciego numeru. W tym ścisłym gronie oprócz mnie byli Donald Tusk, Jacek Kozłowski – dzisiejszy wojewoda mazowiecki, Marek Zająkała – późniejszy minister obrony i przede wszystkim nasz nieoceniony Piotr Kapczyński, bez którego nic by się nie udało, bo odpowiadał za tę całą technikę drukarską – wspomina Andrzej.

W rzeczywistości jest to zalążek późniejszego środowiska Kongresu Liberałów, z którym zwiąże się Zarębski. Jednak najpierw trafi do Świetlika.

## Dobry menedżer

W 1987 roku, kiedy Świetlik jest już w pełnym rozkwicie, rodzi się pomysł założenia spółki prawa handlowego, ściśle powiązanej ze spółdzielnią. Tak powstaje Corina.

– Nazwę wymyślił Mariusz Wilk i wbrew pozorom nie zainspirowała go piosenka Boba Dylana, ale jedna z farb antykorozyjnych, i to nas przekonało – śmieje się Andrzej.

W krótkim czasie Zarębski zostaje prezesem firmy. Corina na początku pomyślana jest jako spółka „papierowa", przez którą księgowane i przepuszczane są niektóre zlecenia, głównie po to, żeby umiejętnie rozłożyć pewne obciążenia podatkowe powstałego „mini-holdingu". Jednak, co według Andrzeja było do przewidzenia, management firmy nie chce dłużej prowadzić fikcyjnej działalności i Corina zaczyna pozyskiwać prawdziwe zlecenia. Zarębski nie ma żadnego doświadczenia w zarządzaniu, więc – podobnie jak koledzy „alpiniści" – swoje menedżerskie umiejętności zdobywa w praktyce. Zatrudnia bardzo dobrą księgową oraz ludzi do pisania kosztorysów i procedur technologicznych.

– Chodziłem za kolegami, którzy wykonywali rozmaite zlecenia, podpatrywałem, jak krążą faktury i pieniądze, jak się to wszystko rozlicza, wypytywałem o technologię. W końcu

wymyśliłem definicję dobrego menedżera. To ktoś, kto wie, czego nie wie i w to miejsce zatrudnia fachowca – mówi były prezes Coriny.

## Osobno, ale razem

Dywidendy z zysku spółki są sprawiedliwie dzielone na potrzeby dwóch podstawowych środowisk politycznych skupionych wokół Świetlika.

– Z jednej strony istniała spora grupa osób związanych z Ruchem Młodej Polski, na drugim biegunie byliśmy my, czyli tak zwani liberałowie. Pieniądze wydawaliśmy głównie na potrzeby wydawnicze – tłumaczy Andrzej Zarębski.

Te podziały mają oczywiście znaczenie w politycznych dyskusjach, jednak zupełnie nie wpływają na zawiązujące się przyjaźnie i współpracę ani na specyficzny i uniwersalny sposób solidarnego myślenia.

– Dla mnie najbardziej atrakcyjne w tym środowisku były nasze prywatne rozmowy – polityczne i publicystyczne dyskusje. Przyjęliśmy założenie, że Solidarność na pewno zwycięży i zastanawialiśmy się, co dalej. To było zadanie niezwykle inspirujące intelektualnie – tworzyć pewien, wówczas teoretyczny oczywiście, układ. Wiedzieliśmy przecież, że związek zawodowy nie będzie siłą rządzącą – mówi Zarębski.

Niekwestionowanym autorytetem w środowisku liberałów jest Donald Tusk, choć jeszcze bardzo młody, ale już wtedy ujawniający cechy przywódcze, które czynią z niego naturalnego lidera.

– Nie trzeba było pisać na stopce: redaktor naczelny Donald Tusk, dla nas to było oczywiste. – wspomina Andrzej.

Wkrótce dochodzi też do pewnej interesującej intelektualnie i pokoleniowo fuzji ze środowiskiem starszych o „oczko" kolegów ekonomistów.

– Wśród nich był między innymi Krzysiek Bielecki, Janusz Lewandowski, Darek Filar i oczywiście wielu innych świetnych facetów, którzy mieli już spore doświadczenia wolnorynkowe

i tworzyli pewną enklawę wolności gospodarczej. Było nam bardzo po drodze z tą naszą polityczną ideą – wyjaśnia Andrzej Zarębski.

## Przygody intelektualne

Odrobina zdrowego snobizmu, głód wiedzy, ale przede wszystkim bunt przeciwko „jedynemu słusznemu" widzeniu świata każą stawiać wysoko intelektualną poprzeczkę. Na książki z top listy i pokątnie prenumerowane czasopisma zza żelaznej kurtyny ustawiają się w kolejce.

– Pamiętam, jak przyszły *Szkice piórkiem* Andrzeja Bobkowskiego, zrobiliśmy sobie grafik, każdy miał dwie noce na przeczytanie tej, bądź co bądź, grubej książki, zresztą trudno było się od niej oderwać – wspomina Andrzej.

Poza lekturą tłumaczą haiku, zachodnie czasopisma i zaprzyjaźniają się z bardzo obiecującymi już wtedy warszawskimi socjologami: Ireneuszem Krzemińskim i Pawłem Śpiewakiem. Ci ostatni wnoszą spory ładunek intelektualny do bardzo żywej dyskusji o wizji wolnego już kraju.

– Pewnie wszyscy byliśmy wtedy trochę powierzchowni, natomiast zgodnie z prawami natury i biologii chłonęliśmy wszystko szybciej i byliśmy bardziej łakomi wiedzy niż teraz, kiedy pokończyliśmy pięćdziesiąt lat – podsumowuje Zarębski.

## Z tęsknoty za wolnością

„Zabrania się rzucać niedopałki na podłogę, żeby tancerki nie raniły sobie stóp". Ten cytat, ze zbioru *Coco de Oro* Andrzeja Bobkowskiego, po hiszpańsku, i w dodatku z błędami ortograficznymi, bo tak jak w oryginale, Zarębski każe wypalić na jednej z belek poddasza willi wynajmowanej na biuro Coriny.

– Koledzy zrobili to oczywiście z dziką radością – uśmiecha się Andrzej Zarębski.

Zdanie, które wszystkim przypada do gustu, jest metaforą, ekspresją tęsknoty za tym co bliskie, ale nieosiągalne: za wolnością, za barwnym i normalnym życiem.

– Teraz pamięć mitologizuje i koloryzuje tamten czas, ale bywało cholernie ciężko. Niektóre prace, nie dość, że potwornie obciążające fizycznie, bywały po prostu niebezpieczne. Na przykład zlecenie w Tarnobrzegu, choć minęło już tyle lat, wciąż jeszcze takie żywe i wyraźne – już całkiem poważnie mówi Andrzej. – To była likwidacja szybu windowego w tarnobrzeskim Siarkopolu – gigantyczne i ryzykowne przedsięwzięcie.

Kiedy przyjeżdżają na miejsce, widzą wybudowaną w latach sześćdziesiątych betonową konstrukcję stojącą pomiędzy dwoma potężnymi zbiornikami z siarkowodorem. W środku znajduje się winda przewożąca ludzi nadzorujących stan techniczny zbiornika.

– Jej żywot był krótki – żartobliwie stwierdza Andrzej. – Zaledwie po roku eksploatacji szyb się przechylił i winda utknęła między piętrami. Na decyzję o rozbiórce betonowego straszydła trzeba było czekać ponad dwie dekady.

Administracyjnie zleceniem kieruje Zarębski, a stroną techniczną zajmuje się Jarek Połoczański.

– Już początek był trudny. Zatwierdzili nam kosztorys odkuwania tego młotkami, co zapewniłoby pracę sześciu pokoleniom niewolników egipskich faraonów – ironizuje Andrzej. – W końcu udało nam się przekonać kierownictwo, że szyb trzeba wysadzić.

Wymaga to zaangażowania dodatkowych sił, między innymi inżynierów z Akademii Górniczo-Hutniczej i najlepszych na Śląsku górników strzałowych.

– Okazało się jednak, że górnicy, którzy świetnie radzą sobie z dynamitem i zapalnikami, mają duże problemy z pracą na wysokości – wspomina Zarębski.

W rezultacie górnicy tłumaczą, jak zakładać ładunki, a ekipa Coriny sama wysadza szyb. Cała konstrukcja podpięta jest na linach, tak aby po wybuchu nie obsunęła się w niekontrolowany sposób i nie uszkodziła zbiornika z siarkowodorem. Niszczenie odbywa się etapami, począwszy od najwyższej kondygnacji.

– Pamiętam mocno przerażonego dźwigowego, na którego leciały te wszystkie metalowe kawałki prętów; on jako jedyny był w samym centrum tej operacji. Tłumaczył nam potem przy ognisku, że walczył na wojnie, był w partyzantce, a nawet w obozie koncentracyjnym, ale nigdy tak się nie bał jak przy wysadzaniu tego szybu – mówi Andrzej.

## Argumenty Hrabiego

Zlecenie w Tarnobrzegu wymaga również logistycznych i mediacyjnych talentów, których – jak się okazuje – nie brak Jarkowi Połoczańskiemu, czyli Hrabiemu. Przede wszystkim potrzebny jest dźwig i transportery. Z jednym i drugim są na początku pewne kłopoty, jednak „argumenty" Połoczańskiego okazują się dostatecznie mocne, by zdobyć wszystko, co potrzebne. Za mniej więcej równowartość połowy litra wódki, która w latach osiemdziesiątych jest podstawową walutą w takich transakcjach, Jarek załatwia potrzebny dźwig. W analogiczny sposób udaje mu się wynająć od wojska niezbędne transportery, którymi na miejsce akcji zostają dostarczone materiały wybuchowe.

– Jak wjeżdżaliśmy do Siarkopolu, siedzący na bramie strażnik spytał nas, co mamy w samochodzie. Zgodnie z prawdą kierowca odpowiedział, że dynamit. Na co usłyszał poirytowany głos: „Bo jak cię kopnę w dupę, to zobaczysz dynamit". I tak wjechaliśmy na teren zakładu chyba najbardziej wtedy w Polsce wybuchowym samochodem. Potem poszliśmy na komisariat i za kolejne pół litra wynajęliśmy milicjanta z pistoletem do pilnowania tego naszego majdanu. Nie do wiary, ale właśnie tak to wówczas działało – śmieje się Andrzej Zarębski.

## Owoce pewnej kolacji

Pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku rynek wydawniczy w Polsce jest ściśle kontrowany przez władzę. Wyjątek stanowi kwartalnik kulturalno-społeczny „Res Publica", który

jako pierwszy uzyskuje ostrożną zgodę, aby wyjść z podziemia i zacząć funkcjonować oficjalnie. To wiąże się oczywiście ze sporymi kosztami, ale wtedy z pomocą przychodzi Corina.

– Sami wydawaliśmy, więc byliśmy przychylnie nastawieni do wszelkich form ujawniania niezależnej myśli – mówi Andrzej Zarębski. – Przyjechało do nas kilka osób z redakcji „Res Publiki", zrobiliśmy sobie fajną kolację, szczerze pogadaliśmy i postanowiliśmy wesprzeć kolegów – dodaje.

Szybko okazuje się, że korzyść jest obopólna. Ponieważ pieniądze muszą być w jakiś sposób zaksięgowane, Marcin Król, ówczesny redaktor naczelny, obiecuje zamieścić na ostatniej stronie swojego kwartalnika reklamę Coriny. Rozwiązanie obu stronom wydaje się korzystne i wszyscy rozchodzą się zadowoleni.

– Tydzień po ukazaniu się pierwszego numeru „Res Publiki" zadzwonił do mnie dyrektor zamku w Pszczynie i powiedział: „Proszę pana, jeśli wasza firma reklamuje się w tak zacnym piśmie, to musi być porządna" – relacjonuje rozmowę Andrzej. – W rezultacie Corina dostała zlecenie na remont całego obiektu. Coś, co miało być tylko koleżeńską przysługą dla kolegów z Warszawy, okazało się świetnym chwytem marketingowym – śmieje się Zarębski.

## Świetlik z dystansu

– To był wspaniały epizod w mojej osobistej biografii. Patrzyłem, jak zmienia się Polska, w jakim kierunku to zmierza, i co więcej, sam mogłem w tym uczestniczyć – odpowiada bez wahania Andrzej Zarębski poproszony o odniesienie się do czasu pracy w Świetliku.

Jego zdaniem szkoła, jaką przeszli wtedy razem z przyjaciółmi, dała im podwójne kompetencje; nauczyli się kraju w teorii i w praktyce.

– Koledzy, którzy jeździli w takie miejsca jak Jaworzno czy Kędzierzyn-Koźle, oglądali rzeczywistość daleką od tej często

wyretuszowanej, przedstawianej przez niektórych intelektualistów. Ta refleksja pozwoliła potem łączyć teorię z praktyką – mówi Andrzej.

Czas spółdzielni to także nauka tej najprostszej, ludzkiej solidarności.

– W tym czasie zdarzyło się kilka poważnych wypadków, jeden z kolegów po robocie skoczył do basenu, w którym nie było wody. Został sparaliżowany. Inny podczas prac w rafinerii stracił stopę. Nikt nie został sam, pomagaliśmy im nie tylko zresztą finansowo – podkreśla Zarębski i wskazuje, podobnie jak większość pracujących w spółdzielni ludzi, na niezwykłą tolerancję i otwartość na „inność", której nigdy w tym środowisku nie brakowało. – Fajnie było oglądać pracujących ze sobą ludzi, całkowicie różniących się wykształceniem, zainteresowaniami czy temperamentem. Ale wtedy liczyły się zasadnicze wektory: uczciwy – nieuczciwy, godny zaufania – niegodny zaufania, jednym słowem: dobry – zły. Tylko tak mogliśmy razem coś zbudować i jestem przekonany, że nam się to udało – z akcentem na ostatniej refleksji kończy swoją opowieść były prezes spółki Corina.

– Stadion był prawie w całości wypełniony, jedynie w sektorze po prawej stronie pozostawało jeszcze sporo wolnych miejsc, ale oddzielonych szczelnym kordonem ZOMO i milicji. Wtedy każdy mecz międzynarodowy był imprezą podwyższonego ryzyka – zawsze pojawiały się jakieś transparenty „Solidarność", jakieś antykomunistyczne hasła czy okrzyki, więc obstawa była totalna. Zdecydowaliśmy się jednak usiąść na wolnych miejscach. Zbliżaliśmy się do kordonu i wtedy jeden z wyższych rangą oficerów zapytał: „A panowie dokąd?". Pierwsze, co mi przyszło do głowy to: „Pułkownik Jankowski, służba bezpieczeństwa". Puścił nas od razu. Polska przegrała niestety 0:2, a my jeden raz w życiu zostaliśmy na chwilę ubekami. Na pocieszenie stałem się posiadaczem bejsbolówki z napisem „Holland" – kończy z uśmiechem Jaśko Pawłowski.

## Własne M3

Jaśko Pawłowski, pierwszy firmowy kierowca prezesa Płażyńskiego, też musi „odsłużyć" swoje na linach. Do Świetlika zostaje skaptowany w 1984 roku przez Donalda Tuska, z którym znają się od stanu wojennego i do dziś przyjaźnią. Trzy lata wcześniej obaj są aktywnymi uczestnikami grudniowych strajków na Uniwersytecie Gdańskim.

– Z tego, co pamiętam, był to protest studentów przeciwko wyborowi profesora Michała Hebdy na rektora Wyższej Szkoły Inżynieryjnej w Radomiu, do którego w geście solidarności włączyła się większość uczelni – wyjaśnia Jaśko.

Materialna sytuacja Pawłowskiego zdecydowanie odbiega od panujących wówczas standardów.

– Należałem do tych nielicznych studentów, o których mamusia zadbała dużo wcześniej i zrobiła przedpłatę na „malucha". Miałem też do dyspozycji dwupokojowe kwaterunkowe mieszkanie, co na początku lat osiemdziesiątych było luksusem – wspomina.

Na własną prośbę Jaśko zostaje strajkowym kierowcą i krąży z miejsca na miejsce, poznając wciąż nowych ludzi, w tym swoją przyszłą żonę Iwonę Dymel, wtedy sekretarkę komitetu strajkowego. Koledzy robią również użytek z kawalerskiego mieszkania Jaśka, które staje się punktem kontaktowym i miejscem, gdzie redaguje się podziemne gazety.

– Kilka znanych osób z późniejszej działalności opozycyjnej, między innymi Jacek Kozłowski i Donald Tusk, uznali, że jest to doskonała meta, żeby knuć, no i knuliśmy, czego owocem był między innymi „Przegląd Polityczny" – opowiada Pawłowski.

Brak perspektyw na znalezienie przyzwoitego, stałego zajęcia zmusza Jaśka, podobnie jak innych zaangażowanych w opozycję kolegów, do poszukiwania jakiegoś alternatywnego rozwiązania. Od Tuska dowiaduje się o Świetliku.

– Donald powiedział mi, że jest spółdzielnia, w której można nieźle zarobić i dalej walczyć z komuną. Poznał mnie z Maćkiem Płażyńskim i po kilku dniach już wisiałem na linach – wspomina swoje firmowe początki Jaśko.

## Między niebem a ziemią

Pawłowski nie ma lęku wysokości i nieźle radzi sobie na linach, jednak bywa, że rzeczywistość przerasta wyobraźnię początkującego alpinisty przemysłowego.

– Ktoś patrząc z boku, mógłby pomyśleć, że to brawurowa scena z udziałem kaskadera, kręcona do kolejnej wersji Jamesa Bonda. Tymczasem ten efektowny lot wykonuje ówczesny prezes rady nadzorczej spółdzielni Świetlik – wspomina wypadek Romana Rojka Jaśko Pawłowski.

Zresztą do dziś ze szczegółami pamięta tamto zlecenie w gdańskim Unimorze. Dość monotonna praca w środku budynku (Jaśko czyści szyby) zostaje gwałtownie zakłócona, kiedy nagle za oknem widać spadającego z wysokości mniej więcej trzech pięter Rojka. Wszystko trwa sekundy, jednak Pawłowski ma wrażenie, że mija wieczność, zanim Roman zawisa na linie i mocno uderza całym ciałem o ścianę budynku.

– Na szczęście zadziałała druga asekuracja i Roman, choć mocno zakrwawiony, wyszedł z tego cało – opowiada.

To podwójne zabezpieczenie nie raz ratowało któremuś z chłopaków życie. Ale asekuracja, którą zastosował Rojek, zdaniem Jaśka, budziła wątpliwości.

– Poszliśmy potem na dach oglądać, cóż on takiego wymyślił i gdy zobaczyłem te zabezpieczenia, pomyślałem, że facet miał cholerne szczęście – wspomina Jaśko.

Pierwszą asekurację Roman założył na ledwo trzymającym się, wystającym z papy haku, a drugą linę przyczepił szczęśliwie na pobliskim kominie, i ta okazała się na miarę życia.

– Roman spadał z wysokości trzech, czterech pięter, ale zdaje się, że nikomu nie udało się pobić rekordu Tomka Matulańca, który pozostał w tej „dyscyplinie" niekwestionowanym liderem – mówi Jaśko, który zdarzenie zna z opowieści kolegów. – Tomek pracował w Płocku na stupięćdziesięciometrowym kominie, kiedy nagle zaczął spadać, i leciał chyba ze trzydzieści metrów, zanim złapała go druga asekuracja. Podobno nie zrobiło to na nim jakiegoś specjalnego wrażenia, bo jak się zatrzymał i trzasnął o komin, to od razu zaczął się ponownie wspinać na linie. Nie wiem, jaki to miało sens. Przecież wylała mu się cała farba – śmieje się Jaśko.

## A kto to?

Wiszenie z pędzlem na ponad stumetrowym kominie, choć doskonale płatne, powoli zaczyna męczyć Pawłowskiego i kiedy tylko nadarza się okazja, Jaśko niemal wprost z wysokości przesiada się do samochodu i zostaje osobistym kierowcą prezesa Płażyńskiego.

– W 1985 roku zmarł ojciec mojej żony i odziedziczyliśmy w spadku całkiem nowego poloneza. Doszliśmy z Iwonką do wniosku, że to dość droga w utrzymaniu zabawka i jakoś musi na siebie zarobić. Zaproponowałem więc Maciejowi, że przepiszemy samochód na firmę z zastrzeżeniem, że po godzinach będziemy mogli z niego korzystać – wyjaśnia Pawłowski.

Polonez zostaje wniesiony w aporcie do spółdzielni, a Jaśko siada za kierownicą i przez najbliższe dwa lata wozi Macieja Płażyńskiego po całej Polsce.

– Tak naprawdę dzięki tym podróżom mogłem lepiej poznać Maćka – wyjaśnia Pawłowski. – Żaden z niego mruk, jak się mogło na początku wydawać, on był po prostu taki z cicha pęk i miał całkiem fajne poczucie humoru – dodaje.

W samochodzie spędzają długie godziny, jeżdżąc przeważnie we dwóch, głównie na południe Polski. Zdarza się, że dołącza do nich któryś z chłopaków mających zlecenie poza Gdańskiem. Wyprawa z Jerzym Borowczakiem to jedna z tych, które mocno wryły się w pamięć Pawłowskiego. Wyjeżdżają jak zawsze około dwudziestej drugiej, a po drodze mają zabrać jeszcze kogoś z Tczewa. Po niecałej godzinie są na miejscu, a ponieważ nie znają dobrze miasta, krążą w poszukiwaniu wskazanego adresu. W końcu Borowczak radzi zajechać pod przydrożny hotel Spółdzielni Malinowo, bo jest przekonany, że pracuje tam ktoś z miejscowych, kto udzieli informacji.

– Posłuchałem tego „gaduły", powoli podjeżdżam pod hotel, a Borówa do mnie: „Jedź prosto pod schody, co się szczypiesz". Polonez był w takim charakterystycznym zgaszonym pomarańczowym kolorze, z rejestracją, do dziś ją pamiętam:

775 z końcówką A. To mogło kojarzyć się z jakąś jednostką gospodarczą albo służbą bezpieczeństwa – wyjaśnia Pawłowski. – Jesteśmy pod schodami i nagle wybiega do nas chyba stróż, oczywiście z odpowiednim, żołnierskim powitaniem na ustach. Wtedy Borówa wychodzi z samochodu i poważnym tonem mówi: „Służba bezpieczeństwa, gdzie jest ten adres i grzeczniej proszę". Facet był naprawdę przerażony. Szybko wytłumaczył i pojechaliśmy. Maciek, jak zwykle powściągliwy, zapytał tylko: „Borówa, odbiło ci?". Taka spontaniczna reakcja – śmieje się.

Jaśko Pawłowski wspomina też z uśmiechem nieodłączny czarny sweter w serek i rozpiętą pod szyją koszulę, czyli „kultowy" uniform prezesa Świetlika – temat lekkich uszczypliwości i sympatycznych żartów, na które Płażyński był absolutnie odporny.

– Zupełnie nie dbał o tak zwany wizerunek, to nie jest facet, który wystawałby przed lustrem i studiował swój wygląd – mówi Pawłowski.

Czasami podczas delegacji skutkuje to zabawnymi pomyłkami.

– Kilka razy zdarzyło się, że przyjeżdżaliśmy do zakładu i mnie zapraszali na rozmowę, proponując „kierowcy", czyli Maćkowi, kawę w sekretariacie – śmieje się Jaśko.

## Sztukmistrz

Podróże z prezesem Płażyńskim nigdy nie są do końca przewidywalne. Oprócz wcześniej umówionych spotkań w zakładach, z którymi już współpracują, zdarzają się wizyty zupełnie niezaplanowane.

– Pamiętam, jak na trasie do Warszawy Maciek nagle zobaczył ogromne silosy, chyba z paszą, i zaczął się głośno zastanawiać, czy to nie jest robota dla spółdzielni. Zdecydował, że w drodze powrotnej koniecznie musimy tam zajechać – wspomina Jaśko.

Takie sytuacje zdarzają się wielokrotnie i często skutkują nowymi zleceniami dla spółdzielni. Choć, zdaniem Jaśka Pawłowskiego, Płażyński absolutnie nie miał talentu do akwizycji i nie był urodzonym handlowcem, jednak w jakiś sposób umiał wpłynąć na potencjalnego kontrahenta.

– Nagle Maciek zjawiał się w sekretariacie, prosił o rozmowę z kimś odpowiedzialnym za remonty i oferował usługi spółdzielni. Pytał na przykład, czy mają kogoś, kto im te konstrukcje stalowe zabezpieczy przed korozją. Albo kto im te ich kominy na „skarpetę" maluje? On po prostu potrafił przekonać, kogo trzeba w zakładzie, że nas potrzebują i powinni zatrudnić, bo jeśli nie, to za chwilę będą mieli kłopot. Po prostu składał dobre propozycje. I nagle w takim kierowniku rodziło się przekonanie, że facet spadł im z nieba. Taki był z niego czarodziej – wspomina z uśmiechem prezesa.

„GDAŃSK"
SPÓŁDZIELNIA PRACY
USŁUG WYSOKOŚCIOWYCH
80-801 Gdańsk
ul. Małcużyńskiego 50
telefon: 32-51-69
telex: 0512288 STLK pl

MACIEJ PŁAŻYŃSKI
PREZES

80-378 Gdańsk ul. Poznańska 22 m. 2 tel. 57-23-60

## Polska – Holandia

W październiku 1987 roku Jaśko jest w kolejnej podróży służbowej na Śląsku. Wyjazd zbiega się z terminem meczu piłkarskiego Polska – Holandia, który ma być rozegrany na Sta-

dionie Śląskim w Chorzowie – okazja, której prawdziwy kibic zmarnować po prostu nie może.

– Miałem straszną ochotę to obejrzeć, ale obawiałem się, że będziemy stać pod stadionem, bo nie dostaniemy biletów. Maciek był większym optymistą, i miał rację – bilety kupiliśmy dosłownie za grosze, ponieważ górnicy dostali wejściówki w ramach jakiegoś deputatu i dzieci sprzedawały je pod stadionem – wspomina.

Przed wejściem na mecz zostają dokładnie przeszukani i Płażyński, chcąc nie chcąc, musi pozbyć się dwóch piw, które miały umilać oglądanie widowiska.

– Te piwa na południu Polski były doskonałe, Śląsk w tamtym czasie to było prawdziwe piwne El Dorado. Przywoziliśmy chłopakom całe kraty „Sudeckiego" – Jaśko rozmarza się na chwilę, ale zaraz wraca do opowieści o meczu. – Stadion była prawie w całości wypełniony, jedynie w sektorze po prawej stronie pozostawało jeszcze sporo wolnych miejsc, ale oddzielonych szczelnym kordonem ZOMO i milicji. Wtedy każdy mecz międzynarodowy był imprezą podwyższonego ryzyka – zawsze pojawiały się jakieś transparenty „Solidarność", jakieś antykomunistyczne hasła czy okrzyki, więc obstawa była totalna. Zdecydowaliśmy się jednak usiąść na wolnych miejscach. Zbliżaliśmy się do kordonu i wtedy jeden z wyższych rangą oficerów zapytał: „A panowie dokąd?". Pierwsze, co mi przyszło do głowy to: „Pułkownik Jankowski, służba bezpieczeństwa". Puścił nas od razu. Polska przegrała niestety 0:2, a my jeden raz w życiu zostaliśmy na chwilę ubekami. Na pocieszenie stałem się posiadaczem bejsbolówki z napisem „Holland" – kończy z uśmiechem Jaśko Pawłowski.

Wyjazdy z prezesem trwają prawie dwa lata, po czym Pawłowski przenosi się do Coriny – siostrzanej firmy Świetlika, gdzie również na krótki czas siada za kółkiem. W tym czasie jest już jedną nogą w Video Studio Gdańsk, gdzie ostatecznie zaczepia się w 1988 roku.

– Ale wszystko zostało w rodzinie, bo Płażyńskiego zaczął wozić mój ojczym, czyli „Pan Mieciu", każdy tak się do niego zwracał, i woził Maćka nawet wtedy, gdy ten został wojewodą – mówi Jaśko.

## Wino pod palmą

– O „Amazonce" pewnie niejeden z chłopaków wspominał – głośno zastanawia się Pawłowski.

Za czasów Świetlika on także jest stałym gościem w tym znanym oliwskim lokalu. Mieszka wraz z żoną w pobliżu, podobnie jak Maciek. Zresztą „Amazonkę" odwiedza wtedy regularnie spora grupa spółdzielców.

– To knajpa, gdzie można było kupić całkiem niezłe bułgarskie wino z niewiele większym narzutem niż w pobliskim sklepie, w którym zresztą rzadko był tak „wyborny" alkohol – mówi Jaśko. – Siedziało się i gadało, o wszystkim. Pamiętam, że była tam taka część barowa i dancingowa, a my siadywaliśmy pod palmą w rattanowych fotelach, które w tym czasie jeszcze były rzadkością – zatapia się we wspomnieniach.

„Amazonka" jest ich lokalem do czasu powstania „Kurkowej", pierwszej oficjalnej restauracji Świetlika, założonej między innymi przez Mańka Kosznickiego. Jednak Jaśko podkreśla, że już pewnie nigdy czerwone wino nie będzie mu smakowało jak tamto bułgarskie, które sączyli, siedząc w rattanowych fotelach pod palmą w lokalu na rogu Mściwoja II i Krzywoustego.

# Kołyska elit politycznych

– (...) Śmialiśmy się, że za parę lat będziemy ministrami. Ten, który najbardziej rozrabiał czy siedział w więzieniu, miał dostać tekę ministra spraw wewnętrznych – uśmiecha się do wspomnień Mirosław Rybicki. – Połowa lat osiemdziesiątych to był czas kompletnej stagnacji. Wydawało się, że po stanie wojennym Jaruzelski panuje nad sytuacją, a czekanie na zmiany potrwa jeszcze długo. Ale była spółdzielnia – i tam mogliśmy otwarcie rozmawiać... Przecież nikt z nas wtedy nie myślał, że komunizm padnie za parę lat, a prezes zostanie wojewodą...

## Po pieczątkę do Świetlika

Przez rok od ogłoszenia stanu wojennego Mirosław Rybicki ukrywa się, chcąc uniknąć aresztowania. Potem bezskutecznie szuka pracy. Kiedyś, w mieszkaniu Aleksandra Halla zwierza się ze swojego kłopotu. W rozmowie uczestniczy brat gospodarza Jerzy, który bez wahania proponuje mu, aby dołączył do spółdzielców Świetlika.

– Przecież założyliśmy spółdzielnię właśnie dla takich ludzi, i tam znajdziesz zatrudnienie – Rybicki dokładnie pamięta ulgę, którą poczuł, słysząc te słowa.

W Polsce rządzonej przez komunistów zatrudnienie potwierdzone pieczątką w dowodzie osobistym było niezbędne do normalnego funkcjonowania. Ludzie niepracujący, określani

jako „niebieskie ptaki", byli mocno podejrzani i obserwowani szczególnie uważnie.

Pierwsze spotkanie z Maciejem Płażyńskim i Romanem Rojkiem ma miejsce w siedzibie spółdzielni, przy Kościuszki.

– Ku mojemu zaskoczeniu wszystko odbyło się błyskawicznie. Jerzy Hall zarekomendował mnie swoim szefom, a ci po prostu mnie przyjęli. Żadnych wątpliwości czy pytań. Sądzę, że dobrze wiedzieli, kogo biorą pod swoje skrzydła – działacza przedsierpniowej opozycji, uczestnika sierpniowego strajku w stoczni, działacza struktur Solidarności i późniejszego pracownika studenckiego komitetu Solidarności. Tym bardziej byłem wdzięczny, że odważyli się mnie zatrudnić. Poza tym nie miałem zielonego pojęcia o pracach wysokościowych i nigdy nie zjeżdżałem na linach, ale to miało się wkrótce zmienić – wspomina.

Mirosław Rybicki jest pod dużym wrażeniem spotkania z Maciejem i Romanem.

Brygada
*(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*



– Zafascynował mnie sam pomysł firmy wzorowanej na spółdzielniach studenckich. Bo trzeba pamiętać, że w tamtych czasach nie było prywatnych przedsiębiorstw typu spółka prawa handlowego. Jedynie ustawa o spółdzielczości dawała pewną wolność gospodarczą, o ile oczywiście spółdzielcy traktowali firmę jako swoją współwłasność, a nie jak zakład państwowy. Szybko się zorientowałem, że w Świetliku można naprawdę zarobić pieniądze, a w dodatku swoją pracą pomóc w rozwoju firmy. To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie – dodaje.

Początkowo Mirosław Rybicki wykonuje prace niewymagające umiejętności alpinistycznych. Pierwszym zleceniem, w którego realizacji bierze udział, są prace renowacyjne w gdańskim Unimorze i zaraz potem w cementowni w Gdańsku Osowie.

## Ostro w górę

Po odbyciu specjalnego przeszkolenia Mirosław Rybicki zostaje wrzucony na głęboką wodę – to znaczy aż pod sam dach elektrowni Jaworzno III na Śląsku. W realizacji jednego z legendarnych zleceń Świetlika bierze udział wiele osób, także ze spółdzielczej czołówki, między innymi Andrzej Wilk i Donald Tusk.

– To była bardzo żmudna, trudna i czasochłonna robota – opowiada Rybicki. – Malowaliśmy legary podtrzymujące konstrukcję dachu nad turbinami. Każdy z nas pracował w stresie, bo głupi błąd, choćby taki jak upuszczenie pędzla czy chlapnięcie farbą, groził poważnymi konsekwencjami. Tam też po raz pierwszy zetknąłem się z dużą wysokością i realnym niebezpieczeństwem, tak że na początku czułem paraliżujący lęk i nie byłem w stanie wejść na górę. Dopiero po kilku dniach się przełamałem... To była prawdziwa szkoła życia – dodaje po chwili. Rybicki kończy zlecenie w Jaworznie jako brygadzista odpowiedzialny za całość prac, po drodze realizując te najtrudniejsze, w najbardziej niedostępnych miejscach, związane z największym ryzykiem.

## Kolebka politycznej awangardy

Według Mirosława Rybickiego to nie przypadek, że ze Świetlika wyszło tyle osób ważnych dla polityki i kraju. Zresztą nierzadko znacznie różniących się w poglądach, bo do spółdzielni trafiali ludzie w dużej mierze już ukształtowani politycznie. W Świetliku mogli zarabiać pieniądze i rozwijać swoje talenty.

– To była specyficzna praca, otwierająca różne możliwości. Czasem uwijaliśmy się z realizacją zlecenia w półtora miesiąca, a zarobek był taki, że przez kolejne półtora mogliśmy zajmować się zupełnie czymś innym. Niektórzy z nas rozwijali właśnie polityczne talenty. Zresztą Świetlik zapewniał nie tylko bezpieczeństwo finansowe politykującym spółdzielcom, ale był także idealnym miejscem wymiany myśli i szlifowania retorycznego oręża podczas niezliczonych dyskusji, jakie toczyliśmy ze sobą. W latach osiemdziesiątych w radzie nadzorczej znaleźli się jedni z czołowych działaczy opozycji przedsierpniowej czy późniejszego Kongresu Liberałów, a też Ruchu Młodej Polski. Często z Donaldem dyskutowaliśmy o tym, że w sprawach polityki, w sprawach ideowych możemy się różnić, ale na forum spółdzielni czy na radzie nadzorczej jesteśmy po prostu spółdzielcami i dlatego mając odmienne poglądy, mogliśmy funkcjonować razem. Tak wtedy było. Bez wątpienia mogło się to udać dzięki Maciejowi Płażyńskiemu, który nie bał się otaczać ludźmi w wielu dziedzinach lepszymi od siebie, i pozwalał im działać. Takim postępowaniem zaskarbił sobie wielkie uznanie wszystkich spółdzielców, zarówno tych, którzy wiązali swoje życie z polityką, jak i pozostałych, którzy takich aspiracji nie mieli.

## Klany

Powiedzenie, że z rodziną najlepiej wychodzi się tylko na zdjęciu, nijak nie pasuje do tego, co dzieje się w spółdzielni. Przymiotnik „rodzinna" oddaje nie tylko atmosferę w firmie, ale także fakt, iż wielu pracowników łączą więzy krwi. Z familijnego klucza pod skrzydłami spółdzielni chronią się

i znajdują pracę lub otrzymują stypendium z „czarnej kasy" przede wszystkim opozycyjni działacze. Tak jest na przykład z Aramem, czyli Arkadiuszem Rybickim, który zostaje zatrudniony w maju 1986 roku i pozostaje na etacie do końca lipca 1992 roku.

– Aram po wyjściu z internowania pracował w nieformalnym sekretariacie Lecha Wałęsy, też potrzebował pieczątki w dowodzie o zatrudnieniu i to umożliwił mu Maciek Płażyński, fundując coś w rodzaju stypendium – wyjaśnia Mirosław Rybicki.

W firmie w 1986 roku zostaje zatrudniona także siostra braci Rybickich, Maryla.

– W połowie lat osiemdziesiątych spółdzielnia znacznie się rozrosła liczebnie i było zapotrzebowanie na sprawną organizację działu kadr. Ze względu na specyfikę spółdzielni funkcję kadrowej musiała objąć osoba najwyższego zaufania i tym zajęła się z wielkim powodzeniem Maryla – opowiada.

Także trzeci brat Mirosława Rybickiego, Sławomir, kilkakrotnie pracuje na zleceniach na wysokości, ale nie jest zatrudniony na etacie. Jednak nieco później zasiada w zarządzie spółki Corina powołanej i powiązanej ze spółdzielnią. Jeśli chodzi o klan braci Kamińskich, Mirosław Rybicki nie pamięta, w jakich okolicznościach się zjawili, ale z rejestrów spółdzielni wynika, że jako pierwszy w 1984 roku w spółdzielni pojawił się Zdzisław. Potem w kolejnych latach dołączyli jeszcze Witold, Krzysztof i Wiesław.

## Świetlik a paryska „Kultura"

W 1988 roku po wielu latach i wielu odmowach Mirosław Rybicki otrzymuje po raz pierwszy paszport i w lipcu tegoż roku udaje się do Paryża, do swojej siostry Bożeny, która w latach osiemdziesiątych mieszka czasowo we Francji. Jednym z głównych marzeń i celów podróży do Francji jest złożenie wizyty w Maisons Laffitte pod Paryżem w siedzibie Instytutu Literackiego „Kultura". Cel ten udaje się zrealizować i podczas

pobytu Rybicki dwukrotnie spotyka się z Jerzym Giedroyciem oraz z panią Zofią Hertz.

– Głównym tematem rozmów były kwestie związane z działalnością wydawniczą w drugim obiegu oraz bieżące sprawy polskie. „Książę" szczegółowo wypytywał o panujące w Polsce nastroje społeczne i oceny dotyczące na przykład strajków z maja 1988 roku czy kondycji podziemia solidarnościowego – wspomina.

Już w trakcie pierwszego spotkania Rybicki opowiada Jerzemu Giedroyciowi o spółdzielni Gdańsk, roli, jaką pełni, pracujących tam ludziach i zwraca się z zapytaniem o możliwość uzyskania pomocy finansowej na zakup specjalistycznego asekuracyjnego sprzętu alpinistycznego dla spółdzielców.

– Pamiętam, że Jerzy Giedroyć z dużym zainteresowaniem i zrozumieniem wysłuchał moich opowieści i zadeklarował pewną pomoc. Podczas drugiej wizyty w Maisons Laffitte otrzymałem od pani Zofii Hertz kilkaset franków francuskich (nie pamiętam dokładnie ile) z przeznaczeniem na zakup sprzętu – opowiada z uśmiechem.

Sprzęt zostaje zakupiony w specjalistycznym sklepie alpinistycznym firmy Petzl. W ten sposób wyposażenie firmy wzbogaca się o między innymi o kilka shuntów, połaniet, ósemek i karabinków, które służą potem wielu spółdzielcom.

## Prorocy mimochodem

– Siedzieliśmy w jakimś hotelu robotniczym na Śląsku, zmordowani po dwunastu godzinach pracy. Mieliśmy odrętwiałe ciała, zmęczone niewygodną pozycją, w której musieliśmy wytrzymać, aby dotrzeć z farbą i pędzlem tam, gdzie trzeba. Najlepiej rozluźniały nas żarty. Śmialiśmy się, że za parę lat będziemy ministrami. Ten, co najbardziej rozrabiał czy siedział w więzieniu, miał dostać tekę ministra spraw wewnętrznych – uśmiecha się do wspomnień Mirosław Rybicki. – Połowa lat osiemdziesiątych to był czas kompletnej stagnacji. Wydawało się, że po sta-

nie wojennym Jaruzelski panuje nad sytuacją, a czekanie na zmiany potrwa jeszcze długo. Ale była spółdzielnia – i tam mogliśmy otwarcie rozmawiać... Przecież nikt z nas wtedy nie myślał, że komunizm padnie za parę lat, a prezes zostanie wojewodą... – wspomina.

Jednak życie przynosi niespodziewane rozwiązania. W wyniku wyborów do Sejmu i Senatu 4 czerwca 1989 roku opozycja wprowadza do Sejmu wszystkich posłów w liczbie zgodnej z ustaleniami Okrągłego Stołu i dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu senatorów. W 1990 roku prezes Świetlika Maciej Płażyński zostaje wojewodą gdańskim.

– Uważam, że wybór, jakiego dokonał premier Mazowiecki, był bardzo trafny. Gdańsk – kolebka Solidarności, bardzo silne opozycyjnie miasto, siedziba władz związku, a premier stawia na człowieka, który umie godzić różne ugrupowania, różne elementy czy różne temperamenty polityczne, i to się przysłużyło nie tylko Gdańskowi, ale całemu Pomorzu – komentuje Rybicki.



# Tam wszystko odbywało się na żywioł

Pewnie nie wszyscy się z tym zgodzą, a kilku moich kolegów to stwierdzenie może oburzy, ale Świetlik był w moim przekonaniu firmą komunistyczną – mówi Rafał Olszewski. Dlaczego? Tak zarządzana i oparta na towarzyskich zasadach spółdzielnia nie miała prawa przetrwać i nie przetrwała w warunkach gospodarki rynkowej. Jednak to nie biznesowy układ decydował o charakterze Świetlika, ważniejsza była chyba ideologia, wspólnota i konspiracyjna działalność, a potem zarabianie pieniędzy. W tamtych warunkach taki model był optymalny i doskonale się sprawdzał. W spółdzielni nie obowiązywał grafik czy jakiś regulamin, nikt nie podbijał też karty pracy. Tam wszystko odbywało się na żywioł, dlatego Świetlik przyciągał tak wielu indywidualistów i outsiderów. Dla mnie w pewnym momencie też nie było innego rozwiązania, jak zgłosić się do prezesa Płażyńskiego i dołączyć do grupy, w dużej mierze znanych mi ludzi. Zostałem skreślony z listy studentów ekonomii i musiałem coś ze sobą począć. Krótko mówiąc, pójść do pracy, zwłaszcza że nie byłem już wtedy kawalerem.

Maćka poznałem kilka lat wcześniej, spotkaliśmy się na uczelnianym strajku tuż po 13 grudnia. On, jako jedyny, był z prawa a my wszyscy z produkcji, bo tak się wtedy nazywało zarządzanie. Znałem też Marka Kotlarza, jednego ze współzałożycieli firmy, więc szlak był przetarty. Do spółdzielni bez zbędnych pytań przyjęty zostałem w październiku, nie był

to może najszczęśliwszy miesiąc, sezon prac wysokościowych właśnie się kończył, ale jakoś te pierwsze miesiące przetrwałem. Potem już zaciągnąłem się na liny i całkiem sprawnie mi to wychodziło.

Jak opowiadam znajomym o Świetliku, to zawsze podkreślam dwie rzeczy: konspiracyjną działalność i szczęście graniczące z cudem, że nikomu nic poważnego się nie stało. To była naprawdę niebezpieczna praca. Na początku wspinaliśmy się na te kominy i konstrukcje prawie kompletnie bez wiedzy, nieprzygotowani. Dopiero potem firma zaczęła podnosić standardy bezpieczeństwa. Jeszcze ciągle czuję w kościach dziesięciodniowy obóz szkoleniowy w górach; najpierw trzeba było iść do określonego miejsca sporo kilometrów, potem odbywały się typowe zjazdy. Pamiętam, jak powiesili mi na plecach faceta, który ważył sto kilo i musiałem z nim zjechać, o mało się nie udusiłem pod jego ciężarem. W pamięci najbardziej zostaje przeważnie pierwsze zlecenie. W moim przypadku była to hala Resovii w Rzeszowie. Wszedłem na rusztowanie i miałem pod sobą pięć metrów powietrza i beton; nogi mi się zatrzęsły, kiedy puściłem wodze fantazji. Później jakoś się już uodporniłem, zresztą były tak zwane „dupołapy", jak nazywaliśmy zabezpieczenia. Malowałem też kiedyś z kolegą komin, nie mając zupełnie świadomości, na jakiej „bombie" siedzę. Był tak skorodowany, że po roku został rozebrany, ponieważ groził przewróceniem. Poważny wypadek zdarzył się tylko raz, w gdańskiej rafinerii. Jeden z kolegów spadł z dużej wysokości i choć do dziś kuleje, to przeżył, mimo że wydawało się to niemożliwie. Czasami fantazja trochę za bardzo nas ponosiła i pamiętam, jak kilku chłopaków chodziło po obwodzie stupięćdziesięciometrowego komina bez zabezpieczenia.

Muszę przyznać, że jakieś szczególne przestrzeganie dyscypliny nie było naszą cechą, miewaliśmy raczej wariackie skłonności i niebywałą fantazję. Jadąc na zlecenie gdzieś na drugi koniec Polski, często brało się zaliczkę, która jeszcze przed

dotarciem na miejsce szybko się rozchodziła. Na co? Chyba nie muszę tego wyjaśniać. W takich sytuacjach słało się gorące prośby do centrali o jakieś wsparcie. Pieniądze przychodziły przekazem pocztowym, jeden wyznaczony z brygady wyruszał po nie w określone miejsce i zamiast po kilku godzinach, wracał po dwóch dniach. Dziś, kiedy sam jestem po drugiej stronie i zarządzam firmą, trudno mi uwierzyć, że to działo się naprawdę, w żadnym razie bym tego nie tolerował. Ale to właśnie była ta niepowtarzalność Świetlika, jego absolutnie koleżeński charakter. W tamtych realiach to się sprawdzało, w tych dzisiejszych byłoby absolutnie nie do przyjęcia.

Odejście Maćka nie miało moim zdaniem wpływu na dalsze losy firmy, i powtórzę to jeszcze raz: w takim kształcie i w nowej gospodarczej rzeczywistości spółdzielnia by nie przetrwała. Albo jest biznes, albo są kumple. A w Świetliku nie mogło być rządów twardej ręki, bo wtedy firma zupełnie straciłaby swój charakter i wyjątkowość. To było gniazdo opozycjonistów, choć owszem, byli i tacy, których interesowały tylko pieniądze, naprawdę nieprzeciętne jak na tamte czasy.

Pamiętam, trafił się jeden człowiek, który poszedł na wybory i ktoś go tam przyuważył, nie miał potem łatwego życia. Wszyscy na swój sposób angażowaliśmy się w walkę z komuną. Sam roznosiłem ulotki i biuletyny. Brałem je z firmy, zawoziłem do domu w Gdyni i potem do konkretnych osób pod wskazany adres. Podejrzewam, że miało to trafić do ludzi pracujących w stoczni czy w porcie. Ot, taki konspiracyjny drobiażdżek ode mnie. Fakt, że tolerowała nas służba bezpieczeństwa, wynika moim zdaniem z bardzo prostej przyczyny: mieli nas wszystkich na oku i przekonani byli, że jeśli chłopcy zajmą się zarabianiem pieniędzy, to może będą mieli mniej czasu na konspiracyjną działalność albo wręcz stracą do niej zapał. Owszem, prowadzili wywiadowcze działania, a w firmie zdarzały się kontrole, jednak jakoś pozwalali nam działać. Trzeba też pamiętać, że Trójmiasto było na tle całego kraju jak an-

tykomunistyczna wyspa, i naturalne było, że większość ludzi nienawidzi systemu.

O tym, że Świetlik to firma, w której pracowali ludzie o silnych osobowościach, nikogo dzisiaj przekonywać nie trzeba. Wielu z nas to osoby powszechnie znane i szanowane. Pamiętam walne zebrania, w których, jako członek spółdzielni, brałem udział. Zazwyczaj prowadził je Donald Tusk, który miał niezwykły talent i zdolność do publicznych wystąpień, potrafił przekonać ludzi do swoich racji. Myślałem wtedy: ten facet daleko zajdzie. Czas pokazał, że się nie pomyliłem.

O Maćku Płażyńskim można by dużo pisać. Ograniczę się tylko do jednej anegdoty, która w moim odczuciu dobrze charakteryzuje pierwszego prezesa spółdzielni. Kiedyś, jak to miał w zwyczaju, ubrany w roboczy strój przyszedł z fakturą do jednej z firm, dla której robiliśmy zlecenie. Sekretarka wzięła fakturę do ręki i powiedziała: „Ale tu nie ma pieczątki i podpisu prezesa, musi pan wrócić". Na co Płażyński wyjął pieczątkę z kieszeni, przystawił i podpisał. Pani nie potrafiła ukryć zdumienia: „Prezes i sam pracuje!? Pierwszy raz spotykam się z czymś takim".

Świetlik to w moim życiu bardzo ważny etap i jestem dumny, że mogłem pracować w tak wyśmienitym towarzystwie. Nie chodzi tutaj nawet o Donalda, Maćka czy Andrzeja Zarębskiego, z którym pracowałem na zleceniu w Żarnowcu. To przede wszystkim ludzie, którzy w imię idei narażali swoje zdrowie i życie, przesiedzieli w więzieniach nawet kilka lat. Jestem dumny, że mogłem się znaleźć w tej grupie. I jeszcze jedno: udało się w tych trudnych czasach stworzyć firmę, która miała swój cel – walkę z komuną, i potrafiła go konsekwentnie realizować, dając przy okazji wielu z nas po prostu godnie żyć.

# Karuzela oraz inne wynalazki

Na pierwsze zlecenie Witold Merkel jedzie do elektrociepłowni w Gdańsku. Przed pracą fizyczną nie ma żadnych oporów, jednak rzeczywistość przerasta wyobraźnię młodego inżyniera.

– Horror: olbrzymie konstrukcje, piece, kotły, straszliwie gorąco, brud i smród. Tam się dymi, tam się pali, a ja z pędzlem łażę po jakichś konstrukcjach – wspomina.

Na początku pracuje jako „kapeluch", czyli nosi farby i pędzle. Z trudem przyzwyczaja się do ekstremalnych warunków. Największy problem to jednak wysokość. Na początku nie jest w stanie przełamać lęku. Nie śpi po nocach, przed oczami staje mu kołyszący się komin, z którego nie potrafi zejść.

## Wierny kibic

Pełne słońce i lekki mróz – pogoda wymarzona na mecz sylwestrowy. Wyjątkowo licznie zgromadzona publiczność na stadionie Lechii Gdańsk zaczyna niecierpliwie przebierać nogami, spotkanie powinno się zacząć już pół godziny temu.

– Czekają na Donalda – wyjaśnia Witold Merkel, który na mecz przyszedł z dziesięcioletnim synem, Witkiem juniorem.

Tym razem jednak tylko kibicuje. Merkel kiedyś grywał z chłopakami, ale mówi, że to już nie dla niego.

– Za ostro kopią jak na moje zdrowie, nie umiem tak grać, a poza tym wolę jazdę konną – wyznaje z uśmiechem.

W 1983 roku Witold Merkel nic jeszcze nie wie o spółdzielni. Jest studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej i dodatkowo, do wprowadzenia stanu wojennego, pracuje w drukarni Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego (MKZ) Solidarności jako zaopatrzeniowiec.

– Przyjechałem z wakacji, a Jacek, mój brat, od razu wysłał mnie na Grunwaldzką 103 do kierownika drukarni Andrzeja Butkiewicza. Sam zresztą chciałem już coś robić – wspomina.

Witold mocno przeżywa zatrzymanie i aresztowanie kolegów po 13 grudnia, wśród nich jest też Jacek. Starszy z braci Merklów, jeden z czołowych działaczy Solidarności, dobrze znany ówczesnej władzy już wkrótce zostaje internowany. Witek jest na wolności i współpracuje z podziemnymi wydawnictwami. Organizuje zaplecza drukarni. Po przymusowym wojsku, z którego wychodzi pod koniec 1984 roku, kończy przerwane studia i nadal angażuje się w polityczną działalność. Z góry zakłada, że z życiorysem „niepokornego" praca w państwowych zakładach jest niemożliwa, zresztą się do niej nie pali.

– Żyć jednak z czegoś trzeba, nawet jak jest się kawalerem – śmieje się Merkel.

Witoldowi pomaga Mirek Rybicki, którego poznaje w MKZ-ecie. To on podsuwa mu pomysł zatrudnienia w Świetliku. Rozmowa z prezesem Płażyńskim w siedzibie spółdzielni, wtedy jeszcze przy ulicy Kościuszki we Wrzeszczu, jest krótka i rzeczowa. Merkel zostaje przyjęty i już następnego dnia ma się zgłosić do pracy.

## Mount Everest

Na pierwsze zlecenie Merkel jedzie do elektrociepłowni w Gdańsku. Przed pracą fizyczną nie ma żadnych oporów, jednak rzeczywistość przerasta wyobraźnię młodego inżyniera.

– Horror: olbrzymie konstrukcje, piece, kotły, straszliwie gorąco, brud i smród. Tam się dymi, tam się pali, a ja z pędzlem łażę po jakichś konstrukcjach – wspomina.

Na początku pracuje jako „kapeluch", czyli nosi farby i pędzle. Z trudem przyzwyczaja się do ekstremalnych warunków. Największy problem to jednak wysokość. Na początku nie jest w stanie przełamać lęku. Nie śpi po nocach, przed oczami staje mu kołyszący się komin, z którego nie potrafi zejść. Prawdziwy koszmar. Szkolenia na Pachołku, wieży widokowej w Oliwie, które prowadzi Żółw, czyli Jan Turowiecki, to dla Witka jak zdobywanie najwyższego szczytu.

– Trzeba wspiąć się po linach, przepiąć i zejść. Pamiętam, źle mi wtedy poszło, musieli mnie ściągać – wspomina.

Nie on jeden ma problemy z pracą na wysokościach. Tak naprawdę jedynie Żółw chodzi po rurach i kominach jak kot.

– Profesor – mówi z uznaniem Witold Merkel. – Ciarki przechodziły mi po plecach, kiedy skakał bez asekuracji, ale przy nim czułem się bezpiecznie.

Mniej bezpiecznie czuje się jednak sam prezes Świetlika. W końcu uznaje on, że Pachołek to za mało i podejmuje decyzję o profesjonalnych szkoleniach w górach. Jeżdżą do Zakopanego, czasem także w okolice Jeleniej Góry, gdzie alpinistycznych technik uczą ich goprowcy.

– To był prawdziwy wycisk – wspomina Merkel. – Pot lał się po tyłkach. Jak ktoś poprzedniego dnia popił – koniec, mógł wcale nie wychodzić, nie miał szans, by wytrzymać – wspomina.

Szkolenia przypominają obóz treningowy. Rozgrzewka, czyli wyprawa na Giewont północną stroną nie przypomina krajoznawczej wycieczki, goprowcy od razu narzucają mordercze tempo. Do schroniska wracają wykończeni.

– Kochanieńki, czyli Krzysiek Kamiński, miał robić zdjęcia, sam go o to prosiłem. Ale gdzie tam, nic z tego nie wyszło, nie miał czasu nawet się podrapać – śmieje się Merkel.

Potem już typowe zajęcia alpinistyczne: wiązania, wspinanie, czołganie w jaskiniach i tak dalej. Efekty widać bardzo szybko, Witold już całkiem sprawnie radzi sobie w pracy na górze.

## Brygada specjalna

W Świetliku nazywają Witka Inżynier.

– To pewnie dlatego, że na początku ludzi z technicznym wykształceniem było u nas jak na lekarstwo – wspomina.

Spółdzielcom nie brakuje fantazji, natomiast z dobrą organizacją pracy bywa różnie. Przyzwyczajony do porządku i logicznego myślenia Witold nie rozumie, jak można działać tak spontanicznie i mimo to „jakoś to się jednak wszystko kręci". Sam lubi działać według planu, a tymczasem Świetlik to taka „radosna twórczość".

– Pamiętam naszego biednego magazyniera Jarka Irzykowskiego, zupełnie nie panował nad sytuacją. Humanista, poeta, gdzie on do liczenia beczek z farbami – łapie się za głowę Merkel.

Magazyny firmy znajdują się w kilku miejscach, Irzykowski tego wszystkiego nie ogarnia i w rozliczeniach nic się nie zgadza. Po jakimś czasie Płażyński nie wytrzymuje bałaganu i wysyła na to stanowisko innego człowieka.

– W końcu zaczęło mieć to wszystko ręce i nogi, i już działało, jak trzeba – wspomina.

Brygada, którą kieruje Inżynier, działa na trochę innych zasadach niż pozostałe. Wszyscy myślą podobnie: zrobić na czas i solidnie; jeśli trzeba przyjść w poniedziałek na ósmą rano, to się nie ociągają i przychodzą.

– Jakoś udało mi się takich ludzi zebrać. U nas nie było „może jutro, a może za tydzień", wiedzieliśmy, czego chcemy – wyjaśnia Merkel.

W ekipie Kierownika, to drugi pseudonim Merkla, jest Żółw, wtedy już żonaty, Janusz Błochowiak, zajęty budową domu, Jasiu Dubiela i Krzysiek Kamiński.

– Pić alkohol w hotelu robotniczym gdzieś na końcu Polski? Jakoś nam się specjalnie nie chciało. Ja zresztą „ideologicznie" byłem abstynentem, na imprezy koledzy kupowali mi butelki z mlekiem – wspomina z uśmiechem Witold Merkel.

## Nieniszczący specjaliści

Rafineria gdańska, gdzie łapią duże zlecenie, daje spore możliwości. Wiele firm chętnie zarzuciłoby tam kotwicę. Dzięki nadzwyczajnym talentom Maćka Płażyńskiego udaje się to Świetlikowi.

– Cudotwórca – śmieje się Merkel. – Tak umiał zakręcić ludźmi, że każde drzwi się przed nim otwierały – wspomina prezesa.

W rafinerii Merkel ma się zająć badaniami nieniszczącymi. Trzeba sprawdzić, czy rury nie rdzewieją, bo zużyte mogą spowodować poważną awarię. Logistycznie jest to spore przedsięwzięcie. Na czas badania wyłącza się instalację, w której pod dużym ciśnieniem i w wysokiej temperaturze przepompowywana jest woda. Urządzenie pracuje non stop. Co jakiś czas trzeba sprawdzić grubość rur.

– Na początku nasza wiedza była nikła i musieliśmy się doszkolić – wspomina Merkel.

Chodzą na politechnikę, gdzie na Wydziale Budowy Okrętów pracuje kolega Witka i uczy ich robić pomiary. Zajęcia przypominają trochę ekspresowe studia.

– Jasiu Dubiela bił nas wszystkich na głowę. Ambitny, zdolny, wszystko szybko łapał – wspomina Witold.

Wiedza z politechniki bardzo przydaje się w praktyce. Działają teraz naprawdę profesjonalnie, i co najważniejsze – skutecznie.

– Za pomocą urządzenia elektronicznego mierzyło się grubość rury, bez jej uszkodzenia czy zniszczenia. Stąd „zakład badań nieniszczących", którym kierowałem – wyjaśnia Merkel.

## Karuzela

Wymyśla ją Olek Błochowiak. Choć pierwsza karuzela jest dość prymitywna, sprawdza się rewelacyjnie. Konstrukcja ma usprawnić inspekcję znajdujących się w rafinerii dużych zbiorników kulistych, pieszczotliwie nazywanych przez spółdzielców bombkami. Stara metoda jest czasochłonna i kosztowna.

– Do kuli napuszczało się wodę prawie do samej góry. Facet wsiadał w ponton i sprawdzał od środka, kawałek po kawałku, grubość i porowatość ścian. Kulę trzeba było sprawdzić aż do samego dna, więc co jakiś czas spuszczało się wodę o kilka centymetrów, i od nowa ponton, inspektor i tak aż do skutku – opisuje Merkel. – W takim przedsiębiorstwie jak rafineria przestoje w pracy spowodowane czyszczeniem zbiorników to spore straty. Zbyt długie przesiadywanie w jednym miejscu nie opłacało się również spółdzielni. Wiadomo, potrzeba matką wynalazków, więc trochę pogłówkowaliśmy i sposób się znalazł – wspomina Witek.

Patent jest całkiem prosty. We wnętrzu zbiornika stawia się rusztowanie, czyli nogę, na której zaczepione jest ruchome ramię. Do ramienia przymocowany jest kosz, w którym siedzi inspektor. W ten sposób może swobodnie poruszać się po całej kuli i sprawdzać jakość. Trwa to tylko kilka dni i powoduje spore oszczędności.

– Jak zakręciliśmy naszą karuzelą, to zrobili duże oczy – mówi z dumą Witold. – Był tylko jeden problem – człowiek z dozoru technicznego nie chciał zatwierdzić naszej „zabawki", że niby to samoróbka i nie do końca bezpieczna, a prawda była taka, że bał się wejść do kosza. Nie mieliśmy zatem innego wyjścia, musieliśmy zrobić lepszą karuzelę. Nad projektem siedzieli Andrzej Freidel i Jerzy Godlewski – inżynier z rafinerii.

Powstaje w końcu lekka, aluminiowa konstrukcja, a co najważniejsze – z atestem. Karuzela jest wykorzystywana potem w innych zakładach, między innymi w płockich Azotach i Kędzierzynie-Koźlu.

– To był nasz reprezentacyjny wynalazek – zachwala wymyślony przez spółdzielców patent Witek Merkel.

„Bombka" ma jeszcze inne zastosowanie; zupełnie nieprawdopodobna interferencja fal dźwiękowych porusza wyobraźnię chłopaków. Pod wodzą Krzyśka Kamińskiego dają jednorazowy koncert w zbiorniku.

– Wydarzenie jedyne w swoim rodzaju – podkreśla Merkel.

## Spółdzielnia to Płażyński

– Pamiętam, było takie zebranie, kiedy Mirek Rybicki powiedział, że spółdzielnia to Maciek. Trochę mnie to zdziwiło, bo nie podzielałem tego poglądu – wspomina Witold.

Płażyński jest wówczas dla Merkla po prostu prezesem firmy, sympatycznym i tolerancyjnym, ale bez cech znamionujących jakąś wyjątkowość, często wchodzi z nim w spory.

– Przyjmował zlecenia, które na pierwszy rzut oka wydawały się niewykonalne. Ja się kłóciłem, przekonywałem, udowadniałem, że to absurd. Nic nie pomagało.

Decyzje Płażyńskiego wydają się Witkowi irracjonalne, uważa, że to brak wiedzy i wyobraźni technicznej. Psioczą też na prezesa inni, ale idą i pracują. Wkrótce okazuje się jednak, że rzeczy niemożliwe stają się możliwe. Także Merkel odkrywa po czasie ten fenomen Maćka.

– On miał jakąś inną wyobraźnię, sam nie wiem jaką. A może my byliśmy genialni? – żartuje Inżynier.

Za jedno podziwiają Maćka wszyscy – potrafi zdobywać rynek, ma nadzwyczajny talent towarzyski, ludzie go po prostu lubią.

– To właściwie było kluczem do sukcesu – twierdzi Merkel. – Prezes załatwiał nam robotę i super płatne zlecenia. Ciągle był gdzieś w Polsce, jeździł non stop.

Maciek organizuje też brygady, ustala, gdzie kto ma jechać i co robić. Ma ogromne zaufanie do swoich pracowników, daje im swobodę, toleruje słabości i słucha ludzi.

– Który prezes tolerowałby wprowadzenie konia do pokoju hotelowego? No a przecież taki numer zrobił nasz kolega Marek Soczewiński – zastanawia się Merkel.

Pracują wtedy w Janowie, tuż obok jest stadnina koni, która pobudza wyobraźnię niektórych spółdzielców. Ta ostatnia w połączeniu ze sporą ilością „szlachetnych" trunków przynosi niespodziewane efekty. W pokoju hotelu robotniczego w nocy pojawia się koń. Wezwany portier idzie po świadków, a w tym



Ryszard Wysocki i Zbigniew Zaborowski podczas prac wewnątrz komina. EC III, Gdynia 1993 r.
*(fot. R. Krygier)*

czasie Marek z kolegą wyprowadzają zwierzę, ekipa Świetlika zaś jak jeden mąż zaprzecza całemu zdarzeniu. Kiedy po zakończeniu zlecenia dyrektor odbiera wykonaną pracę, słyszą pytanie: „Ale powiedzcie panowie, był u was ten koń, czy nie?".

– Jeśli dobrze pamiętam, po powrocie skończyło się to tylko charakterystycznym zmarszczeniem czoła prezesa – uśmiecha się Witold. – Po latach muszę przyznać Mirkowi rację. Spółdzielnia to Płażyński – dodaje po chwili.

# W biurze

# Matka Polka

Kiedy Urszula Frankiewicz namówiona przez męża dołącza do pracowników Świetlika jest 1986 rok i firma mieści się na gdańskim Suchaninie przy ulicy Małcużyńskiego.

– Byłam trochę przerażona i onieśmielona, ale dziewczyny i w ogóle wszyscy bardzo serdecznie mnie przyjęli – wspomina.

## Henryk

Przyszłego męża pani Urszula poznała przez wspólnych kolegów, którzy w pewien niedzielny marcowy wieczór wyciągnęli ją na kawę. Nagle w kawiarni pojawił się ich kumpel, Henryk.

– Mówił, że wpadł tylko na chwilę, ale tak się wtedy z nami zagadał, że nawet o spotkaniu z dziewczyną zapomniał – kiedyś w „Cristalu" we Wrzeszczu były fajfy, czyli tańce, i tam się wybierał. Ale wtedy na fajfy już nie poszedł, został z nami – opowiada.

Potem wracali prawie razem. Prawie, bo przodem szła pani Ula, a pan Henryk kawałek za nią.

– W końcu zebrał się na odwagę, podszedł i powiedział, że chyba idą w tym samym kierunku – wspomina ze śmiechem. – Okazało się, że mieszkamy przy tej samej ulicy.

Pani Urszula od początku podziela polityczne poglądy męża i zaangażowanie w działalność opozycyjną, ale po wypadkach

grudniowych już nie chce, żeby zajmował się polityką. Przeżyła wtedy bardzo trudne chwile: strach, czy cały i zdrowy wróci ze stoczni, potem rewizje i nękanie przez służbę bezpieczeństwa, i kłopoty męża ze znalezieniem pracy. Ze smutkiem opowiada, że po 1970 mogli liczyć tylko na siebie. Jednak dziesięć lat później Henryk również nie potrafi stać z boku i przyglądać się rozwojowi wypadków. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku zostaje internowany. Miną dwa tygodnie, nim pani Urszula dowie się, że jest przetrzymywany w Strzebielinku. Przez blisko rok sama musi sobie radzić z prowadzeniem domu i opieką nad dziećmi.

## Do Świetlika

Kiedy Urszula Frankiewicz namówiona przez męża dołącza do pracowników Świetlika jest 1986 rok i firma mieści się na gdańskim Suchaninie przy ulicy Małcużyńskiego.

– Byłam trochę przerażona i onieśmielona, ale dziewczyny i w ogóle wszyscy bardzo serdecznie mnie przyjęli – wspomina.

Na początku dzieli pokój z panią Zosią, Kazikiem i swoim mężem, który jako magazynier zajmuje się przede wszystkim wydawaniem materiałów i sprzętu. Pani Ula to wszystko fakturuje i prowadzi kartoteki. Jednak cały czas jest zaabsorbowana sprawami domowymi. Martwi się o zdrowie córki, którą czeka operacja. W dniu zabiegu odprowadza dziecko pod salę operacyjną i potem idzie do pracy.

– Szybko zostałam wygoniona do samochodu prezesa i odwieziona z powrotem do szpitala, aby być przy córce. Maciek Płażyński powiedział, że moje miejsce jest teraz tam. Czułam się otoczona opieką, a wtedy tego właśnie potrzebowałam. To jest takie moje najmilsze wspomnienie z tamtego, trudnego czasu – mówi z uśmiechem.

Po kilku latach zostaje kasjerką i na tym stanowisku pracuje w spółdzielni aż do przejścia na rentę w 1996 roku.

## Rodzinnie

W Świetliku pracowały całe rodziny, a nawet tworzyły się nowe. Poza Urszulą i Henrykiem w firmie pracowała przez jakiś czas także ich córka Joanna i zięć Piotr. Temu ostatniemu zdaniem pani Urszuli wyszło to na dobre. Zaraz po maturze został rzucony na głęboką wodę, to znaczy zaczął pracować w spółdzielni jako kierowca i jeździł z Lechem Kosiakiem po całej Polsce z zaopatrzeniem i materiałami.

– Lechu trochę dał mu wycisk, ale myślę, że to właśnie wtedy Piotrek nauczył się szanować pracę i być obowiązkowy. Oczywiście, miał już te cechy wcześniej, ale myślę, że w Świetliku się po prostu utrwaliły – śmieje się pani Ula.

Jednak to nie więzy krwi łączące niektórych pracowników decydowały o rodzinnej atmosferze, o której po latach z nostalgią mówią spółdzielcy. Według Urszuli Frankiewicz każdy z pracowników miał poczucie, że pracuje dla siebie i dla dobra wspólnoty, którą tworzy razem z innymi; i to właśnie dlatego Świetlik przypominał rodzinną firmę.

– Każdy z nas wiedział, co ma robić, znał swoje obowiązki i wywiązywał się z nich. Poza tym lubiliśmy swoje towarzystwo. W czasie przerw odpoczywaliśmy w naszym klubiku. Nazywał się K2, i tam wychodziliśmy poplotkować chwilę, wypić kawkę i wracaliśmy do swoich zajęć – wyjaśnia pani Ula. – Pracowałam jako kasjerka. Inne dziewczyny zbierały dokumentację pracy chłopaków. Właściwie dzięki nim dostawałam wszystko gotowe, jakby podane na talerzu – opowiada.

Jednak praca w kasie wiąże się ze sporym stresem. Jedno z trudnych zdarzeń ma miejsce w nowej siedzibie firmy, przy ulicy Matejki. Włamanie do firmy: biura, kasy, sejfu.

– Przeżyłam to bardzo, byłam wykończona psychicznie, bo przecież czułam odpowiedzialność. Niestety, nie wykryto sprawców – wspomina ze smutkiem Urszula Frankiewicz. – To musiał być ktoś z zewnątrz. Nikt od nas. Pod tym względem myśmy sobie wszyscy ufali. Dopiero potem zaczęło się to zmieniać. Po odejściu Maćka – dodaje po chwili.

## Biuro pocieszenia

Pani Urszula Frankiewicz wspomina ciepłą atmosferę w biurze:

– Opowiadałyśmy sobie o dzieciach, na przykład o tym, jak z nimi rozmawiać, tłumaczyć, czy pomóc w różnych sytuacjach. Takie babskie tematy. Przyznam, że często nie zgadzałyśmy się w tych kwestiach, ale dzięki temu rozmowy były ciekawe i udawało nam się spojrzeć na daną sprawę z innej strony. Jednocześnie, mając różne poglądy, potrafiłyśmy być razem, lubiłyśmy się po prostu – opowiada.

Od czasu do czasu do biura wpadają spółdzielcy, nie tylko po to, żeby załatwić sprawy służbowe, ale ot tak, po prostu chwilę pogadać.

– Kiedy przychodzili chłopcy, czasem wprost prosili o radę, czy zwyczajnie potrzebowali się wygadać komuś zaufanemu. Chodziło o sprawy osobiste, ale także te związane z pracą. Przyjmowałyśmy to jako coś naturalnego.– wspomina.

Koleżanki nazywały panią Urszulę Matką Polką. Przyznaje, że było to trochę żartobliwe, ale też kryła się w tym określeniu nuta podziwu.

– Rzeczywiście sprawy rodziny, domu i kuchni były dla mnie ważne, a zwłaszcza „cudowałam z jedzeniem" – wspomina z uśmiechem. – Degustacja moich rozmaitych kulinarnych eksperymentów często odbywała się w biurze.

Poza pysznym ciastem pani Urszuli można było skosztować także innych specjałów, bo panie przynosiły a to rybkę, a to sałatkę.

– Robiło się domowo i rodzinnie, bo każdy, kto akurat przyszedł coś załatwić, oczywiście był częstowany – opowiada pani Ula.

## Szacunek

Według pani Uli każdy z kolegów w spółdzielni był ciekawy i niepowtarzalny.

– To się rzucało w oczy od początku. Ja zawsze do męża mówiłam, że w tej firmie nigdy nie było ludzi nijakich. Każdy miał w sobie coś interesującego, odrębne zainteresowania czy poglądy. Ale jedna rzecz mi się podobała najbardziej – szacunek dla kobiety. Tak, ta cecha była wspólna dla chłopaków w Świetliku – wspomina i podkreśla, że wszyscy byli ze sobą po imieniu i panowały partnerskie relacje. – Nie było czegoś takiego, że skoro jesteś kobietą, to zostaniesz wykluczona z rozmowy, bo nie znasz się na męskich sprawach. Nie, nic takiego u nas nie miało miejsca – wyjaśnia. – Było też dużo szacunku, który przejawiał się na każdym kroku, choćby w sposobie przywitania. I nie mam tu na myśli całowania w rękę, co zresztą robili niektórzy, przeważnie starsi, ale chodzi mi o proste przytulenie, pocałowanie w policzek, takie ciepłe gesty, które budowały braterskie, przyjacielskie relacje między nami. Trudno było o coś podobnego w innych zakładach pracy – kontynuuje pani Ula.

Chociaż mężczyźni pracowali na znacznie bardziej eksponowanych stanowiskach, zdaniem pani Urszuli nie wywyższali się z tego powodu, a raczej okazywali radość i doceniali fakt, że dzięki dziewczynom w biurze mogą nie myśleć o tych wszystkich papierkowych sprawach, które przecież musiały być także porządnie załatwione.

– Zresztą kiedy spotkaliśmy się po latach w Sobieszewie, to uściskom nie było końca.

## Żal

Urszula Frankiewicz nie zgadza się, że Świetlik nie miał szans, aby przetrwać w realiach gospodarki rynkowej. Uważa, że opinia w tej sprawie może zależeć od tego, na ile dana osoba była z firmą związana, jak bardzo jej zależało, w jakim stopniu myślała o dobru wszystkich, a nie tylko o swojej karierze.

– Ja uważam, że to było możliwe – powtarza z przekonaniem. – Tej firmie był potrzebny tylko dobry menedżer. Taki,

jakim był Maciek Płażyński, który potrafił wszędzie wejść i skutecznie załatwić, co było potrzebne. Po prostu miał coś charyzmatycznego w sobie, szanował każdego – a to powodowało, że ludzie dla niego potrafili wiele zrobić. Poza tym imponował doskonałą pamięcią, tak że każdy, kto się z Maćkiem zetknął, był pod wrażeniem jego kompetencji. Było mi bardzo przykro, kiedy opuścił spółdzielnię. I nie kryłam tego. Może dlatego potem niektórzy trochę krzywo na mnie patrzyli, kiedy powiedziałam mu, że gdy odejdzie, przestanie istnieć firma. Takie miałam przeczucie, i tak się stało – wspomina ze smutkiem. – Nawet potem przez wiele lat nie przyjeżdżałam na mecze sylwestrowe. Przez ten żal...

## Wspomnienia

Pani Urszula cieszy się ze spokojnego życia, jakie wiodą z mężem.

– Jesteśmy już ponad czterdzieści lat razem. Teraz najchętniej spędzamy czas na działce na Kaszubach. Półtora miesiąca jest zarezerwowane dla wnuków, a potem cieszymy się sobą. My tam się bardzo dobrze czujemy i fizycznie, i psychicznie. Dużo lepiej niż w mieście – wyznaje pani Ula. – Poza tym zawsze lubiliśmy wspólnie spędzać czas, bo lubimy swoje towarzystwo. Na początku naszego małżeństwa ja byłam trochę bardziej nerwowa, a on spokojny. Wygląda na to, że teraz to się odwróciło. Kiedyś on mnie wyciszał, teraz ja jego. Tak się uzupełniamy – śmieje się pani Urszula.

Jej zdaniem dopełniają się również w podejściu do życia. Ona była i jest trochę bardziej otwarta, to znaczy gotowa na nowe myśli, pomysły, lubiąca sprawdzać nowe rzeczy, a mąż jest bardziej konserwatywny, czyli raczej trzyma się tego, co już kiedyś uznał za sprawdzone i dobre.

– W rozmowach wracamy z mężem do przeszłości, do Świetlika... Wspominamy, jak to było, wspominamy ludzi, zastanawiamy się, co teraz robią. Myślimy o tych, którzy porozjeżdżali się

daleko. Nawet w Kazachstanie jest jeden. Ostatni raz spotkaliśmy się prawie wszyscy na zjeździe spółdzielni w Sobieszewie, jesienią 2008 roku. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się jak kiedyś, tylko dziś każdy z nas to już siwa głowa – kończy refleksyjnie pani Urszula.

Zjazd z okazji 25. rocznicy powstania spółdzielni, Sobieszewo 2008 r. Na zdjęciu piąta od prawej Urszula Frankiewicz z mężem Henrykiem. *(fot. G. Szrejder)*



– Kiedy przyjechał samochód i trzeba go było rozładować, to Maciek z Iżim patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Najpierw miał jechać żuk, no ale pani z Łodzi poradziła, żeby wysłać stara. Z farbami już nigdy nie mieliśmy problemu, pewnie pralka dobrze chodziła – śmieje się Zofia Surdykowska.

## Herbatka u pani Zosi

– To pan Maciek ciągle jeszcze przy polityce? – zastanawia się głośno Zofia Surdykowska i z ciekawością rozgląda po biurze pierwszego prezesa Świetlika. – A Iżi podobno się ożenił i ma dziecko? A taki był z niego zatwardziały kawaler – mówi dalej.

Pani Zosia bardzo dawno nie widziała swoich kolegów ze spółdzielni. Na dwudziestopięciolecie firmy do Sobieszewa nie pojechała, nie pozwoliło jej wtedy zdrowie.

– Po spotkaniu dzwoniła do mnie Ulka Frankowska – była zachwycona! Naprawdę żałuję, że nie mogłam tam być – stwierdza ze smutkiem.

Choć skończyła już osiemdziesiąt lat i jest po trzech zawałach, stara się żyć aktywnie. Nadal lubi towarzystwo i chętnie zaprasza do siebie koleżanki ze spółdzielni.

– Basi Chodnikiewicz to mogłabym słuchać bez przerwy przez dwa tygodnie. Ona potrafi tak cudownie opowiadać!

Najbardziej lubię, jak naśladuje swoje psy, tak zabawnie to robi – mówi z zachwytem pani Zofia.

Świetlikowe dziewczyny przynajmniej dwa razy w roku odwiedzają swoją koleżankę z byłej pracy. Oprócz Basi wpadają też Danka Kozak, Ulka Frankowska i Ala Fijał. Przychodzą na imieniny i w okolicy Świąt Bożego Narodzenia.

– Zawsze jest jakieś ciasto i kawa. Kiedyś proponowałam wino, ale się wymawiały: jedna prowadzi, druga prowadzi – to w końcu dałam sobie spokój z tym alkoholem – zwierza się pani Zosia.

W tym babskim gronie rozmawiają właściwie o wszystkim, nie ma jakichś dyżurnych tematów.

– Trudno nawet powtórzyć, o czym gadamy, bo jeden temat nakręca następny. A to ta powie jedno, tamta drugie, jak w żydowskim chederze – wszyscy naraz, i jest wesoło.

## Owocne negocjacje

Zofię Surdykowską do Świetlika ściąga Lech Kosiak. Kiedyś razem pracowali w stoczni, poza tym dobrze się znają prywatnie.

– Lechu wiedział, że jestem obrotna i potrafię sporo załatwić, poza tym byłam już na emeryturze i mogłam im trochę pomóc – wyjaśnia pani Zosia.

Na początku Surdykowska zjawia się w spółdzielni raz, dwa razy w tygodniu, potem zaczyna pracować już regularnie i jak się szybko okazuje – wyjątkowo skutecznie. Piętnastoletnie doświadczenie w stoczni i szerokie znajomości procentują teraz w spółdzielni.

– Koledzy z zaopatrzenia często żartowali, że gdzie diabeł nie może, tam Surdykowską pośle – śmieje się pani Zosia. – My aż po Szczecin znaliśmy się jak łyse konie, dlatego nie miałam trudności, żeby coś załatwić. Mówiło się: „Słuchaj Jasiu, Stasiu, potrzebne mi jest to i to, załatw proszę, oddam ci za dwa tygodnie", i tak się ratowaliśmy. Na papierze, i owszem, musiało

wszystko grać, ale z praktyką niewiele to miało wspólnego – wyjaśnia Surdykowska. – Może nie powinnam tego głośno mówić, ale wtedy cała Polska stała na łapówkach, a zresztą wszyscy o tym wiedzieli – mówi ściszonym, konspiracyjnym głosem pani Zosia.

W latach osiemdziesiątych małe firmy i spółdzielnie nie są poważnym rynkowym partnerem, dlatego zamówienia, które składają, realizowane są zwykle na końcu.

– Traktowali nas naprawdę po macoszemu – skarży się pani Zosia. – Poza tym to nie było tak, że się jechało do sklepu czy do hurtowni i mówiło: „Proszę mi zapakować to i tamto". Materiały remontowe to był towar deficytowy, i trzeba się było sporo nagłówkować, żeby coś załatwić, a kontrahenta nie obchodziło, że nie możemy czegoś dostać, tylko chciał mieć zlecenie zrobione jak najszybciej.

Towarem pierwszej potrzeby są w Świetliku farby, zresztą z tego powodu wybuchają od czasu do czasu kłótnie. Każdy uważa, że jego zlecenie jest priorytetowe i właśnie jemu farby należą się w pierwszym rzędzie. Dzięki negocjacyjnym talentom pani Zosi problem szybko zostaje rozwiązany.

– W Łodzi była duża fabryka farb, zadzwoniłam więc do jednej pani, której zresztą nigdy na oczy nie widziałam, i powiedziałam, że koniecznie potrzebuję tyle i tyle puszek. Od razu zaznaczyłam, że niczego za darmo nie chcę i oczekuję jakiejś propozycji z jej strony. Trochę się krygowała, że to nie rozmowa na telefon, że to, tamto, ale w końcu ją przydusiłam i powiedziała, że interesuje ją „piątka". Chciała, zdaje się, kupić pralkę – próbuje przypomnieć sobie pani Zosia.

Za to dobrze pamięta, jak pomaszerowała prosto do prezesa Płażyńskiego i poprosiła o pięć tysięcy złotych, które kierowca miał zawieść do Łodzi.

– Od razu mu powiedziałam: „Panie Maćku, niech pan, broń Boże, nie myśli, że to dla mnie. Ja włożę pieniądze do koperty i napiszę nazwisko osoby, której trzeba to przekazać" – wspomina.

Płażyński odlicza potrzebną kwotę bez zadawania zbędnych pytań. Po kilkunastu dniach przed magazynem zjawia się załadowany puszkami farby star.

– Kiedy przyjechał samochód i trzeba go było rozładować, to Maciek z Iżim patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Najpierw miał jechać żuk, no ale pani z Łodzi poradziła, żeby wysłać stara. Z farbami już nigdy nie mieliśmy problemu, pewnie pralka dobrze chodziła – śmieje się Zofia Surdykowska.

## Najważniejsza była atmosfera

W swojej czterdziestodwuletniej zawodowej karierze pani Zofia kilkakrotnie zmieniała pracę, jednak to właśnie do Świetlika ma największy sentyment.

– W żadnym biurze nie było takiej atmosfery i takich ludzi jak w spółdzielni – zapewnia z przekonaniem. – Owszem, nie powiem, konflikty się zdarzały, jak to między ludźmi bywa, ale nikt nikogo nie podgryzał, nie zazdrościł, po prostu byliśmy jak rodzina.

Starsza pani często wraca pamięcią do swojego ostatniego miejsca pracy, myśli, co dzieje się teraz z byłymi pracownikami, jak wyglądają i jak im się żyje.

– Nie mogę zapomnieć widoku pana Maćka Płażyńskiego – jak stoi w tym swoim czarnym sweterku z rękami w kieszeniach wypchanych forsą. Ciągle miał jakieś pieniądze, które odliczał i komuś dawał – wspomina. – Zabawny był Rysiu Milewski, pamiętam, jak śmiesznie klęczał z brodą położoną na biurku i prosił: „Pani Zosiu, potrzebuję to, i jeszcze to, da pani radę?" – śmieje się na to wspomnienie.

Choć niektórzy żartobliwie mówią do niej „babciu", dość spora różnica wieku między Surdykowską a pozostałymi pracownikami spółdzielni nie stwarza żadnych barier.

– Zupełnie mi to nie przeszkadzało, lubiłam tych łobuzowatych wesołków. Na początku to się trochę krępowali przy mnie głośno dowcipkować czy wypić kielicha. Ale ja im powiedziałam: „Mnie się obawiać nie musicie ani kryć po kątach",

i zaczęli zachowywać się zupełnie swobodnie – wspomina pani Zosia.

Jej zdaniem tak dobra atmosfera w spółdzielni to zasługa Macieja Płażyńskiego, jego osobowości. Pani Zosia wspomina jego spokój, opanowanie i cierpliwość do ludzi.

– Do Maćka wszyscy szli jak do Pani Matki, bo on nigdy nikomu nie odmówił. Czasami to byłam aż zła, że chcą go wykorzystać, zamiast sami coś załatwić. Ale z drugiej strony muszę przyznać, że na głowę nie dał sobie wejść – przyznaje. – Tak, to była ciężka praca, nie tylko fizycznie. Ciągłe kombinowanie, żeby coś załatwić, wszystkim szarpało nerwy. Może dlatego tak dbaliśmy o dobre stosunki w spółdzielni – dodaje po chwili zastanowienia pani Zosia.

# Majątek Świetlika

## Spotkanie po latach

Najbardziej świeżo mam w pamięci rocznicowy zjazd spółdzielni w Sobieszewie, w listopadzie 2008 roku. Dawno nie mieliśmy okazji spotkać się w tak dużym gronie – wspomina Elżbieta Turowiecka. Przyjechało prawie sto osób i bawiliśmy się do

Zjazd z okazji 25. rocznicy powstania spółdzielni, Sobieszewo 2008 r. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie od prawej Ewa Minkiewicz. *(fot. G. Szrejder)*



rana. Bez specjalnego mitologizowania mogę stwierdzić, że kiedyś byliśmy wspólnotą, na swój sposób wyjątkową, i to czuło się także podczas tej imprezy. Z niektórymi osobami nie widziałam się kilkanaście lat, nie wszystkich zresztą od razu poznałam; Jasiu Kopka tak się zmienił, że dopiero głos go zdemaskował, sam śmiał się z siebie. Trzeba przyznać, że czas zrobił swoje... Spotkanie było wyjątkowe i bardzo wzruszające z jeszcze jednego powodu – Ewa Minkiewicz, jedna z dłużej pracujących w spółdzielni dziewczyn, dostała bukiet kwiatów, a pamięć jej rodziców uczczono minutą ciszy. Obydwoje należeli do Armii Krajowej. Ojciec, którego Ewa nie poznała, został rozstrzelany przed jej urodzeniem, ona sama przyszła na świat w celi więziennej. Mamę Ewy, Wandę Minkiewicz, prezydent Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Wielu z nas, przede wszystkim Ewa, miało łzy w oczach. Brawo dla chłopaków za ten pomysł.

## Pod jednym dachem

Świetlik wszedł w moje życie na długo przed oficjalnym zatrudnieniem w spółdzielni (etatowym pracownikiem zostałam w 1990 roku i przepracowałam w firmie cztery lata). Z moim późniejszym mężem, Jankiem Turowieckim, poznaliśmy się w elektrociepłowni, gdzie oboje pracowaliśmy. Na początku lat osiemdziesiątych, podobnie jak większość młodych ludzi, nie mieliśmy własnego mieszkania, a wynajęcie samodzielnego kąta było poza zasięgiem finansowym. Zakotwiczyliśmy się u naszej przyjaciółki Anki Soczewińskiej, siostry Maćka, później także pracownika spółdzielni. Kolejny pokój zajmował Zbychu Gołębiewski, i to on wciągnął Janka do firmy. Żółw już wtedy należał do klubu wysokogórskiego i miał spore umiejętności alpinistyczne. Zbychu opowiadał o Świetliku, snuł plany i namawiał Janka. W nielicznej wtedy jeszcze kadrze firmy brakowało osoby z kwalifikacjami do pracy na wysokości. Decyzja nie była prosta, w elektrociepłowni zarabialiśmy całkiem przyzwoicie, a przejście Żółwia do Świetlika

wiązało się mimo wszystko z ryzykiem finansowym. Ostatecznie jednak Janek dał się przekonać, wiedzieliśmy, że w razie niepowodzenia moje wynagrodzenie pozwoli nam jakoś przetrwać. I tak zaczęły się już szczegółowe rozmowy, w których ja nie uczestniczyłam, ale szybko okazało się, że również mogę dorzucić do firmy własną cegiełkę.

## Jak górnicy

Zupełnie niespodziewanie w elektrociepłowni otworzyły się możliwości stałego zlecenia. Praca w kotłowni, zwłaszcza zimą, była trudna i momentami ryzykowna – wymagała alpinistycznych umiejętności. Węgiel, który przez specjalne urządzenia trafiał to kotłów, często zawieszał się w tych instalacjach. Żeby zachować ciągłość pracy, ludzie zawieszeni na linach oczyszczali pojemniki. Robili to zazwyczaj nieprzygotowani do tego robotnicy, w ramach tzw. funduszu młodzieżowego. Podczas jednej z robót doszło do wypadku i kierownictwo EC podjęło decyzję o zatrudnieniu ekipy z odpowiednimi kwalifikacjami. Poleciłam wtedy spółdzielnię, i tak ta całkiem intratna finansowo praca przez kilka zimowych sezonów zarezerwowana była dla chłopaków ze Świetlika. W kombinezonach, kaskach na głowie i z czarnymi twarzami wyglądali jak górnicy po szychcie.

## Więcej niż praca

W pewnym momencie z przyczyn osobistych zrezygnowałam z pracy w elektrociepłowni i zajęłam się... tkactwem. Okazało się, że jest to całkiem przyjemne hobby, które od czasu do czasu oprócz satysfakcji może przynieść również dochody. Jedna z takich tkanin, którą zrobiliśmy razem z moim szefem Henrykiem Sokalskim, do tej pory wisi na przedzamczu w Malborku. To tak na marginesie.

Ta trzyletnia przerwa dała mi możliwość głębszego wejścia w środowisko spółdzielni, z pewną grupą ludzi spędzaliśmy sporo wolnego czasu. Przede wszystkim wyjeżdżaliśmy w góry i na narty – to głównie zasługa Andrzeja Kubiaka, który te narciarskie

wypady organizował z ogromną pasją. Jeździliśmy głównie do Wisły i Szczyrku. Później Andrzej gdzieś przepadł i przejęliśmy z Żółwiem organizację wyjazdów, a także naukę narciarstwa. Przez wiele lat jeździliśmy w różne miejsca, zresztą nie tylko w Polsce, ale także we Włoszech. Grupa ciągle się rozrastała, zaczęli dołączać znajomi, żony i dzieci. Jeździła z nami Małgosia Tuskowa z małym Michałem, a Donald, pod okiem Żółwia, stawiał swoje pierwsze narciarskie kroki na Wieżycy.

## Kolejka na Kasprowy

Góry to był żywioł wielu z nas i wykorzystywaliśmy każdą okazję, żeby znaleźć się na drugim końcu Polski. Pamiętam, jak któregoś lata pojechałyśmy z Krysią Wróblewską do Zakopanego. Szóstka chłopaków, między innymi Żółw, Grześ Lipiński, Królik (Jarek Zajączkowski), Hrabia (Jarek Połoczański), malowali słupy kolejki jeżdżącej na Kasprowy Wierch. Zajmowali mały boczny pokoik u państwa Skowronków na górnej stacji kolejki. Choć wyglądało to malowniczo i trochę jak w dżungli, gdy z zawieszonymi na ramionach, pełnymi farby hobokami przedzierali się do kolejnego słupa, praca była mordercza. Prawdziwy obóz kondycyjny: w górę, w dół (trzeba było uzupełnić farbę), w górę w dół, i tak do skutku. Nic dziwnego, że wieczorem chętnie odreagowywali trudy dnia. Zlecenie było nietypowe z kilku powodów. Po pracy zjeżdżali specjalnie uruchamianą dla nich kolejką po zakupy, w tym także dla gospodarzy. Nie ma co ukrywać, iż jednym z artykułów pierwszej potrzeby był alkohol, a że był to czas prohibicji, chłopcy zaopatrywali się w pobliskiej melinie. Zdobytą wódkę zaprawiali czosnkiem. Nie wszystkim jednak ta ekstrawagancja pasowała. Psioczył zwłaszcza Hrabia, narzekając na „żydowskie komplety", w których musi uczestniczyć.

## Cena wolności

Obserwowałam tę złożoną z wielu indywidualistów społeczność z różnych perspektyw i przez wiele lat. Widziałam,

jak poszczególne osoby wrastają w środowisko spółdzielni i jak wielkie ma ona dla nich znaczenie. Duże pieniądze – owszem na pewno trzymały większość przy firmie, ale było coś więcej: zgoda na indywidualizm, własne poglądy i podejście do pracy nie do zaakceptowania gdzie indziej. Dla ludzi o często wyższej niż przeciętna inteligencji, wykonujących tak ciężką i ryzykowną pracę miało to istotne znaczenie. Tutaj, we własnym gronie, radośnie, no i jeszcze z tym kontekstem politycznym – to wszystko dawało napęd.

Ostateczna ocena czasu Świetlika zawsze będzie na plus, jednak nie da się wyretuszować rzeczy trudnych i nieprzyjemnych. Patrzyłam na rozpad kilku świetnych związków – kawalerski styl życia, mocno przyprawiony alkoholem nie sprzyjał rodzinnej harmonii. Myślę też, że burzliwe rozejście się dróg Macieja i Romana w dużym stopniu zaciążyło na firmie – runęła tak bardzo pielęgnowana idea monolitu. Pamiętam walne zgromadzenie w 1986 roku; nie pracowałam wtedy jeszcze w spółdzielni, ale pojechałam tam razem z Żółwiem. Roman Rojek dość zdecydowanie mówił o zmianie profilu firmy, o skończeniu z pewnego rodzaju socjalem, o innym podejściu do pracy i rozliczaniu się. Maciek bronił swoich powszechnie znanych racji, a Iżi, miałam wrażenie, stał na rozdrożu i trudno było mu się określić. Wiele osób zupełnie nie spodziewało się takiego biegu wydarzeń, byli zaskoczeni, że muszą się za kimś opowiedzieć, że coś pęka, że nadchodzi jakaś zmiana. Był to dla firmy trudny moment. Dla mnie, a przede wszystkim dla Żółwia, także. Janek bardzo przeżywał ten konflikt, był przecież z jednym i drugim od początku. Dużo później, w naszych prywatnych rozmowach przyznał, że linia Romana była jednak lepsza.

## Roman wizjoner

Być może, gdyby zwyciężyła wtedy opcja Romana Rojka, firma funkcjonowałaby do dziś jako spółka prawa handlowego. Wszystko, co zrobił później i co robi teraz, daje wszelkie podstawy, żeby tak myśleć. Nie jest też, wbrew pewnym opiniom,

człowiekiem tylko i wyłącznie pragmatycznym. Po rozpadzie Świetlika zaopiekował się częścią ludzi, zatrudnił ich w swojej firmie, niektórzy pracują tam do dziś. Rojek to wizjoner, człowiek o silnych cechach przywódczych, takie miałam wrażenie, słuchając go na wspomnianym walnym zebraniu. Potwierdziło to zresztą życie. Po odejściu Romana firmą zarządzał praktycznie Maciek z Iżim, i w tym tandemie to Jarek Czarniecki był dla mnie osobą trzymającą wszystko w garści. Pozornie cicho, z boku, ale wiedział, czego chce, no i potrafił to jakoś ogarnąć.

## Wszystko ma swój czas

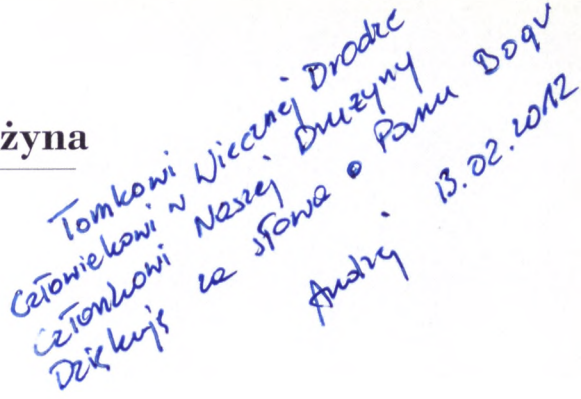
Świetlik też. Nie zapisuję się do chóru tych, którzy winą za rozpad firmy obarczają kogokolwiek. Nie wydaje mi się też, że odejście do polityki kilku czołowych pracowników spółdzielni stoczyło ją w przepaść. O tym zadecydował rynek i rodząca się konkurencja. Silny sentyment i zaangażowanie wielu z nas każe myśleć inaczej, jednak z faktami trudno dyskutować. Kiedy zatrudniłam się w Świetliku, atmosfera była jeszcze sprzyjająca, w dalszym ciągu czuło się ten niepowtarzalny klimat i porozumienie. Potem było już tylko gorzej: coraz mniej pracy, nowi, nieczujący specyfiki firmy ludzie, kłótnie i awantury o lepsze zlecenia, brak zaufania. Spółdzielnia staczała się w dół.

Moment zamknięcia firmy dla niektórych byłych pracowników nadal jest głęboką raną. Wielu z nich wrosło w środowisko spółdzielni bardzo mocno i kiedy Świetlik przestał istnieć, po prostu zawalił im się świat. Życie osobiste układało się czasem bardzo różnie, w spółdzielni czuli się doskonale. To był bardzo silny, emocjonalny związek. Nie wiem, skąd wzięły się potem opinie o rozkradaniu tego, co po spółdzielni zostało. Jednak w moim przekonaniu to właśnie ludzie byli prawdziwym majątkiem Świetlika. Każdy miał coś cennego i to stanowiło prawdziwą wartość tej firmy. Nic dziwnego, że tak trudno rozstać się z tamtym czasem.

A poza tym byliśmy młodzi...

# Nie tylko piłka

# Wierna drużyna




Spotkania zawsze zaczynają się od toastu i okrzyku: „Na pohybel komuchom!". Potem dyskutuje się już o wszystkim – obśmiewa „Dziennik telewizyjny", plotkuje o dziewczynach i o tym, że w firmie zaczynają mało płacić. Czasami bywa naprawdę ostro.

– Trzeba pamiętać, że Świetlik to w dużej mierze ludzie ze zdelegalizowanej Solidarności i z podziemia, a więc z różnych nurtów politycznych. Każdy zaś gotów był bronić swoich racji do ostatniej kropli krwi, a w każdym razie na pewno do ostatniego kieliszka – wspomina z uśmiechem Andrzej.

## Na hotelu

– To był dla mnie trudny czas, miałem dużo problemów osobistych i zdrowotnych, często popadałem w stany depresyjne, a Świetlik pomógł mi stanąć na nogi – opowiada Andrzej Kowalczys, który do spółdzielni dołączył w 1985 roku.

Wcześniej, bez większego przekonania, pracuje na poczcie. Praca doręczyciela telegramów w urzędzie we Wrzeszczu ma jedną podstawową zaletę – po prostu jest. Przed wybuchem stanu wojennego Kowalczys jest członkiem zarządu regionu NSZZ Solidarność w Gdańsku i, rzecz jasna, traci to zajęcie tuż po ogłoszeniu „wojny". Znalezienie kolejnej pracy oczywiście nie jest łatwe, wdzięczny jest więc pocztowcom, że go przyjęli, bo jak mówi: „Wtedy niebieskie ptaki trafiały do paki".

O Świetliku dowiaduje się od swoich przyjaciół, z których kilku już się w spółdzielni zaczepiło.

– Wiedziałem, że jest tam świetne towarzystwo do pracy, dobre pieniądze i wiele czwórek do brydża. Wtedy nie potrzebowałem więcej – wspomina Kowalczys.

Płock, Katowice, Jaworzno, Gliwice – to są miejsca, gdzie najczęściej świetlikowcy dostają intratne zlecenia. W dzień harówka, praca na wysokościach, a wieczorem życie „na hotelu", jak nazywali wspólne mieszkanie. Jeśli chodzi o komfort, bywa różnie. Zdarza się, że z polecenia bezpieki albo wskutek nieco zbyt „rozrywkowego" zachowania żaden normalny hotel nie chce ich przyjąć i zmuszeni są pomieszkiwać w baraczkach z dykty przytulonych do fabryk. Najczęściej dobierają się w taki sposób, żeby było czterech do brydża.

– W mojej brygadzie potrzeba było wielu umiejętności: pracować na wysokościach, pić wódkę, grać w karty i obowiązkowo w piłkę – podkreśla Kowalczys. – Pierwsze dwa warunki spełniali wszyscy – dodaje.

Po pracy rytualna kolacja z sześćdziesięciu jaj, jakieś sałatki, kilka bochenków chleba i można zacząć „zajęcia w podgrupach". Ton nadają brydżyści: niezliczone ilości roberków, licytacji, no i jedyna w swoim rodzaju atmosfera przy flaszce – prawdziwie męska rozrywka. Czasami zagrania są bardzo niekonwencjonalne, na przykład spod dużego palca.

– Jak już nic nie przychodziło do głowy, to wistowało się z karty, którą trzymało się kciukiem – trochę tak na chybił trafił – tłumaczy Andrzej.

Nie poddają się presji miłośników baśki, makao czy remika, przy brydżu czują się jak elita. Grają zresztą nie tylko wieczorem, ale też gdy pogoda jest pod psem. Kiedy pada deszcz, to z roboty nici, więc zabijają nudę kartami „we kanciapie", jak humorystycznie nazywają robocze pomieszczenie. Doskonałym brydżystą okazuje się Jurek Borowczak i Dziadek, czyli Lech Kosiak, dusza towarzystwa i wodzirej. Andrzejowi Ko-

walczysowi gra się też świetnie z Ryśkiem Sampławskim i Mańkiem Kosznickim.

– Dziś myślę, że te rozdania byłyby o wiele ciekawsze, gdyby nie alkohol, a i Maciek Płażyński rzadziej by nas odwiedzał, żeby gasić „pożary", bo fakt, trochę czasem rozrabialiśmy – wspomina Kowalczys. – Płażyński był jednak wyrozumiały i wiedział, że może nam się zdarzyć taka „niesportowa" wpadka.

## Noga i brydż

Prawdziwą pasją spółdzielców jest jednak piłka nożna. Prawie wszyscy mają piłkarskie doświadczenie zdobywane na podwórkach, a czasem także w miejscowych klubach sportowych, i naprawdę nieźle sobie radzą na boisku. Jarek Czarniecki, czyli Iżi, grywał w Sokole Sokółka, Maciek Płażyński trenował w Pasłęku i w drużynie uczelnianej, a Donald Tusk ostro kopał na boisku gdańskiej Starówki. Zresztą lista jest długa: Jerzy Hall, bracia Rybiccy, Janek Goryszewski – zawodnik Arki Gdynia i Stomilu Olsztyn. Ostoją obrony są Maciej Płażyński i Jarek Czarniecki, na bramce Heniu Frankiewicz i Robert Krygier. Pomoc to między innymi Sławek Rybicki – wielki talent piłkarski i Jurek Hall. Siwy i Sławek Lula to atak marzeń. Jednak prawdziwą furorę zrobił Aram Rybicki, który w piłkę zaczął grać po trzydziestce, na początku marnie, a z czasem rewelacyjnie. Niezły i zgrany tercet tworzą też bracia Kamińscy.

– Jak zjeżdżaliśmy z tych budów na świąteczną przerwę, to szukaliśmy pretekstu, żeby się spotkać, poimprezować i przede wszystkim razem zagrać. Tak narodziła się tradycja meczu sylwestrowego. Raptem okazało się, że to kochamy i jest fantastycznie – mówi Kowalczys. – Choć szkoda, że teraz polityka trochę napsuła – dodaje po chwili.

Rzeczywiście, kiedyś piłka była absolutnie ponad podziałami. Wtedy trzymali się razem Kongres Liberalno-Demokratyczny, Federacja Młodzieży Walczącej, ludzie ze środowiska Młodej Polski i NZS. Wszyscy wiedzieli, że ich wspólnym mianownikiem

jest Solidarność. Teraz te środowiska trochę się wymieszały, tak że konserwatyści stali się liberałami, a liberałowie konserwatystami, ale według Andrzeja Kowalczysa, najważniejsze, że ciągle grają, i to bez przerwy, od dwudziestu pięciu lat.



Jedno ze spotkań piłkarskich. Od lewej: Jan Goryszewski, Maciej Płażyński, Jan Dubiela i Andrzej Kowalczys.
*(z arch. rodzinnego E. Płażyńskiej)*

## Mecz z powyłamywanymi nogami

Najpierw skład drużyn wybierali „tip topkami". Kapitanowie stawali po przeciwnych stronach i stopa po stopie, kto kogo pierwszy nadepnął – brał zawodnika. Potem kryterium podziału był stan cywilny. Naprzeciw siebie na murawie stawali kawalerowie kontra żonaci, a że tych ostatnich z czasem

przybywało i siły stawały się nierówne, trzeba było wymyślić inny klucz, na przykład: „fizyczni" na „umysłowych".

– A tu będę trochę złośliwy – co lepszych piłkarzy prezesi Płażyński i Czarniecki dokoptowywali do rady nadzorczej, że niby umysłowi. Wiadomo, chodziło o to, żeby wygrać mecz – śmieje się Andrzej Kowalczys.

Po pewnym czasie kluczem do stworzenia drużyn był rok urodzenia, czyli grali starzy na młodych. Graniczny był rocznik 1960, i tego się trzymają do dzisiaj. Chociaż czasami młodsi grają razem ze starszymi, bo zadziałają jakieś koleżeńskie układy, ale grunt, by mniej więcej zgadzała się liczba po każdej stronie.

Andrzej Kowalczys doskonale pamięta koleje tych rozgrywek. Pierwszy mecz, jeszcze bez publiczności, w drużynach czterech na pięciu rozegrali na terenie Politechniki Gdańskiej, a potem wędrowali po boiskach AWF-u i Akademii Medycznej. Było i tak, że stadionu użyczały im kluby Stoczniowiec Gdańsk i Polonia. Grali też na głównej płycie Lechii przy ulicy Traugutta w Gdańsku Wrzeszczu. Zresztą nie tylko boiska się zmieniały, ale warunki, w jakich przyszło im grać. Zdarzało się kopać piłkę przy temperaturze plus dwanaście w koszulkach z krótkim rękawem, ale i w śniegu po kolana, w wodzie po kostki, a też podczas ostrego mrozu. Wtedy boisko robiło się betonowe i kontuzje murowane.

– Był taki jeden mecz, nie powiem, w którym to było roku, bo nie pamiętam – mówi Kowalczys – ale trzasnęły trzy nogi: Adama Sekuły, Tomka Matulańca i Mariana Kosznickiego. Na kilka miesięcy Adam i Marian musieli zapomnieć o kopaniu piłki, a Tomek nie gra do dzisiaj.

Nierzadko mecze mają dość ostry przebieg i nawet na co dzień najbardziej opanowanym zawodnikom puszczają nerwy.

– Na wygranej zależy nam tak bardzo, bo potem przez rok dokuczamy drużynie przeciwnej – żartuje Kowalczys.

Po meczu integracyjna herbatka, bigos i zaczyna się odliczanie do następnego sylwestra.

## K2

– O ile dobrze pamiętam, to był pomysł Mariusza Wilka, jednej z najbardziej twórczych osób w Świetliku – mówi Andrzej.

Na poddaszu obszernego mieszkania przy ulicy Małcużyńskiego, czyli w kolejnej siedzibie firmy, powstaje nieformalny klub o towarzysko-kulturalno-politycznym charakterze.

– Mieliśmy nawet taki pomysł, żeby przekształcić go w stowarzyszenie, ale nic z tego nie wyszło. Może i dobrze, to zepsułoby pewnie autentyczność tych spotkań – stwierdza Andrzej.

W K2 głównie się politykuje i przede wszystkim obala komunizm. Spotkania zawsze zaczynają się od toastu i okrzyku: „Na pohybel komuchom!". Potem dyskutuje się już o wszystkim – obśmiewa „Dziennik telewizyjny", plotkuje o dziewczynach i o tym, że w firmie zaczynają mało płacić. Czasami bywa naprawdę ostro.

– Trzeba pamiętać, że Świetlik to w dużej mierze ludzie ze zdelegalizowanej Solidarności i z podziemia, a więc reprezentujący różne nurty polityczne. Każdy zaś gotów był bronić swoich racji do ostatniej kropli krwi, a w każdym razie na pewno do ostatniego kieliszka – wspomina z uśmiechem Andrzej.

## Niezawodni

– Ktoś może powie, że Świetlik to tylko wiaderko, farba, pędzel i ciężka, choć dobrze płatna robota. Dla mnie to ludzie i trwałe przyjaźnie – mówi Kowalczys.

Zapewnia, że tylu ciekawych osobowości, dziwaków i indywidualistów nie spotkał nigdzie. Do głowy mu jednak wtedy nie przyszło, że wielu z nich będzie miało później taki wpływ na życie polityczne i społeczne Polski, że wisi na kominie, pije wódkę i gra w piłkę z przyszłymi ministrami, marszałkami Sejmu i Senatu, a nawet z samym premierem. Przyznaje, że Świetlik to była prawdziwa szkoła tolerancji, bo tam się akceptowało każdą inność.

– Taki Paweł Huelle na przykład, też miał spółdzielczy epizod. Pamiętam, że mył okna, z różnym zresztą skutkiem. Mówił nam wtedy, że pisze. Wierzyliśmy i nikt się Pawła nie czepiał, ale gdyby ktoś wtedy mi powiedział, że to będzie jeden z najlepszych współczesnych pisarzy, popukałbym się w czoło – stwierdza.

Wśród gości na ślubie Andrzeja Kowalczysa w 2007 roku mocną grupę stanowią świetlikowcy – jest drużyna piłkarska, Jarek Czarniecki z rodziną, świadkuje Aram Rybicki. Przyjaciele stali za nim murem zresztą już wcześniej, kiedy nie szła mu ta najważniejsza, życiowa karta.

– Jak wpieprzyłem się po uszy w alkohol, to oni wyciągnęli do mnie rękę. Mogłem wylecieć z pracy, ale tak się nie stało, dali mi szansę. Będę to pamiętał do końca życia – mówi Andrzej Kowalczys.

Elektrociepłownia III Gdynia, czerwiec 1993 r. Od lewej: Ryszard Wysocki, Robert Krygier, Zbigniew Zaborowski i Andrzej Kowalczys. *(fot. R. Sampławski)*



# Pranie pieniędzy na Mazurach

O dziwo, pieniądze w plecaku były suche, w odróżnieniu od tych, którymi płaciliśmy w taksówce. Maciek wyciągał banknoty z kieszeni i naklejał na szybę, żeby trochę podeschły. Taksówkarz był ciekawy, cóż takiego nas spotkało. Wyjaśniliśmy, że szliśmy do Sztynortu. Nastąpiła dłuższa cisza. „Po lodzie? A którędy?", zapytał w końcu. Powiedziałem, że przez Dargin, a on na to: „O, panowie, tam trzech czy czterech czeka na wiosnę, żeby, jak lody puszczą, ich zwłoki wyciągnąć".

## Kanister w plecaku

Robert Krygier pseudonim Robal do Świetlika trafia przez Żółwia, czyli Jana Turowieckiego. Znają się jeszcze ze szkoły podstawowej, dorastali na sąsiednich podwórkach przy Piastowskiej, na tak zwanym Dużym Przymorzu w Gdańsku.

– Z zawodu jestem technologiem żywności, ale najpierw zaczepiłem się w branży chemicznej i pracowałem w zakładzie Fregata w Oliwie, w magazynie, a z bocznicy kolejowej Fregaty korzystał też Polifarb Oliva i znajomy pracownik Polifarbu po sąsiedzku zawsze coś tam przemycił dla mnie. Normalnie to kupić nie można było – wyjaśnia.

Teraz, kiedy nie brakuje materiałów budowlanych, wszystkiego jest w bród, a dział zaopatrzenia to często jedna osoba, załatwiająca zamówienia przez telefon, trudno sobie wyobrazić,

jakim rarytasem były zwykłe farby czy rozpuszczalniki. W latach osiemdziesiątych brakowało dosłownie wszystkiego, a Świetlik do swojej działalności potrzebował różnego rodzaju materiałów – przede wszystkim wspomnianych farb i rozpuszczalników.

– Pamiętam, kiedy spółdzielnia wykonywała jakieś tam prace w rafinerii gdańskiej, to załatwiałem materiały. Żółw woził raz w plecaku hoboki farby, a gdy potrzebne były rozpuszczalniki, to znów przyjeżdżał do mnie, tym razem z kanistrem i coś tam z beczek ściągaliśmy, a to ksylen, a to benzynę ekstrakcyjną czy octany – opowiada.

Poza działalnością „wolnego zaopatrzeniowca" spółdzielni Świetlik Robert z pasją gra w piłkę nożną i zimą na przełomie lat 1984 i 1985 na sali gdańskiego Startu poznaje Iżiego i Maćka.

## Afera buraczkowa

Kariera Roberta Krygiera w zawodzie kucharza, którą rozpoczął w restauracji hotelu „Marina" w Gdańsku Jelitkowie, była krótka i zakończyła się burzliwie. Zbiegło się to w czasie z wizytą Wiktora Kulikowa, głównodowodzącego Wojskami Państw Stron Układu Warszawskiego, który był pierwszym gościem w tym nowo wybudowanym, jednym z najbardziej reprezentacyjnych wówczas trójmiejskich lokali. Oficjalnie poszło o buraczki, choć jak się okazało, nie one były najważniejsze.

– Pracowałem tam jako kucharz, zdaje się zwykły, czyli ani młodszy, ani starszy. Tak naprawdę byłem zły, że dostałem stanowisko na kuchni wewnętrznej, czyli robiłem posiłki dla pracowników hotelu. Może i pracy nie było za wiele, ale też żadnych szans na kulinarną twórczość, po prostu nuda, czyli bigos, cynaderki i tym podobne przeboje – wspomina.

Tuż przed świętami Wielkiej Nocy do posiłku jako dodatek były w planie zasmażane buraczki. Robert wszystko zrobił, jak trzeba, tak że wyszły po prostu palce lizać. Szef kuchni je odebrał i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Jednak po chwili powstało buraczkowe zamieszanie.

– Okazało się, że starszy kucharz przygotował na salę główną także buraczki zasmażane. Różnica polegała na tym, że to coś, co ten koleś zrobił, było niezjadliwe, po prostu obrzydliwe w smaku, kolorze i konsystencji. Szybko więc zapadła decyzja, że moje buraczki idą na salę restauracyjną, a te jego miałem jako własne dzieło wydawać pracownikom. Byłem po prostu wściekły! – opowiada Robert pełen emocji.

W konsekwencji po około dwóch tygodniach pracy, zniesmaczony, jak podkreśla, dziwacznym „układzikiem" w „Marinie", zaraz po lanym poniedziałku, Robert stawia się u szefa hotelu, oznajmiając, że nie widzi możliwości dalszej współpracy.

## Do Płocka

Kiedy emocje nieco opadają, czas zastanowić się, co dalej. Pierwsza myśl, jaka przychodzi Robertowi Krygierowi do głowy, to chłopaki ze Świetlika, udaje się więc do Wrzeszcza na ulicę Kościuszki, gdzie pod numerem 61/62 mieści się ówczesna siedziba spółdzielni. Rozmowa z prezesem Maciejem Płażyńskim jest krótka, ale owocna.

– Pamiętam, powiedziałem po prostu, że przyszedłem do pracy. Na co Maciek: „To może byś do Płocka pojechał?". A ja się zgodziłem, i tak rozpocząłem pracę w Świetliku. Wkrótce siedziałem już w pociągu z kilkunastoma tysiącami złotych, które miałem przekazać Jarkowi Połoczańskiemu, kierującemu realizacją zlecenia w płockiej petrochemii. Bez zbędnych ceregieli dołączyłem do chłopaków. Pamiętam, że jednym z pierwszych zadań było malowanie galeryjek na kolumnach rektyfikacyjnych na wydziale Olefiny 2. Jeszcze tego samego dnia przyjechał Donald Tusk, także nowy. Wtedy w Płocku pracowaliśmy razem i dzieliliśmy jeden pokój – wspomina.

Przez kilka pierwszych nocy nawet w snach pojawiają się obrazy wysokości i wariacje przeżyć związanych z jej doświadczaniem. Co innego stać na tarasie widokowym Pałacu Kultury, czując solidny kawał betonu pod nogami, a zupełnie co innego

na ażurowym podeście, zawieszonym kilkadziesiąt metrów nad ziemią, przymocowanym do wieży, która kolebie się i wygina we wszystkie strony w rytm kolejnych podmuchów wiatru.

– Na początku robota tam, na górze, to było naprawdę mocne przeżycie. Nie da się nie patrzeć w dół, bo pracujesz schylony. Pod nogami otchłań, a w dodatku wszystko się chybocze na wietrze, tak że co chwila myślisz, zaraz runie razem z tobą. Na szczęście, kiedy po paru dniach malowaliśmy z Donaldem jakieś rurki na kulce, czyli zbiorniku, w którym przechowywany jest gaz, czułem się dużo pewniej. Właściwie to był mój taki pierwszy łagodny zjazd, i potem to już poszło jak po sznurku – opowiada z uśmiechem.

## Szczeble świetlikowej kariery

Pracowników spółdzielni różni forma zatrudnienia oraz posiadane przywileje. Zasady są proste i przejrzyste. Każdy wie, że etat jest dla „ostro zjeżdżającego", nie dla „kapelucha". Poza tym trzeba wypracować ponad dwieście godzin na górze, a jeszcze więcej w ogóle, aby awansować na członka spółdzielni i mieć prawo głosu, czyli współdecydować o jej losach. Wbrew pozorom nie jest tak prosto i łatwo ów wymagany limit godzin przekroczyć, ponieważ liczy się jedynie konkretna praca na wysokości, nie zaś czas poświęcony na działania przygotowawcze.

– Czasami człowiek cały dzień spędził w pracy, a tych godzin, które liczyły się do etatu, uzbierał zaledwie cztery czy pięć. Z tego powodu nawet trzy miesiące mogło zająć wyrobienie wymaganej normy – wyjaśnia Robert Krygier.

W połowie października, czyli prawie pół roku od chwili zatrudnienia, Robert ma już etat, ale chce zostać członkiem spółdzielni. W jego wypadku prezes Płażyński wyznacza niekonwencjonalne zadanie specjalne.

– Maciej powiedział, że przyjmie mnie, jeśli zrobię firmową wigilię. I zrobiłem. Były ryby w galarecie, śledzie w occie i w oleju. Większość potraw przygotowałem sam, ale sałatka

warzywna dla kilkudziesięciu osób była dziełem zespołowym. Przy krojeniu pomagały dziewczyny – Basia Chodnikiewicz i Asia. Potem inicjatywę przejął Olek Błochowiak. Najpierw próbował wymieszać wszystko łyżką, ale szybko się wkurzył, zakasał rękawy, umył ręce po łokcie i zanurzył w wielkim wiadrze z warzywami. Raz dwa i było gotowe – opowiada, śmiejąc się do wspomnień.

## Na skróty do Sztynortu

Jest styczeń 1986 roku, w miejscowości Sztynort na Mazurach od dwóch dni trwa obóz kondycyjny pracowników Świetlika. W drodze są jeszcze Maciej Płażyński, Jan Kaczyński i Robert Krygier. Wiozą pieniądze na wypłaty i bieżące wydatki związane ze zgrupowaniem. Wysiadają z autobusu w Giżycku i ruszają w stronę Sztynortu. Maciek z Kaczorem wpadają na pomysł, żeby uatrakcyjnić eskapadę i pójść na skróty po lodzie. We trzech wchodzą na jezioro Kisajny i bez problemów docierają przesmykiem na Dargin – oba zbiorniki wodne znane są jako część jeziora Mamry, jednego z największych w Polsce. Szybko zapada zmrok, a w końcu robi się zupełnie ciemno. Wkrótce wędrowcy nie wiedzą nawet, czy idą we właściwym kierunku. Podążają więc w stronę migających w oddali światełek, obiecujących brzeg i ciepłe schronienie. W ciemności nie mogą także zobaczyć, że jezioro nie jest do końca zamarznięte.

– Szedłem trochę z tyłu, kiedy nagle poczułem, że lód pęka pode mną, a ja lecę w dół, zalewany lodowatą wodą. Nawet nie byłem w stanie krzyknąć. Udało mi się jakoś ściągnąć z siebie plecak z klamotami – relacjonuje Robert Krygier. – Na szczęście była odwilż i ten lód, może grubości palca, był elastyczny, nie kruszył się, i pomału udało mi się wsunąć z powrotem na taflę – dodaje po chwili.

W tym samym czasie Maciej z Janem są już kawałek dalej i nie mają pojęcia, co się przydarzyło ich kumplowi. Ten ostatni próbuje krzykiem nakłonić, by zawrócili. Na próżno. Przemoczony do suchej nitki Robert mobilizuje wszystkie siły

i w końcu dochodzi do nich. Decydują się zawrócić do brzegu, z którego wyruszyli.

## Instruktaż Kapitana Żbika

Dygocący z zimna i strachu Robert usiłuje ustalić, z której strony trzeba obejść miejsce, gdzie załamał się pod nim lód. Padają zadawane nerwowo pytania. Z lewej czy z prawej strony ominąć przerębel? W końcu decydują, że pójdą z lewej. Niedobrze. Tam lód jest jeszcze bardziej cienki. Pierwszy wpada Maciek.

– Pamiętam, cały się zanurzył i tylko w ostatniej chwili złapał się ręką za krawędź lodu. Potem usłyszałem brrruuu, i zobaczyłem Jasia już prawie pod wodą, ale i jemu, na szczęście, udało się utrzymać z głową ponad lodem. Szybko zrzuciłem plecak i położyłem się, rozkładając ręce i nogi płasko jak pająk. Czułem, że mi się woda zbiera pod brzuchem, ale jeszcze nie tonąłem, więc było OK. Zacząłem myśleć i kombinować, co dalej począć. W dzieciństwie namiętnie czytałem komiksową historię o dzielnym milicjancie kapitanie Żbiku, i tam na końcu każdej książeczki były instrukcje, co robić, na przykład kiedy ktoś tonie... no i ta wiedza w tamtej chwili wróciła do mnie... Na szyi miałem szalik, więc go szybko ściągnąłem i rzuciłem Jasiowi, który łokciami opierał się już o lód i był dość blisko mnie, bliżej niż Maciek. Powiedziałem do niego, by złapał szalik, że wyciągnę go na powierzchnię. A Jaś na to, tak kurtuazyjnie, chyba był w szoku, że poczeka, niech Maciek wyjdzie pierwszy – śmieje się. – Wreszcie, kiedy już obaj byli na górze, odpełzliśmy od tego feralnego miejsca, potem na czworakach, a przy brzegu, gdzie lód był dużo grubszy, ruszyliśmy w te pędy. I byliśmy uratowani – opowiada Robert Krygier poruszony dramatycznymi wspomnieniami.

## Przyjaciela poznaje się w biedzie

– Oszołomieni radością cudownego ocalenia ruszyliśmy po śniegu w kierunku najbliższej chaty, w oknie pobłyskiwała

niebieskawo poświata od telewizora – kontynuuje swoją opowieść Krygier. – Ze środka dochodziło wściekłe ujadanie psa, ale kiedy zapukaliśmy do drzwi, światło zgasło, a pies przestał szczekać. Było ciemno i cicho, jak makiem zasiał. Poszliśmy więc dalej, aż w ciemności zaczęły majaczyć budynki popegeerowskie. Weszliśmy na klatkę schodową, żeby trochę odtajać w cieple. Z góry zeszła do nas starsza kobieta, zaciekawiona, kogo to przyniosło w środku nocy. Opowiedzieliśmy o swojej przygodzie, a ona zaprosiła nas do mieszkania i poczęstowała gorącą herbatą. Tam poczekaliśmy na taksówkę. Trochę to trwało, do Giżycka kawał drogi. Resztę nocy spędziliśmy w hotelu. Kiedy emocje trochę opadły, dotarło do nas, że na lodzie został plecak Maćka, a w nim kasa na co najmniej kilka wypłat. W sumie kupa pieniędzy, tak że na wynajęcie helikoptera do pracy spokojnie by starczyło, a może jeszcze coś by zostało. Poza tym w plecaku zostały ubrania Maćka. Na szczęście ja i Jaś mieliśmy trochę suchych ciuchów, więc się z nim podzieliliśmy. Tylko nie mieliśmy dodatkowych butów na zmianę i Maciek poszedł do hotelowej restauracji w samych skarpetkach – śmieje się Krygier.

## Mokra wypłata

Następnego dnia rano Maciek z Janem rozważają ponowienie próby przejścia do Sztynortu szlakiem przez jeziora, ale Robert skutecznie oponuje. Na miejsce docierają autobusem. Dwa dni później rusza wyprawa po plecak z pieniędzmi. Chłopcy zabierają narty biegowe, sznurki, jakieś linki.

– Wyjechali zaraz po śniadaniu, a tu obiad i wciąż ich nie ma, więc zmontowałem ekipę ratunkową – opowiada dalej Robert. – Na szczęście okazało się, że wszyscy cali i zdrowi świętowali odbicie plecaka. Oczywiście ochoczo dołączyliśmy do zabawy. Wśród nas był jeden z tych, dla których wieźliśmy kasę, i Maciek wypłacił mu pensję. O dziwo, pieniądze w plecaku były suche, w odróżnieniu od tych, którymi płaciliśmy

w taksówce. Maciek wyciągał banknoty z kieszeni i naklejał na szybę, żeby trochę podeschły. Taksówkarz był ciekawy, cóż takiego nas spotkało. Wyjaśniliśmy, że szliśmy do Sztynortu. Nastąpiła dłuższa cisza. „Po lodzie? A którędy?", zapytał w końcu. Powiedziałem, że przez Dargin, a on na to: „O, panowie, tam trzech czy czterech czeka na wiosnę, żeby, jak lody puszczą, ich zwłoki wyciągnąć".



Obóz kondycyjny w Sztynorcie, luty 1986 r. Robert Krygier następnego dnia po „topieniu się" w jeziorze Dargin, w drodze z Nowego Harszu do Sztynortu.
*(fot. J. Kaczyński)*

## „Kurkowa"

– O ile dobrze pamiętam, pomysł na własną knajpę Świetlika wyszedł od Mirka Rybickiego, którego znajomy był we

władzach SARP-u (Stowarzyszenia Architektów Polskich). To chyba było na początku 1989 roku – usiłuje odtworzyć początki historii „Kurkowej" Robert Krygier.

Architekci mają wtedy pod sobą siedzibę przy Złotej Bramie w Gdańsku i całkiem ładne pomieszczenie w podziemiach Strzelnicy św. Jerzego, w sam raz nadające się na miejsce spotkań. Lokal ma początkowo prowadzić Robert, jednak nie może się dogadać z szefami firmy co do warunków prowadzenia „Kurkowej". Po krótkich przepychankach i nieudanych negocjacjach rezygnuje z prowadzenia lokalu.

– Koniec końców znaleźliśmy trochę salomonowe rozwiązanie i ostatecznie knajpą zawiadywała moja żona, która jakoś dogadała się z Mirkiem i Iżim, a ja od czasu do czasu tylko coś tam upichciłem, że nie wspomnę o konstruowaniu napitków – śmieje się Robert.

Od początku założenie jest takie, że będzie to lokal niedostępny dla ludzi z ulicy, tym bardziej że nie działa do końca legalnie. Osoby z zewnątrz musiały być wprowadzone przez kogoś ze spółdzielni.

– Podobne zasady obowiązywały architektów z SARP-u – dodaje Krygier.

Jeśli chodzi o liczbę gości, to bywa różnie. Czasem lokal świeci pustkami, ale kiedy ceny alkoholu są w „Kurkowej" niższe niż w sklepie, wtedy, jak relacjonuje Robert Krygier, odbywają się naloty na knajpę, jest tłoczno i gwarnie. Praktykowanym w „Kurkowej" zwyczajem są tak zwane „zapisy zeszytowe", czyli sprzedaż na kredyt.

1 stycznia 1990 roku lokal przejmują Maniek Kosznicki, Andrzej Kowalczys, Sławek „Poldek" Wejner i Wojtek Czerwiński „Czerwik". Ten ostatni najdłużej z nich wszystkich, bo według Roberta chyba przez dwa i pół roku ciągnie ten gastronomiczny interes.

– Na pewno tam właśnie odbyło się sympozjum pod tytułem „Zagospodarowanie Wyspy Spichrzów", a także pierwsze




*(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*

opicie powstania miesięcznika „Młoda Polska". Jeśli zaś mowa o gościach spoza firmy, to czasami wpadała tam Grażyna Łobaszewska i Mietek Szcześniak – kończy swoją opowieść o „Kurkowej" Robert Krygier.

## Robalówka

Historia tego zacnego trunku, znanego bywalcom „Kurkowej", z pewnością bierze swój początek w zamiłowaniu i talencie Roberta Krygiera do mieszania w garnkach i tworzenia wyśmienitych smaków i zapachów. Jednak jest ciekawostką, że niebagatelny udział w powstaniu jego słynnych alkoholowych „wynalazków" ma także betokson – środek do hormonizacji pomidorów, czyli po prostu sztuczny zapylacz. A wszystko zaczęło się we wspomnianych już chemicznych zakładach Fregata w Oliwie. Tam swego czasu Robert Krygier miał dostęp do zwrotów betoksonu, którego główny składnik stanowił kwas 2-naftoksyoctowy. W pierwotnej wersji, jeszcze w latach siedemdziesiątych, była to zawiesina tegoż kwasu w spirytusie. Preparat sprzedawano w szklanych buteleczkach o pojemności 250 ml, a środek do hormonizacji był bardzo wydajny i jedna buteleczka starczała na wiele, wiele oprysków. W związku z tym dużej ilości tego środka nie sprzedano i po paru latach butelki w olbrzymich ilościach zaczęły wracać do wytwórcy, to znaczy Fregaty. Ponieważ zwroty faktycznie nie były ewidencjonowane, a osłona akcyzowa ze strony urzędu skarbowego była żadna (wszak już raz akcyza była naliczona), powstał problem, co z tym zrobić. Spore ilości przelewano do dwustulitrowych beczek, ale wkrótce zaczęło brakować miejsca w magazynach. Ktoś w końcu zaczął się zastanawiać, czy może da się jakoś „odzyskać" to, co w zwróconym betoksonie najcenniejsze. No i rzeczywiście, dawało się jak najbardziej. Wystarczyło tylko ten specyfik wprowadzić do tradycyjnej machiny destylacyjnej, utrzymać odpowiednią temperaturę i czysty spirytus, taki 96%, skapywał sobie powolutku.

W ten oto sposób Robert Krygier ma w domu zapas jakichś dwudziestu, może dwudziestu pięciu litrów odzyskanego spirytusu. Robi z tego różne nalewki, najczęściej likier wiśniowy lub krupnik litewski. Pod nazwą „robalówka" początkowo kryją się więc różnorakie produkty alkoholowe wyrabiane przez Robala. W późniejszym czasie, jako że wiśniówka jest nalewką terminową, wytwarzaną tylko latem ze świeżych owoców, a krupnik jest zbyt ciężki, Krygier tworzy oryginalną robalówkę, czyli – jak sam określa – „coś łatwiejszego, może skromniejszego, ale za to dostępnego o każdej porze roku". Koniec

Na 150-metrowym kominie rafinerii gdańskiej. Od lewej: Robert Krygier, Grzegorz Fręczkowski i Jan Kóż.
*(fot. J. Błochowiak)*



końców właśnie do tego ostatniego trunku przylgnęła na stałe wspomniana nazwa. Ale oddajmy głos twórcy.

– Aby otrzymać dwa i pół litra nalewki, potrzebne są następujące składniki: litr spirytusu, trzy – cztery cytryny, trzy – cztery kawałki kory cynamonu, pół lub cała gałka muszkatołowa, cztery goździki, około pół kilograma miodu i opcjonalnie jedna gwiazdka anyżu. Najpierw do garnka wlewa się wodę, dodaje miód, pokruszoną korę cynamonu, pokruszoną gałkę i goździki oraz startą skórkę z cytryn, wcześniej dobrze wyszorowanych i sparzonych. Następnie podgrzewa się tę miksturę powolutku i od momentu „mrugnięcia", pod przykryciem, na małym ogniu gotuje jakieś pięć minut. Potem trzeba zestawić garnek z ognia i dodać sok z otartych cytryn, i odstawić na kolejne dziesięć do piętnastu minut. Na koniec wszystko się przecedza przez gęste sitko i dodaje spirytus, miesza dość dokładnie i przelewa do butelek. Można pić po ostudzeniu czy jeszcze lepiej zamrożeniu, a najlepiej poczekać z degustacją kilka dni, aby wszelkie fusy opadły na dno, płyn się sklarował, a trunek przeszedł lepszym aromatem i smakiem, czyli się przegryzł. Ot, i cała tajemnica robalówki – śmieje się Robert.

# Niepokorni

# Spółdzielnia Gdańsk – schronienie dla opozycji w stanie wojennym

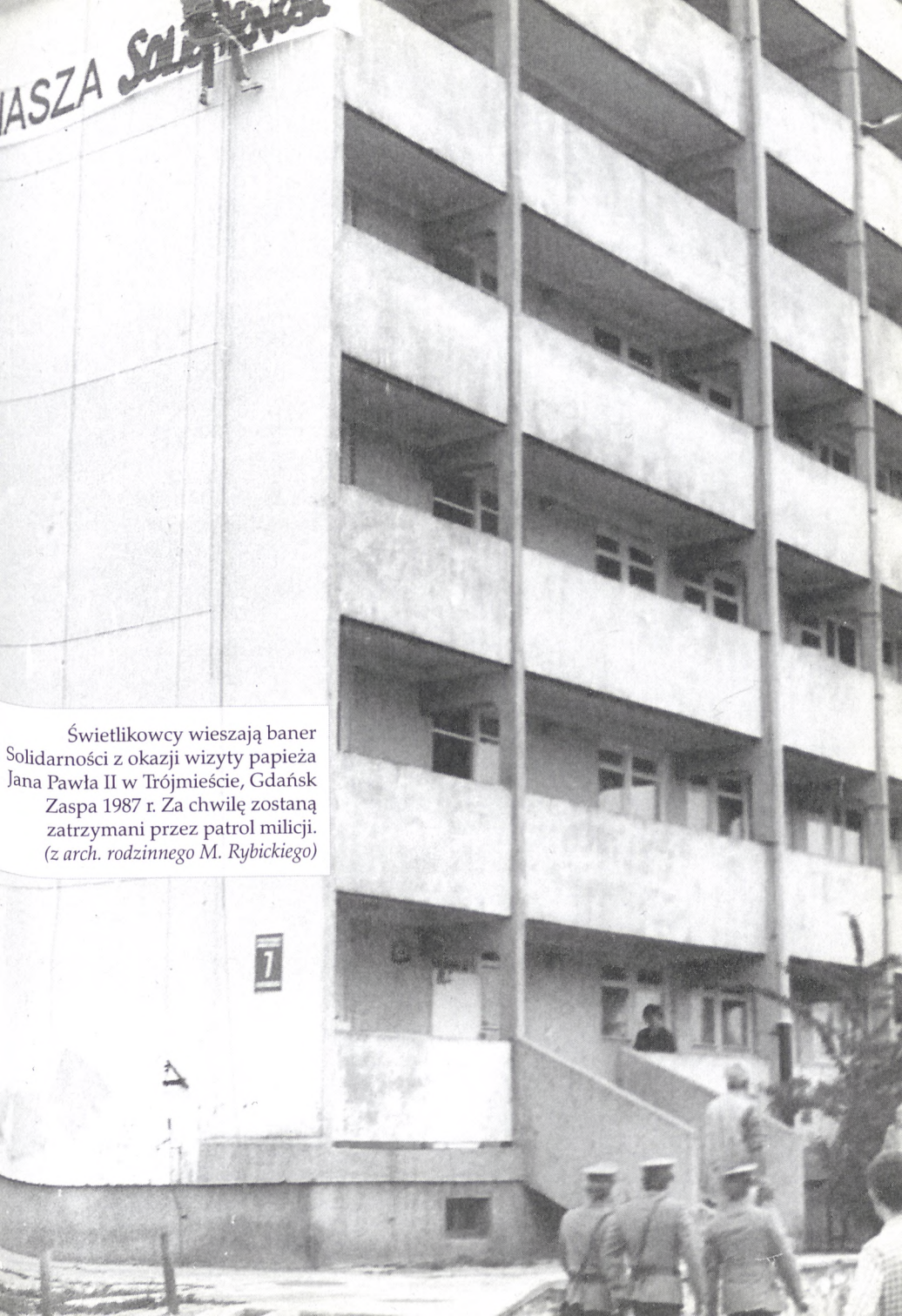
Swoją przygodę ze Świetlikiem zacząłem bardzo późno, bo dopiero w 1988 roku – wspomina Czesław Nowak. Znałem jednak wielu pracujących tam ludzi, podobnie jak ja, działaczy podziemia i Solidarności. Prędzej czy później takie polityczne zaangażowanie skutkowało wyrzuceniem z pracy lub czymś jeszcze gorszym – więzieniem. Sam doświadczyłem obu tych represji; do więzienia trafiłem dwukrotnie, w 1982 i w 1988 roku. W konsekwencji w urzędzie pracy byłem niemile widzianym gościem.

W 1988 roku pracowałem w spółdzielni Przyszłość, z której zmuszony byłem odejść (sugestia prezesa), namierzony przez esbecję. Wiedziałem, że na legalne zatrudnienie nie mam szans, tymczasem utrzymać musiałem pięcioosobową rodzinę. Na szczęście furtka spółdzielni (już wtedy Gdańsk) otwarta była również dla mnie, z czego skorzystałem.

Jako że miałem już swoje lata, nie malowałem kominów i nie pracowałem na wysokościach – byłem tak zwanym pracownikiem gospodarczym. Patrząc na przepracowany w spółdzielni czas (odszedłem po niecałym roku, zostając posłem na Sejm), mógłbym powiedzieć, że to tylko epizod. Jednak przecież znałem to środowisko od lat i z wieloma spółdzielcami utrzymywałem dość ścisłe kontakty. Oprócz mnie pracę w Świetliku znaleźli też inni represjonowani portowcy – Jan Hałas, Marek Ritter i oczywiście Antoni Grabarczyk.

Grabar, jak go nazywaliśmy, to postać absolutnie wyjątkowa, człowiek niezwykle konsekwentny w swoich poglądach i antykomunistycznym nastawieniu. Pokazał to już w grudniu 1970 roku, kiedy będąc w wojsku, odmówił wyjścia na ulice przeciwko ludności. Antek z ówczesną władzą zadzierał bez przerwy i był przez nią znienawidzony. Wielokrotnie dawał im w kość, za co był zwalczany z wyjątkową bezwzględnością. Wyrokiem Sądu Marynarki Wojennej dostał siedem i pół roku więzienia, a potem w areszcie śledczym na Kurkowej został mocno pobity za „podżeganie" więźniów do strajku głodowego. Zapłacił za to dwudziestopięcioprocentową utratą zdrowia. Grabar to był dopiero „człowiek z żelaza". Jak tylko wyszedł z więzienia, znowu działał, wiedział, że tak trzeba. Był też bardzo związany ze spółdzielnią. Jak mógł już wrócić do portu, to tego nie zrobił, został w Świetliku i był firmowym kierowcą, woził też po kraju Maćka. Kiedy w listopadzie 2007 roku zmarł, na jego pogrzeb przyszło z wieńcami wielu kolegów ze spółdzielni. Maciej Płażyński żegnając go, przeczytał list od Prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

To, że spółdzielnia jest schronieniem dla opozycji, wiedzieli oczywiście wszyscy. Było to w pewnym sensie „gniazdo szerszeni", któremu bacznie przyglądała się esbecja. Przecież pracowali tutaj ludzie skazani wysokimi wyrokami, członkowie komisji zakładowych Solidarności. Służba bezpieczeństwa liczyła chyba na to, że mając działaczy podziemia i byłych więźniów w jednym zakładzie, łatwiej będzie ich kontrolowała. Szybko jednak okazało się, że jest to bardzo trudne, bowiem spółdzielnia, rozszerzając zakres działalności na cały kraj, stała się rozsadnikiem solidarnościowego oporu. Pracownicy spółdzielni docierali do wielu zakładów i miast. Nie przywozili tylko lin, farb, pędzli i innego sprzętu potrzebnego do pracy. Przywozili ducha oporu: rozdawali ulotki, książki, które były na indeksie, malowali hasła, a transparenty o treści antykomunistycznej zawieszali wysoko na różnych konstrukcjach.




Świetlikowcy wieszają baner Solidarności z okazji wizyty papieża Jana Pawła II w Trójmieście, Gdańsk Zaspa 1987 r. Za chwilę zostaną zatrzymani przez patrol milicji. *(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*

To pracownicy spółdzielni wspierali działalność swoich dawnych zakładów pracy, wspierali strajki na terenie Wybrzeża, na przykład w stoczniach i portach w 1988 roku.

Gdybym miał wymienić dwa najważniejsze nazwiska, które zapamiętałem z tamtego okresu, wymieniłbym organizatorów spółdzielni Świetlik: Macieja Płażyńskiego i Romana Rojka. Kiedy upadł PRL w 1989 roku, wielu ludzi wróciło do swoich macierzystych zakładów pracy. Niektórzy, w tym ja, poszli do Sejmu czy rządu. Maciej Płażyński został wojewodą, a Roman Rojek stworzył znany dziś Atlas. Każdy z nich ma swoje zasługi. Maciej Płażyński był marszałkiem Sejmu, wicemarszałkiem Senatu, obecnie jest posłem i prezesem Wspólnoty Polskiej. Roman Rojek doktoryzował się i umacniał firmę Atlas, nie tylko w kraju, ale i za granicą. On ma w sobie ten charakter społecznika w dawnym znaczeniu. Jego firma utworzyła specjalną fundację. Kilka lat temu ofiarował Gdańskiej Kurii wybudowane hospicjum, pomagał powodzianom, dziesięć lat temu jego firma wyremontowała jacht pułkownikowi Ryszardowi Kuklińskiemu, a w 2008 roku wsparł finansowo realizację projektu tablicy ku czci tego wielkiego patrioty, w Bazylice Mariackiej. Wymieniłem te inicjatywy Romana Rojka, o których wiem.

Różnie potoczyły się losy ludzi związanych ze spółdzielnią. Wielu trafiło do polityki, a niektórzy, niestety, nie odnaleźli swego miejsca w nowej rzeczywistości. Jednak spotykają się co roku w sylwestra, aby rozegrać mecz piłki nożnej, a po meczu, przy piwie, wspominają dawne czasy i kolegów, z którymi dzielili trudny czas stanu wojennego. Kiedy żył jeszcze Antoni Grabarczyk, kilka razy byłem z nim na tych meczach, bo Antek chyba żadnego z nich nie opuścił. Spółdzielni był wierny do końca życia.

# Barwne ptaki

– „Robiłem" wtedy Teatr Muzyczny w Gdyni, kitowanie i malowanie okien, żadnych rozpuszczalników, żadnego babrania się, piękna robota – rozmarza się Jerzy Borowczak. – Jest lipiec, może sierpień, słoneczko grzeje, dziewczyny, no te, tancerki dookoła, a ja w samych gatkach pracuję... po prostu super zlecenie. A tu pstryk, dzwoni Płażyński i mówi: „Borówa, jedziesz do Kędzierzyna-Koźla, tam jest komin do zrobienia".

## Bez prawa do pracy

W gabinecie Jerzego Borowczaka, dziś dyrektora Fundacji Centrum Solidarności, zamieszanie. Dwóch podobnych do niego kilkunastoletnich synów okupuje komputer.

– No, wymiatajcie stąd, będę przesłuchiwany – żartuje.

Na początku lat osiemdziesiątych Jerzy Borowczak, pseudonim Borówa, za swoją opozycyjną działalność ma zakaz stałej pracy w całym województwie gdańskim. W sierpniu 1980 roku jest jednym z organizatorów strajku na terenie stoczni. Za karę zostaje z niej wyrzucony, a próby zdobycia legalnego zajęcia spełzają na niczym. W biurze zatrudnienia przy Piwnej wciąż ta sama informacja: „Dla pana pracy nie mamy". Borowczak należy do elitarnego towarzystwa „wykluczonych", a siedem dużych zakładów na terenie województwa gdańskiego ma zakaz przyjmowania takich, czyli osób z etykietką opozycjonisty.

Kilkakrotnie próbuje zakaz obejść, raz nawet skutecznie. Jerzemu Borowczakowi pomaga wtedy ówczesny dyrektor Budimoru, Ryszard Rynduch, który zatrudnia go jako kierowcę. Początkowo ma jeździć ciężarówką po Polsce, jednak namawiany przez Rynducha wozi polonezem jednego z szefów.

– To było mniej męczące i bardziej unormowane zajęcie, więc zgodziłem się – wyjaśnia.

Szybko okazuje się, że przedobrzyli; praca wymaga wjazdu na tereny stoczniowe, gdzie Borowczak, mówiąc delikatnie, nie jest mile widziany. Pracuje jedenaście dni i rezygnuje, bo wie, że na kłopoty naraża już nie tylko siebie. Potem zatrudnia się w gdańskim oddziale Hydro Geo Kraków – wszystko legalnie, jak trzeba, pracuje poza województwem, ale kontakty z Trójmiastem ma. Już wtedy koledzy ze Świetlika namawiają go do współpracy, jednak długi czas się ociąga.

– Miałem taki wybór: przyjść do spółdzielni i włóczyć się razem z chłopakami albo pojechać na kopanie studni głębinowych do Szczecina. Za dobrze ich znałem i wiedziałem, że kawalerskie życie w bardzo rozrywkowym towarzystwie nie sprzyja łączeniu rodzin – wspomina Borowczak.

Zostaje w Szczecinie, jednak od czasu do czasu przyjeżdża do Gdańska i łapie jakieś zlecenia, ale o Świetliku na stałe jeszcze wtedy nie myśli. Zresztą tych fuch nie ma zbyt dużo.

## Nietypowe zlecenie

Z początków pracy w spółdzielni Borowczak dobrze pamięta jedno zdarzenie. Kiedyś dzwoni do niego nieżyjący już Janusz Błaszkiewicz z prośbą o pomoc przy „urządzaniu kwatery".

– Przekonany byłem, że to malowanie mieszkania, łatwa robota, no i jakieś pieniądze, więc od razu się zgodziłem.

Kierowca, który ma ich zawieść na miejsce, przyjeżdża małym fiatem z przyczepką, na której leży taczka i łopaty. Trochę się dziwią, że do malowania taki sprzęt, ale tak jest i tyle. Zagadka wyjaśnia się na gdyńskim cmentarzu. Kwatera do

urządzenia okazuje się sporych rozmiarów grobowcem, który muszą wykonać.

– Patrzę na Janka, on na mnie, w końcu mówię do gościa: „To miało być mieszkanie do malowania, po co pan nas tu przywiózł?".

W odpowiedzi słyszą, że to właśnie jest ta robota. Nie ma wyjścia, zaczynają pracę. Jak jeżdżą taczkami między grobami, czują na sobie nienawistne spojrzenia i niewybredne komentarze w stylu: grabarze , krwiopijcy, ile sobie każecie płacić za wykopanie dołu? Janusz Błaszkiewicz załamuje ręce i tłumaczy, że nie są grabarzami, że to tylko raz, w ramach luzów produkcyjnych.

## Komandos na linach

Etatowym pracownikiem Świetlika Jerzy Borowczak zostaje w 1985 roku. Na początku nie ma do tej pracy większego przekonania. Studwudziestometrowy komin, na który trzeba wciągać trzy czy cztery tony farby, naprawdę jest wyzwaniem. Nie tak jak dziś – wciągarka, tylko wszystko trzeba było robić „na piechotę". Zapał studzi też kompletny brak profesjonalnego sprzętu. Liny do namiotów kupowane w sklepie sportowym zastępują liny alpinistyczne, a to przy pracy na wysokościach naprawdę duże ryzyko.

– Do historii przejdzie słynna ławeczka Płażyńskiego – śmieje się Borowczak. – To cud, że nic mu się nie stało. Względnie normalna ławeczka alpinistyczna powinna mieć przede wszystkim dobre, mocne liny. Siedzi się na niej, a po bokach przyczepia dwa hoboki z farbami. Maciek zawiesił swoją chyba na nitkach. Jak to zobaczyłem, złapałem się za głowę i zapytałam, czy to w ramach żartu. Ławeczka prezesa pozostawała w firmie na pamiątkę jeszcze przez długi czas – dodaje Borowczak.

Tak więc początki były trudne. Jednak dla byłego komandosa jednostki specjalnej z półrocznym stażem na Bliskim Wschodzie nie ma rzeczy niemożliwych. Uruchamia wyobraźnię i zaczyna



Obóz szkoleniowy w Jeleniej Górze, sierpień 1987 r.
Wspina się Ryszard *Imos*
*(fot. B. Krygier)*

działać: ósemkę do zjeżdżania robi ze zwykłego drutu, ławeczkę wycina ze sklejki, a resztę potrzebnych przedmiotów, czyli liny i karabinki, organizuje na własną rękę – głównie przemyca je z Czechosłowacji. Profesjonalny sprzęt pojawia się dużo później – jest kupowany od GOPR-u, który pomaga też przy szkoleniach w górach, gdzie przechodzą zjeżdżanie głową w dół, trawersowanie i zjazd na linach.

## Szklana robota

Największe zlecenie brygada pod wodzą Jerzego Borowczaka dostaje w Toruniu. W Elanie, potężnym zakładzie produkującym włókna sztuczne wybucha reaktor. Trzeba wstawić nowe szyby. Praca jest pilna, ale dobrze płatna. Jadą silną ekipą: Jasiu Kaczyński, Siwy, czyli Marek Gąsiorowski, Mirek Rybicki, Jurek Kowalski i Mariusz Wilk.

– To była niewdzięczna robota, bo trzeba było te szerokie na dziesięć i wysokie na dwadzieścia metrów szyby najpierw ciąć na metrowe paski i potem kleić, a przecież nikt z nas nie był szklarzem – wspomina Borowczak.

Tną i klną pod nosem, bo paski pękają. W końcu znajdują w mieście fachowca, który za konkretną gotówkę wycina odpowiednią liczbę pasków. W Toruniu są ponad miesiąc – uczą się szklić, kitować i... sporo zarabiają. Dwie pensje wystarczają, żeby opłacić wynajmowane mieszkanie za cały rok z góry.

– To były naprawdę fajne pieniądze – uśmiecha się Borowczak.

## Komin, że głowa boli

– „Robiłem" wtedy Teatr Muzyczny w Gdyni, kitowanie i malowanie okien, żadnych rozpuszczalników, żadnego babrania się, piękna robota – rozmarza się Jerzy Borowczak. – Jest lipiec, może sierpień, słoneczko grzeje, dziewczyny, no te, tancerki dookoła, a ja w samych gatkach pracuję... po prostu super zlecenie. A tu pstryk, dzwoni Płażyński i mówi: „Borówa, jedziesz do Kędzierzyna-Koźla, tam jest komin do zrobienia".

Sytuacja jest nieco kłopotliwa, bo to już kolejne podejście do tej konstrukcji – wcześniejsze ekipy nie dały rady. Zakładowy mechanik wiesza na nich psy, wymyślając od najgorszych. Po cichu odgryzają się na Maćku Płażyńskim.

– Co podkusiło tego humanistę bez technicznej wyobraźni, żeby się pakować w taką robotę? – wspomina Borowczak.

Nie ma jednak rady – cztery „olbrzymy" czekają. Trzeba zaobrączkować kominy i pomalować trzydzieści walczaków – tak nazywali owalne zbiorniki. Sprawa wydaje się na pozór prosta, robili to przecież nie raz. Tutaj jednak trudność polega na tym, że odległości między jedną a drugą obręczą na kominie są prawie trzymetrowe, a elementy bardzo ciężkie. Do tego robota strasznie brudna i toksyczna. Wszystko kapie, odpada, chemikalia trują.

– Czego się człowiek nie dotknął, już był brudny – wspomina Borowczak.

Tomasz Matulaniec i Marek Zająkała w Kędzierzynie-Koźlu.
*(fot. A. Jodel)*



Inne ekipy próbowały robić podwieszane rusztowania od góry, nic to jednak nie dało. Kędzierzyn staje się dla Borowczaka sprawą honorową. Żeby nie marnować czasu, wpuszcza część ekipy do blachowni, chłopaki malują walczaki, a on sam rysuje i kombinuje. I tutaj ponownie przydaje się jego wojskowe doświadczenie. Małpie gaje, liny, toporki i spryt komandosa zaczynają działać. Patent, który wymyśla Borowczak, staje się niezawodny. Co kawałek wiercą w kominie dziury i zakładają haki, na których kładą jedną część obręczy, i dalej do góry na odpowiednią wysokość. W jeden dzień połowa komina jest gotowa. Następnego dnia zakładają drugą i zaciskają na kominie. Obręcze z jednej strony malują na jaskrawoczerwony kolor, tak żeby rzucały się w oczy. To prezent dla pilnującego zlecenia mechanika, który już od progu posyła im standardową wiązankę niecenzuralnych przebojów.

– Mówię do niego: „Niech pan się uspokoi i zobaczy, bo warto". Złamanego grosza by za nas nie dał, a my mu taki numer wycięliśmy – wspomina z rozbawieniem Borowczak.

## Gorący maj

Jerzy Borowczak po raz kolejny pokazuje swój polityczny pazur. W stoczni robi się coraz bardziej gorąco, strajk wisi w powietrzu. Przygotowuje się do niego również ekipa ze Świetlika, choć wiosna i lato w ich branży to prawdziwe żniwa.

– Jestem przekonany, że gdyby nie my, do tego protestu by nie doszło – twierdzi Borowczak. – Stoczniowcy wtedy sporo zarabiali, mieli niezłe socjalne udogodnienia, po co ryzykować. A my byliśmy ludźmi, którzy już wszystko przeszli. Raz na wozie, raz pod wozem, taki życiowy hazard chyba nam odpowiadał – dodaje.

Przymiarki do protestu trwają już od stycznia. Najpierw próbują jednak założyć jawny komitet Solidarności. Borowczak uważa, że na strajk jeszcze za wcześnie. Jednak dopinguje go Witek Merkel i inni. W lutym udaje się powołać pierwszy komitet. Sami legalnie nic zdziałać nie mogą, bez przepustek

„na stocznię" nie wejdą. Borowczak zna jednak sporo ludzi, bo niektórzy stoczniowcy zatrudniani są przy realizacji większych zleceń spółdzielni. Udaje się skompletować piętnastoosobową grupę – wszyscy muszą być zatrudnieni w zakładzie. Wybierają przewodniczącego i składają papiery w sądzie.

– Chodziło o to, żeby w czasie, kiedy wniosek czekał na rozpatrzenie, można było legalnie działać, zezwalało na to nawet komunistyczne prawo – wspomina Borowczak. – Czasami były to tylko dwa dni, sąd zbierał się bardzo szybko i oczywiście odrzucał wniosek z uzasadnieniem, że w danym zakładzie działać może tylko jeden związek zawodowy. Ale nie z nami te numery – śmieje się Borowczak. – Wymienialiśmy jednego człowieka na liście, i był nowy komitet założycielski, karuzela kręciła się od nowa.

Na początku wchodzą do stoczni nielegalnie, czasami na czyjąś przepustkę. W końcu Borowczakowi i kilku innym pracownikom Świetlika udaje się dostać zgodę na wejście, są firmą współpracującą – mają zlecenie na remont dachu w stolarni W5. Do stoczni wchodzą już swobodnie, co daje możliwość działania i lepszej organizacji strajku. Pod koniec kwietnia rozpoczynają się strajki w Bydgoszczy, a potem w Hucie Stalowa Wola. To bezpośredni impuls do protestów w Gdańsku. Pierwszego maja na plebanii przy kościele św. Brygidy odbywa się wiec, na którym przemawia Lech Wałęsa. Przewodniczący Solidarności nawołuje do spokoju, próbuje powstrzymać przed strajkiem – bezskutecznie. Stocznia staje na drugi dzień. Do zakładu idą między innymi Zdzichu Kamiński, Witek Merkel, Jarek Czarnecki, Maciek Płażyński, Marek Zająkała, Rybiccy i wielu innych. Rzecznikiem komitetu strajkowego zostaje Wojtek Kreft, a rzecznikiem w Remontówce Lech Kosiak.

– Myśmy pchali ten strajk, naprawdę – mówi Borowczak.

Sam zbiera materiały i wozi je do Donalda Tuska na ulicę Kubusia Puchatka w Oliwie, tam jest sztab informacyjny. Drugi mieści się w Świętej Brygidzie. Przy Kubusia Puchatka

redagowane są ulotki, które potem zabiera do druku Mariusz Popielarz.

Majowe strajki mają już zupełnie inny charakter niż te w 1980 roku. Nikt nie zostaje zwolniony ani ukarany, czuje się wyraźnie, że komuna drży w posadach, a jej koniec to tylko kwestia czasu. Być może dlatego atmosfera w stoczni jest czasami rozrywkowa. Wśród protestujących raz nawet pojawia się Piotr Szczepanik, który często bywa gościem Wałęsy.

– Jest gitara i normalny koncert, śpiewa swoje i nasze piosenki, obowiązkowo oczywiście *Mury* – opowiada Borowczak. – Staraliśmy się, żeby było jakoś normalnie, chcieliśmy tych ludzi trochę rozerwać – dodaje.

Rzucają się kulkami ze styropianu, stoczniowcy ubrani w robocze drelichy kontra świetlikowcy udający milicję; jeżdżą na wózkach – regularna wojna. Strajk nie trwa długo, rozchodzą się po pięciu dniach, nie przypuszczając, że poważniejszy protest rozegra się w tym samym miejscu już za trzy miesiące, i to naprawdę będzie początek końca totalitarnego systemu.

## Wojna na górze

– Pamiętam, pracowaliśmy wtedy z Donaldem w Unimorze i przyszedł do nas jak zawsze spóźniony Maniek Kosznicki, który dojeżdżał z Kartuz. Powiedział: „Szykuje się wojna na górze, Maciek podał się do dymisji, Rojek oskarża go o jakieś niepomalowane na czas dźwigi w Stoczni Północnej". Być może zlecenie nie zostało wykonane zgodnie z umową, bo poszli tam ludzie trochę bardziej rozrywkowi, a i pogoda była kompletnie pod psem, nie to jednak było przyczyną sporu. Konflikt narastał od dłuższego czasu. W miarę, jak rozwijała się firma, widać było, że Rojek i Płażyński mają różne wizje. Roman już nie pasował do tamtych realiów, wyprzedzał czas, chciał budować kapitalizm, widział w tym szansę dla firmy – wspomina Borowczak. – Wtedy tego nie rozumiałem, dziś pewnie bym go poparł – dodaje po chwili.

W każdym razie sytuacja staje się dramatyczna. Donald Tusk, który jest w radzie nadzorczej i świetnie zna statut firmy, uważa, że trzeba radę odwołać. Zbierają dziesięć procent potrzebnych podpisów i zwołują walne zgromadzenie. W siedzibie spółdzielni, która wtedy mieściła się przy ulicy Pańskiej, w jednym pokoju odbywa się spotkanie rady, w drugim trwa walne zgromadzenie. Ci z walnego opowiadają się za Płażyńskim. Oznajmiają Rojkowi, że uczestnicy walnego zebrania odwołają radę, jeśli ta nie poda się do dymisji. Narada nie trwa już długo, po kilkunastu minutach Rojek oznajmia, że jako przewodniczący rady nadzorczej składa rezygnację, robią to również pozostali członkowie, a część z nich wraz z Romanem Rojkiem odchodzi z firmy. Walne zgromadzenie wybiera nową radę, Płażyński wycofuje rezygnację i firma wraca na stare tory.

– Myślenie Romana, że firma to biznes, było nam wtedy zupełnie obce. Myśmy chcieli, żeby ta spółdzielnia działała jak dotąd. Żadnego rygoru, żadnych formalności – mówi Borowczak. – Nam to nie pasowało, pracowaliśmy, kiedy chcieliśmy, a Rojek nie mógł tego zaakceptować. Drużyna indywidualistów i pięknoduchów nie wyobrażała sobie pracy na gwizdek. Lista obecności, pokwitowania za pobrane farby i sprzęt, nikt tego nie chciał robić. Brakowało, to się szło i brało, wszystko na słowo, na zupełnym luzie – dodaje.

Taki socjalny charakter firmy odpowiada nie tylko Borowczakowi. Po latach prawie każdy z pracowników Świetlika potwierdza, że wtedy żyło się z dnia na dzień. Nikt nie zastanawiał się, co będzie za rok, za dwa. Jedni brali gitarę i jechali do Jarocina, chociaż to był czas „żniw" i czekały zlecenia. Jak ktoś miał „słabszy" dzień i trudności ze złapaniem pionu, po prostu nie szedł do pracy, zastępował go ktoś inny.

– Maciek to rozumiał. Zdarzało się, że nie mieliśmy nic do jedzenia, gdzieś w hotelach, w Polsce, dzwoniliśmy do niego z prośbą: prezes przywieź kasę, bo zdychamy. I on przywoził

– wspomina Jerzy Borowczak. – Płażyński potrafił dogadać się z każdym, nie segregował ludzi i miał do nich zaufanie. Rojek zaskakiwał nieprzeciętną inteligencją, błyskotliwością i pracowitością. Byli jak ogień i woda, i przeciwieństwa nie do pogodzenia, niestety – kończy Borowczak.

## Doborowe towarzystwo

– Jak sobie teraz tak przypominam niektóre, może trochę już zapomniane osoby ze Świetlika, to takie „aparaty", że aż trudno uwierzyć – śmieje się Jerzy Borowczak.

W pierwszej setce etatowych pracowników spółdzielni właściwie każdy to indywidualność. Te „barwne ptaki" podkreślają jeszcze bardziej wyjątkowy charakter firmy.

– Mieliśmy na przykład Hrabiego, tak nazywaliśmy Jarka Połoczańskiego – wyjaśnia Borowczak. – W rzeczywistości nie miał szlacheckiego tytułu, ale myśmy go tak nazwali, bo miał karabinki w różnych kolorach: żółte, zielone, i chodził nimi obwieszony jak choinka.

Zdaniem Borowczaka Połoczański to przykład świetnego menedżera, bardzo przekonującego w negocjacjach.

– Kiedy poszliśmy coś załatwić, to tak nakręcił i namotał, że się udawało, miał naprawdę dobry bajer – mówi Jerzy Borowczak.

Niczym niewymuszone wyjazdy integracyjne pozwalają jeszcze lepiej się poznać i ujawniają często niebanalne talenty pracowników Świetlika.

– Wynajmowaliśmy na przykład ośrodek nad jeziorem Mausz na Kaszubach albo w Zakopanem i „rządziliśmy". Pamiętam, jak Cieślik przywoził ze sobą lotnię i latał na niej – wspomina Borowczak.

W Świetliku jest też grupa muzyczna – na walnych zgromadzeniach przygrywa Mietek Wróbel ze swoim zespołem Mietek Blues Band, a Grzesiek Lipiński „Lipa" to prawdziwy fan festiwalu w Jarocinie.

– Potrafił z roboty uciec na ten Jarocin – wspomina Lipę Borowczak. – A nasz Wódz, czyli Jarek Irzykowski, magazynier? On nie wiedział, co to jest ławkowiec, co to jest szakiel, żył w swoim świecie, pisał książki i piękne wiersze. Co to było za towarzystwo, to się w głowie nie mieści! – kończy swoją opowieść o Świetliku Jerzy Borowczak.

# Kiedyś wisieliśmy wszyscy na linach jak ulęgałki

## To czas był porażający

Mieszkaliśmy ze Zbychem Gołębiewskim na Elbląskiej – wspomina Grzegorz Lipiński. Przyjechałem prosto ze Śląska. Chodziłem po Gdańsku i czułem się szczęśliwy i wolny. Uciekłem w końcu z tego zarzyganego Śląska. Czas był porażający, trzeba od tego zacząć. Stan wojenny i te cztery lata zje...o mi całkowicie życie, w każdym sensie: w sensie uczenia się, w sensie moich planów życiowych. Wcześniej byłem młodym, naspidowanym kolesiem, któremu się powodziło, jechałem do przodu na maksa, potem nastąpił stan wojenny, stagnacja. Gówno, wszystkim się coś udawało, a mi nie wychodziło. A potem po latach dowiedziałem się, że to wszystko to tajny współpracownik albo SB, albo jakaś cała ta jeb...a hołota, która była ustawiona. Dziś dopiero kumam, dlaczego ja miałem po grudzie, a oni mieli do przodu. Ciekawe, kto mógł wtedy płynąć na Bałtyk, kiedy ja nie mogłem na Zalew Wiślany popłynąć zwykłą „470" jako zwykły żeglarz regatowy. Pytanie, dlaczego? Myśmy pływali na lewo! Pływanie na lewo to jest dopiero historia! Kurczę! kradliśmy sobie odrobinę wiatru...

## Poznaję Maćka i Romana i...

I wjeżdżam w klimat Świetlika, czuję się dobrze, bo znam się na robocie lepiej niż reszta i zaczynam jeździć po całej Polsce. To też mi pasuje, bo poznaję ludzi, jest duch Stachury,

duch poezji, bo takie to środowisko. Ale idealnie pośród tego wszystkiego knują się pnącza cynizmu. Taka jest prawda. Taka emigracja wewnętrzna z namiastką wolności w sercu i kieszeni. Do pracy biorę bardzo ciekawych ludzi, i to jest fajne: każdy z nich reprezentuje coś sobą, czyli jedziemy całą bandą coś zrobić. Królik, Jarek Zajączkowski to postać niesamowita, fantastyczny facet. Jedziemy gdzieś i czujemy się wolni w tej całej siermiędze, w tym brudzie. Nagle czujemy się wolni, taką wolnością wewnętrzną. Ja to czułem może bardziej niż inni, bo chodziłem do pracy bardzo siermiężnej, do kopalni.

Wolność jest fajna: pracuję, kiedy chcę, nie chcę pracować, to nie pracuję. Rano się budzimy i mówimy, że jesteśmy skacowani, no to nie idziemy do pracy, bo nikt nie będzie wisiał na linie na kacu. To jedziemy się wykąpać. Jest Tadek Sampławski – przecudna postać, człowiek zupełnie reprezentujący jakąś wizję, do dziś jest samodzielny, robiący intarsje, grający świetnie na gitarze.

## A potem? Potem między innymi Kalisz

W 1987 roku w Kaliszu malowaliśmy silos zbożowy. To jedno z najciekawszych zleceń. W grupie byli świetni ludzie i każdy miał coś do powiedzenia. Praca pracą, ale atmosfera jest też bardzo ważna. Nie służyliśmy niczemu, wydawało się, że po prostu służymy firmie. Wydawało mi się, że ten czynnik był nade wszystko istotny. To pamiętam dokładnie.

Mieszkaliśmy w hotelu „Europejskim" w środku miasta i było cudnie. Wracaliśmy z pracy i pogrywaliśmy. Naprawdę było fajnie. Mieliśmy tam cztery gitary i bandżo. Graliśmy wszystko, co nam wpadnie do głowy. Były takie piosenki, które wtedy obowiązywały, były standardem. Stachura, ale i blues, i Kaczmarski, to była dla nas podstawa. Wspaniałe rzeczy i ludzie, na przykład Maras Klima, który miał doskonałe podejście do muzyki, no i pracowaliśmy ze sobą. Czyli było tak: szliśmy do pracy, odwalaliśmy swoją działkę i za tę działkę dostawaliśmy godziwe

pieniądze. Wieczorem mogliśmy jechać nad jezioro. I to jest ten standard życia, o którym marzą do dzisiaj, i w ogóle na całym świcie, wszyscy ludzie. Nasza wolność opierała się jednak na solidnych podstawach. Jedną z nich było to, że w gruncie rzeczy praca to była praca – zrobić, dokończyć i być przede wszystkim fair wobec kumpli.

I jeszcze ważna rzecz, co dla mnie wówczas było obce, była duża grupa ludzi bardzo zaangażowanych katolicko, to dzisiaj może brzmieć bardzo dziwnie, ale taka była prawda. Nie było takiej miejscowości, w której nie zaszliby do kościoła. Zawsze chodzili w niedzielę do kościoła, a dla mnie ta dyscyplina była obca. Byłem trochę parweniuszem w tej kwestii. Natomiast oni byli całkowicie zaangażowani, to miało wpływ na nas.

## Firma miała ideologię

A zatem firma miała też ideologię. Pamiętam, jak wziąłem zaliczkę z firmy, wziąłem cały plecak szmalu, to było nie do pojęcia, i przez całą Polskę jechałem z tym plecakiem. Kiedy przywiozłem, wszystkim porozdzielałem, według godzin. Bo zasada była prosta, liczba godzin jest ważna. Jeśli ty dziś nie chcesz pracować, bo chcesz łazić po bibliotekach, to twoja sprawa, ale mniej zarabiasz. A ilość szmalu była niesamowita! Zarabialiśmy straszne pieniądze! Straszne w relacji do robotników. Czy nam się to należało? Niektórzy byli bardzo rozsądni i przewidujący, mając w genach pewne rzeczy, zaczęli budować domy, co dla wielu było niezrozumiałe. Moim największym osiągnięciem było to, że pracując w Świetliku dwa i pół miesiąca, mogłem resztę roku spędzić w górach i na wodzie. Utrzymując rodzinę. Rodziny niespecjalnie to znosiły. Wielu z nas nie jest już z nimi.

Tak, lepiej zarabiałem w Świetliku niż w kopalni, choć tam też nieźle płacili. A potem, po kopalni pracowałem jeszcze na wysokościach w takiej firmie Szkłobudowa w Sosnowcu, gdzie zarabiałem trzy razy więcej niż w kopalni, i z tym doświadczeniem

przyszedłem do Świetlika. Dlatego twierdzę, że byłem jednym z pierwszych ludzi w firmie, którzy cokolwiek wiedzieli o tym, co to jest praca na wysokości oprócz malowania.

## Czy Świetlik to Maciek? Tak

Był taki moment. Zgadza się. Maciek doprowadził do takiej sytuacji, nie wiem, czy świadomie. Być może ma taki dar, że tworzy sobą takie sytuacje. Był taki czas, że chodziło o wybór między Maćkiem a Romanem. Większość wybrała Maćka, ponieważ większość nie potrafiła sobie wymyślić kapitalizmu, który reprezentował Rojek. Ale w gruncie rzeczy po czasie okazało się, że to Rojek miał rację, nie Maciek. Rojek miał rację, ale myśmy go nie rozumieli. Głosowałem na Maćka siłą inercji, zrobiłem jak większość. Rojek reprezentował coś, czego nie byłem w stanie zrozumieć. To były koncepcje, których nie pojmowałem, bo byłem dzieckiem komuny. Poza tym już byłem zainfekowany kasą. Skoro była kasa, to co ja mam się wysilać.

Z Rojkiem nie miałem kontaktu, z Maćkiem tak. Maciek pamiętał o pewnych sprawach, Maciek załagadzał, przychodził, Maciek przyjeżdżał. Rojek był typem silnego administratora, nie miał takiego dobrego kontaktu z ludźmi. Nie potrafił się do nich zbliżyć. Tworzył dystans, to chyba było rozsądne. Ale mówię o bardzo krótkim wycinku czasu.

Maciek ma podejście do ludzi, ale z drugiej strony ta jego cecha to umiejętność, która w gruncie rzeczy niczego nie buduje, bo gdyby budowała, to byłaby nadal spółdzielnia, i nie tylko to... Maciek nie wykorzystał szansy, ale być może nie wykorzystał, bo mu nie nakazano wykorzystać. Silna osobowość, jaką reprezentował, kiedy był w firmie, jest całkowicie w opozycji do tego, co robił potem, kiedy miał dużo większe możliwości i właśnie ten rodzaj hamulca, którego nie posiadał wówczas, a który nagle stał się w jego władaniu w bliżej nieokreślony sposób, nie wiem z jakiej przyczyny. Bo oczekiwało się od niego więcej, a okazało się, że on jest tylko wielkim

hamulcowym, wielką miękką poduchą, która zawsze tak bardzo pięknie to wszystko rozpuści. To wygląda normalnie jak „alka prim" wpadająca do wody.

Hamulcowy naszych nastrojów, naszych oczekiwań. „To nie jest tak, to może być inaczej, niż wy myślicie, to nie wygląda tak, jakby się wydawało". I nagle okazuje się, że wszystko się rozpływa, rozmywa. Chodzi o umiejętność żonglowania chaosem. Myślę, że to jest jego zadanie.

Nie wiem, czy Rojek miał prawo czuć do Maćka żal, nie znam ich relacji osobistych. Natomiast uważam, że ta różnica poglądów, która ich nagle podzieliła... Widocznie mieli kiedyś wspólny cel, ale rozeszli się na boki. Poszło o spółdzielnię. Znam to. Ja dwa razy miałem interes z kimś i dwa razy się wycofałem, więc mogę to troszeczkę zrozumieć. Rzecz polegała na tym, że Maciek zręcznie przejął to, co Roman wymyślił, bo Maciek nie miał takiej wizji. Maciek to przejął. Natomiast był taki moment, w którym Roman bez Maćka nie mógłby działać...

## Gdyby Roman został, to...

Byłaby spółdzielnia. Byłaby takim centrum i wszystko by się rozrosło od niej, powstałyby inne firmy, które miałyby inne zadania. Tak w moim rozumieniu pojmował to Roman. W moim rozumieniu, podkreślam. Myślę, że Roman jest skuteczny, a dla mnie bardzo ważną rzeczą jest skuteczność.

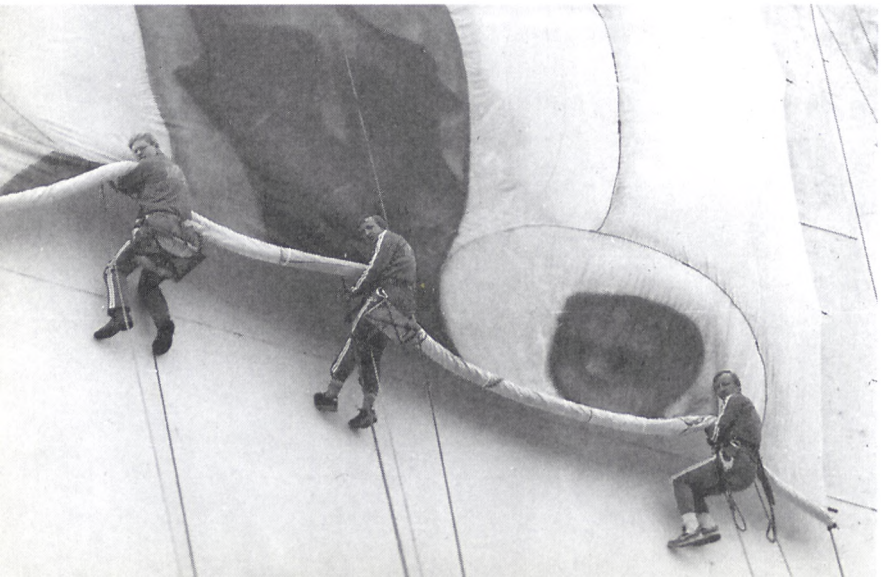
## Nie ufaliśmy rzeczywistości

Sprawa z SB jest bardzo prosta. Chodzi o to, że przez firmę przechodził potężny przemiał kasy, a poza tym lepiej było mieć wszystkich pod jednym dachem. To była myśl kilku kolesi, którzy zebrali poprzez finanse określoną grupę ludzi. Nam się wydawało, że to jest niebo, jak zaczęli nam płacić.

To była nieustanna rozmowa, to było ciągłe szukanie „wtyki". Nie ufaliśmy rzeczywistości. Niektórzy podchodzili do tego intelektualnie. Inni po prostu czuli, że za ten rodzaj pracy, który




Pracownicy Świetlika wywieszają wizerunek Matki Boskiej z banerem Solidarności z okazji wizyty papieża Jana Pawła II w Trójmieście, Gdańsk Zaspa 1987 r.;
*(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*



wykonują, w porównaniu do innych, gdzieś na zewnątrz, za dużo dostawali pieniędzy, i odczuwali w związku z tym dyskomfort. To budziło w nich niepokój, coś było nie tak.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że w firmie było bardzo mało ludzi ideowych. Kto był ideowy, tak naprawdę? Ci, którzy najdłużej siedzieli... Jasiu Kurz z Brodnicy dostał po dupie najwięcej, na pewno był ideowy. Rozumiał mechanizmy.

## Jarocin, czyli totalnie wolni

Nasza prywatność to między innymi Jarocin. Ja się urywałem na festiwal, ale jednocześnie robiłem to, co do mnie należało, mam tę umiejętność. Urywałem się, ale praca była wykonana, bo miałem zainfekowane poczucie obowiązku. Jarocin poznałem bardzo późno, kumpel namówił mnie zupełnie niechcąco, ponieważ blisko pracowaliśmy w Krotoszynie, czyli trzydzieści kilometrów od Jarocina. Fajne miejsce, fajna praca i pojechałem z kupą szmalu w kieszeni, szmal na wyprawy zawsze miałem. Najpierw sceptycznie na to patrzyłem, a potem okazało się, że to świetne miejsce. Cenzura ostro ucinała teksty, ale jak chłopaki wychodzili na scenę, to grali i śpiewali swoje. Czterdzieści tysięcy ludzi dookoła i my totalnie wolni. Ten dualizm ciągle nam towarzyszy.

## Fenomen spółdzielni to ludzie

Nigdy nie rozstałem się ze spółdzielnią, od tego trzeba zacząć. Nigdy. Po pewnym czasie, jak rozpadała się firma, byłem w Niemczech, to był 1992 rok. Nie przypuszczałem, że to się tak szybko skończy, chociaż było coraz więcej administracji i śmierdzących leni. Co przyjeżdżałem do Gdańska, widziałem cały czas tych samych ludzi w firmie, ciągle te same gęby. Dziś wiem, jakie to gęby, przecież pamiętam. Chodzi o to, że to był przemiał kasy i oni z tego czerpali jak z banku, cały czas te same ryjówki, cały czas robili to samo, między innymi w rafinerii, i dostawali grube pieniądze za nic. A my jeździliśmy po

Polsce. Powoli pojawiało się coraz więcej fizoli, mówię o mentalności, bo ja też jestem przecież fizolem, ale chodzi mi o podejście do życia, do kraju. Oni nie mieli już ani cienia tego ducha, tego, o co chodziło w Świetliku. Bowiem fenomen spółdzielni to ludzie. Kiedy ja przychodziłem do firmy, to nie wiedziałem, jakie będą pieniądze, nie o to mi chodziło. Ja przychodziłem do firmy dlatego, że wiedziałem, że tam będą ciekawi ludzie, taka była zapowiedź. Był taki impuls, że będzie się lepiej zarabiać, ale głównie będzie się można realizować personalnie, to znaczy żeglarstwo i tak dalej. I kiedy przyszedłem do firmy, to już te postacie znałem, głównie poprzez Zbycha Gołębiewskiego, którego bardzo szanowałem i szanuję, i mam z nim kontakt do dziś. Przyciągała też apoteoza pewnego klimatu, który początkowo był mi obcy, ale potem w niego wniknąłem i fajnie się zrealizowałem. Dalej Żółw i całe środowisko wspinaczy. Maciek dawał nam kasę na prawie wszystkie nasze zachcianki. Kiedy wymyśliłem rejs, żeby popłynąć na karnawał w Rio, Maciek powiedział: „Proszę bardzo, tylko znajdź ludzi". I co? Nie było ludzi. I pod tym względem uważam, że Maciek był bardzo mądry, świetnie rozegrał to psychologicznie. Okazało się, że inni byli tak zagonieni robieniem kasy, że nie chciało im się płynąć. Był taki moment, że wszyscy, kiedy przyszli do firmy, faktycznie mieli w sobie ducha poezji, szaleństwa i wolności, a potem, gdy zobaczyli, ile zarabiają, ogień gasł. Błyskawicznie pojawiły się martwe dusze. Na liście było siedem osób, a zarabiało pięć, i tak dalej. Maciek dostrzegał ludzkie potrzeby. Dlaczego to robił? Szlachetność czy gra na siebie?

Po nim nie było widać chciwości materialnej. Ludzie mu pod tym względem ufali. Ufają mu do dzisiaj, a dlaczego są rozczarowani? Ano dlatego, że mimo pozycji, którą posiada, on jest dla zmian potrzebnych państwu nieprzydatny. Maciek i inni. Oni dostali do użytku narzędzia i mogli z tych narzędzi skorzystać. Gdy oglądałem w telewizji, słuchałem jego wywiadów, czekałem na to, że się w końcu wypowie w wielu kwestiach

istotnych, w sposób, który będzie jakoś skonstruowany, który go dookreśli. I co? I z czym ja się spotykam? Z niczym, bo tam nie ma relacji. Zacząłem uważać, że dla przetrwania Maciek zrobi wszystko, ale być może tak się właśnie uprawia politykę.

## Świetlik dał mi napęd

Spółdzielnia mnie wykształciła, wychowała, w niej odreagowałem i po Śląsku, i po stanie wojennym. Spółdzielnia dała mi przyjaciół, fajnych ludzi, rozmowy, podróże. Poprzez spółdzielnię nakręcałem się, że jak coś się zmieni, to... W 1989 roku, kiedy był Okrągły Stół, a potem walił się mur, byłem w Berlinie. Rok wcześniej byłem w Paryżu, kiedy zaczęły się rozmowy: listopad, grudzień. Poznałem fajnych ludzi, podróżowałem z Izą Brodacką. Ale to wszystko wydarzyło się dzięki Świetlikowi, dzięki tamtym ludziom. I wydawało mi się, że to ku czemuś kroczy. A potem okazało się, że kiedy była szansa na działanie, już zostało to k...a stłamszone. I to mnie boli i stąd też to moje rozczarowanie pewnie... Niemniej powtórzę jeszcze raz, że firma Świetlik dała mi gigantycznego kopa, mogłem się wydobyć z niebytu lat osiemdziesiątych. Ja tego chciałem i tego szukałem. I raz jeszcze: ludzie, ludzie, ludzie. Głównie rozmawialiśmy o Polsce, dokąd to wszystko zmierza. Maciek niespecjalnie zapadł mi wtedy w pamięć jako dyskutant. Wystarczyło, że był. Za to Mirek Rybicki, czasem Donald, Mariusz Wilk, zausznik, zawsze przy władzy. A zwłaszcza Zbyszek Gołębiewski, całkowity intelektualista, całkowicie wolny człowiek, który przede wszystkim uosabia ten specjalny rodzaj i sposób myślenia, nieprzejednany, niestety, już umarły sposób myślenia, przedwojenny.

Takie są moje przemyślenia po latach. Chociaż Świetlik nie był epicentrum mojego istnienia, bo wiele ciekawych rzeczy wydarzyło się w moim życiu poza nim, dał mi napęd.

Cały układ Świetlika polegał na tym, że wyrównał ludzi. Był taki rodzaj nastroju, w którym myśmy się czuli równi, totalnie

równi. Świetlik z założenia nie miał elit. Co to znaczy? Teraz jeden jest tym, drugi jest tamtym, a kiedyś wisieliśmy wszyscy na linach jak ulęgałki, i to nas równało. Ale tego już nie ma i nie będzie.

# Zawsze pod prąd

– Jestem patriotą – mówi o sobie z przekonaniem.
Przypuszcza, że to sprawa rodzinnych tradycji – w czasie wojny dziadek walczył w Armii Krajowej, a wujek w Batalionach Chłopskich na Kielecczyźnie.
– Pewnie przekazano mi to we krwi, a że nie podobał mi się ustrój komunistyczny, od kiedy pamiętam, występowałem przeciwko niemu – śmieje się Mirosław Grabowski.

## Za sprawiedliwością

Nie wygląda na swoje lata, a w spojrzeniu niebieskich oczu wciąż jest coś chłopięcego. Wszak tak samo jak ćwierć wieku temu Mirosław Grabowski jest gotów do bezkompromisowej konfrontacji ze światem i mówienia prosto z mostu tego, co myśli. Choćby sprawa odznaczenia. Kiedy w 2009 roku prezydent RP Lech Kaczyński przyznał mu Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, cieszył się i czuł dumę, ale spokoju nie dawała mu myśl, że inni także zasłużyli na takie wyróżnienie.

– Bo działaliśmy paczkami, w każdej pięciu, sześciu lub czterech chłopaków. Jak jedną grupę złapali, to inne działały dalej – wyjaśnia. – Więc pytam tę panią z Kancelarii Prezydenta: „Dlaczego Błaszkiewicz nie dostał? Dlaczego Kowalski nie dostał? Dlaczego inni nie dostali? Dlaczego ja tylko z tego naszego grona? Tak nie może być!" – z przejęciem relacjonuje rozmowę sprzed kilku miesięcy.

Protest i apel przynoszą jakiś skutek. Po pewnym czasie telefon z Warszawy i wiadomość, że Błaszkiewicz także zostanie odznaczony.

## Kierunek spółdzielnia

Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Jędrzejowie Mirosław Grabowski rozpoczyna pracę w Gdańskiej Stoczni Remontowej. Rok później, w grudniu 1970 roku, bierze udział w strajku. Potem kontynuuje opozycyjną działalność, tyle że w nowym miejscu pracy – Porcie Gdańskim. Od września 1980 roku jest w szeregach Solidarności. 14 grudnia 1981 roku zostaje skazany przez kolegium do spraw wykroczeń na grzywnę za rozrzucanie ulotek przed kościołem św. Brygidy w Gdańsku. Nadal jednak działa w podziemiu, zajmując się przede wszystkim kolportażem bibuły, między innymi „Portowca" i „Naszego Czasu". W końcu zostaje przyłapany na gorącym uczynku.

– Wpadłem na genialny pomysł, żeby się z komunistów trochę ponabijać. Przychodzę do pracy, przebieram się jak zwykle i dziesięć czy dwanaście sztuk bibuły biorę, bo resztę już wcześniej rozdałem, idę do kierownika i mówię: „Kierowniku, jeszcze raz takie coś, to nie wiem... Dlaczego mi to podrzucacie? O co wam chodzi?". A tam już siedziała ubecja. „Ależ proszę pana, my panu niczego nie podrzucamy" – odpowiada mi kierownik. „No to skąd ja to mam?" – nie daję za wygraną. W ten sposób zmuszałem ich, by poznali te materiały. Przecież musieli je jakoś opracować, czy to jako dowód, czy załącznik, no i przy okazji przeczytać. Kiedyś jednak powiedzieli mi wprost: „Panie Mirku, albo się pan sam zwolnisz, albo my pana zwolnimy, ale wtedy to już pracy nie znajdziesz" – opowiada.

Kiedy w porcie nie ma już dla niego miejsca, razem z kumplem Mirkiem Błaszkiewiczem wykonuje różne fuchy malarskie. Kiedyś malują mieszkanie Macieja Płażyńskiego przy Poznańskiej.

– Chyba mu się spodobałem, bo zapytał, czy chciałbym pracować w Świetliku. Zgodziłem się. Bałem się tylko, że nie dam rady na wysokościach – wspomina.

Na początek przechodzi szkolenie w straży pożarnej w Nowym Porcie.

– Pierwsze wrażenie było straszne. Chłopaki mnie tam jakoś powiązali, ale miałem pełne portki strachu. Tylko idiota się nie boi, no naprawdę. W końcu zjechałem kilka razy ze strażackiej wieży i mogłem rozpocząć pracę. Pamiętam, to było malowanie dźwigu w Remontówce[1], moja pierwsza robota w Świetliku – opowiada.

Mirosław Grabowski szybko się wdraża i sprawdza na zleceniach realizowanych poza Trójmiastem. Wkrótce Płażyński proponuje mu stanowisko kierownika budowy. Musi się doszkalać i robi różne kursy specjalistyczne. Teraz ma pod sobą ludzi, odpowiada za kosztorysy, farby, magazyn, a także zatrudnia nowych, między innymi studentów.

– Ja byłem od tego, by każdego nowo przyjętego w odpowiednim miejscu ustawić – pan Mirek zamyśla się, jakby usiłował przypomnieć sobie twarze sprzed ćwierćwiecza. – To byli ciekawi ludzie – dodaje po chwili.

## Fortel

W Grajewie w fabryce płyt wiórowych jest do pomalowania czternaście tysięcy metrów kwadratowych hali i bardzo mało czasu – hala maszyn pracuje w tygodniu non stop i dopiero w piątek jest przerwa, do poniedziałkowego poranka. W dodatku nie wszyscy tam lubią gdańszczan. Szczególnie pewien kierownik, a właściwie główny kierownik zachodzi spółdzielcom za skórę.

– Ale sposobem to wszystko da się załatwić – śmieje się Grabowski. – A ja miałem taki swój sposób, że umiałem się zaprzyjaźnić, z kim trzeba – dodaje.

[1] Gdańska Stocznia Remontowa.

Najpierw ustala, kto mu będzie potrzebny na zleceniu. Na pewno główny mechanik, główny technolog, kosztorysant, no i zaplecze – kuchnia przede wszystkim. Z kierownikiem elektryków załatwia suwnicę. Litr wódki rozpuszcza wszelkie przeszkody. Rano w poniedziałek klucz ma być oddany. Jednak główny kierownik zaznacza długopisem na maszynie, w którym miejscu zostawia suwnicę. Widzą to elektrycy. Chłopacy są w porządku, ostrzegają Grabowskiego.

– Zamazałem tę kreskę i pod torem zrobiłem nową – opowiada.

Najpierw całe popołudnie w piątek zabezpieczają maszyny i suwnicę, jak trzeba, no i potem oczywiście z niej malują. Dzień i noc. Sześciu śpi, sześciu pracuje. Jeden dzień jedną stronę, drugi dzień drugą, a trzeciego zakończenie.

– No i jeszcze taki numer wykręciłem, żeby nie padło podejrzenie, że ruszaliśmy suwnicę – śmieje się Grabowski.

Pożycza od znajomego magazyniera trochę ramek od rusztowań, za co odwdzięcza się śledziami prosto z Bałtyku. Z chłopakami rozrzucają je byle jak, tak że niby nie zdążyli jeszcze posprzątać. Główny kierownik wpada z pretensjami, ale oczy ze zdziwienia wybałusza, bo nie może uwierzyć, że zdążyli.

– Metody były konspiracyjne, partyzanckie, ale fajne miałem zlecenia i fajne mam wspomnienia – kończy opowieść o Grajewie.

## Swój chłop

Talent Mirosława Grabowskiego do zjednywania sobie ludzi przydaje się nie tylko w pracy. W Stargardzie Szczecińskim Świetlik realizuje zlecenie konserwacji zbiorników zbożowych. Do domu jeżdżą co drugi tydzień, więc jest trochę wolnego czasu, który Mirosław Grabowski stara się chłopakom sensownie zorganizować. Bardzo dobrze sobie z tym radzi. W ekipie jest dużo wędkarzy, a kierownik, z którym udało mu się zakolegować, pozwala korzystać z zakładowego ośrodka wczaso-

wego w Jezierzycach leżących nad rzeką Płonką. Tam jeżdżą na ryby na sobotę i niedzielę.

– Kiedyś rozpadało się w tygodniu i, rzecz jasna, nie dało się malować. Więc dzwonię do kierownika, że nic tu po nas, bo leje, a w Jezierzycach ryby biorą. Pozwolił jechać. Ale ostatni bezpośredni autobus do Jezierzyc już odjechał. Złapaliśmy więc pekaes, który jechał do Niedźwiadka, skąd jest pięć kilometrów do celu, czyli dystans do przejścia. Pamiętam, usiadłem obok kierowcy – opowiada Mirosław Grabowski.

Po chwili rozmowa toczy się w najlepsze. Wkrótce kierowca wie, że wiezie ludzi z Gdańska, gdzie sam ma rodzinę i czuje się jak w domu. Dla gdańszczan potrafi też zdobyć się na małe szaleństwo – zbacza z trasy i na skróty przez las dowozi wędkarzy do samych Jezierzyc.

## Prezesie, pali się

To dzieje się podczas jednego z walnych zjazdów zorganizowanych poza Trójmiastem, w ośrodku wczasowym. Spółdzielcy siedzą w świetlicy i obradują. Mirosław Grabowski jest tuż przy oknie. Właśnie przemawia Maciek Płażyński.

– Naraz patrzę: jeden z domków stoi w płomieniach. Fakt, byłem po jednej, no może dwóch setkach, więc zamykam oczy, otwieram, ale dalej się pali. Wołam do Maćka: „Maciek! Pali się!". A ten do mnie: „Mirek, do jasnej cholery, nie przeszkadzaj! Siedź spokojnie!". Ale ja swoje: „Maciek, pali się! Tam, patrz!". I wtedy dopiero wszyscy zerwali się gasić – wspomina pan Mirek. – No i przy tej okazji odkryliśmy, jakie złodziejstwo tam odchodziło. Bo kiedy opróżnialiśmy sąsiednie domki, żeby się ogień nie zajął, okazało się, że w jednym jest wszystko, czego oficjalnie podobno nie było: środki czystości, papier toaletowy, a w dodatku jeszcze paliwo, tak ze sto litrów. A ten kierownik, przestraszony, wrzeszczał na nas, że to wyciągamy. Nie zważaliśmy jednak na niego, tylko robiliśmy swoje. No bo niezłe byłyby fajerwerki, gdyby to wszystko się zapaliło – wspomina ze śmiechem.

## Wypadek w Zdzieszowicach

W 1990 roku Świetlik wykonuje zlecenie na terenie Zakładów Koksowniczych im. Powstańców Śląskich w Zdzieszowicach. W koksowni dochodzi do zawalenia nośnicy. Na miejscu giną trzy osoby. Obecni w pobliżu spółdzielcy prowadzą akcję ratunkową. Oto fragment artykułu dotyczącego tego wydarzenia zamieszczony w zakładowej gazecie:

„Zastaliśmy tam [na terenie koksowni] pracowników specjalistycznej spółdzielni wysokościowej Świetlik Gdańsk, o której pisaliśmy w poprzednim numerze gazety. Demontowali zniszczoną nośnicę i wykonywali inne prace mające zmniejszyć istniejące jeszcze zagrożenia dla życia i zdrowia pracujących tam pracowników. Przed tragicznymi wydarzeniami znajdowali się w pobliżu miejsca katastrofy i właśnie oni tuż po załamaniu się drewnianej konstrukcji przystąpili samorzutnie do akcji ratowniczej. Wykorzystując specjalistyczny sprzęt i doświadczenie w pracy, w ekstremalnych warunkach przystąpili do poszukiwania poszkodowanych. Ułatwiło to znacznie pracę przybyłym później ekipom i lekarzowi. Tymi, którzy pierwsi przystąpili do akcji ratowniczej są: Mirosław Grabowski – kierownik grupy robót, Stefan Kopka, Marek Klima, Zygmunt Staszewski i Grzegorz Lipiński".

– Jak wspominam tamte chwile? – Mirosław Grabowski zamyśla się i choć minęło już tyle lat, łzy napływają mu do oczu. – To po prostu była tragedia, widzieliśmy, jak zginęli ludzie, kilka młodych osób – mówi łamiącym się głosem. – Natychmiast ruszyliśmy z pomocą. Nie liczyliśmy się z niczym – dodaje.

Cała akcja przebiega sprawnie, nie trzeba nic mówić, każdy wie, co ma robić. To dlatego, że pracownicy Świetlika jeżdżą na szkolenia, Mirosław Grabowski jest tego pewien. Sam uczestniczył w czterech. We wszystkich symulowanych wypadkach brał udział lekarz, który uczył, jak udzielać pierwszej pomocy.

– Ten w Zdzieszowicach był podobny właśnie do wypadku, który ćwiczyliśmy w górach, i wiedzieliśmy, co robić, by pomóc – wyjaśnia Grabowski.

KOMBINAT METALURGICZNY - HUTA KATOWICE
ZAKŁADY KOKSOWNICZE
IM. POWSTAŃCÓW ŚLĄSKICH
UL. R. FILARSKIEGO 47-330 ZDZIESZOWICE

WASZ ZNAK:

NASZ ZNAK: DN/13545/90

DNIA

Szanowny Pan
Maciej Płażyński
WOJEWODA GDAŃSKI

W SPRAWIE:

" Jeżeli życie ludzkie jest bezcenne postępujemy zawsze tak, jak gdyby istniało coś, co jest więcej warte niż życie ludzkie. Ale co ? "

A. Saint Exupery

Serdecznie dziękuemy pracownikom Spółdzielni Pracy Usług Wysokościowych "Gdańsk" w osobach :

Mirosław Grabowski ;
Zygmunt Staszewski ;
Stefan Kopka ;
Grzegorz Lipiński ;
Marek Klima,

którzy w dniu 1990.10.11 udzielili bezinteresownej pomocy ofiarom wypadku, jaki zdarzył się na terenie naszego zakładu.

Jesteśmy głęboko poruszeni postawą wyżej wymienionych pracowników, którzy wykazali się szlachetnością serc i doskonałym przygotowaniem fachowym. Dziękując za humanitarną postawę jednocześnie życzymy wszelkiej pomyślności.

*(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*

DYREKTOR ZAKŁADÓW
dr inż. Romuald Józef Morawski

SKRÓT TELEGRAF: „KOKSOCHEMIA ZDZIESZOWICE"
STACJA KOLEJOWA BOCZNICA WŁASNA ZDZIESZOWICE
TELEFONY: ZDZ-CE 261-266, KOŹLE L/B 58, LEŚNICA OP. 255, KRAPKOWICE 474
KONTO BANKOWE: NBP O/KRAPKOWICE NR 531-81-68
TELEX: 039 416, 039 553
IDENTYFIKATOR: 0025773

Dział Poligrafii H. K. zam. 6572/80 50 000 szt.

Dzięki sprawnym działaniom spółdzielców dwóch robotników udaje się uratować. Ktoś krzyczy, że jeszcze jeden człowiek został na górze w strefie zagrożenia. Mirosław Grabowski wspina się tam i znajduje mężczyznę.

– On leżał i trzymał gorący dekiel od klapy. Całe ręce miał poparzone i klatkę piersiową. Ja mu ten dekiel próbowałem zabrać, ale on nie chciał oddać. Był w szoku – opowiada. – Ten pierwszy moment był straszny, bo byłem z nim sam i nie wiedziałem, co robić. Bałem się ruszyć, bo może kręgosłup czy coś innego. Po chwili przylecieli koledzy i razem szybko przenieśliśmy go na dach, wyrwaliśmy jakieś drzwi, oplątaliśmy go na linach i spuściliśmy na dół. Zanim przyjechała straż, ten człowiek już był w karetce – opowiada wzruszony pan Mirek.

Całą akcją kieruje do samego końca. Oficjalne wyrazy podziękowania i uznania dla odwagi i poszanowania ludzkiego życia nadchodzą od ówczesnego wojewody gdańskiego Macieja Płażyńskiego. W dokumencie zostają wymienieni: Mirosław Grabowski, Zygmunt Staszewski, Stefan Kopka, Grzegorz Lipiński, Marek Klima.

## Nocna akcja

– Jestem patriotą – mówi o sobie z przekonaniem.

Przypuszcza, że to sprawa rodzinnych tradycji – w czasie wojny dziadek walczył w Armii Krajowej, a wujek w Batalionach Chłopskich na Kielecczyźnie.

– Pewnie przekazano mi to we krwi, a że nie podobał mi się ustrój komunistyczny, od kiedy mogłem, występowałem przeciwko niemu – śmieje się Mirosław Grabowski. – No, robiliśmy różne siupy – dodaje.

Między innymi roznoszą i rozklejają ulotki wszędzie tam, gdzie realizują zlecenia, ale także w Gdańsku. Kiedyś podczas takiej nocnej akcji zostaje aresztowanych siedmiu portowców. Ich proces toczy się przed Sądem Marynarki Wojennej w Gdyni. Grabowski z kolegami postanawiają, że namalują na ścianie obok sądu wielki napis „Solidarność żyje", litery dwumetrowej

wielkości. Z umówionych trzydziestu osób stawiają się dwie. O godzinie dwudziestej drugiej zaczynają pracę, a kończą nad ranem. Resztką farby malują jeszcze dużą kotwicę, znak Polski Walczącej. Raptem słyszą zbliżający się do nich, narastający sygnał milicyjnej suki. Do głów przychodzi im jedna myśl – ktoś ich musiał zobaczyć i zgłosił na komendzie. W jednej chwili rzucają się do ucieczki.

– Biegniemy na oślep, przed siebie, bo nie znamy terenu. Moment na oddech. Chyba zgubili trop. Wreszcie dworzec i w następnej chwili jesteśmy już w kolejce. Kiedy rusza, czujemy się bezpieczniej. I taka miła babcia siedzi naprzeciw nas i bez słowa daje chusteczkę, żebyśmy się wytarli choć trochę z farby – opowiada Grabowski.

## Koktajl Mołotowa

Jest rok 1982. Właśnie trwa manifestacja zarządu portu. Na protestujących jadą wozy opancerzone i w kierunku ludzi leci grad gumowych kul. Mirosław Grabowski podbiega do pierwszego nadjeżdżającego samochodu. Trabant się zatrzymuje, ale kierowca protestuje, nie chce im dać benzyny. Kolega Grabowskiego nie zważa na ten sprzeciw i szybko robi dziurę w baku – po drodze zdobył gdzieś toporek strażacki. Działają jak w transie. W pobliskim sklepie spożywczym zdobywają butelki i wlewają do nich benzynę. Teraz kolega pana Mirka rwie swoją flanelową koszulę. Czołgi są coraz bliżej, za chwilę zupełnie blisko. Wtedy Mirosław Grabowski rzuca pierwszą butelkę, za chwilę drugą i trzecią, ta wreszcie się zapala. Teraz w nogi, tylko jeszcze jedno spojrzenie za siebie i ulga – nie zgasła, skot się pali. Widzi też kilku mężczyzn biegnących tuż za nim. Nie wie, że to funkcjonariusze po cywilnemu. Wpada do najbliższego bloku, pochyla się, bierze głębszy oddech, ale tamci też są już na klatce: „Pan pozwoli z nami".

– Śmierdziałem benzyną, nijak nie mogłem się wykpić. Zresztą okazało się, że obserwowali mnie już w tłumie. Teraz skuli i na Okopową. A przecież mieliśmy zdobywać Okopową, więc włos

mi się jeżył, kiedy mnie tam prowadzili. Strasznie mnie stłukli, zęby mi wybili. Ja mówię do nich, że chcę obdukcję, a oni, że żadnej obdukcji nie będzie i jeszcze mi dołożyli. I sprawa w sądzie, w trybie pilnym, i wyrok: trzy i pół roku. Najpierw siedziałem na Kurkowej, potem nas wywieźli do Potulic. Tam też siedział Frankiewicz i Czesiek Nowak, i inni, tylko że ja z artykułu 148, za napaść na funkcjonariusza. Zostałem potraktowany normalnie jak chuligan, a nie polityczny, ale wytrzymałem i to. Siedziałem dziesięć miesięcy i wychodziłem razem z takim jednym kryminalistą, co dwadzieścia pięć lat odsiedział. To zresztą widać było po jego spodniach. Normalnie z innej epoki. Ja mówię do niego: „Człowieku, co ty masz na sobie!", a on krótko: „Dwadzieścia pięć lat temu tu przyszedłem. I wrócę tu, bo nie mogę się tam odnaleźć". Strasznie było tego słuchać. Ci ludzie po prostu nie chcieli normalnie żyć, ale wobec nas, politycznych, byli w porządku, nie dokuczali nam. Za to strażnicy odwrotnie – robili, co mogli, by życie uprzykrzyć: przetrzymywali paczki, żeby się jedzenie popsuło, nie chcieli wpuścić rodziny, i takie tam. Pozbawili mnie wszystkiego, chcieli mnie złamać, ale nie złamali – opowiada pan Mirek.

W czasie kiedy Grabowski odbywa karę, w więzieniu wybucha bunt. Osadzeni rozwalają blindy zasłaniające okna.

– Przyszedł komendant do naszej celi, a ja miałem pryczę właśnie koło okna, i mówi: „Grabowski, pozwólcie". Ja mu na to, że sam jestem. A on swoje: „Grabowski, pozwólcie". Ja znowu, że sam jestem. Wkurzył się: „Jesteście niepoprawni, zabieramy korespondencję, piszemy raport". To mu powiedziałem: „Tylko pisz pan przez kalkę i nie rób pan błędów, bo to wstyd dla was". I siedziałem na łóżku, paląc papierosa. A on się mnie dalej czepiał, dlaczego w celi palę. To mu wyjaśniłem, że jak mnie wypuści, wtedy będę palił gdzie indziej. Na koniec powiedział, że zrobi mnie celowym, żebym porządku pilnował. Ale ja mu krótko: „Porządkowym to jesteście tutaj wy, nie ja". Tak z nim rozmawiałem. Nie dawałem się – opowiada.

## Szpital psychiatryczny

W 1986 roku Mirosław Grabowski ponownie jest w więzieniu i zostaje przewieziony na badania do Warszawy, do więziennego szpitala psychiatrycznego.

– Chcieli ze mnie zrobić niepoczytalnego. Już wcześniej, w 1982 roku, SB usiłowało przedstawiać mnie jako osobę upośledzoną, bo rozpowszechniali informację, że niby mam skończone zaledwie dwie klasy szkoły podstawowej – wspomina Grabowski.

W warszawskim szpitalu przez czternaście dni i nocy siedzi w jednej celi z zabójcami.

– Jeśli przespałem kilka godzin w ciągu tych dwóch tygodni, to wszystko. Przecież to byli wariaci. Bałem się zasnąć. Podczas badań sugerowano, że niezbędne jest zrobienie punkcji, ale pracowała tam taka lekarka, która była za Solidarnością i ona powiedziała mi, żebym się na to nie godził. „Oni będą chcieli zrobić z pana kalekę. Jaki problem igłę trochę dalej wsunąć" – tak mnie ostrzegała. No tak, przecież oni byli właściwie do tego zdolni – dodaje Grabowski.

Wytrzymuje więc wszystko, a na duchu podtrzymuje go informacja, którą jeszcze w Gdańsku otrzymał od swoich obrońców – mecenas Nowickiej i mecenasa Taylora: na mocy amnestii będzie wolny za dwa tygodnie.

W karcie informacyjnej z oddziału psychiatrycznego stwierdzono, że stan somato-psychologiczny jest zadowalający. Zalecono: leczenie stomatologiczne oraz konsultację laryngologiczną.

## List

13 grudnia 1986 roku, w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, Mirosław Grabowski, Jerzy Borowczak i Jerzy Kowalski rozrzucają ulotki w pobliżu Kościoła św. Brygidy w Gdańsku. Następnego dnia o szóstej rano ktoś puka do drzwi państwa Grabowskich. Dla Mirosława jest jasne, że o tej porze pukać

może tylko ubecja. I rzeczywiście, w drzwiach stoi kilku „smutnych panów". Oznajmiają, że mają trochę zdjęć i liczą, że rozpozna kogoś, ale nie tutaj, lecz w komendzie. Najpierw jednak pytają o piwnicę i o to, co w niej jest.

– Jasne, że mam bibułę w piwnicy, ale mówię, że sanki i rower. Zresztą w mieszkaniu też jest bibuła. Na przykład pod poduchami w fotelach, na których właśnie siedzą nieproszeni goście. Normalnie mieli pod tyłkami bibułę, ale przeglądali książki – śmieje się Grabowski.

Jeden z esbeków wychodzi z nim do piwnicy. Żona, tak dla niepoznaki, prosi, by przy okazji przyniósł kocioł do prania, a tam też przecież bibuła schowana – prawdziwy kocioł. Po chwili piwnica jest już otwarta, a esbek pyta Grabowskiego, co tam jest.

– Odpowiadam spokojnie, że sanki, rower i ogólny bałagan, a jak ma wątpliwości, to niech szuka, czego chce. Ale chyba mu się bardzo nie chciało, bo tylko posmarował sobie ręce kurzem i zarządził odwrót. Na górze poskarżył się koledze, że tak się pobrudził, a niczego nie znalazł – opowiada pan Mirosław.

Funkcjonariusze spisują Grabowskiego i zabierają na komendę. Czekając na konfrontację, dogaduje się z innym zatrzymanym i zamieniają się swetrami. Niestety, fortel się nie udaje. Grabowski zostaje wskazany. Esbek wyciąga zdjęcia i mówi: „Sweter można zmienić". Wskazuje palcem: „Borowczak jest tu, a pan jest tu". Mirosław Grabowski staje przed kolegium.

– W todze była tylko sędzia, reszta po cywilnemu. W dodatku jedna sobie paznokcie malowała, druga robiła coś innego. Było jeszcze kilku ławników – kpiny normalnie sobie robili. Ja coś mówię, a ona, żebym się zwracał: „Proszę wysokiego kolegium". Ja mówię: „Jakiego wysokiego kolegium, jakie to wysokie kolegium. To wy mnie lekceważycie takim zachowaniem, nie ja was". Usłyszałem, żebym nie dyskutował, bo mnie wyproszą i zrobią sprawę zaocznie. Wkurzyłem się nie na żarty. „Mam w d... was, róbcie sobie zaocznie" – tak im w tym

zdenerwowaniu powiedziałem. No i wtedy dołożyli mi pięćdziesiąt jeden tysięcy, to były mniej więcej dwie wypłaty, plus ogłoszenie w gazecie świątecznej, czyli droższe, plus koszty, czyli na jakieś siedemdziesiąt tysięcy złotych mnie wtedy złupili – relacjonuje po latach.

Ogłoszenie ukazuje się w „Dzienniku Bałtyckim". Zostaje w nim opisany udział Mirosława Grabowskiego w nielegalnym zgromadzeniu i rozpowszechnianie ulotek oraz kara wymierzona przez sąd. Mniej więcej po tygodniu od publikacji na adres pana Mirosława nadchodzi list. Autorem jest starszy człowiek, żołnierz Armii Krajowej.

– Pisze, że jest sercem z nami i cieszy się, że doczekał takiej postawy współczesnej młodzieży. Tak, to jest piękny list – nie kryje łez Mirosław Grabowski i pokazuje pożółkłą kartkę papieru:

*Gdańsk, dnia 3 stycznia 1987 roku*

*Szanowny Panie Mirosławie,*

*przepraszam, że ośmielam się zwracać do Pana po imieniu, ale gdy przeczytałem w prasie o ukaraniu Pana i jego kolegów taką grzywną za prawdziwie męską postawę i odwagę, za dokonanie czynu patriotycznego, przypominającego mi lata walki w okresie okupacji, stał mi się Pan jakiś bliski. Jestem starszym człowiekiem, ale nigdy nie przestałem być Polakiem i zawsze godnie reprezentowałem swoje polskie pochodzenie. Niestety, duża część polskiej młodzieży nie zdaje sobie sprawy, co to jest prawdziwy patriotyzm, że można nie tylko walczyć o ojczyznę, ale poświęcić dla niej zdrowie, a nawet życie. Wątpię, czy dożyję wolnej, suwerennej i prawdziwie demokratycznej Polski. Walka z komunizmem nie była i nie będzie łatwa. Cieszę się jednak, że przeżyją ją inni, podobnie myślący rodacy młodszego pokolenia. Proszę się nie gniewać, że przesyłam na Pana adres z mojej*

*skromnej emerytury 2 tysiące złotych. Niech one chociaż w nikłej części zrekompensują Pańskie straty. Emeryt patriota.*

*PS Podobny list przesłałem na adres Pana kolegi.*

## Koniec

– Żałuję tylko jednego – że to się rozpadło – mówi Mirosław Grabowski ze smutkiem.

Każdy ma swoją własną teorię przyczyn upadku Świetlika. On też ma swoją. Jest pewien, że gdyby był dalej Rojek i ci koledzy, którzy wcześniej pracowali, to prawdopodobnie firma przetrwałaby do dzisiejszego dnia.

– Przecież mieliśmy wysoką renomę we wszystkich zakładach pracy. Kiedy zbierałem sprzęt w Zdzieszowicach, żeby przewieźć do Gdańska, wszyscy byli zdziwieni. Przecież oni wzorowali się na spółdzielni Gdańsk. Czy to nie przyjemnie było słuchać, kiedy dawano nas za przykład innym? Ja tam dziewięć lat siedziałem, to wiem. Ufano nam. Ja sam woziłem miliony w kieszeniach na wypłaty. Tak już po prostu nas znali, że nam ufali. Zwykle kosztorys przechodził przez różne komórki i musiał być podpisany, i to wszystko trwało prawie dwa tygodnie, a nawet trzy, bo dyrektor czy inżynier techniczny albo kierownik nie mieli czasu, by podpisać. Zawsze ktoś nie miał czasu. A ja to sam załatwiałem w ciągu jednego dnia i za dwa dni już miałem pieniądze – wspomina.

Mirosław Grabowski uważa, że to inżynier J. rozwalił firmę. Nie wiadomo, skąd on się w ogóle wziął w spółdzielni. Ale to za jego rządów firma przepadła.

– Według mnie to był nieciekawy człowiek i powiedziałem mu bez owijania w bawełnę, co o nim myślę. Ludzie pracowali, a wypłaty nie było. To już nam się wtedy nie podobało. Zatrudniał, kogo popadnie. Zaczęły się kradzieże, skończyło wzajemne zaufanie. Wcześniej było inaczej. Kiedy na stole u pani Zosi w biurze leżały pieniądze na wypłaty, grube tysiące, to ani

jedna złotówka nie zginęła. A potem raz się zdarzyło, i drugi, że brakowało, i zaczęło się patrzenie ludziom na ręce, inna atmosfera, nie ta, do jakiej byliśmy przyzwyczajeni – wyjaśnia Mirosław Grabowski.

## Zagadka

Jest też pewna zagadka, której do dziś nikomu nie udało się rozwiązać. O Świetliku nie ma śladu, choćby wzmianki, ani w Solidarności, ani w IPN-ie.

– I to jest dziwne, i nie możemy z kolegami dojść do tego, dlaczego komuchy dawały nam pracę w dużych zakładach. No, czy to nie jest dziwne? Przecież my zadymy robiliśmy, sialiśmy ferment… Rozmawiałem z chłopakami na ten temat i w IPN-ie też pytałem, próbowałem to jakoś wyjaśnić. Przecież każdy miał założoną teczkę. Stocznie są: Gdyńska, Gdańska, Remontowa. Port jest, wszystko jest, wszystkie zakłady. Spółdzielni nie ma ani pod nazwą Świetlik, ani Gdańsk. Wyczyszczone jest wszystko. Dziwne, dziwne – zamyśla się Mirosław Grabowski.

# Za Świetlikiem do końca

– Kiedy rozpocząłem pracę w spółdzielni, to magazynu jako takiego właściwie nie było. Po prostu w klopie, to znaczy w łazience, wszystko leżało na kupie – sprzęt alpinistyczny, liny, rękawice, i tak jeden z drugim szedł tam, dawał nura i wyciągał, co mu było potrzebne. Drugi magazyn, z farbami, mieścił się w twierdzy Wisłoujście. W takich kazamatach. Jak się weszło, to kurczę, skórka cierpła z zimna. To były pierwsze magazyny, jakie mieliśmy w Świetliku.

## Konsekwentnie przeciw komunie

Wystawa „Drogi do wolności" w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. Za szybą prostokąt materiału z obozu odosobnienia w Strzebielinku. Podpisy więźniów, wśród nich: „H. Frankiewicz".

Henryk Frankiewicz, jeden z najstarszych pracowników Świetlika, ciągle ma coś z bojownika sprzed wielu lat. Szczupła, wyprostowana sylwetka, siwe włosy i broda, koszula w kratę. Pogodna twarz i spokojne, mądre spojrzenie kogoś, kto wiele w życiu doświadczył – dobrego i złego. Za udział w wydarzeniach grudnia 1970 i „szerzenie wrogiej propagandy", jak głosi notatka z akt sporządzonych przez urząd bezpieczeństwa w Gdańsku, Frankiewicz zostaje zwolniony z Gdańskiej Stoczni Remontowej, gdzie pracuje jako wytaczacz.

– Nie chwalę się, byłem fachowcem dość dobrym, ale w 1972 roku znaleźli na mnie haczyk i zostałem zwolniony – opowiada pan Henryk.

Po dłuższych poszukiwaniach zostaje zatrudniony w Przedsiębiorstwie Transportu i Sprzętu Budownictwa Komunalnego (WPTSBK) i zanim dowie się o tym esbecja – swoją fachowością przekonuje do siebie przełożonych, którzy stoją za nim murem, i unika zwolnienia. Jednak latem 1980 roku znowu aktywnie angażuje się w strajk.

– W końcu, kiedy zobaczyłem, kto się tym zajmuje i jak to całe kierownictwo robi w konia chłopaków, nie mogłem wytrzymać..., no i wszedłem w to – wyjaśnia.

13 grudnia 1981 roku Frankiewicz zostaje aresztowany i osadzony w obozie odosobnienia w Strzebielinku. Na wolność wychodzi 26 listopada 1982 roku, zgłasza się do swojego zakładu pracy, ale tym razem SB skutecznie blokuje jego powrót do przedsiębiorstwa. Pada propozycja innego zakładu.

– Pomyślałem, jak jesteście tacy cwani, będę jeszcze lepszy. To też chyba taki zbieg okoliczności się zdarzył – w czasie internowania byłem w szpitalu i okazało się, że mam coś z kręgosłupem. Poszedłem więc zaraz do lekarza, to był wojskowy chirurg ortopeda, i powiedziałem, w czym sprawa. To był porządny człowiek, wysłuchał mnie uważnie, zbadał i powiedział, że pójdę na rentę. Przyznam, że o rencie wtedy nawet nie myślałem. Ale faktycznie dostałem trójkę, a w końcu i drugą grupę, już na stałe – wspomina.

## Nie na wysokościach

Henryk Frankiewicz próbuje znaleźć dodatkową pracę, bo renta nie wystarcza na życie. Jednak karta działalności opozycyjnej sprawia, że nigdzie nie chcą go zatrudnić.

– Nie mogłem znaleźć stałego zajęcia, więc łapałem się, gdzie można było, pracowałem wtenczas między innymi u księdza Henryka Jankowskiego przy remoncie, przy malowaniu całego

zaplecza. I pewnego dnia przyszedł Jacek Merkel. Poznaliśmy się w czasie internowania. I on mnie pyta: „Co ty tu robisz?". Ja mówię: „Jak to, co robię? Widzisz, co robię. Pracuję". I tak się skończyło. A dwa czy trzy dni później przyszedł jego brat i powiedział, że ma dla mnie pracę – na wysokościach. Mówiłem, że na wysokościach nie dam rady, ze względu na kręgosłup. No to on zaprowadził mnie na Pańską i tam poznałem Maćka Płażyńskiego. Potem spotkaliśmy się kiedyś na dworcu w Oliwie i powiedział mi, że jest praca w Warszawie, ale też na wysokości. Ponownie odmówiłem, a po dwóch czy trzech dniach Maciek dał mi znać, bym przyszedł znowu na Pańską. Okazało się, że potrzebowali magazyniera i ja tę ofertę z radością przyjąłem. Tak rozpocząłem pracę w Świetliku – wspomina Henryk Frankiewicz.

## Łazienka, kazamaty, kontener i twierdza

– Kiedy rozpocząłem pracę w spółdzielni, to magazynu jako takiego właściwie nie było. Po prostu w klopie, to znaczy w łazience, wszystko leżało na kupie – sprzęt alpinistyczny, liny, rękawice, i tak jeden z drugim szedł tam, dawał nura i wyciągał, co mu było potrzebne. Drugi magazyn, z farbami, mieścił się w twierdzy Wisłoujście, w takich kazamatach. Jak się weszło, to kurczę, skórka cierpła z zimna. To były pierwsze magazyny, jakie mieliśmy w Świetliku. Kiedy przenieśliśmy się z Pańskiej na Małcużyńskiego, było lepiej: mieliśmy wykupiony kontener i już ten magazyn jako tako wyglądał. Z kolei w Wisłoujściu z kazamatów przenieśliśmy się do twierdzy. I ja za te dwa magazyny odpowiadałem. Ewidencjonowałem i wydawałem sprzęt, farby, cement czy wapno, i tak dalej.

## Pani Zosia

W PRL-u właściwie zawsze brakowało materiałów budowlanych, podobnie zresztą jak i innych dóbr, ale w latach osiemdziesiątych zdobycie w normalny sposób, czyli kupienie w skle-

pie, takich deficytowych towarów, jak farby czy cement, było właściwie prawie niemożliwe.

– A myśmy mieli wszystko, co było potrzebne, dzięki zaopatrzeniowcom – mówi Henryk Frankiewicz. – Pani Zosia miała wśród nich najdłuższy staż i doświadczenie. Nigdy nie jeździła na zakupy, ale wszystko skutecznie załatwiała przez telefon. Rzeczywiście miała do tego wielki talent. Dzwoniła do fabryki farb i dowiadywała się, kto dysponuje towarem, i z tą osobą załatwiała sprawę. Zazwyczaj nie obywało się bez souvenirów – lodówki czy telewizora, ale w spółdzielczej kasie były pieniądze na ten cel, a zarabialiśmy przecież bardzo dobrze. Właściwie istniał tylko jeden problem – wtedy niczego nie można było dostać na bieżąco, należało wcześniej złożyć zamówienie. I czasem po tygodniu, innym razem po dwóch czy trzech przywozili nam te farby ciężarówką z przyczepą – od razu kilka ton. W magazynach stała tego niesamowita ilość. Osobiście starałem się tak tym zarządzać, żeby nic się nie przeterminowało. Łatwo nie było, bo każdy chciał z najnowszej dostawy. Czyli normalnie miałem klęskę urodzaju – śmieje się Henryk Frankiewicz. – No, ale w tamtych czasach tak to właśnie wszystko było postawione na głowie – dodaje.

Potrzebne materiały muszą się znaleźć w miejscu, gdzie realizowane jest zlecenie. Na początku działalności Świetlika są one nadawane na pociąg.

– Wszystko było załatwione z konduktorem lub maszynistą za uzgodnioną wcześniej kwotę i oczywiście z ominięciem drogi służbowej, a na stacji docelowej ktoś odbierał towar. Później, kiedy Świetlik się rozwinął, zamawiano normalny transport, czyli zaprzyjaźnieni kierowcy ciężarówkami zawozili wszystkie rzeczy potrzebne do realizacji zlecenia. Czasami, zwłaszcza kiedy w grę wchodziły mniejsze ilości, na przykład farby, w miarę możliwości załatwiano wszystko już na miejscu – wyjaśnia Henryk Frankiewicz.

## Prezes co głosu nie podniósł

Zdaniem Henryka Frankiewicza z Maćka Płażyńskiego był niezły oryginał, ale gdyby tak przyjrzeć się innym świetlikowcom, to okaże się, że wcale nie był w swej oryginalności odosobniony.

– Pamiętam jedno walne zebranie, to było zimą, w styczniu czy lutym, no i Maciek, Antek Grabarczyk, i jeszcze ktoś tam do nich dołączył, koniecznie musieli się wykąpać w jeziorze. Rozebrali się, wskoczyli do wody i wyskoczyli po chwili. Byli po procentach, to pewnie nie odczuli zimna – śmieje się pan Henryk. – W ogóle przez całą zimę strój Maćka to były tylko jakieś półbuciki, czarny sweterek i taka kurteczka podszyta wiatrem. To był cały jego zimowy strój – wspomina.

Pewna niedbałość Macieja Płażyńskiego o wygląd zewnętrzny zaowocowała zabawnym zdarzeniem, powtarzanym już jako anegdota.

– Kiedyś Maciek z pracownikami pojechał do Płocka na rozmowy, na ważne umówione spotkanie. No i Maćka nie chcieli przez portiernię wpuścić, bo wzięli go za robola. Nie uwierzyli, że jest prezesem – śmieje się Henryk Frankiewicz. – Ale do samych rozmów czy negocjacji to on się nadawał jak nikt inny. Maciek był niesamowity pod tym względem. Ja parę razy z nim jeździłem i do Zdzieszowic, i do Katowic. Dla niego nie było sprawy nie do załatwienia. Aż się nie chciało wierzyć. Przecież byłem starszy i parę rzeczy przeżyłem, widziałem... Kiedyś pojechaliśmy do Zdzieszowic, i tam się okazało, że można zarobić duże pieniądze na remoncie takich wielkich drewnianych chłodni. Ta pierwsza grupa na początku spółdzielni to byli studenci albo panowie, którzy pracowali w biurach, i nikt się na takiej fizycznej robocie nie znał – powiedzmy to sobie otwarcie. Niektórzy nawet nie mieli zielonego pojęcia, jak porządnie pędzel trzymać. Dlatego Maciek chciał podkupić takiego jednego inżyniera, który wiedział, o co chodzi z tymi chłodniami. Rozmowy były już zaawansowane. W użyciu było wszystko:

wódka, pieniądze. Prezes umiał tak to wszystko rozgrywać, by wyszło na nasze. Poza tym ten chłop nie miał biurka w firmie – snuje wspomnienia o Macieju Płażyńskim pan Henryk. – Wszystko było załatwiane na schodach. Sprawy jakieś rozpisane na kartkach. Miał je w jednej kieszonce, a w drugiej pieniądze. Głowa niesamowita, kurczę, i pamięć – mówi z podziwem. – Poza tym Maciek nigdy nie podnosił głosu. Nie pamiętam, by coś takiego się zdarzyło. Kiedyś jeden z chłopaków miał dość poważną wpadkę, na tyle poważną, że prezes chciał go wywalić ze spółdzielni. Rozmawiał z nim parę razy poważnie, ale spokojnie, rzeczowo. W końcu go nie wyrzucił. Nikogo nie wyrzucił. Potrafił rozmową sprawę załatwić – pan Henryk zamyśla się i dodaje po chwili: – I był tolerancyjny, na przykład kiedy część pracowników, między innymi Borówa i Donald Tusk, chciała się angażować w różne inne działania. Pamiętam pewne ważne zebranie w Babim Dole za Zblewem, w sprawie przekształcenia firmy. Zastanawialiśmy się wtedy, co zrobić ze spółdzielnią, i ja Maćka zapytałem, czy się nie boi, że ci wszyscy ludzie poodchodzą, czy to wszystko nie upadnie. A Maciek mi odpowiedział, że jak chcą robić karierę, to niech robią. A nuż to nam pomoże. Ale to nam nie pomogło, a zaszkodziło – dodaje refleksyjnie Henryk Frankiewicz.

## Rozterki magazyniera

Henryk Frankiewicz jest jednym z tych, którzy byli w Świetliku do końca i ma własne, wyrobione zdanie na temat schyłku i rozwiązania spółdzielni.

– Było parę błędów, popełnionych także w samej końcówce. Jednak mówiąc szczerze, majątek firmy był tak mocny, że można było jeszcze pociągnąć – mówi z przekonaniem. – Znaczącym momentem stało się założenie spółki. To była spółka budowlana. Spółdzielnia nie miała już pracować w swoim profilu wysokościowym, ale wzięła zlecenie remontu akademika przy ulicy Do Studzienki w Gdańsku Wrzeszczu. Właściwie budynek

trzeba było zburzyć i od nowa stawiać, i na tym spółdzielnia się przejechała, bo nikt nie miał zielonego pojęcia, jak to robić – uważa Frankiewicz. – Moje zdanie jest takie, że w tamtym czasie zaczęto zatrudniać przypadkowych ludzi i część z nich po prostu wykorzystywała spółdzielnię. Myśmy kupowali sprzęt, a przyszedł człowiek, popracował dzień, dwa, zabrał wszystko i poszedł. Brali też zaliczki na duże pieniądze i nie rozliczali się z tego, jak trzeba. Jakie rachunki przynosili, to było śmieszne, dziecinada. Ja to musiałem ewidencjonować, później rozliczyć. Potem wzięli takiego inżynierka, żeby naprawił to wszystko, ale moim zdaniem wzięci byli nie ci ludzie, co trzeba. Dawałem znać Jarkowi Czarnieckiemu – bo Maćka już w spółdzielni nie było, był wojewodą – ale jakoś to pozostawało bez oddźwięku. Na zebraniach bardzo mało mówiło się na ten temat. Jak już była rozmowa, to o rozwiązaniu spółdzielni i wyborze likwidatora – wspomina.

Tym ostatnim zostaje w końcu Wiesiek Kamiński, ale zdaniem Henryka Frankiewicza on też się do tego nie nadawał.

– Pretensje też miałem do Jarka Czarneckiego. Niczego nie podpowiedział, a myślę, że mógł to zrobić. On najpierw był księgowym, a już później, na koniec, był prezesem. Przecież była możliwość, żeby ze spółdzielni wyprowadzić wszystko, cały majątek – mówi Henryk Frankiewicz z nutą rozgoryczenia w głosie. – Ja miałem to wszystko pod sobą. Zrobiłem specjalną listę i przedstawiłem ją Jarkowi, głównej księgowej i jednemu chłopakowi z rady nadzorczej. Chciałem nawet zawrzeć taką umowę, że to wezmę na siebie i potem przekażę spółdzielni. Ale mieli obiekcje, że nie, że tak nie można… Później, kiedy spółdzielnia upadła, ja się strasznie bałem, jak to będzie ze zdawaniem wszystkiego. To chodziło o tysiące rzeczy, które tam były. Sądziłem, że jako magazynier podczas upadłości będę się musiał ze wszystkiego rozliczyć. I starałem się to wszystko zrobić najlepiej, jak umiałem. A później ci likwidatorzy to mi się w twarz śmiali: „Chłopie, myśmy tyle firm likwidowali, ale tak

bogatej w upadłości to jeszcze nie widzieliśmy. Jeśli zastaliśmy koła od wozu, to zazwyczaj było wszystko. Przecież nas to nie obchodzi, ile ty miałeś, co miałeś, tylko to, co myśmy zastali". To ja się za głowę złapałem. Przecież gdybym wiedział, to bym samochodem to porozwoził i porozdawał. Przecież to były tysiące rzeczy: spawarek, sprężarek, podnośników różnego typu. Potem na część etatu pilnowałem tych magazynów poprzez syndyka. I jeszcze na pół etatu pracowałem w spółce, tej budowlanej Spółdzielnia Usług Wysokościowych, też jako magazynier. Jej prezesem został Jaśkowiak. Miał naprawić wiele. Miał poparcie Merkla i Kosiaka. Ale nic już z tego nie wyszło – wspomina Henryk Frankiewicz.

## Najmilsze spotkania

Henryk z żoną Urszulą, która także pracowała w spółdzielni, prawie każdego roku przychodzą na sylwestrowy mecz piłkarski Świetlika.

Mecz na boisku Politechniki Gdańskiej. Pierwszy z lewej Maciej Płażyński. *(z arch. rodzinnego E. Płażyńskiej)*



– Ja sam też bardzo długo grałem. Jestem jednym z najstarszych, więc potem to już tylko stałem na bramce. Poza tym to przynajmniej dwa razy w roku się widzieliśmy. Czasem przy dziku… to znaczy kiedyś tak było, bo z czasem coraz rzadziej. W końcu udało nam się umówić po dłuższej przerwie – jesienią zeszłego roku[2] mieliśmy zjazd w Sobieszewie. Bardzo przyjemnie było się spotkać, z niektórymi to właściwie po wielu latach – mówi pan Henryk. – Od pewnego czasu czuję się trochę wyłączony ze wszystkiego – wyznaje po chwili. – To znaczy, ja się sam wyłączyłem. Muszę powiedzieć, że mam dosyć polityki. Dosyć. Ja już przeżyłem tyle, niech się młodsi teraz wezmą za to – stwierdza. – Na szczęście podczas spotkań rozmawiają też o innych sprawach, o tym, jak się komu to życie ułożyło i układa.

Przyznaje, że sam najbardziej lubi pracować w ziemi.

– Najpierw mieliśmy z żoną działkę, tutaj, jak to lotnisko jest w Bysewie – tłumaczy. – Potem udało nam się wydzierżawić kawałek ziemi na Kaszubach w Złotej Górze, i tam postawiłem domek. Od tamtej pory każdego roku od maja do października siedzimy z żoną na wsi. Teraz już nie wędkuję, bo ciężko mi się wspinać na stromiznę znad jeziora, ale na grzyby jeszcze chodzę. Wnuczka Agnieszka w tym roku kończy osiemnaście lat i robi tam u nas, na Kaszubach bal. A ja wszystko szykuję. Równam teren, sieję trawkę, aż moja żona śmieje się, że chyba bardziej to przeżywam niż wnuczka, ale ja po prostu nie potrafię usiedzieć w miejscu… – uśmiecha się Henryk Frankiewicz.

[2] W 2008 roku

# Pod opieką Anioła Stróża

Leszek przecież dobrze wiedział, że główny karabinek ma być zakręcony. Pamiętał, że dawał zakręcony. Na pewno. Więc nie wie, jak to się mogło stać.

– Przy schodzeniu wszystko mi się nagle odpięło – opowiada, zapalając papierosa. – Nie zdążyłem nawet pomyśleć. Spaaadaaałeeem. Jakimś cudem w otwarte okno udało mi się wskoczyć, zaczepić nogami i ostatkiem sił wciągnąć do góry. Potem poprosiłem przerażone panie, które pracowały na tej hali, by załatwiły drabinę. „Właśnie urwałem się z linek" – wyjaśniłem przytomnie, kurczowo trzymając się framugi, bo od okna do podłogi było jeszcze kilka metrów...

## Niespokojny duch

Niespokojny duch Leszka Kosiaka to być może sprawa genów, no i jeszcze wielkiej historii, tej, która ludzkie istnienia przerzuca z jednego krańca świata na drugi, tak lekko jak wiatr unosi delikatne nasiona dmuchawca.

– Moja mama pochodziła z Kowna i stamtąd wraz z babcią zostały zesłane na Daleki Wschód. Potem dołączyły do wychodzącej armii generała Andersa. Kolejny etap to podróż do Wielkiej Brytanii. Tata był w konwoju. Poznali się... Tata też pochodził z daleka, bo przyszedł na świat w Niemczech, w Liesburgu – to był czas, kiedy przebywało tam wielu Polaków. No a ja z kolei urodziłem się w Eher, w Szkocji, dwa lata po wojnie.

W 1984 roku Leszek Kosiak w związku z warszawską działalnością opozycyjną zostaje oskarżony o próbę obalenia ustroju siłą i skazany przez sąd wojskowy na karę więzienia, którą ma odbyć w Potulicach.

– Zapytałem prokuratora wojskowego, jak ja niby miałbym ten ustrój siłą obalić. Jaką siłą? Z nożem i widelcem na wojsko? Wszystkie czołgi, plutony, bataliony? Pamiętam, nic mi wtedy nie odpowiedział – wspomina.

Jednak Leszek tym razem do Potulic nie dojeżdża. Między ogłoszeniem wyroku a odsiadką ucieka i ukrywa się na terenie Gdańska, i szuka pracy.

– Jeszcze przed stanem wojennym pracowałem w Energomontażu Północ i kiedy ówczesny rzecznik komunistycznego rządu Jerzy Urban ogłosił, że nie ma prześladowań i można zgłaszać się do poprzednich zakładów pracy, napisałem do dyrektora podanie o przywrócenie – wyjaśnia.

W odpowiedzi dowiaduje się, że w obecnej sytuacji społeczno-politycznej powrót nie jest możliwy. W Gdańsku aplikuje do kilku firm. Na próżno. W żadnej nie chcą go jako pracownika. W końcu, dzięki znajomemu, Leszkowi Orskiemu, spotyka się przy ulicy Poznańskiej z Maciejem Płażyńskim, który przyjmuje go do Świetlika.

## Lot

Leszek ma już doświadczenie w pracy na wysokości i wchodzi do Świetlika jako „akrobata", czyli zjeżdżający. Pierwsze zlecenie dobrze pamięta. Kiedy rozpoczynają konserwację dźwigu portalowego w gdyńskiej stoczni Nauta, jest jesień, a kończą malowanie już w padającym śniegu. W nagrodę, prosto z Gdyni Leszek ląduje na kominie elektrociepłowni gdańskiej.

– To była pioruńsko ciężka robota, ale wyjątkowo dobrze płatna – wspomina.

EC to jedno z kultowych zleceń spółdzielni, między innymi ze względu na ilość adrenaliny, bo praca bardzo ciężka, trudna

i niebezpieczna – zgodnie przyznają to wszyscy, którzy tam wtedy byli. Poza tym sprzęt, który wykorzystują do wspinaczki, to jedna wielka prowizorka: cumownicze linki, załatwiane po znajomości w stoczni.

– Używaliśmy liny grubości czternastu milimetrów, przeznaczonej do cumowania statków. Targaliśmy to na komin, czyli osiemdziesiąt metrów w górę. A sprzęt do zjeżdżania? Kiedy potem zorientowaliśmy się, jak taki sprzęt powinien wyglądać, bo dzięki pomocy paryskiej „Kultury" i ludzi z Niemiec w końcu zdobyliśmy profesjonalny sprzęt alpinistyczny, to strach było wiadro powiesić na tym, co wcześniej służyło nam do zjazdów. Na szczęście nic się nikomu nie stało, ale Anioł Stróż miał z nami pełne ręce roboty – przyznaje Leszek. – Choćby Marszałek, totalny wariat. Drugiego takiego nie było. Maciek uważał, że najlepiej działać na sznurowadło, czyli żadnych zabezpieczeń. Ja byłem taki, że jak gdzieś schodziłem, to piętnaście razy sprawdzałem, czy wszystko jest w porządku, a on po prostu wsiadał i jechał. Pamiętam dobrze takie zdarzenie na elektrociepłowni, kiedy malowaliśmy konstrukcję. Opracowaliśmy tam własny patent, czyli wózki, które składały się z pręta i łożysk; wczepialiśmy się w strop i jadąc, malowaliśmy. Każdy element dachu ma specjalne podcięcie, bo stal pracuje i rozszerza się. Nasza asekuracja była zrobiona podobnie jak wózek, tylko się nie toczyła. Pamiętam, jak mówiłem Maćkowi na okrągło, żeby założył zabezpieczenie, bo wózek wyjedzie i spadnie. I spadł. A Maciej ten jeden jedyny raz włożył asekurację – opowiada Leszek Kosiak.

Po pewnym czasie wpada się w rutynę, która osłabia czujność. Świetlik realizuje kolejne zlecenie. Tym razem jest to mycie okien na budynku Unimoru[3] w Gdańsku. Leszek przecież dobrze wie, że główny karabinek ma być zakręcony. Pamięta, że dawał zakręcony. Na pewno. Więc nie ma pojęcia, jak to się mogło stać.

[3] Obecnie siedziba Urzędu Marszałkowskiego.

– Przy schodzeniu wszystko mi się nagle odpięło – opowiada, zapalając papierosa. – Nie zdążyłem nawet pomyśleć. Spaaadaaałeeem. Jakimś cudem w otwarte okno udało mi się wskoczyć, zaczepić nogami i ostatkiem sił wciągnąć do góry. Potem poprosiłem przerażone panie, które pracowały na tej hali, by załatwiły drabinę. „Właśnie urwałem się z linek" – wyjaśniłem przytomnie, kurczowo trzymając się framugi, bo od okna do podłogi było jeszcze kilka metrów... – Albo historia Mirka Błaszkiewicza – kontynuuje opowieść Leszek Kosiak. – Pamiętam, jak Mirek schodząc z dachu, przypiął się do czegoś, co wziął za uchwyt, a co okazało się wypustką ze smoły. Na szczęście miał asekurację. Tak, Anioł Stróż naprawdę nie miał z nami lekko – śmieje się.

## Na papierosa

Dlaczego Ponury? – Leszek Kosiak zamyśla się na chwilę. – W Kielcach podczas wojny działał oddział AK majora Piwnika „Ponurego" i kiedy w tym mieście prowadziłem zlecenie, ktoś te fakty połączył, no i przylgnęła do mnie ksywa Ponury – wyjaśnia.

Analogia jest w pełni uzasadniona, bowiem w latach osiemdziesiątych Leszek Kosiak ostro działa jako opozycjonista, zresztą nie tylko w Kielcach, ale w różnych miejscach Polski,

i kilkakrotnie jest za to skazany przez komunistyczny sąd na karę więzienia.

– W związku ze zleceniami realizowanymi przez spółdzielnię Świetlik przemieszczaliśmy się po całym kraju – i oczywiście wykorzystywaliśmy te wyjazdy do rozprowadzania bibuły, między innymi na Śląsku, w Płocku czy w Kielcach. Z wielkim zainteresowaniem czytaliśmy wspomnienia ludzi z AK i stamtąd czerpaliśmy wiele pomysłów – mówi Kosiak.

Jedną ze swoich akcji świetlikowcy przeprowadzają w Kielcach. Naprzeciw budynku komendy głównej milicji rozrzucają ulotki „na papierosa".

– Do tego potrzebny był papieros, który nie zgasł, zanim nie spalił się cały tytoń. Pod tym względem tylko „towar" ze „zgniłego Zachodu" nie zawodził, na przykład marlboro, które można było wtedy kupić w Peweksie. Przeznaczone do zrzutu ulotki pakowaliśmy w luźną paczkę i związywaliśmy sznurkiem, zawieszaliśmy, a w pętelkę wkładaliśmy zapalony papieros. Po pewnym czasie żar dochodził do pętelki, sznurek puszczał i po chwili ulotki pięknie szybowały na dół. W zależności od tego, ile czasu potrzebowaliśmy na dobiegnięcie do dworca i dopadnięcie odjeżdżającego pociągu, odpowiednio regulowaliśmy odległość żaru od pętelki. Milicja wiedziała, że gdańszczanie pracują na ich terenie i podejrzenie w pierwszej kolejności padłoby na nas, więc oczywiście staraliśmy się być w tym czasie już w pociągu – wyjaśnia Leszek.

Antykomunistyczna opozycja wykorzystuje także sprawdzony przez AK sposób organizacji swojej działalności. Anonimowość współpracujących ze sobą osób stwarza szansę ocalenia innych, w razie ujęcia jednej z nich.

– Z niektórymi ludźmi, z którymi się w tamtym czasie spotykałem na różnym gruncie – czy w ramach spółdzielni, czy w relacji towarzyskiej – ściśle współpracowałem, nie wiedząc o tym. Wszystko się wyjaśniło dopiero, kiedy nam wręczano medale Ministerstwa Kultury za twórczość, tę podziemną. Wtedy się okazało, że myśmy się zazębiali po drodze wszyscy – na przykład ten spokojny klient, udający, że nic nie robi, to był najlepszy drukarz, który nie wpadł do końca. Ten właśnie dostarczał materiały do miejsca, z którego ja je odbierałem. Nikt z nas nic nie wiedział o drugim – według starej zasady, że im mniej wiesz, tym lepiej.

## Rzecznik

W Płocku Leszek Kosiak podczas realizacji zlecenia nawiązuje kontakt z miejscowym szefem Solidarności w sprawie kolportażu gdańskiej prasy podziemnej na tamtym terenie.

– Pamiętam, pewnego dnia pojawił się w naszej szatni jakiś facet i zapytał, który to Kosiak. Kiedy powiedział, że musimy wyjść, pomyślałem: „Ktoś doniósł, przyjechali po mnie". Dopiero potem wszystko się wyjaśniło i rozpoczęliśmy współpracę: gościliśmy go, poznał spółdzielnię, odbierał i rozprowadzał naszą prasę.

Nie zawsze inicjatywy podejmowane przez Leszka mają szczęśliwy finał. W 1986 roku Kosiak po raz kolejny zostaje zatrzymany i trafia do aresztu śledczego, tym razem w związku z próbą wydania fałszywego numeru gazety z wiadomościami opozycyjnymi.

– Podczas niemieckiej okupacji ukazała się gadzinówka[4] z informacjami podziemia. Chcieliśmy zrobić rzecz podobną, wykorzystując do tego łamy „Głosu Wybrzeża". Niestety, wtajemniczyłem w tę sprawę nieodpowiednie osoby, które nie zachowały dyskrecji. Pewnego dnia przyszli po mnie „smutni panowie" i cały rok byłem w śledztwie.

W 1988 roku wybucha strajk w Stoczni Gdańskiej. Świetlik przerywa realizację zleceń i wspiera strajkujących. Leszek Kosiak zostaje rzecznikiem strajku.

## Coś najlepszego

Ponury wcale nie jest ponury.

– Tak, ja byłem barwną postacią i bardzo towarzyską. Wtedy wszyscy żyliśmy na totalnym luzie i nie wylewaliśmy za kołnierz. Myślę, że po prostu w ten sposób próbowaliśmy odreagować stres i frustrację. Były kielichy, nie ma co ukrywać – wyznaje Leszek Kosiak. – Pamiętam, że po mojej ostatniej odsiadce, w 1986 roku, wypuszczono nas wcześniej w związku z amnestią. Zameldowałem się na Starówce w spółdzielni

[4] Gadzinówka – powszechne w czasach II wojny światowej określenie polskojęzycznej prasy wydawanej z upoważnienia władz niemieckich w Generalnym Gubernatorstwie i uważanej za kolaboracyjną.

– długowłosy i brodaty. Moje wejście wywołało lekkie poruszenie, także wśród pań, bo już wcześniej rozeszła się wieść o moim zwolnieniu z więzienia. Nie przeczę, dałem powody, by zostać zauważony. Niestety, Maryli wtedy nie zaimponowałem, a co więcej – jak potem przyznała, jej pierwsze wrażenie było wręcz nienajlepsze. Na szczęście, z czasem przejrzała maski błazna bawidamka i odkryła pod nimi coś więcej. Zaczęło się wtedy piękne i cenne uczucie między nami, i trwa. Myślę, że na koniec dostałem w życiu coś najlepszego, bo dzięki żonie moje życie nabrało harmonii, głębi i większego sensu.

# Odrobina dziegciu w beczce miodu

Kiedy poproszono mnie o kilka refleksji na temat spółdzielni Świetlik, w pierwszej chwili byłem skłonny odmówić. Odchodziłem ze spółdzielni z pewnym niesmakiem i przez minione dwadzieścia lat nie wydarzyło się nic, co by to moje nastawienie zmieniło. Pomyślałem jednak, że trzeba dorzucić odrobinę dziegciu do beczki miodu, która zapewne zostanie wystawiona przy okazji tego opracowania. Kto ma to uczynić jak nie ja, który zawsze miałem dystans do spółdzielnianej atmosfery, a od pewnego momentu dystans ten się pogłębiał.

Do Świetlika trafiłem, zanim jeszcze powstał, żartuję czasem. W Klubie Żeglarskim „Neptun" w Górkach Zachodnich, gdzie od kilku lat waletowałem, a przy okazji trochę żeglowałem i pływałem na desce, pojawili się Roman Rojek i Maciek Płażyński, i zaproponowali mi pracę w Gdyni Grabówku. Roman nie mógł towarzyszyć Maćkowi i szukał zastępcy. Rojka poznałem kilka lat wcześniej, gdy w swoich czasach licealnych przyjeżdżał do Neptuna pożeglować z grupą przyjaciół szkolnych i (co nie jest bez znaczenia) znanym z niefrasobliwego podejścia do pracy, żeglarstwa i licznych małżeństw nauczycielem języka angielskiego Jackiem Rudomskim. „Zrobiliśmy" więc Grabówek z Płażyńskim i to był mój pierwszy krok do przyszłego Świetlika. Następnie, dalszą koleją rzeczy (czyli po znajomości), znalazłem się w grupie, która trafiła do Tczewa. Była to bodajże fabryka przekładni samochodowych. Myliśmy

tam świetliki nad halą, w której tokarze toczyli. Chyba w trakcie tej pracy albo też krótko po niej powstał pomysł założenia spółdzielni. Ponieważ na akcie założycielskim potrzebnych jest dziesięć podpisów (a tylu mniej więcej pracowało w Tczewie), znalazłem się wśród założycieli. Pomysł na spółdzielnię i cała praca organizacyjna należały do Romana Rojka i Maćka Płażyńskiego. Jeśli mam dziś oceniać liderów, to wydaje mi się, że Roman miał fantazję, horyzonty, śmiałe pomysły i błyskotliwość. Refleks, jaki wykazywał w rozmowie i pewne skłonności do ironii nie przysparzały mu jednak zwolenników. Maciej był konsekwentny, twardy, niesłychanie odporny fizycznie i psychicznie, odporny w kontaktach. Ogarniający bez trudu wiele wątków, łącznie z prywatnymi pożyczkami, na potrzeby których wyciągał banknoty z kieszeni słynnych czarnych sztruksów. O jego odporności boleśnie przekonałem się w pierwszej, jeszcze przedświetlikowej pracy w Tczewie. Mieszkaliśmy wtedy w sklejkowych domkach na przystani Akademickiego Klubu Żeglarskiego w Górkach Zachodnich. Żeby być przed ósmą w pracy, musieliśmy wstać o czwartej rano i iść dwa kilometry przez las do przystanku autobusowego, potem czterdzieści minut do dworca i niespełna godzinę jechaliśmy kolejką do Tczewa. Tam dziesięciogodzinna harówka i taki sam powrót do domu. Maciej nigdy nie miał chwili załamania czy też złości, w przeciwieństwie do mnie, który jak mogłem, starałem się opóźnić to przedświtowe wstawanie.

Myślę, że w początkowym okresie Roman i Maciek nieźle się uzupełniali. Późniejszy konflikt i odejście Romana ze spółdzielni trochę uszły mojej uwadze. Pamiętam, że poparłem socjalistyczną wizję Maćka, licząc na to, że w pewnym momencie postawi tamę swemu idealizmowi. Tak się nie stało, a późniejsze wydarzenia i losy spółdzielni, również moje doświadczenia, wykazały, że Roman nieco wcześniej dostrzegł czyhające niebezpieczeństwa, a ja po dwóch latach musiałem spółdzielnię opuścić, zresztą z głębokim westchnieniem ulgi.

Dziś oceniając te koncepcje, myślę, że wersja Maćka dała spółdzielni miejsce w historii, a nawet otworzyła, jak niektórzy mówią, legendę Świetlika, ale też doprowadziła do niekontrolowanego napływu przypadkowych ludzi, chaosu, obniżenia jakości i w konsekwencji równi pochyłej i końca. Paradoksalnie zmiana systemu przyczyniała się także do końca opozycyjnej spółdzielni. Wielkie zakłady socjalistyczne miały fundusze remontowe, które musiały wykorzystać, i na tym bazowaliśmy. W artykule *Akrobaci, kapeluchy i łabędzie*, opublikowanym na początku lat dziewięćdziesiątych przez „Gazetę Wyborczą"[5], prezesi trochę się przerzucają. Maciek chciał prywatyzować, Iżi (Jarosław Czarniecki) mu nie pozwalał. Donald uważał, że ta formuła już się skończyła. Widać brak męskiej decyzji, a może już brak zainteresowania. Nie byłoby w tym nic złego, wszystko ma swój koniec, a spółdzielnia spełniła swoje zadanie. Dała oparcie i utrzymanie sporej grupie ludzi w trudnych czasach, a jeszcze do tego odegrała podobno niemałą rolę polityczną. Z drugiej strony jednak dwie setki chłopaków znalazły się na bruku, co po dziesięciu latach pozostawania poza wyuczonym zawodem mogło stanowić pewien problem. Ci sprytniejsi wykonali desant na Warszawę i szybko zapomnieli o socjalistycznej wersji spółdzielni, którą wspierali i na której się wieźli, gdy było to dla nich wygodne.

Obserwowałem wszystko z pewnego dystansu, bo instynktownie wyczułem pismo nosem i w pogarszającej się atmosferze, jako jeden z pierwszych, złożyłem wypowiedzenie, bodajże w 1989 roku. Nigdy ani przez moment nie żałowałem tej decyzji, mimo że przez następnych kilkanaście lat pracowałem na niepełnym etacie oświatowym, co oznaczało, ni mniej ni więcej, życie poniżej minimum socjalnego.

Koncepcja Romana była bardziej racjonalna i z pewnością zapewniłaby dłuższy byt spółdzielni, większy spokój i równo-

[5] A. Bikont, P. Bikont, *Akrobaci, kapeluchy i łabędzie*, „Gazeta Wyborcza" z 04.02.1994.

wagę, lepsze efekty finansowe, ale też brak miejsca w historii i utonięcie w zasobnej przeciętności. Co lepsze? Pewnie co kto woli. Dziś opowiedziałbym się za drugą wersją – bo była bardziej sprawiedliwa. Nie było w niej miejsca dla stypendystów i satelitów, którzy najczęściej nie spełniali pokładanych w nich nadziei.

Czy istniało coś, co dziś określa się fenomenem spółdzielni? W początkowym okresie być może tak. Rytm i atmosfera były wtedy dobre. Egzotyczna praca, nowe umiejętności, to nas bawiło i pociągało. Koleżeństwo, dobra skuteczność w pracy, nawet w sytuacjach „niemożliwych", działalność społeczna: pomoc domom dziecka, stowarzyszeniom, rodzinom „siedzących" – to były jasne strony spółdzielni.

Obóz kondycyjny w Sztynorcie, luty 1986 r.
Od lewej: Zbigniew Gołębiowski, Marek Gąsiorowski (zasłonięty), Witold Neuman (tyłem), dalej Tadeusz Błaszkowski (zasłonięty), Jarosław Połoczański, Robert Krygier (częściowo zasłonięty), Marek Hałgas i pan zwany Rotmistrzem.
*(fot. J. Kaczyński)*



Gdzieś po 1986 roku pojawił się nowy zaciąg i wraz ze wzrostem liczby pracowników nastąpiło pogorszenie jakości. Alkoholizm na zleceniach rósł – aż doszedł do absurdu. Brali w nim udział niestety ci, na których zbieraliśmy po każdej wypłacie do dużej koperty, bo podobno „siedzieli". Nie znałem ludzi, ale wrzucałem banknoty przejęty świętym współczuciem. Po ich wyjściu trochę się rozczarowałem, bo nie można wykluczyć, że środki na wiadomy proceder czerpali z tej samej koperty. Obserwowałem brygadę w pewnym dolnośląskim miasteczku, która pracowała tylko w środę, bo do środy trzeźwiała, a od środy piła. Rosły koszty spółdzielni, hotel trzeba było opłacać cały tydzień. W biurze, żeby obsłużyć tę rosnącą liczbę spółdzielców, musieli pojawić się nowi urzędnicy, a także, o zgrozo!, stypendyści, którzy rzekomo byli zdolni. Coraz częściej mówiło się o machlojkach brygadzistów z godzinami. Wszystko zmierzało do PRL-u w miniaturze, czyli cały rok w robocie w wysmarowanym drelichu (bo malał udział w zyskach), złodziejstwo, rosnące pijaństwo i kręcący się po spółdzielni propagandziści, którzy nie wiadomo, z czego żyli.

W biurach spółdzielni starałem się bywać rzadko, bo każdy pobyt powodował większą niechęć i dystans. Można było spotkać tam sporo ludzi kłębiących się w palarni i gabinecie prezesa. Mówili prawie zawsze to samo, najczęściej powtarzanym hasłem było: „sto złotych na godzinę" (to dotyczyło oczywiście oczekiwanych zarobków). Do obowiązku należało też, możliwie często, podkreślać swój antykomunizm – chyba po to, żeby nikt nie pomyślał, że może być inaczej. Co jest? Myślałem w środku zakurzonego miasta, w dymie papierosowym. Co dzień to samo, a gdzie słońce, zieleń, woda? Czy nic innego nie przychodzi im do głowy? Może w tym szaleństwie była metoda, bo przy okazji byli blisko zleceń. Doszło podobno do tego, że gdy dostrzegali listonosza przez okno, pędzili po schodach na złamanie karku, żeby być na dole przed innymi i wyrwać mu zlecenie z ręki. Szalejący w palarni werbal-

ny antykomunizm budził moje spore wątpliwości. Sprawiał rytualne wrażenie. Co gorsza, wśród tych palarnianych opozycjonistów było kilku alkoholików, a nawet jeden drobny złodziejaszek. Trudno było dostrzec dystans do siebie albo pracę nad sobą. Nieuchronnie nasuwała się myśl, że w następnym rozdaniu będzie podobnie albo zgoła tak samo, może zmieni się tylko kolor krawatu. Nie może wszak gorsze zrodzić lepszego, a byle jakie nadzwyczajnego. Jak widać, fenomen miał swoje rysy, a ja rysom poświęciłem więcej uwagi niż fenomenowi.

Ten czarny obraz, jaki przedstawiłem, jest oczywiście pewnym wycinkiem. Było w spółdzielni wielu świetnych chłopaków. Były wspaniałe, trudne, a nawet ekstremalne prace. Koleżeństwo, sporo zabawnych sytuacji, sympatycznych wyjazdów na wypoczynek. Zaznaczyłem jednak we wstępie, że miód mnie nie interesuje, zajmą się nim z pewnością inni. Ja zajmę się tym drugim, gorzkim składnikiem beczki. Co zrobić? Takie skrzywienie. Wszystko, co napisałem, jest jednak najszczerszą prawdą.

## Wielki spór o szyld

Z wielokrotnego powtarzania (przy okazji pracy w Tczewie) słowa „świetlik" zrodziła się późniejsza, wdzięczna nazwa spółdzielni, którą lubiłem i z którą byłem związany wręcz sentymentalnie. Przypominała trudny okres w Tczewie, gdzie przez trzy miesiące zasuwaliśmy bez dnia wolnego. Wtedy wyłoniła się grupa założycielska, a i pewnie powstały warunki finansowe do tworzenia spółdzielni. Niestety, nazwa „Świetlik" funkcjonowała tylko przez pierwsze lata, do momentu pojawienia się propagandzistów, którzy na jednym z walnych zgromadzeń zaproponowali nową nazwę. Proponować każdy może, ale uzasadnienie wygłoszone przez niejakiego Mariusza W. zapachniało tak prymitywną propagandą, że jak to kiedyś dosadnie mówiono – szlag mnie trafił. Brzmiało to mniej więcej tak: My pracujący w całej Polsce, w Jaworznie, Kędzierzynie,

w Krakowie powinniśmy idee, które się w Gdańsku narodziły, nieść na cały kraj, bo przecież Gdańsk stoi na czele rewolucji i my nazywając się Świetlik – Gdańsk, jesteśmy śmieszni. Kiedy będziemy się nazywać „Gdańsk" Gdańsk, a jeszcze lepiej Gdańsk Gdańsk Gdańsk Gdańsk, będziemy tę rewolucyjną i wiodącą z rewolucji rolę Gdańska propagować. Cholera jasna! Facet, przywieziony w teczce, który jeszcze nie skalał rączek żadną pracą w spółdzielni, będzie mi nazwę zamieniał. Moje głośne protesty na nic się wówczas nie zdały. Poparcie miałem mizerne. Polegliśmy sromotnie w głosowaniu i nazwa przeszła. Kilka lat później, kiedy pracowałem w województwie szczecińskim, otrzymałem od znajomych artykuł *Akrobaci, kapeluchy i łabędzie*, w którym przeczytałem, że wielki spór o szyld spółdzielni wygrał Mariusz Wilk. Dziś, po dwudziestu czterech latach dowiaduję się, że wszyscy byli spółdzielcy używają tylko i wyłącznie nazwy „Świetlik". Nikt nie mówi o spółdzielni „Gdańsk". Gówno więc wygrał, myślę sobie. Nasze jest zza grobu zwycięstwo (wszak spółdzielni już nie ma). A o czym cała historyjka świadczy? Ano świadczy o tym, że ci sami „Wszyscy" i wtedy byli za nazwą „Świetlik", która pozostała w ich świadomości czy też podświadomości do dziś. Zabrakło więc odwagi, żeby przeciwstawić się rewolucyjnej argumentacji, bo a nuż ktoś uzna za niezaangażowanych albo nie daj Bóg za komunistów.

## Dwadzieścia lat później

Dobrze byłoby teraz, widząc więcej, z pewnego dystansu, odnieść się do opozycji spółdzielnianej czy też opozycyjności spółdzielni, która złożyła się zapewne na to, co dziś określa się fenomenem Świetlika. Jeśli w latach osiemdziesiątych opozycyjność miała szansę być czymś pozytywnym, co dodawało kolorytu i wynikało z dobrych intencji i poświęcenia przynajmniej części uczestników, to dziś musimy oceniać ją po efektach. Ponieważ mieliśmy do czynienia z grupą i generacją, która wpłynęła i wpływa nadal na losy kraju, w pewnym okresie

poczuła się właścicielem spółdzielni, warto jej się przyjrzeć dokładnie. Czy byli to ludzie wolni duchem, czy też może nowe pokolenie biurokratów, ZMS-owców nieco inaczej pomalowanych? Po owocach ich poznacie. Co też wynikło z kręcenia korbami powielaczy, zadym ulicznych, pomocy w organizacji strajków i przesiadywania w aresztach? „Porażka nigdy nie ukazuje się tak wyraźnie, jak wtedy, gdy przybiera pozór zwycięstwa". Efekt tych działań jest mniej więcej taki, że dziś ludzie pracy, najemna siła, którzy zawsze mieli źle, mają źle tak samo albo bardziej. Bo już nawet nie są ludźmi pracy najemnej, bo po prostu nie ma już dla nich roboty. Pułkownicy, agenci, sekretarze i generałowie, którzy zawsze mieli nieźle, mają lepiej, bo doszedł im drugi i trzeci etat.

Ludzie wolni, którzy zawsze mieli przeciwko sobie siły ciemności, mają przeciwko sobie siły ciemności. Są one bardziej wyrafinowane, lepiej przygotowane, groźniejsze. Mające oparcie już nie tylko na Wschodzie, ale też na Zachodzie i Północy; w wojskach, służbach i różnych dziwnych organizacjach. Ponieważ nie tak miało być, wypada zapytać, czy lawina zeszła jak zwykle swoim torem, nie bacząc na wysiłki „ZMS-owców", czy też to oni byli takiej formacji duchowej, iż z przyjemnością z lawiną się zabrali.

Obserwując przez sześć lat z bliska, a potem z nieco większej odległości powszechne pomieszanie pojęć, pogardę dla prostych ludzi, zmienność zeznań zależnie od miejsca siedzenia – chociażby w stosunku do stoczni, lustracji czy też losów spółdzielni – skłaniałbym się do drugiej ewentualności.

Ostatnio miewam wrażenie, że powoli, acz systematycznie (tak, żebyśmy tego nie zauważyli) jesteśmy zamykani w rezerwacie, gdzie wprawdzie możemy się poruszać, a nawet polować na współmieszkańców, ale pobyt jest kosztowny, a strażnicy niewidoczni i nieuchwytni.

Pewną niewielką, ale na swoim odcinku istotną rolę w budowaniu tego rezerwatu gra kilku naszych świetlikowych kolegów, którzy do tej roboty wprawiali się, siedząc za prezydialnym

stołem na różnych walnych i innych zgromadzeniach spółdzielni. Już wtedy można było dostrzec próby manipulowania salą – swoisty trening. Traktowałem to jako rodzaj zabawy, upajanie się swoją zręcznością. Teraz wiem – była w tym premedytacja. Mimo wszystko nie przypuszczałem, że Świetlik wykreuje twardych i bezwzględnych partyjniaków. Instynkt podpowiadał jednak już wówczas, że jest to świat raczej mi obcy i należy go jak najszybciej pożegnać. Uczyniłem tak bez żalu. Rezerwatu jednak do końca pożegnać się nie da, rezerwat otacza nas zewsząd (podobno dotarł już do Koła Podbiegunowego) i może niedługo przyjdzie nam powtórzyć za Apaczem Siedzącym Bykiem, który kiedy wyruszał przeciwko ekspedycji generała Custera, miał powiedzieć: „wolę zginąć z bronią w ręku jak mężczyzna, niż zdychać jak pies w rezerwacie".

## Post Scriptum

Już po napisaniu tego tekstu dowiedziałem się o wypadku pod Smoleńskiem. Pomyślałem wtedy, że nie widziałem nigdy Maćka Płażyńskiego odpoczywającego. Sprawiał wrażenie, jakby zawsze był w pracy. Fundował spółdzielcom różne wyjazdy: narty w Wiśle, odpoczynek w Sztynorcie, rejsy. Nigdy jednak nie brał udziału w tych zabawach. Wpadał na jeden wieczór, wypił piwo, pogadał, czasem przywoził jakieś wypłaty i rano wracał do Gdańska. W pracy był też tego kwietniowego poranka pod Smoleńskiem. „Fale morza biegną w dal, ale wreszcie znajdują granicę, starożytność wiedziała, że to Bóg jest tym, który wyznacza kres...". Jeśli dziś wspominam Maćka, przychodzą mi na myśl dwie sytuacje, które go w jakiś sposób charakteryzują. W czasie pewnej późnojesiennej pracy Maciek, który zawsze chodził w wyciętym w serduszko sweterku, bez kurtki i koszulki, i w listopadzie świecił gołą klatą, założył pod ten sweterek białą koszulkę. Wszyscy ze zdziwieniem zakrzyknęli: „Maciek w podkoszulku"?. Na co prezes lekko zażenowany, ze swoim nieśmiałym uśmiechem odpowiedział: „Tak

jakoś mgliście". Pogoda była iście sztormowa i kwalifikowała się na dwie kurtki puchowe. Weszło to do kanonu naszych powiedzonek i gdy tylko ktoś mocniej się opatulił, i pytano go, co tak grubo się ubrał, padała odpowiedź: „tak jakoś mgliście". Drugi moment, który zapamiętałem, to Tczew i świetliki. Chodziliśmy tam ze dwadzieścia metrów nad pracującymi tokarkami po kilkucentymetrowej szerokości kątownikach i myliśmy świetliki, czyli szkło znajdujące się nad naszymi głowami. Asekurowaliśmy się taśmą z karabinkiem wpiętym do kątownika nad nami. Asekuracja ta pozwalała nam dojść do połowy konstrukcji. Aby umyć drugą połowę, trzeba było wróć do wyjścia na dach, wyjść, obejść świetlik, wejść z drugiej strony i wpiąć się do konstrukcji. Można też było zrezygnować z jakiejkolwiek asekuracji i przejść po zakurzonym i zabrudzonym oparami oleju z tokarek kątowniku na drugą stronę. Nikt tego oczywiście nie robił, ale Maciek w pewnym momencie wypiął karabinek i jak linoskoczek przeszedł dość pewnie na drugą stronę. Zwykle drażni mnie zbędne szpanerstwo, ale pamiętam, że wtedy uśmiechnąłem się z uznaniem, bo wydało mi się, że nie interesuje go wrażenie, jakie na nas zrobił. Po prostu przeszedł dla siebie.

*Zbigniew Gołębiewski*

# Marzyciele

Strach na zawsze
najlepszym przyjacielem
wojownika. P. Pelczar

# Chwile absolutnej wolności

– (...) Udaję, że jestem takim samym fachowcem, jak nie większym, i muszę wyjść za tę barierkę i pojechać w dół, a przecież wcześniej tylko na drabinach pracowałem. Więc patrzę, co robi Mariusz i próbuję robić to samo, specjalnie tak szybko wiążę, żeby nie było widać tej mojej niekompetencji, ale wszystko na skurczonych rękach. A Kuba już robi zdjęcia, więc udaję pełen luz, choć nie wiem, co się dzieje, staję na ławeczkę, już za poręczą, wszystko się obsuwa, zaciskają się węzły, ja trzymam się kurczowo lin... W końcu, gdzieś tak po półtora metra, zatrzymuje się wszystko. Buja jeszcze chwilę, ale dalej nie jedzie; ja niepopodpinany, ale jakby nigdy nic, udaję, że jest dobrze. Mam tylko nadzieję, że Kuba nie wie, jak to wszystko ma wyglądać... Właściwie zdjęcia wyszły całkiem porządnie, a ja zjechałem w jakiś przedziwny sposób na dół, cały, choć pamiętam swoje przerażenie. Strasznie się bałem – wspomina z przejęciem Piotr Jahołkowski.

## W serdecznej opozycji

– Ja w opozycji byłem zawsze, ale w opozycji takiej serdecznej, wewnętrznej – zaczyna mówić Piotr Jahołkowski.

W pracowni zalanej marcowym słońcem zapach farb i rozpuszczalników, i innych malarskich mikstur wzmacnia poczucie teraźniejszości. Na ścianach i pod ścianami obrazy. Uwagę

przyciąga zwłaszcza jeden, nie tylko ze względu na duże wymiary, ale przede wszystkim niezwykły, oniryczny klimat i oryginalne ujęcie tematu: Długie Pobrzeże w Gdańsku. Ale już pachnie kawa z imbirem, już można skupić się na rozmowie, na słuchaniu.

– Jeszcze w liceum dotarły do mnie jakieś gazetki, na manifestację się wybrałem jedną, drugą. Miałem takie przejęcie w sobie, że to, co myślałem na temat komunizmu, zawsze miałem na ustach. Choć w domu nie było żadnych opozycyjnych tradycji, a moja mama nawet wierzyła w ten sojusz robotniczo-chłopski, opowiadała o biedzie przed wojną i miała łzy w oczach, gdy słuchałem Wolnej Europy – rozpoczyna swoją opowieść Piotr Jahołkowski.

Podkreśla, że gdy szedł na strajk do stoczni czy coś robił w szkole, na studiach, kontestując komunistyczną rzeczywistość, to nie miał wcale ciągot organizacyjnych. Pamięta taką chwilę, jak kiedyś w Gdańsku stał pod pomnikiem Sobieskiego razem ze swoimi kolegami Słomińskim i Boberem, z którymi razem chodził do jednego ogólniaka, do ósemki, a oprócz nich jeszcze może sto czy dwieście osób.

– Wiedzieliśmy, że jesteśmy ponamierzani i pamiętam, jak Wiesiek Słomiński mówił, że tak już będzie całe życie, że będzie wpadać ubecja. A we mnie była bardzo silna niezgoda na to, taka wewnętrzna opozycja, i mówiłem, że to padnie, że to jest oparte na kłamstwie i musi paść. I tak się stało – wspomina.

Podkreśla, że po prostu nie potrafił sobie wyobrazić życia z ciągłymi przesłuchaniami, ciąganiem gdzieś po komisariatach. Nie było w nim zgody, aby potulnie reagować na sytuacje, z którymi się głęboko, wewnętrznie nie zgadzał. Jednak zawsze protestował na własne konto, było to jego wyborem. Choć czasami mogło się wydawać inaczej, na przykład kiedy został szefem NZS-u w Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku. Wtedy właściwie uległ woli innych studentów, a działo się to przy okazji nawoływania do zorganizowania strajku w uczelni.

– W Świetliku wszyscy wydawali mi się takimi wielkimi działaczami. A ja...? – zastanawia się przez chwilę. – Właściwie też coś zrobiłem parę razy. Kiedyś mnie z krótkofalówkami złapali, miałem szybką rozprawę; a też stąd, ze stoczni wywieźli nas w kilkudziesięciu do Starogardu do więzienia; stoczniowcy nas prosili, a dokładnie Zenek Kwoka, by wspomóc strajk, bo już był rozgoniony i jakby na nowo się zawiązywał – wspomina wydarzenia, które rozegrały się zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego.

Kilka lat później Piotr Jahołkowski rozpoczyna studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Gdańsku (obecnie Akademia Sztuk Pięknych). Przy okazji składania papierów pomaga zorganizować strajk.

– Podobno, gdybym wtedy nie przyszedł, to ten strajk by się tam wtedy w ogóle nie zawiązał. Jacek Kornacki, jeden z obecnych profesorów akademii, przypomniał mi niedawno, że właśnie tak było. Cóż, w Świetliku nabrałem wprawy, więc kiedy tam przyszedłem, powiedziałem tylko, co mają robić – mówi wesoło Piotr.

Wydaje mu się ciekawe, że po latach wylądował ze swoją pracownią tutaj w stoczni, dokładnie w tym samym budynku, w którym kiedyś, w stanie wojennym, był na strajku, bo miał z innymi pilnować pierwszej bramy. Wtedy też w kontakcie ze stoczniowcami powstała silna więź z prostymi ludźmi.

– Było coś takiego, takie rozpięcie między studiowaniem w szkole plastycznej i etosem robotniczym. Nie widziałem siebie w polityce, ale byłem sercem z potrzebującymi. Ta lewicowość, która była w kontakcie z robotnikami, we mnie pozostała. Mówiąc o postawie lewicowej, mam na myśli solidarność społeczną i wrażliwość na drugiego człowieka, a także kwestię wolności. Kiedy wolność była zagrożona, moje zaangażowanie było oczywiste. Teraz zwracam się bardziej ku swoim światom – zamyśla się. – Może buddyzm też się na to nakłada. Coś jest w solidaryzmie, coś, czego jeszcze nie udało mi się wymyślić,

coś, co dotyczy całego świata. Jakiś patent, który sprawi, że nam wszystkim do siebie będzie bliżej – dodaje po chwili.

## Strach

Po maturze Piotr Jahołkowski rozpoczyna studia w Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku i zostaje szefem NZS-u w swojej uczelni, kontaktuje się z działaczami opozycji i bierze udział w strajku w Stoczni Gdańskiej. Jest chyba jedynym studentem AWF-u, który ma problemy polityczne. W tych okolicznościach wejście do Świetlika staje się czymś naturalnym. Wprowadzającymi są Donald Tusk i Mariusz Wilk.

– Ja się od dziecka znałem z Jaśkiem Pawłowskim; to była taka prawdziwa przyjaźń. Na pewno też u niego poznałem Donalda Tuska. No i wprowadzali mnie do firmy właśnie Donald i Mariusz Wilk. Ten ostatni zaprzyjaźnił się i w konsekwencji ożenił z moją kuzynką. Do Świetlika wszedłem, kiedy firma była już przeniesiona na Pańską. To mógł być chyba 1984 lub 1985 rok – próbuje umiejscowić ów fakt w czasie.

Pierwsze zlecenie to mycie świetlików w gdańskim Unimorze przy ulicy Rzeźnickiej. Tam poznaje Mirka Rybickiego, który kieruje całością prac.

– Jeszcze jeździć na linach za bardzo nie umiałem, ale to nie był problem, bo tam robiliśmy z drabin. Pamiętam oparte na krawędziach wanien z kwasem siarkowym drabiny i mycie świetlików, takie kosmiczne warunki od początku, ale sprawnie to wszystko było robione, z radością i entuzjazmem. No i była to bardzo dobrze płatna praca. Jedyne tak dobrze płatne zlecenie, na które trafiłem. Naprawdę to było fajne wejście, fajne wprowadzenie w Świetlik – wspomina.

W pamięci Piotra Jahołkowskiego mocno utkwiła latarnia w Stilo, bynajmniej nie tylko ze względu na swoje piękno i doskonałe proporcje. Zadaniem do wykonania jest ekspertyza budowli przed podjęciem prac konserwatorskich. Do Stilo Piotr jedzie z Mariuszem Wilkiem i Kubą Grabowieckim, znakomitym fotografikiem.

– Mieliśmy zobaczyć, co jest do zrobienia na tej latarni, a Kuba Grabowiecki miał nam robić przy okazji zdjęcia do folderu. Bardzo się wstydziłem. Bo był tam u nas taki dziwny etos wojowników i ja po prostu nie mogłem powiedzieć, że nie umiem ani stanowiska zawiązać, ani niczego – opowiada. – Wchodzę więc z Mariuszem na górę i patrzę, jak on te liny przywiązał, ale nie mam tak naprawdę pojęcia, jak to zrobić. Udaję, że jestem takim samym fachowcem, jak nie większym, i muszę wyjść za tę barierkę i pojechać w dół, a przecież ja wcześniej tylko na drabinach pracowałem. Patrzę, co robi Mariusz i próbuję robić to samo, specjalnie tak szybko wiążę, żeby nie było widać tej mojej niekompetencji, ale wszystko na skurczonych rękach. A Kuba już robi zdjęcia, więc ja udaję pełen luz, choć nie wiem, co się dzieje, staję na ławeczkę, już za poręczą, wszystko się obsuwa, zaciskają się węzły, ja trzymam się kurczowo lin… W końcu, gdzieś tak po półtora metra, zatrzymuje się wszystko. Buja jeszcze chwilę, ale dalej nie jedzie; ja niepopodpinany, ale jakby nigdy nic, udaję, że jest dobrze. Mam tylko nadzieję, że Kuba nie wie, jak to wszystko ma wyglądać… Właściwie zdjęcia wyszły całkiem porządnie, a ja zjechałem w jakiś przedziwny sposób na dół, cały, choć pamiętam swoje przerażenie. Strasznie się bałem – wspomina z przejęciem Piotr Jahołkowski.

Przed kolejnymi zleceniami prac na linach Piotr przechodzi kurs. Potem jeszcze jeden w Tatrach. Jednak ciągle czuje strach.

– Tak trudno było się do tego przyznać; wszyscy dookoła wydawali mi się tacy bez lęku. Siwy na przykład. Kiedy ja trzymałem się kurczowo jakiegoś słupa, a ten chodził u góry jak po chodniku, to normalnie brzuch mnie bolał, gdy na niego patrzyłem. Myślałem, że tylko ja się boję – wspomina.

Jednak zawsze pomimo strachu przeczuwał piękno pracy w powietrzu. Ku swojemu zdziwieniu w końcu nauczył się, jak się nie bać.

– Pamiętam, że nie stało się to w Świetliku, ale dużo później. Teraz praca na górze sprawia mi wielką przyjemność i bardzo się



Podczas pracy na latarni morskiej w Jarosławcu.
*(fot. Z. Grabowiecki)*

cieszę, że mogę z tego korzystać. I korzystam, wszędzie, gdzie jest to możliwe. Ta sprawność zostaje, i fajnie. Wydaje mi się, że to jest coś, czego nie powinniśmy odpuszczać do końca życia. Wydaje mi się, że możemy się rozwijać do samego końca. Jak sarny w lesie – kończy refleksyjnie Piotr Jahołkowski.

## Piekielna robota

Piotr Jahołkowski nie przebierał zbytnio w zleceniach i jechał wszędzie, gdzie był potrzebny. Po Unimorze został odesłany do Mirka Błaszkiewicza do prac przy świetlikach w gdańskiej stoczni. Z Tatą pojechał do Stargardu Szczecińskiego. Tam też zaczął wykorzystywać swój talent plastyczny; najczęściej malował jakieś oznaczenia czy napisy na zbiornikach i kominie.

– Pamiętam, że właśnie w Stargardzie wymyśliłem taki uniwersalny szablon do robienia napisów i znaku firmy. Fajny patent. To była taka decha, no taka płyta, z którą wjeżdżałem na górę. Tylko kłopot był, kiedy wiatr dmuchał, bo fruwałem z dwadzieścia metrów od zbiornika, jak z żaglem. Wtedy na linach dwóch ludzi mnie dociągało, i jakoś to zrobiliśmy – opowiada.

Ale tamte przygody to nic w porównaniu ze zleceniem w gdańskiej elektrociepłowni.

– W EC w Gdańsku czyściliśmy ściany zbiorników z zaparzonego, niespalonego węgla. Pamiętam, jak myślałem wtedy, skrobiąc ten węgiel i zwalając na zmianę, że nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie, że można tak pracować, tak ciężko i w tak trudnych warunkach. I w takim totalnym amoku, przytruty tlenkiem węgla. Przedziwna i piekielnie ciężka robota – zaczyna opowieść Piotr i wskazuje na wieżowce za oknem, by lepiej zobrazować rozmiar przedsięwzięcia.

Tłumaczy, że zbiorniki, w których spala się węgiel, są właśnie tak wielkie jak dziesięcio- czy dwunastopiętrowy wieżowiec, tylko może trochę węższe. Kilka takich stoi obok siebie, i do środka, z taśmociągów zsypuje się miał węglowy, który wpada

do kilku kotłów znajdujących się na samym dole zwężonego w tym miejscu zbiornika. Z czasem słabej jakości węgiel zakleja jego ściany, tak że w końcu zostaje niewielki otwór, przez który trzeba zjechać na linach i doprowadzić do stanu pierwotnego.

– To były setki ton węgla, który systematycznie podcinaliśmy kilofami, i tak schodziliśmy aż do dna każdego z tych zbiorników. Zanim nas zatrudnili do tej roboty, próbowali sami to czyścić, ale kiedy dwóch pracowników EC spadło na dół i zginęło, szybko się z tego pomysłu wycofali. W ogóle, to tam był prawdziwie kosmiczny, a wręcz piekielny klimat, bo kiedy kocioł nie dostał węgla, zaczynały się dziać dziwne rzeczy, jakieś takie kichanie, a z dołu wydobywały się kłęby dymu, i wtedy musieliśmy się szybko ewakuować. Dostawaliśmy sygnał ze sterówki i uciekaliśmy – opowiada Jahołkowski.

Tlenek węgla to kolejne zagrożenie. Niestety, nie mają wtedy jeszcze urządzeń do jego wykrywania.

– Pamiętam taki jeden dzień, kiedy na moją zmianę, bo ja wtedy prowadziłem tę pracę, przyszły tylko trzy osoby. A do takiego zbiornika potrzeba było minimum pięciu, żeby go dobrze i sprawnie oczyścić. Kiedy było mniej, po prostu bardziej się ryzykowało, podcinając większe kawały, które lecąc w dół, stanowiły spore zagrożenie, więc trzeba było uciekać z liną w bok, żeby nic się nie stało. A jak przychodziło więcej ludzi, to można było robić wolniej i spokojniej. Jeszcze pamiętam, że mi przed robotą jakiś gość przejechał po stopie metalowym wózkiem, z butlami z tlenem i acetylenem, tak że rozjechał mi palec. Nie mogłem nic zrobić, tej roboty nie można przerwać, bo procedura jest taka, że czyści się zbiornik do końca. No więc we dwóch byliśmy na dole, każdy w oddzielnym otworze, a ten trzeci na górze nadzorował, czy nic złego się z nami nie dzieje. Byłem tak zmordowany, że potem przez tydzień nie mogłem zasnąć. Ten tlenek węgla, noga, i napięcie, żeby wszystko się udało, żeby żaden z kotłów nie wywalił. No, ale idealnie poszło – podkreśla Piotr.

Nie zawsze jednak się udaje. Któregoś dnia na drugiej zmianie dochodzi do wypadku.

– Rysiek Milewski przyprowadził piętnaście osób. Jakoś tak się nie dogadali. Każdy chciał iść, bo można było nieźle zarobić, no i w większej grupie pracowało się lżej; kilku mogło grać w karty i co parę minut zjechać w dół na chwilę. Fakt, trochę ich wtedy przyszło za dużo. No, ale to właściwie niczyja wina, to się tak zakręciło, bo jeden przez drugiego sobie przekładali, kiedy mają przyjść. Czasem tak bywało. Z jednej strony roboty każdy miał mniej, ale zdaje się, że tlenku węgla było więcej, bo Andrzeja Friedla odwieźli do szpitala. Można powiedzieć, że nam się udało. Hmm, może dlatego, że on nie palił, a my tak. Podobno palacze trochę później padają w takich sytuacjach; gdzieś słyszałem, że tak jest – puentuje z humorem całe wydarzenie Piotr.

## Poszerzanie horyzontów

Piotr Jahołkowski nie ma wątpliwości, że Świetlik był dla niego ważnym etapem.

– Jeśli pojmuję życie jako szereg następujących po sobie inicjacji, które pozwalają człowiekowi zstępować w głąb siebie, to Świetlik był doskonałym miejscem do tego – mówi z przekonaniem. – Było kilkudziesięciu chłopaków, z których każdy miał jakieś tam kontakty ze środowiskiem, z którego wyszedł, choć raczej spotykaliśmy się w swoim gronie. Tak więc zebrała się mniej więcej setka chłopaków z fantazją. Każdy był na swój sposób inny, więc dużo się działo. Mnóstwo się nauczyłem i widziałem. Starego w domu nie było, ale tam mogłem przeżywać sprawy, które mi imponowały – od jakichś wspinaczek, gór, romantyzmu, przez ciekawą, trudną, w różnych miejscach i dającą duże poczucie energii, przy tym nieźle płatną, pracę, aż do spotkań i rozmów, które poszerzały sferę ducha. Na tym polu Mariusz Wilk odegrał wtedy znaczną rolę, zwłaszcza przy określeniu kierunku i nadaniu duchowego wymiaru naszym

działaniom i przeżyciom. Wilk dostrzegał ich głębszy, metaforyczny sens; to było, moim zdaniem, bardzo ciekawe i w wielu zostawiło ślad – wspomina Jahołkowski.

Przede wszystkim Mariusz Wilk wnosi do Świetlika nowy sposób postrzegania rzeczywistości, pewien rodzaj filozofii życia.

– To były czasy, kiedy fascynowaliśmy się Castanedą, takim trochę szamańskim widzeniem świata, możliwością rozwijania odwagi i przejęcia się innymi. Mariusz widział wyraźnie ten duchowy i intelektualny aspekt działalności spółdzielni. To on polecił mi książkę Errico Malatesta *Anarchia* oraz inne literackie odkrycia, dzięki którym mogłem dotknąć światów nieznanych mi wcześniej – wyjaśnia Piotr.

Pamięta, że Wilk imponował mu wtedy energią i opozycyjną postawą, którą odbierał inaczej niż swoją własną.




Do „Kurkowej" można było wejść jedynie z kartą klubową.
*(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*

– Mariusz robił wrażenie, że wie, co i jak robić, był konkretny, jakby ugruntowany przez swoje wcześniejsze działania – więc to, czym się zajmował, czy mówił, było jakoś bardziej przemyślane i przygotowane, podczas gdy ja byłem bardzo emocjonalny – opowiada o swojej fascynacji autorem *Konspiry*.

Spółdzielcy mają okazję uczestniczyć w wielu ciekawych przedsięwzięciach kulturalnych czy społecznych.

– Rzeczywiście, to było poszerzanie horyzontów w kilku aspektach. Organizowaliśmy na przykład spotkania z Gunterem Grassem w „Kurkowej", którą prowadziliśmy. Przyjeżdżali dziennikarze z całego świata, jacyś pisarze i chcieli z nami tam chwilę pogadać, pobyć. Słuchaliśmy Niny Hagen, o, i jeszcze Zappy, na pewno. Trudno było wtedy mieć dostęp do takiej muzyki. No, ale myśmy mieli, bo przywozili nam dobre płyty ludzie ze świata i jak ktoś chciał złapać fajny kontakt i usłyszeć, co się w mieście dzieje w tych dość ponurych czasach, to w „Kurkowej" miał okazję znaleźć się przez chwilę w innej rzeczywistości – wspomina dawne czasy Piotr.

W lokalu prowadzonym przez spółdzielnię Świetlik nie brakuje też alkoholu.

– My wtedy w „Kurkowej" piliśmy ostro. Taki był etos inteligenta za komuny w ogóle. W związku z tym, że mieliśmy kontakt z robotnikami, tym bardziej razem nam się dobrze piło gorzałkę, taki był sznyt. Chodziłem na co dzień ubrany w kufajkę, wojskowe spodnie; miało to wszystko pewne znaczenie. Trzeba przyznać, że wielu z nas wtedy nawet za mocno uwierzyło w magię alkoholu, tak że niektórzy musieli się leczyć, między innymi ja – wspomina.

Poza Mariuszem Wilkiem w Świetliku ważną osobą dla Piotra Jahołkowskiego jest także Marek Gąsiorowski, czyli Siwy.

– Do Marka zbliżył mnie jego rodzaj życiowego outsiderstwa, czyli podobna do mojej potrzeba osobności, odrębności, no i miłość do żeglarstwa. Jeśli chodzi o to ostatnie, to kiedy się z nim zaprzyjaźniłem, wiele ciekawych światów przede mną



Podczas prac remontowych w gdańskim Dworze Artusa.
*(fot. Z. Grabowiecki)*

otworzył i sporo rzeczy robiliśmy razem nad Jeziorakiem – opowiada Piotr.

## Miejska strefa wolności

Kiedy Mariusz Wilk zaproponował zmianę nazwy spółdzielni na „Gdańsk", Piotr Jahołkowski był jednym z tych, którzy poparli ten pomysł. Jednak po latach stało się jasne, że nowa nazwa nie przyjęła się.

– „Gdańsk" to było szukanie energii. I choć my nie polubiliśmy tej nowej nazwy, to był ruch energetyzujący całą sytuację i dlatego sensowny w tamtym czasie – przekonuje. – „Świetlik" poza tym, że brzmiał bardziej poetycko, to w dodatku bardzo mocno kojarzył się wówczas ze środowiskiem studenckim. Natomiast „Gdańsk" był konkretny i dawał energię. Myśl Mariusza szła w kierunku podłączenia spółdzielni do jasno określonych korzeni. Jako zwolennicy tego pomysłu chcieliśmy tak trochę, wydaje mi się, nawiązać do energii miasta i określić pole naszej odpowiedzialności. W naszych działaniach jasno pokazywaliśmy silne więzy z tym miastem, to było na przykład zajęcie się budynkiem ratusza przy Długim Targu i akcje mające na celu sprawdzenie jego stanu. Poza tym wspomniane już spotkania z Gunterem Grassem – wyjaśnia Jahołkowski.

Choć nie zapowiada się, że komunizm upadnie, wielu spółdzielcom towarzyszą idee wolnomiejskie, co oznacza pragnienie rozszerzenia strefy wolności, którą udaje się wytworzyć w Świetliku, na całe miasto.

## Widok z pracowni

Piotr Jahołkowski nie czuje osobistego żalu do żadnego z kolegów, którzy wyszli ze Świetlika i sięgnęli po władzę. Robi wrażenie człowieka, który sam kształtuje własne życie i bierze za nie odpowiedzialność. Natomiast rozczarowuje go brak działań w obszarze społecznym, w przestrzeni miejsca, z którego wyszli. Przekonuje, że tutaj, na tym terenie można było jakiś

swój ślad zostawić. Choćby obniżyć nabrzeża, by zwrócić miasto ku wodzie, czyli ku źródle jego energii. Jednak po chwili namysłu wstaje, by pokazać widok z okien swojej pracowni, położonej tuż obok legendarnej sali BHP, w której podpisano porozumienia sierpniowe.

– Myślę, że jest coś, co stanowi najlepszą odpowiedź na pytanie o ewentualny żal do chłopaków za to, jak użyli swojej mocy decyzyjnej. Taka anegdota. Tutaj stoją te trzy krzyże, pomnik i plac. Minęło ponad dwadzieścia lat i przez ten czas przyjeżdżają tu różne delegacje, prezydenci, przeróżni ludzie, harcerze, panie i panowie. Wszyscy latają się wyszczać za garaż, bo nie mają gdzie. Widzę to na własne oczy z okna mojej pracowni. Przez dwadzieścia lat nawet żaden kibel nie powstał. Tylko pani w kiosku z kwiatkami o coś dba. A przecież symbolicznie to jest właśnie to miejsce, z którego wyszli. Tu widać dokładnie, jak się nim wszyscy podpierają, choć nawet szaletu nie zrobili. Przypuszczam, że pewnie ich samych to musiało dotykać, bo stojąc tam podczas którejś z uroczystości, prawdopodobnie w pewnej chwili też prosili kierowcę, by ich podwiózł do najbliższej toalety. I to jest konkret. I to jest pretensja do wszystkich. Do Borówy, który tutaj ma wystawę „Drogi do wolności", do Maćka, do Kaczyńskich, do wszystkich, bo oni wszyscy tutaj przyjeżdżają. Jest w tym jakiś symbol zaniechania zrobienia rzeczy prostych i oczywistych. Przecież tutaj przybywają ludzie z całego świata, żeby zobaczyć, skąd ten impuls poszedł. A to miejsce wygląda tak tandetnie, niezadbane, tak jakoś olane. To dziwne – kończy ze smutkiem Piotr.

## Boisko albo życie

Kiedy zbliża się termin kolejnego walnego zjazdu spółdzielni, Piotr Jahołkowski otrzymuje zadanie znalezienia idealnej lokalizacji i pełen zapału wyrusza na rekonesans.

– Do objechania i wyboru było parę miejsc, w których chciano przyjąć taką dużą i twardą ekipę jak nasza. W końcu wy-

brałem Krynicę Morską. Dla mnie było ważne, że mamy gdzie pójść się wykąpać, bo to było tak jakoś pod zimę, nie pamiętam już czy bliżej jesieni, czy wiosny. To miejsce było idealne do kąpieli morsów. Poza tym była świetna sala balowa, super pokoje, fajne żarcie – wspomina z uśmiechem.

Niestety, amator zimowych kąpieli zignorował siłę podstawowej pasji większości spółdzielców, czyli piłki nożnej. Według niektórych relacji mógł za ten błąd drogo zapłacić. Na szczęście, jako student AWF-u potrafił szybko biegać i uszedł pogoni, a po kilku godzinach emocje opadły na tyle, by mógł bezpiecznie wrócić. Według głównego bohatera zajścia nie było aż tak dramatycznie, ale kto to wie.

– Chłopaki zaraz po przyjeździe polecieli grać, ale szybko wrócili, bo im się nie spodobało boisko, marudzili, że było za małe. Z tego, co pamiętam, na pewno było większe od boiska do siatkówki. Wtedy przypomniałem sobie, jak gospodarz mówił o jeszcze jednym miejscu, przy przystani, więc ich tam szybko wysłałem. Ale tam chyba też nie udało im się pograć. Fakt, były jakieś korzenie, nierówności, poza tym miejsce zaraz przy zalewie, więc piłka mogła wpaść do wody, no, jednym słowem – słabo. Ale żeby mówić od razu, że to zaorane pole, to naprawdę duża przesada. Trochę ze śmiechem mnie potem tam poganiali. Choć żarty żartami, ale kilku wyglądało na bardzo wściekłych... Cóż, wtedy ja tej piłkarskiej namiętności w sobie nie miałem, więc nie mogłem jej w pełni rozumieć u innych. Teraz bym pewnie lepiej zadbał o to i sam z chęcią zagrał – śmieje się Jahołkowski.

## Chwile absolutnej wolności

Dla jednych piłka, a dla Piotra Jahołkowskiego równie ważnym rytuałem spółdzielczych zgromadzeń są zimowe kąpiele. Już teraz nie pamięta, który z nich wpadł na ten pomysł.

– Kiedy pierwszy raz polecieliśmy do wody, tak dość nawaleni, nie pamiętam dokładnie, ale inicjatywa urodziła się

chyba przy stoliku, gdzie siedziałem ja i Maciek Płażyński. Wtedy kąpał się jeszcze Wilk, na pewno. Ale nie upieram się, że to dokładnie od naszej trójki wyszło, bo wiele osób wówczas poszło do wody. Drugim razem też taka duża falanga poszła, następnym może dwanaście osób. Kiedyś sam postanowiłem się zanurzyć, bo już nikogo nie udało mi się namówić. To było gdzieś koło Szymbarka, pamiętam, jak piętą rozbiłem lód i – buch – wskoczyłem. Chyba później jeszcze Maciek przyszedł. Nikt nikogo nie zostawił w tej wodzie, uważaliśmy na siebie – z uśmiechem wspomina Piotr.

Jego zdaniem był to przejaw rywalizacji, ale też wielkiej sympatii. Podczas takich spotkań zacieśniały się więzy między spółdzielcami, którzy mieli szansę lepiej się poznać. Dla wszystkich to były ważne wydarzenia i starali się pokazać od najlepszej strony.

– Na walnym zebraniu z każdym w różnych konfiguracjach trzeba się było napić, pośpiewać do mikrofonów, zorganizować jakieś jam session; i naprawdę występy miały jakiś poziom, tak że inni mogli tego słuchać. Oddawaliśmy się temu w pełni. Jakieś gitary, bębenek. Poznawaliśmy się też wtedy z chłopakami z innych regionów – ze Śląska, z Rzeszowa, Inowrocławia, Bydgoszczy, z całej Polski. Przeżywaliśmy wspólnie bardzo serdeczne i piękne chwile, i rozpierała nas energia. Energia radosna, ogromna, tak że mogliśmy naprawdę góry przenosić. To były chwile absolutnej wolności – mówi Piotr Jahołkowski. – Kiedyś w Świetliku uświadomiłem sobie jakość pewnych stanów, których doświadczam, na przykład kiedy się wspinam, czy gdy jestem w akcji na ulicy. Stało się dla mnie jasne, że wtedy muszę użyć siebie w pełni, muszę być przytomny, muszę być zaangażowany, żeby się dobrze działo. Takie chwile przeżywam również w sztuce, kiedy staję przed ludźmi podczas performance i kiedy najlepiej rozumiem, jak zrobić obraz. Są one na tyle fajne, że postanowiłem ich poszukiwać, bo chciałbym tak przeżywać każdy moment życia. Chciałbym je rozciągnąć na

wszystkie chwile życia. Wtedy najbardziej siebie lubię, najbardziej mnie satysfakcjonuje życie. Bycie kim jestem. Tego szukam – kończy swoją opowieść.

# Życie na wysokości



## Pasja wspinania

Zanim trafiłem do Świetlika, mieszkałem ze Zbyszkiem Gołębiewskim, pierwszym instruktorem windsurfingu w Polsce, na stancji u naszej kumpeli, która była żeglarką – wspomina Jan Turowiecki. To właśnie Zbyszek poznał mnie z Maćkiem. Ten ostatni wiedział, że miałem liny, jeździłem w góry i pewnego razu powiedział: „Słuchaj, my takie roboty mamy, no, na linach". To ja odpowiedziałem, że dobra, mam sprzęt, przyjdę i coś zrobimy. I tak to się zaczęło. Ja wtedy już od kilku lat chodziłem po górach i przez klub wysokogórski pracowałem na linach – wisiałem już między innymi na Zieleniaku, no i na wielki kit też się załapałem, czyli kitowanie pękających ścian na blokowiskach. Pamiętam, że w ciągu jednej doby można było zarobić na małego fiata. To była jeszcze głęboka komuna, taka przaśna.

Ale to nie było tylko szkolenie chłopaków, bo potem były już grubsze sprawy, jakieś naprawki. Pamiętam na przykład, że Lechu Kosiak w Giżycku naprawiał taki piękny stareńki most obrotowy, teraz to już jest atrakcja turystyczna.

Na początku chodziliśmy na takie wysokie miejsca – na kładkę dla pieszych na Zaspie, na Brentowo. To nie było tak, że kogoś brałem, spotykaliśmy się po prostu. Chciało nam się pójść z piwerkiem w jakiś teren i coś tam porobić, nauczyć się czegoś – wchodzenia na lonach, przypinania się czy ratowania.



Obóz szkoleniowy w Jeleniej Górze. Stanowiska i zjazdy w Szklarskiej Porębie, sierpień 1987 r. Od lewej: Robert Krygier, Jerzy Kowalski, Andrzej Sabotowski i „Baca" z jeleniogórskiej grupy GOPR-u. *(fot. B. Krygier)*

Na przykład jeden wisi, to zjeżdżasz do niego, przypinasz się, tniesz linę nożem, i tak dalej. Ćwiczyliśmy to wszystko. Był także Michał Kapusta, z którym już wcześniej się wspinałem, i on też dużo uczył. Marek Gąsiorowski również spokojnie mógł wprowadzać w te wspinaczkowe arkana, i mnóstwo innych chłopaków, którzy to skumali. Andrzej Freidel, komputerowiec, bardzo ciekawa postać, robił tam jakieś agrafki i na nich zjeżdżał. Nawiązały się kontakty z goprowcami przez Jasia Kopkę, a ja sam też znałem sporo ludzi. I było tak, że jeździliśmy na takie kursy szkoleniowe do GOPR-u. Różnie to było, i w Tatry jeździliśmy, i do Jeleniej Góry. Tam są Sokolniki, takie porządne skałki treningowe, gdzie się wspinaliśmy z ratownikami, a potem oni wystawiali nam papier, że jesteśmy supermeni.

## W górę, w dół

Najpierw trzeba się ze skałą oswoić, przejść bez asekuracji przez jakiś kamień, wysoki na cztery metry, i zobaczyć, jak to jest, czy to się podoba. Potem, już wyżej, można się asekurować, warto to zrobić, żeby nie łazić na żywca, przynajmniej na początku.

Tak nam się wszystkim coś chciało, a potem to wykorzystać w robocie i pracować, pracować, i mieć z tego pieniądze. Był przecież taki czas, że dawaliśmy kasę na dom dziecka na Oruni. I co roku jakieś dziecko stamtąd wychodziło i miało książeczkę mieszkaniową.

Tadek Sampłowski robił koncerty. I mieliśmy frajdę, kiedy wyjeżdżaliśmy w góry na obozy narciarskie i wspinaczkowe, każdy z kim chciał. Były na to pieniądze. Nawet kupiliśmy Bacówkę w górach, i ona jeszcze tam jest. Daliśmy góralom pieniądze i oni ją wyremontowali, zrobili kominek, nowy dach, i było dokąd przyjechać, mieszkać i odpoczywać. To właściwie Jasio Kaczyński poznał tych górali w Gorcach i przez niego to się wszystko zakręciło. I wyjazdy były różne, na przykład na konie do Sztynortu. Była też kaska na to, żeby coś tam napisać w „Młodej Polsce" i robić przedruki artykułów.

To było świetne, kiedy oni razem współpracowali. Ja myślę, że wydarzyło się coś takiego, że Roman całkiem inaczej niż Maciej widział rozwój Świetlika. Roman oglądał sprawy przez konkretny wynik – tyle mam więcej na koncie za to, co zrobiła moja głowa i moje ręce. A Maciek chciał, żeby każdy czuł się dobrze. Żeby nie było takiego ciśnienia, że jesteśmy zamkniętą ekipą, nikogo więcej już nie przyjmujemy i robimy tylko najlepsze rzeczy. Ale ten problem jakoś tak na co dzień nie wypływał, nie gadaliśmy o tym. Chłopaki sami coś tam sobie wyjaśnili. Nie miało to w sumie wpływu na jakąś szerszą działalność.

## Zaopatrzenie z jaskiń

Na początku mieliśmy karabinki stalowe o wytrzymałości nie tak gigantycznej jak teraz, ale były w porządku. Zdarzało się

coś z nimi czasami, ale z każdym sprzętem mogłoby się zdarzyć. Potem w końcu można było kupić co nieco na Słowacji, rzeszowiacy dużo w tym mieszali – mocna ekipa: Andrzej Kubiak, Jaś Kopka i jeszcze inni, kupa gości. Wcześniej, w 1976 roku, poznałem takich grotołazów zakopiańskich i już legalnie wspinaliśmy się, sprzątaliśmy i piliśmy piwo. Śmieci zgarnialiśmy od razu, nie zostawia się takich rzeczy, ale zostawały liny. Potem, kiedy w Świetliku okazało się, że także lin brakuje, pomyślałem, że może w tych jaskiniach są jeszcze jakieś. Tam, gdzie spotkałem tych zakopiańczyków czy w Kasprowej Wyżniej i Kasprowej Niżniej, i jeszcze w Jaskini Raptowieckiej. I tak te inklinacje jaskiniowe, które miałem kiedyś, potem wykorzystałem dla szukania lin, żeby do roboty szły.

## Alpinista z fasonem

Tematy, które poruszaliśmy, były z takiej fajnej półki. Nie, żeby pokazywać światu, jacy to jesteśmy hej, do przodu. No, ale owszem, jakoś tam szpanowało się przed laskami. Zawsze jeden chłopak był wystawiony w czystym kombinezonie, obwieszony kolorowym sprzętem, najlepszym, i on wchodził do biura, brzęczał tym sprzętem i załatwiał sprawy, a wszystkie dziewczyny patrzyły, co to jest, kto to jest i o co chodzi. Kolorowe aluminium, karabinki, szant, ósemka, rolka. Do sklepu też tak się szło. Takie rzeczy robi się dla dobrego samopoczucia, to dawało nam zadowolenie, chcieliśmy to robić. To wcale nie była jakaś tam maska, my po prostu chcieliśmy to robić.

Każdy człowiek spotkany w Świetliku miał jakąś swoją energię i jakiś wyjątkowy patent, był niepowtarzalny. Każdy był jednostką, ale byliśmy jednością, to jest cały sens. Nikt się nie wywyższał. Owszem, były takie grupy, które dobierały się do pracy i siedziały tygodniami razem. Kłótnie też szły, bo były spory na tle finansowo-pracowym. Ale nigdy nie było animozji czy jakiegoś obrażania się. Między nami był rodzaj sztamy i kumplostwa.

„Kurkowa". Fifty fifty razem z architektami przez dwa lata, zanim nie wytrzymali konkurencji z naszym prostym i nieskomplikowanym spojrzeniem na świat. No, nie dali rady. Po prostu, Wojtek Czerwik na barze polewa jakąś tam robalówkę, zabawa, a oni chcieli ładnie, grzecznie, przy lampce wina. Jak

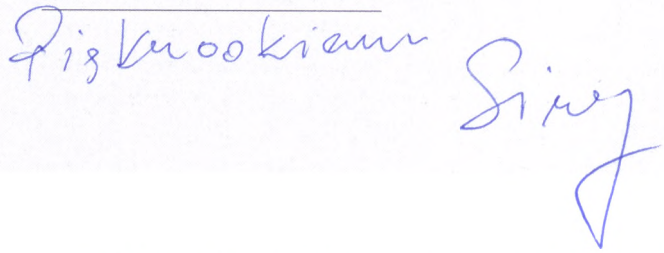
Jeden z obozów treningowych w górach, lata osiemdziesiąte.
*(Foto Press KFP)*



była prohibicja, bo były jakieś wybory, to my z walnego zgromadzenia w Jastrzębiej Górze wynajętym autokarem, takim wesołym autobusem, jechaliśmy prosto do „Kurkowej" i tam piliśmy sobie robalówkę. Takie klimaciki.

Kiedy potem się rozeszliśmy, to większość zaczęła robić inne rzeczy, a ja jestem wyjątkiem, nadal jestem wysokościowcem.

# Życie zawieszone na cienkim sznurku



– Hala była fascynująco przeogromna. Powierzchnia czterysta na czterdzieści metrów i do sufitu ponad trzydzieści. Huk turbin na sześciu blokach po 1200 MW, temperatura na samej górze, a tam głównie mieliśmy pracować, ponad czterdzieści stopni Celsjusza, robota w nocy... Czułem, że będzie cholernie ciężko – wspomina Marek. – Nie, to nie ma sensu – irytuje się po chwili. – Przecież to brzmi jak opis wojny pozycyjnej w okopach, ale ja nie jestem Remarkiem. Praca to praca – im cięższa, tym bardziej ogłupiająca... Taki był zresztą efekt – ucina.

## Walczący z wiatrakami

„U mnie zbliża się załamanie pogody, jutro deszcz, pojutrze deszcz, a potem nawet burze z piorunami (w zimie!). Zostało jeszcze pięć wiatraków, chłopcy są bardzo zmęczeni, chcą do domu" – kończy pisanie kolejnego maila Marek Gąsiorowski.

Firma, którą obecnie prowadzi, zajmuje się montowaniem elektrowni wiatrowych na terenie Europy. Tym razem ekipa Gąsiorowskiego wykonuje potężne zlecenie w Austrii, potem przenosi się do Niemiec. Razem z Siwym (tak z powodu jasnych włosów nazywali Marka w Świetliku) na zleceniu jest Tomek Soczewiński, syn kolegi ze spółdzielni.

– W pewnym sensie kontynuuję trochę to, co robiłem przeszło dwadzieścia lat temu – wyjaśnia obecny stan rzeczy Gąsiorowski.

## Pod prąd

Od matury w 1978 roku Marek wybiera sytuacje, które dalekie są od typowych. Na wymarzone studia w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni nie ma szans – brak odpowiedniej kategorii wojskowej. Ostatecznie decyduje się na Politechnikę Gdańską, gdzie studiuje budowę okrętów. Po trzech miesiącach rzuca jednak uczelnię i zatrudnia się w Lasach Państwowych.

– Zostałem strażnikiem leśnym. Do wiosny karmiłem zwierzynę, ściągałem wnyki, w kwietniu liczyłem dziki... aż przyszło lato i znowu trzeba było wrócić na jeziora i Zalew Wiślany –opowiada.

Szybko okazuje się, że to za mało; prawdziwe morze, świat Conrada, Borharda i Londona kusi najbardziej. Marek nie czeka już dłużej, jedzie do Gdyni i mustruje się na należącym do gdańskiego Akademickiego Klubu Morskiego (AKM) jachcie „Swarożyc".

– Zapytałem, czy nie potrzebują załoganta i chyba zrobiłem dobre wrażenie, bo stałem się członkiem załogi na następne trzy lata. Byłem tak przejęty i szczęśliwy, że przez pierwsze dwa tygodnie pływania po Bałtyku prawie nie spałem – opowiada Gąsiorowski.

Marek najchętniej pływa „pod Pablem" (Paweł-Pablo Koprowski) i są to głównie krajowe rejsy do Świnoujścia. Czasami zahaczają o Bornholm, Kopenhagę, Malmö, Ystadt, Trelleborg...

– Pablo to był zupełny wariat, dla mnie niekwestionowany żeglarski guru, sporo się od niego nauczyłem – wspomina Marek.

W tym czasie Gąsiorowski zaczyna zarabiać na życie przemytem maszyn poligraficznych ze Szwecji. Urządzenia sprowadzane są dla Solidarności do druku podziemnych wydawnictw.

– Gdzieś tam na lądzie zachodziły zmiany. Ludzie byli niezadowoleni z pracy, nie lubili ówczesnej władzy, czegoś im brakowało, w sklepach pustki, jednak rodziła się Solidarność... Trochę inny świat, nie do końca mój... – zamyśla się Marek. – W sumie jednak to było nawet sympatyczne, poza tym dołożenie własnej cegiełki do walki z komuną uważaliśmy za swój obowiązek.

Choć bardzo ryzykowna, bo zagrożona dziesiątkami lat więzienia, „piracka zabawa" wydaje się wtedy młodemu żeglarzowi zaszczytna.

– Do momentu, kiedy po dramatycznych przygodach i niemal wpadce okazało się, że jesteśmy... za drodzy! Oznaczało to, że ktoś robił niezłe pieniądze na naszym ryzyku i naiwności – mówi Gąsiorowski.

## Współlokator

Przez kolejne cztery lata przystań żeglarska w gdańskich Górkach Zachodnich staje się dla Marka właściwie domem. Gdzieś wiosną 1983 roku w AKM-ie pojawia się worek żeglarski. Od bosmana Marek dowiaduje się, że ma współlokatora.

– Pomieszkiwałem tam wówczas nieregularnie, on też. Jakiś czas później poznaliśmy się, to był Maciek Płażyński. Niepływający, więc „drugiej" kategorii, ale ciekawy i czuło się silną osobowość. Zaakceptowaliśmy się wraz z pewną dozą szacunku i sympatii – wspomina Gąsiorowski.

Ten wzajemny kredyt zaufania szybko przynosi obopólne korzyści. Marek zostaje wtajemniczony w plany założenia przez Maćka i kolegów spółdzielni, i wkrótce trafia na listę założycieli firmy.

– Z prostej przyczyny strzygłem uszami, słysząc o pomyśle na coś własnego. W stanie wojennym obowiązywał nakaz pracy, a mój dowód osobisty był „dziewiczy", bez żadnego wpisu. Takich jak ja nie traktowano dobrze, często podczas kontroli byliśmy szykanowani. Świetlik okazał się dla mnie doskonałym wyjściem z tej mało komfortowej sytuacji – kończy historię wejścia do spółdzielni Gąsiorowski.

## Odwrotu nie ma

Pierwsze zlecenie, wykonane wiosną 1984 roku, Marek pamięta doskonale. Pewnego dnia zachodzi do niego, będący już wtedy prezesem Świetlika, Płażyński i proponuje wspólne oględziny hali produkcyjnej Unimoru. Praca z pozoru banal-

na, ale od razu widać, że wymagająca sporo wysiłku. Zadaniem spółdzielni jest montaż płyt, które mają zasłonić świetliki w znajdującym się osiem metrów od podłogi dachu. Wszystko ma się odbywać bez wstrzymywania produkcji.

– Schlebiało mi, że Maciek właśnie do mnie się zwrócił, nie należałem do „grupy" i formalne potwierdzenie mojego zatrudnienia właściwie satysfakcjonowało mnie w stu procentach, czułem się jednak jakoś zobowiązany – wyjaśnia Marek.

Ostatecznie Gąsiorowski jedzie do Unimoru, gdzie robi przymiarkę kosztorysową. Z klubu żeglarskiego pożycza liny oraz pasy asekuracyjne i... zostaje w spółdzielni na dobre.

– Odciąłem sobie drogę odwrotu i już nie mogłem się wycofać – śmieje się Marek.

## Spółdzielnia „nasza"

– Pytanie o autorstwo pomysłu na spółdzielnię jest moim zdaniem źle postawione – stanowczo stwierdza Gąsiorowski. – To była pochodna sytuacji socjalno-prawnej wielu ludzi, którzy stracili status studenta. W latach osiemdziesiątych studenckie spółdzielnie są źródłem utrzymania dla wielu młodych ludzi, których kuszą przede wszystkim wysokie, często grubo przekraczające średnią krajową, stawki. Dzieje się tak, ponieważ w realiach gospodarki planowej zakłady państwowe muszą wykorzystać środki przyznane na różne przedsięwzięcia do końca roku w obawie przed obcięciem pieniędzy na kolejny rok.

– Dostawali naprawdę ciężką kasę, czasami za bzdurne i niepotrzebne usługi, i niektórzy studenci nauczyli się sprytnie wykorzystywać takie absurdy. Roman i Maciek, pracując między innymi w Techno-Service i innych miejscach, mieli już pojęcie, jak zorganizować coś na własną rękę, nic nadzwyczajnego, naturalna konsekwencja tego, co robili – wyjaśnia Gąsiorowski.

Podział funkcji w Świetliku nie jest zdaniem Marka taki istotny, w jego odczuciu zadecydowały o tym przede wszystkim cechy charakteru obu przyjaciół.

– Maciek był bardziej spolegliwy, nikogo specjalnie nie drażnił i nie miał wyraźnych przeciwników. Roman – typowe zwierzę alfa – był wyrazisty, zadziorny, trochę „kanciasty", nie bał się podejmować decyzji – próbuje scharakteryzować założycieli spółdzielni Gąsiorowski. – Płażyński został prezesem zarządu, czyli egzekutywą od roboty i odpowiedzialności, Roman zachował pozycję szefa rady nadzorczej, czyli kontrolną i zwierzchnią, w tym momencie wygodniejszą. Ale tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Spółdzielnia była „nasza" – mocno podkreśla Marek Gąsiorowski.

## Rozłam

Tak jest na starcie. Ale firma „puchnie", przybywają nowi ludzie, dla których Płażyński jest niekwestionowanym liderem, powstaje swoisty kult jednostki. Roman, który powoli traci wpływy, postanawia postawić tamę dalszemu rozrostowi i przyjmowaniu nowych ludzi.

– Jakoś jesienią 1985 roku wróciłem do Gdańska z Francji, gdzie pracowałem na jachtach, i trafiłem wprost na awanturę, która stała się początkiem rozłamu firmy – wspomina Siwy. – Byłem kompletnie zaskoczony ostrością konfliktu – dodaje.

Obydwie koncepcje są Markowi doskonale znane, przychylny jest jednak idei spółdzielni otwartej, zresztą podobnie myśli większość członków Świetlika. Sytuacja rozwija się błyskawicznie: Roman Rojek podaje się do dymisji i jako przewodniczący oczekuje tego samego od innych członków rady nadzorczej. Konsekwencją mają być wybory nowego zarządu i prezesa spółdzielni.

– Byłem członkiem rady i jedynym, który się wyłamał. Zostałem do następnego walnego zgromadzenia jako jednoosobowa rada nadzorcza i uratowałem Maćkowi tyłek – przypomina burzliwe wydarzenia Gąsiorowski.

Marek nie wyobraża sobie Rojka na stanowisku prezesa i spółdzielni bez Maćka.

– Grupa Romana była mała i poza tym stała trochę z boku „żywiołu". Jego pomysł na hermetyczną grupę interesu był dla mnie wtedy nie do przyjęcia – stwierdza Marek.

## Jaworzno

„Ciężko się pisze po całym dniu na wiatrakach, ale spróbuję" – kolejny mail Marek Gąsiorowski wysyła już z Niemiec.

– To było prawdziwe wyzwanie i prawdę mówiąc, wziąłem tę robotę, żeby się sprawdzić – wspomina Marek.

Do Jaworzna jedzie spora ekipa – szesnaście osób, właściwie bez przygotowania wysokościowego. Co prawda, Marek organizuje szybkie szkolenie na konstrukcji zabytkowego mostu w Tczewie, ale to jednak stanowczo za mało. Na miejsce Gąsiorowski dociera własnym samochodem, jest około piątej rano i następne trzy godziny spędza na czekaniu przed bramą elektrowni. Zmęczenie i silny mróz dają mocno znać o sobie. Tymczasem oględziny hali, która przez najbliższe tygodnie ma być miejscem pracy brygady Siwego, nie pozostawiają złudzeń.

– Hala była fascynująco przeogromna. Powierzchnia czterysta na czterdzieści metrów i do sufitu ponad trzydzieści. Huk turbin na sześciu blokach po 1200 MW, temperatura na samej górze, a tam głównie mieliśmy pracować, ponad czterdzieści stopni Celsjusza, robota w nocy... Czułem, że będzie cholernie ciężko – wspomina Marek, – Nie, to nie ma sensu – irytuje się po chwili. – Przecież to brzmi jak opis wojny pozycyjnej w okopach, ale ja nie jestem Remarkiem. Praca to praca, im cięższa, tym bardziej ogłupiająca... Taki był zresztą efekt – ucina.

W śląskiej brygadzie są między innymi kolega Marka z ławki szkolnej Witek Neuman, przyjaciel Jurek Krociński, Mariusz Wilk, potem dojeżdżają pozostali, wśród nich Donald Tusk i Tomek Chodnikiewicz. Po kilku dniach do ekipy dołącza też Mirek Rybicki, który od razu stwierdza, że to nie dla niego.

– Jak zobaczył, w co wdepnęliśmy, chciał zrobić w tył zwrot. Ponieważ musiał czekać na transport do hotelu, przekonałem go, żeby przynajmniej spróbował – wspomina Marek.

Rybicki dostaje zadanie nieobjęte zleceniem, ale takie, w którym mógłby się sprawdzić i przełamać lęk.

– Wybrałem mu element bez ekspozycji nad galerią, trzy metry od podłogi. Zrobił, uwierzył w siebie i został do końca. Był tylko rozczarowany, że nie dostał za ten dzień pieniędzy – śmieje się Siwy.

## Dyskoteka

W Jaworznie mieszkają w hotelu robotniczym, w czteroosobowych pokojach o „bardzo umiarkowanym" standardzie.

– Trudno właściwie nazwać to hotelem, spleśniały barak z miejscami do spania – stwierdza krótko Siwy.

Do oddalonej o pięć kilometrów elektrowni dojeżdżają specjalnie podstawionym autobusem i chwalą sobie takie rozwiązanie. Trochę gorzej jest z jedzeniem, oferta zakładowej stołówki pozostawia wiele do życzenia, a gotowanie na własną rękę też nie bardzo się sprawdza. Różnymi sposobami próbują urozmaicić sobie ogłupiającą pracę i koszarową nudę. Od czasu do czasu organizują wypady do innej rzeczywistości.

– Kiedyś zaprosiliśmy dwie panie ze straży przemysłowej na dyskotekę, chcieliśmy się oderwać od naszego „kamieniołomu" i porządnie zabawić – wspomina Marek.

Termin jest ustalony, powstaje jednak nieoczekiwany problem, okazuje się, że są zupełnie niewypłacalni. Wszystkie zaliczki zostały przejedzone, a kolejne, obiecane, nie dochodzą z Gdańska na czas. Kontakt z zaproszonymi dziewczynami też okazuje się niemożliwy. Umówieni są w pobliskiej kawiarni, a potem wspólnie mają wyruszyć gdzieś dalej.

– Nie było wyjścia, trzech odważanych, w tej liczbie pięknooki Tomek Chodnikiewicz – literat, poeta – Mariusz Wilk i ja, zebrawszy ostatnie grosze na herbatę, szliśmy trochę jak na ścięcie głowy. Panie przyszły punktualnie i aż dech nam zaparło, takiego makijażu w życiu nie widziałem. Wyglądały pięknie i na całe szczęście zrozumiały naszą niekoniecznie

zręczną sytuację. Szybko przejęły inicjatywę i... same zaprosiły nas na dyskotekę. Cudownie bawiliśmy się do rana – wspomina Siwy.

## Lider

Przez długie tygodnie spędzone na Śląsku skazani są prawie wyłącznie na własne towarzystwo. Najpierw hala produkcyjna, gdzie pracują osiem godzin, potem dzielenie wspólnego pokoju w hotelu. W takich warunkach ujawniają się często skrywane cechy charakteru, jak na dłoni widać, kto chce być w centrum zainteresowania, a kto woli pozostać bohaterem drugiego planu. Na zleceniu w Jaworznie Marek ma okazję poznać nieco lepiej Donalda Tuska, jednak trudno mówić o specjalnej sympatii i zażyłości.

– Donald zwracał na siebie uwagę: był głośny, usiłował zdominować grupę i prowokował na swój wyrafinowany sposób – wyjaśnia.

Pamięta na przykład organizowane regularnie rozgrywki brydżowe w pokoju, akurat kiedy usiłował łapać resztki snu. Gąsiorowski ignoruje pewne „ekstrawagancje" Tuska, jednak do czasu.

– Nie wytrzymałem, kiedy zaatakował Witka Neumana, zarzucając mu, że się „opieprza". Wykazałem bezzasadność tego oskarżenia – Marek próbuje opisać konflikt sprzed lat.

Poszczególne elementy są znormalizowane czasowo i za zrobienie każdego Marek zapisuje stałą, jednakową ilość czasu: na przykład krzyżak przy ścianie trzydzieści minut, krzyżak między legarami półtorej godziny, i tak dalej. W ten sposób za osiem rzeczywistych godzin można było zarobić jak za dziesięć albo za sześć, taki rodzaj akordu.

– Witek wyspecjalizował się w łatwych, ale „tanich" elementach. Donald rzucał się na trudne i „drogie". Myślę, że na swój sposób chciał wyeksponować swoją odwagę i sprawność fizyczną. Ale po tej konfrontacji uspokoił się – mówi Gąsiorowski.

## Iżiemu na pomoc

W 1986 roku Jarek Czarniecki dostaje powołanie do wojska i powoli zaczyna żegnać się ze spółdzielnią, co objawia się zwiększoną aktywnością towarzyską. Gąsiorowskiemu pomysł poświęcenia armii roku z własnego życia wydaje się absurdalny.

– Iżi twierdził, że sprawa jest nieodwracalna, że ma bilet w kieszeni i tak dalej. Ja byłem przekonany, że każdy może wymigać się od wojska i założyłem się, że go wykręcę – zawiesza tajemniczo głos.

Kilka dni później spotykają się w kilkuosobowej grupie w małej wsi niedaleko Pruszcza Gdańskiego. Mieszka tam Radek Cieślik, kolega ze spółdzielni, zapalony lotniarz.

– Radek to był kompletny wariat, zasłynął między innymi skokami z wieżowca, ale przede wszystkim z Giewontu. Podczas tego lotu rozbił się dotkliwie i właściwie ledwie przeżył – wspomina wyczyny Cieślika Marek.

Za namową gospodarza Siwy oraz pozostali uczestnicy spotkania próbują swoich możliwości na lotni. Wzniesienie liczy nie więcej niż pięćset metrów i jest dość łagodne, dlatego ryzyko poważnego wypadku jest małe.

– Mimo wszystko dość mocno się bałem tego eksperymentu, jednak pierwszy, i jak dotąd ostatni, raz w życiu przeleciałem nawet kilka metrów. Koledzy podobnie. W końcu połamaliśmy lotnię i zabawa się skończyła – wspomina powietrzne wyczyny Gąsiorowski.

Siwy cały czas pamięta o koledze w niedoli i główkuje, jak pomóc Czarnieckiemu.

– W końcu kazałem Iżiemu usiąść na ziemi, wziąłem sporych rozmiarów kamień i walnąłem go nim mocno w czoło, rzecz jasna, za zgodą rekruta. Czarniecki to jednak prawdziwy twardziel, przyjął cios po męsku i musiałem powtórzyć ten barbarzyński wyczyn raz jeszcze. Uderzyłem ponownie, i tym razem odniosło to odpowiedni skutek; Iżi pobladł i zaczął dość mocno krwawić – rzeczowo opisuje całe zdarzenie Gąsiorowski.

W czasie kiedy rozgrywa się to tragikomiczne widowisko, dwóch kolegów biegnie do wsi, aby wezwać pogotowie. Okazuje się jednak, że wcześniej zrobiła to miejscowa ludność, obserwująca zza płotu wyczyny „przyjezdnych". Pomoc zjawia się błyskawicznie, a przerażony biegiem wypadków Czarniecki zaczyna się jąkać i seplenić. Ostatecznie odtransportowany zostaje do szpitala jako ofiara ciężkiego wypadku. Wychodzi po dwóch tygodniach z zaleceniem regularnego zgłaszania się na kontrolę.

– Wygrałem zakład, Iżi poszedł do wojska pół roku później i... na własne życzenie – kończy z uśmiechem Marek Gąsiorowski.

## Życie zawieszone na cienkim sznurku

– Zastanawiałem się, co tak mocno łączyło tak wielu różnych ludzi? – pyta, jakby samego siebie, Marek Gąsiorowski. – Myślę, że to przede wszystkim wspólne doświadczenie strachu i jego przełamywanie, rodzaj inicjacji, w której rozum zwycięża zmysły – trochę filozoficznie tłumaczy tę szczególną więź i jak większość kolegów ze Świetlika podkreśla całkowicie „partyzancki" charakter działalności na tym pierwszym etapie, brak zarówno instytucjonalnych autorytetów w pracach na wysokości, jak i profesjonalnych zabezpieczeń.

Atestowany sprzęt jest wtedy przecież rzadkim rarytasem. Najdłuższe w spółdzielni zjazdy – sto dwadzieścia metrów z wieżowca Intraco na Stawkach w Warszawie – Siwy wykonuje na linach kupionych w hurtowni rybackiej i rolce wykonanej przez majstra z gdańskiej stoczni. W jego wspomnieniach szkolenia mają miejsce znacznie później i są raczej wydarzeniem towarzyskim. Gwarantem bezpieczeństwa i przeżycia jest przede wszystkim własny rozum oraz zdrowy rozsądek.

– Prace, których się podejmowaliśmy, wymagały powieszenia swojego życia na cienkim sznurku – metaforycznie stwierdza Marek. – Pamiętam częste rozważania z zakresu fizyki: lina ma wytrzymałość półtorej tony, ja wraz ze sprzętem nie przekraczam stu pięćdziesięciu kilogramów. To chyba wytrzyma.

Na wszelki wypadek jest druga lina, więc wszystko powinno być dobrze, i tak dalej.

Niekwestionowanym liderem jest dla Siwego, podobnie zresztą jak dla pozostałych, Żółw.

– Dysponował wiedzą i sprzętem, a my mogliśmy tylko patrzeć i zazdrościć – z podziwem mówi Gąsiorowski.

Alpinistyczne tajniki, przekazywane bądź też podpatrywane u Janka Turowieckiego Marek przyswaja bardzo szybko i zaraz sam je wykorzystuje. Pierwszy sprawdzian z lin to blaszany czterdziestometrowy komin w płockiej rafinerii. Wtedy bezpośrednim nauczycielem Marka jest Iżi.

– On na linie, a ja jak ta małpa na drabince obok. Dobra pozycja do podpatrywania, ale niebezpieczna. Wtedy po raz pierwszy Jarek dał mi zjechać na karabinku i półtryblince. Takie były początki. W każdym razie myślę, że ten akt zwycięstwa

Na kominie w gdańskiej rafinerii, lato 1984 r.
Od lewej: Maciej Płażyński i Marek Gąsiorowski.
*(z arch. rodzinnego E. Płażyńskiej)*



rozumu analitycznego nad zmysłami i emocjami, który każdy z nas przeżył na własny sposób, był trwałym spoiwem i zrobił z nas „kastę" wysokościowców – wyjaśnia Marek Gąsiorowski.

## Post Scriptum

– Nie miałem specjalnego stosunku do spółdzielni, podobnie jak ryba do wody. Wtedy była czymś oczywistym, środowiskiem naturalnym. W żadnym aspekcie nie ograniczała, umożliwiała życie tak jak... powietrze. Czy można mieć stosunek do powietrza? Spółdzielnia była może trochę jak rodzina... po prostu, choć rodzina często bardziej ogranicza. Tu było łatwiej, właściwie beztrosko się żyło w tych szarych czasach bez perspektyw...

# Męski świat, roboty na wysokości i *Kokaina*

W 1977 roku zaczęliśmy grać w klubie „Artema" Politechniki Gdańskiej, i tam poznaliśmy Witka Merkla, późniejszego działacza opozycyjnego, który przychodził na nasze koncerty – wspomina Mietek Wróbel. Kiedy skończył studia, to złożył u mnie na strychu całą swoją bibliotekę z akademika, której zresztą do dzisiaj nie odebrał. Tak jak powiedziałem, Witek działał w ruchu opozycji Młodej Polski, dużo rozmawialiśmy o książkach, filozofii, teologii, mieliśmy podobne spojrzenie na różne sprawy. Na przykład bardzo fascynowaliśmy się księdzem Tischnerem. Tak, to właśnie Witek wciągnął mnie do Świetlika. Pamiętam, że pierwszą robotę, którą zrobiłem, była tablica z napisem: „UWAGA, ROBOTY NA WYSOKOŚCI". Najwyraźniej zlecając mi to, pomylili malarza od akwarel z malarzem od ścian (śmiech). Ale w tym czasie było trudno o pracę, a w związku z tym często brakowało pieniędzy. Wypadliśmy z rynku, a zresztą nie chcieliśmy w reżimie występować, no i zaczęliśmy robić takie różne prace na zlecenie spółdzielni. Ja między innymi zaczepiłem się w gdańskiej rafinerii; pamiętam, że wkręcaliśmy z chłopakami śruby na rurociągach.

Zrobiłem kurs wysokościowy. Szkolenie BHP też było. Nauka wiązania węzłów: ósemka, ósemka podwójna. Te ósemki każdy musiał umieć, bo od tego zależało życie. W Nowym Porcie, pamiętam, było to szkolenie. Każdy, kto chciał pracować na wysokości, musiał je przejść. Trzeba było zjechać na linie ze

trzydzieści metrów z wieży strażackiej, a potem po tej samej linie wejść do góry. Ja dostałem chyba papier, że ukończyłem kurs, ale w końcu nigdy nie pracowałem na wysokości. Pojechałem kiedyś do Janowa Podlaskiego, a tam była robota na ziemi, a na wysokości tylko paru ludzi robiło. I tam poznałem Artura Matysa, on też był działaczem opozycyjnym. Większość tych, którzy byli w Świetliku albo drukowała bibuły, albo szła w jakieś inne działania polityczne. Piwo, wysokościowe roboty i sport – piłka nożna. Te trzy rzeczy jeszcze. Tam kobiet nie było za dużo. Męski świat.

Pamiętam, że w Janowie wywiązała się ożywiona dyskusja przy piwie z profesorem Starowieyskim, który, traf chciał, był tam akurat na plenerze ze swoimi studentami i mieszkał w tym samym hoteliku co my. Siedzieliśmy w holu razem i kiedy się mistrz dowiedział, że tutaj ma z samymi opozycjonistami do czynienia, którzy pracują przy malowaniu kominów, rozpoczął rozmowę. Potem zrobiła się z tego ostra dyskusja. To dotyczyło komuny, ale nie pamiętam szczegółów, niestety. Wtedy gadało się głównie o polityce. Artur Matys może by pamiętał, bo on wtedy się dość poważnie zaangażował w tę polemikę.

W pracy w Świetliku nie było takiego ciśnienia i poganiania, jak gdzie indziej. Nie tak jak masz teraz: pięćdziesięciu kierowników i jeden drugiego pilnuje. Po prostu, było zlecenie i wykonywało się je jakiś czas. Pracowało się w takich brygadach koleżeńskich. I generalnie pracowaliśmy tam, żeby przetrwać. Wykonywaliśmy różne roboty, ale też graliśmy. Były od czasu do czasu zjazdy, takie spotkania integracyjne. Piwko, te sprawy. My tam graliśmy i zaprzyjaźniliśmy się z całą ekipą. Fajni koledzy. Graliśmy bluesa, czyli to, co zawsze. Ulubionym kawałkiem chłopaków była *Cocaina* J. J. Cale. Wykonywaliśmy ten utwór po kilka razy. W tamtym czasie blues to też była trochę taka muzyka opozycyjna, bo przecież teksty głównie po amerykańsku.

W Świetliku poznałem także Maćka Płażyńskiego, który chodził cały czas w tym samym swetrze, tak że w końcu kumple

chcieli się zrzucić, by mu kupić nowy sweter albo garnitur. Strasznie się opierał. Pamiętam, tam była taka przyjacielska atmosfera. Może dlatego, że nie było przypadkowych ludzi? Oni się wszyscy skądś tam znali. Jeden drugiego wprowadzał i przez to klimat był taki fajny. No, tak. To byli ludzie, którzy podobnie patrzyli i myśleli o rzeczywistości. Czasem zdarzało się, że jakaś brygada w terenie coś narozrabiała, no i Płażyński musiał jechać nawet na drugi koniec Polski i wyciągać ich z aresztu. Były takie sytuacje. Ale pamiętam, Maciek był skuteczny. Poza tym był taki przyjacielski i szanowali go wszyscy. Taki prawdziwy opiekun. Nie powiem, że ojciec (śmiech). Ale skuteczny był, to na pewno. Powtórzę raz jeszcze – tam nie było przypadkowych ludzi i w zasadzie wszyscy mieli coś wspólnego z działalnością opozycyjną. Pewnie dlatego, kiedy było się wśród nich, to czuło się trochę taki klimat niepodległości. Republika wolności.

Poza graniem trochę też wtedy rysowałem. Pamiętam, czasami robiłem jakieś portrety. Ale w stanie wojennym miałem zlecenie na zrobienie specjalnej pieczątki. Były tam wieże Starówki gdańskiej, dźwigi i Trzy Krzyże w tle. I to się chyba później ukazało też na jakimś medalu czy na pieniądzach. Szkoda, że nie zachowałem żadnego szkicu. Napis „Solidarność" był pod spodem. I na murach takie pieczątki stawiali.

Pamiętam też, że kiedyś namalowałem obraz na zamówienie Andrzeja Kowalczysa. Był tam przedstawiony Lech Wałęsa oraz niedźwiedź, czyli Rosja, i jeszcze chyba jakiś orzeł, już nie pamiętam dokładnie. Z pewnością miało to wszystko razem znaczenie symboliczne. Podobno miał to być prezent imieninowy właśnie dla Wałęsy. Ale nie wiem, czy w końcu trafił do Prezydenta.

Jednak przede wszystkim występowaliśmy jako Mietek Blues Band. Raz, pamiętam, graliśmy w Świetliku na jakiejś imprezie i gospodarze nie mieli pieniędzy, by nam zapłacić. Po prostu wydali wszystko na tak zwane „inne cele", a były umówione

konkretne pieniądze, to były długie koncerty. Ale przyszedł Wilk, ten pisarz, i zapłacił elegancko. I wszystko było OK.

Ostatnią imprezę, jaką zagraliśmy dla nich, zdaje się w Ratuszu Staromiejskim, to też był jakiś ich zlot, ale Maciek Płażyński przyszedł tam już jako wojewoda. W garniturze, elegancko ubrany, i wtedy zagraliśmy *Money Talks* J. J. Cale, tak dla żartu. A który to mógł być rok, to naprawdę nie pamiętam.

W Świetliku poznałem jeszcze takiego Tadka. Mieszka w Gdańsku. On podobnie jak ja gra na gitarach, a teraz robi też obrazy z forniru. Czasem go spotykam. W Świetliku był jednym z tych fachowców, co to na najwyższe kominy potrafili wejść. Jak ich zła pogoda na kominie zastała, to naprawdę musieli się nieźle męczyć. A z takiego komina zanim zejdziesz... Pamiętam, potem po takich robotach na wysokości prowadzili ożywione dyskusje: czy ty byś wszedł na ten komin, czy byś nie wszedł, czy się bałeś, że komin się rusza. Tak, tam sporo ludzi, kurczę, pracowało. Później to się wszystko rozmyło, rozjechało.

Ludzie się też pozmieniali. Bo mają teraz większe możliwości działania, ale też, wiesz, siedzą w innych klimatach. Inne klimaty, inne czasy są. „Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia" – jak powiedział Wałęsa.

Rzadko spotykam kogoś z tamtych czasów. Ja jestem tam, gdzie byłem, a oni są już całkiem gdzie indziej. Tak już jest. To jest rzecz naturalna. Ludzie się zmieniają, nie? Zarabiasz większe pieniądze, masz większe wpływy i jesteś kimś innym. Na jakimś graniu ostatnio taki facet z nami siedział i mówił: „No, przecież ci wszyscy ludzie, oni przecież na tych samych styropianach spali. Ja nie rozumiem. A teraz jeden drugiego wyzywa". Przecież Tusk zna tych dwóch bliźniaków od wielu lat. Władza weszła na czajnik i faceci nie mają dystansu do siebie.

Żeby być mężem stanu, to trzeba mieć wielki dystans do siebie. Prezydent Francji de Gaulle był właśnie taki. Francuzi śmiali się z tego, jak wygląda i jak mówi, rysowali jego karykatury, ale jednocześnie szanowali go za to, co robił. A on się nie obrażał.



Na latarni morskiej w Ustce.
*(fot. Z. Grabowiecki)*

# Świetlik jak ocean

– Żeglarze to indywidualiści, którzy nie znoszą wszelkich struktur, podporządkowania i ograniczenia. Liczą tylko na siebie. Tak samo było w Świetliku, i pewnie dlatego czułem się tam tak dobrze – mówi Wojtek Kmita, sięgając po fajkę i tytoń.

## Kapitan prosto z lasu

Jaki jest człowiek, który opłynął świat na zbudowanym przez siebie jachcie? Wojtek Kmita na dwudziestopięciolecie Świetlika przyjeżdża do Gdańska pociągiem spod Częstochowy, gdzie osiadł kilka lat temu. W postawnym kapitanie żeglugi wielkiej trudno rozpoznać szczupłego, wysportowanego młodego mężczyznę spoglądającego z okładki autorskiej książki zatytułowanej *Cztery lata na huśtawce*, którą Kmita wydał po powrocie z rejsu swojego życia.

– Trochę się „poprawiłem", nie ma co ukrywać – stwierdza, śmiejąc się na powitanie.

Ostatni raz był w Trójmieście sześć lat temu, nie lubi ruszać się ze „swojego" lasu, gdzie wybudował dom. Stamtąd codziennie dojeżdża do wielobranżowego sklepu w Częstochowie, którego jest właścicielem. Dłuższe wyprawy niespecjalnie go bawią, ale święto spółdzielni to rzecz wyjątkowa. Stare Miasto, jedno z ulubionych miejsc Wojtka w Gdańsku, przywołuje różne wspomnienia.



Zjazd z wieży Ratusza Głównego Miasta w Gdańsku.
*(fot. Z. Grabowiecki)*

– Był taki jeden zjazd na linach, który doskonale pamiętam. Zrobiłem go z jednym z braci Kamińskich dla telewizji BBC – wspomina.

Ma to miejsce w czasie, kiedy ekipa Świetlika pracuje społecznie dla miasta, robiąc ekspertyzę stanu budynku ratusza miejskiego. Brytyjczycy akurat kręcą film dokumentalny o nowej rzeczywistości, w którym chcą pokazać światu, jak radzą sobie opozycjoniści po stanie wojennym. Z wejściem na tereny zakładów państwowych jest kłopot, tam władza nie ma czym się chwalić, poza tym wymagane są pozwolenia, formalności – to zniechęca. W Świetliku zgodę dostają od ręki, to zresztą dla filmowców wymarzona sytuacja, bo w firmie właściwie trudno jest znaleźć osobę, która w stanie wojennym nie byłaby jakoś politycznie zaangażowana. Scena jest bardzo krótka: Wojtek i Krzysiek mają tylko zjechać na linach i udawać, że pracują, to znaczy stuknąć dwa czy trzy razy młotkiem, i tyle. Zjeżdżają bardzo ostrożnie, uważają na każdy ruch, pamiętając, że jest to aktorska gra.

– Straszenie się bałem, że te ledwo trzymające się cegłówki spadną komuś na głowę – na dole był tłum ludzi, a zabezpieczenie zupełnie prowizoryczne. Nie wiem, czy wypadliśmy naturalnie, nie widziałem potem tego filmu, może nigdy go nie wyemitowali – zastanawia się Kmita.

## Bez powołania

Przygoda Wojtka ze Świetlikiem zaczyna się w 1985 roku. Po miesiącu szczęśliwie zostaje wyrzucony z wojska. Oficjalnie przyczyną jest nadciśnienie, tak naprawdę to coś z żołądkiem.

– Nie mieli jednak takiej jednostki chorobowej, mnie zresztą było wszystko jedno, byle z daleka od armii.

Kmita jest tuż po obronie pracy magisterskiej na Wydziale Prawa Uniwersytetu Gdańskiego. Jednak zupełnie nie czuje powołania do tego zawodu.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co mam ze sobą zrobić, jak się zabrać za to dorosłe życie – przyznaje.

Wojtek nie wyobraża sobie nie tylko pracy jako prawnik, ale w ogóle wykonywania jakiegokolwiek zajęcia, w którym trzeba by pójść na osobisty kompromis z władzą. W związku z tym jest przekonany, że w tych okolicznościach pozostaje mu tylko prosta praca fizyczna.

Drogę do Świetlika przecierają mu koledzy żeglarze. To od nich dowiaduje się, że jest w Trójmieście firma, w której można nieźle zarobić, a praca ma bardzo nieformalny charakter.

– Marek Hałgas, Siwy, czyli Zbyszek Gąsiorowski, i Grzegorz Przybylski już jeździli na zlecenia, i to właśnie przez nich trafiłem do Maćka Płażyńskiego – wspomina.

Mimo braku odpowiednich referencji ze względu na działalność opozycyjną Kmita zostaje przyjęty do firmy bez żadnych pytań.

– Mam wrażenie, że „świadectwo moralności" wystawili mi koledzy – śmieje się.

Do dziś uważa, że dostał wtedy od losu najlepszy prezent.

– Nie dość, że trafiłem na doborowe towarzystwo, to jeszcze charakter pracy bardzo mi odpowiadał – lubiłem przypływ adrenaliny, jaki dawało przebywanie na dużej wysokości. To samo odczuwałem na rejach żaglowca – wspomina.

Wojtek związał się ze spółdzielnią jeszcze na „pionierskim" etapie jej działalności. Oznaczało to samodzielnie szyte pasy alpinistyczne, wykonywany domowymi metodami sprzęt zjazdowy, i przede wszystkim uczenie się technik alpinistycznych „poprzez bój", czyli w trakcie pracy.

– Jedyny zjazd na linie pod okiem Żółwia, czyli prawdziwego alpinisty, wykonałem z wieży widokowej na Pachołku dopiero po kilku miesiącach od chwili rozpoczęcia pracy. A pierwsze formalne szkolenie alpinistyczne zaliczyłem po trzech latach – śmieje się Wojtek. – W końcu rynek takich usług zaczął się „cywilizować" i powoli wchodziły przepisy regulujące pracę w naszej branży – wyjaśnia.

## Siła marzeń

Płażyński bardzo szybko odkrywa w żeglarzu marzycielu organizacyjne talenty i Wojtek zostaje brygadzistą. Jeżdżąc po Polsce, Kmita jeszcze bardziej utwierdza się w przekonaniu, że dokonał właściwego wyboru.

– Porażające wrażenie robiło na mnie to, że większości ludzi w państwowych zakładach po prostu nic się nie chciało. Pukali się w głowę, kiedy tyraliśmy jak woły i narażaliśmy zdrowie, a może i życie, takie mieli przynajmniej wyobrażenie o tym, co robimy. Nic nie było w stanie ich wytrącić z tego marazmu. Nawet wizja kilkakrotnie wyższych zarobków nie była zachętą, by spróbować tego, co robiliśmy. Ani im to było w głowie – opowiada.

Podobne refleksje ma Kmita podczas budowy jachtu. Źle opłacani spawacze na etacie, którym proponuje dużo lepsze pieniądze, kręcą nosami – socjalistyczna mentalność okazuje się silniejsza.

– „To za trudne, nie będę się męczył, a na cholerę mi pana pieniądze" – tak się tłumaczyli. Wtedy zrozumiałem, że oni po prostu nie mają marzeń. I taka chyba była między nami różnica – dodaje po chwili zastanowienia.

## Głód wolności

Doskonałe zarobki w Świetliku nie wynikają z jakiejś wyjątkowej hojności zleceniodawców czy sympatii do firmy. Stawki są mniej więcej takie same: metr malowania – tyle, spawanie – tyle, wkręcanie śrub – tyle, i tak dalej. Skąd w takim razie takie pieniądze?

– To proste – wyjaśnia Kmita. – Przede wszystkim chcieliśmy pracować szybko i wydajnie. Wymyślaliśmy różne patenty, żeby sobie jakoś tę robotę uprościć, no i byliśmy zdeterminowani – potrafiliśmy wisieć na linach po dwanaście godzin – opowiada.

Taki system pracy akceptują prawie wszyscy.

– Uważałem, że żal tracić życie w tych nieciekawych miejscach, często obskurnych hotelach robotniczych, kiedy czekała

na mnie realizacja mojego planu. Chciałem mieć maksymalnie dużo czasu wolnego na budowanie jachtu – wyjaśnia.

Marzenie o rejsie na własnej łodzi towarzyszyło Wojtkowi od wczesnego dzieciństwa, a o wodnych podróżach przeczytał chyba całą dostępną wówczas literaturę.

– Żeglowanie miało stać się po prostu moim sposobem na życie – mówi z uśmiechem.

Już od szkoły średniej w Częstochowie jest całkowicie pochłonięty organizowaniem rejsów żeglarskich. Pływanie jachtem to dla niego wolność, czyli możliwość popłynięcia za granicę, poznania innego świata.

– Nie wiem, skąd się to we mnie wzięło, ale mając zawsze najwyższe patenty żeglarskie, na jakie pozwalał mój aktualny wiek, nie chciałem ograniczać się do prostego korzystania z istniejących możliwości żeglowania, tylko organizowałem działalność, która miała umożliwiać pływanie jak największej liczbie młodych ludzi – mówi Kmita.

Rejs dookoła świata jest więc tylko kwestią czasu, choć zaczynając pracę w Świetliku, Wojtek nie przypuszcza, że stanie się to tak szybko. Jednak finansowe nadwyżki pojawiają się już po roku i Wojtek zaczyna kupować pierwsze materiały do budowy łodzi.

To, że pieniądze dają jakąś wolność, nawet w państwie pod kontrolą, wie w Świetliku każdy. Jedni mają konkretne plany – budują domy, jachty, planują alpinistyczne wyprawy, inni zaś po prostu żyją z rozmachem i wesoło.

– Ale niezależnie od tego, kto na co miał ochotę wydać to, co zarobił, większość z nas była jakoś zaangażowana – wspomina Kmita. – Nawet już nie politycznie, ale ideologicznie, i nikt nie ukrywał swoich poglądów, czasem bardzo radykalnych – dodaje po chwili.

## W mniejszości

Kmita czuje się dumny, że funkcjonuje wśród ludzi, którzy tworzyli spółdzielnię. Wprawdzie dobrym kompanem do

picia nie jest, nie ma też innych nałogów, sprzyjających podtrzymywaniu życia towarzyskiego, bo fajka – którą może palić prawie bezustannie, z przerwami tylko na nurkowanie – przecież do takich nie należy.

– A do tego jeszcze nie lubiłem piłki nożnej, co oznaczało, że w Świetliku byłem w absolutnej mniejszości – śmieje się Wojtek.

Jednak ani te „przypadłości", ani wcześniejszy brak przynależności do którejś z organizacji opozycyjnych nie przeszkadzają Wojtkowi czuć się w firmie dobrze.

– Jestem przykładem, że było w niej miejsce dla każdego, kto kontestował tamtą rzeczywistość, a nie tylko dla bojowników z pierwszej linii frontu – mówi z przekonaniem.

Obóz kondycyjny w Sztynorcie, 1986 r. Kulig.
Na koźle siedzi Jan Kaczyński, dalej w prawo stoją:
Jarosław Zajączkowski „Królik", Wojciech Kmita i Robert Krygier.
*(z arch. rodzinnego R. i B. Krygierów)*



Świetlik jest przystanią dla dziwaków i pięknoduchów, anarchistów, pisarzy i opozycjonistów. To miejsce dla „niepokornych" i samodzielnie myślących. Narzucenie jakichś bardziej sformalizowanych reguł byłoby pewnie nie do przyjęcia, dlatego niezobowiązujący charakter pracy jest tu powszechnie akceptowany. Jeśli chce się pracować, to się pracuje, bo firma jest generalnie po to, żeby zarabiać pieniądze. Jeśli ktoś jednak chce sobie „odpocząć", to po prostu nie przychodzi do pracy.

– Nie musiałem kłamać, że jestem chory, czy załatwiam bardzo ważne sprawy rodzinne, kiedy wypływałem w rejs. Nikt w to nie wnikał – wyjaśnia Kmita.

Mimo że Świetlik to prawdziwa mieszanka wybuchowa rozmaitych indywidualności, jednak zdaniem Wojtka dałoby się wyodrębnić pewien „firmowy standard", który opisuje lapidarnie:

– Ostry opozycjonista z hasłem „komuniści na drzewa", no i przy tym niewylewający za kołnierz – śmieje się.

Za to w żadne ramy nie potrafi wpasować Wojtek samego prezesa.

– Kiedy tak zastanawiam się nad Maćkiem po tylu latach, ciągle nie mogę zrozumieć, jak on działał – zastanawia się.

Płażyński organizuje zlecenia, ma pomysł na poszczególne brygady, ludzi, wie kto i gdzie mógłby pojechać, kto ma wolne, kto kiedy skończy i przy jakim zleceniu przyda się najbardziej.

– I to wszystko miał w głowie, kompletnie niczego nie notował, nie miał nawet długopisu przy sobie. Pamiętam, że kiedy ktoś chciał od niego podpis na jakimś dokumencie, to musiał przyjść ze swoim długopisem – wspomina ze śmiechem Kmita.

W spółdzielni wszyscy szybko przyzwyczajają się do oryginalnych zwyczajów prezesa. Maciek nie ma swojego biurka ani krzesła. Tak jest nawet później, kiedy spółdzielnia mieści się przy ulicy Małcużyńskiego, gdzie jest sporo miejsca i ogólnie dużo wyższy standard.

– Jakoś widocznie nie potrzebował tych mebli. A kiedy chciał rozmawiać, to znajdował wolną przestrzeń, gdzie spokojnie można było pogadać – wyjaśnia Wojtek.

W firmie tłoczno robi się tak naprawdę raz w miesiącu, to znaczy w dzień wypłaty, kiedy to do siedziby spółdzielni zjeżdżają prawie wszyscy.

– To był prawdziwy obłęd – wspomina Kmita. – Maciek potrafił non stop z każdym coś załatwiać i bez żadnej notatki pamiętał szczegóły każdego zlecenia, a przecież bywało ich dwadzieścia, a czasem i trzydzieści. Ciekawy jestem, czy dziś też tak potrafi? – zastanawia się z uśmiechem.

## Przemiana

„Czy rejs przemodelował moje życie?" – Kmita powtarza pytanie, jakby chcąc dłużej się nad nim zastanowić. – Przede wszystkim przemodelował mnie samego, chyba stałem się lepszym człowiekiem. Lepszym dla innych – mówi po chwili.

Czteroletnia podróż na jachcie „Temi", czyli w „nieustannie kołyszącym się mieszkaniu", jak określa łódź Wojtek, zmienia jego nastawienie do ludzi. Kmita płynie tylko z żoną Małgorzatą i miesiącami nie mają właściwie kontaktu z nikim innym.

– Spokój oceanu spowodował, że zacząłem podchodzić do życia na większym luzie, zupełnie bez stresu. Nawet jeśli ktoś okazywał się nieprzyjemny, to mówiłem: OK, masz prawo taki być. Za chwilę popłyniemy w różne strony – mówi Kmita.

Przeważnie jednak spotkani w portach ludzie mają silne poczucie wspólnoty, mówią tym samym językiem. Problem w tym, że chciałoby się pobyć z nimi trochę dłużej, porozmawiać, a tymczasem trzeba wypływać, i pozostaje żal, że tak krótko.

– Żeglarze to indywidualiści, którzy nie znoszą wszelkich struktur, podporządkowania i ograniczenia. Liczą tylko na siebie. Tak samo było w Świetliku, i pewnie dlatego czułem się tam tak dobrze – mówi Wojtek Kmita, sięgając po fajkę i tytoń. To jedna z bezcennych rzeczy, jaką daje taka podróż. Czas

sprawia, że zaczyna się „myśleć". Jacht sobie płynie, gwiazdy świecą i kiedy już nie chce się czytać przy tym światełku, to się myśli – mówi Wojtek. – Właściwie przemyśliwuje się tak dogłębnie każdą rzecz, na przykład, czy to, w co się dotąd wierzyło, ma jakiś sens...

## Wolność absolutna

– Środek oceanu jest najbezpieczniejszym miejscem na świecie, naprawdę – przekonuje Wojtek Kmita. – Tylko meteoryt, zabłąkany piorun czy jakiś „zwariowany" wieloryb może być zagrożeniem, reszta jest przewidywalna – zapewnia.

Kmita porównuje to z pracą na wysokościach, według niego o wiele bezpieczniejszą niż inne zajęcia.

– Tutaj człowiek decyduje o wszystkim sam. Trzeba mieć tylko absolutną pewność co do każdego ruchu i nie popełnić błędu – wyjaśnia.

To, co dla wielu ludzi może wydawać się prawdziwym szaleństwem, dla Wojtka i chłopaków ze Świetlika jest czymś naturalnym. Czasami tylko pojawiają się pytania, czy wszystko przed wejściem zostało dokładnie zrobione, sprawdzone, czy lina się nie przerwie.

– Jeśli już czegoś się obawialiśmy, to tylko jakiegoś błędu, chwili nieuwagi. Samo przebywanie na wysokości jest czymś fantastycznym i dostarcza niesamowitych wrażeń – stwierdza Kmita.

Po chwili znajduje jeszcze jedną analogię między pracą na wysokości i żeglowaniem.

– Ta wspólna cecha to poczucie wolności, na oceanie – absolutnej. Właściwie na świecie nie można znaleźć większej. Wszędzie jest jakieś państwo, jakieś struktury, hierarchie, kontrola – a tutaj nie, dlatego już nigdzie nie będzie mi lepiej – wyznaje.

## Moc oceanu

Wojtek nie widział morza od wielu lat i dziś też nie zamierza go zobaczyć, choć do plaży jest zaledwie kilkaset metrów.

Rocznicowe spotkanie Świetlika odbywa się na Wyspie Sobieszewskiej.

– To dla mnie wielkie przeżycie widzieć i słyszeć morze – wyznaje. – Ale gdybym teraz wszedł na jacht, to tylko po to, żeby już z niego nigdy nie zejść – dodaje po chwili.

Przed wyprawą Kmita nie przypuszczał, że ocean ma aż taką moc.

– Istnieją ludzie, którzy nie potrafią żyć inaczej jak tylko na wodzie, choć mogę się założyć, że przed rejsem nie mieli o tym pojęcia, podobnie jak ja – mówi Wojtek. – Poniosłem klęskę. Rozstałem się nie tylko z morzem, ale także z żoną. Skoro nie udało mi się przekonać mojej własnej żony do takiego sposobu życia, to nie widzę sensu kontynuowania tej przygody. Ona miała prawdziwy wymiar tylko z Gosią – stwierdza ze smutkiem.

Wojtek jest absolutnie przekonany, że życie na jachcie to najlepsze, co mogłoby ich spotkać. Na wodzie „cieszy się" każda jego komórka, a zejście z jachtu to zawsze potworne przeżycie. W czym ocean miałby być lepszy od stałego lądu? Wojtek nie potrzebuje długo się zastanawiać, by to wyjaśnić.

– Trzy czwarte problemów, które tutaj, to znaczy na lądzie, przeżywamy, są sztucznie tworzone. Na morzu do trudności podchodzi się w sposób matematyczny, a ich rozwiązywanie staje się nawet źródłem przyjemności – twierdzi. – Poza tym ocean ma w sobie jeszcze jedną potężną moc – to po prostu cudowny lekarz. Najpierw przestajesz się denerwować, a potem zdrowiejesz. Trochę jak cudowne zmartwychwstanie – uśmiecha się Wojtek.

Sam tego doświadczył, więc wie, o czym mówi. Rozpoczynając podróż, Kmita jest, jak to obrazowo określa, „w miarę sprawnym wrakiem człowieka", a głównie dokucza mu reumatyzm. Całkiem poważnie obawia się, czy w takim dwuosobowym składzie, przy czym zdaje sobie sprawę, że to on powinien być teoretycznie silniejszy fizycznie, dopłyną do Lizbony, bo dalej już jest ciepło i łatwiej można sobie poradzić. Na szczęście dopływają.

Potem przez kolejny rok spędzony na jachcie cudownie znikają prawie wszystkie dolegliwości, a po czterech latach Kmita czuje się w stu procentach zdrowy. Przyczyny świetnej formy tłumaczy przede wszystkim brakiem stresu i minimalnym kontaktem ze stałym lądem.

– Podczas rejsu nie zapłaciliśmy żadnego rachunku – nie było za co. Mieliśmy wodę i prąd. Jedyne, w czym byliśmy uzależnieni od lądowej cywilizacji, to żywność, ale sklepy staraliśmy się odwiedzać jak najrzadziej – wyjaśnia Kmita.

Pozostałe przyczyny dobrego zdrowia to według Wojtka absolutnie czysta woda i klimat – tropikalny, ale bardziej suchy, za sprawą przyjemnych podmuchów pasata.

– Tak, kiedy schodziłem z jachtu, wiedziałem, co zostawiam za sobą. Dlatego to było dla mnie traumatyczne przeżycie, i nie chciałbym już nigdy tego powtarzać – milknie. – A Świetlik? Bo przecież spotkaliśmy się, by o Świetliku porozmawiać. Świetlik jest dla mnie w dalszym ciągu ideałem firmy o takim prawdziwie ludzkim wymiarze – uśmiecha się Wojtek Kmita.

# Przyjaciele Świetlika

# „Świetlik" w ciemności

To ważne doświadczenie –
warto do niego wracać
– z najlepszymi życzeniami
Adam Michnik

Kończyłem studia. Historię na KUL-u. Praca magisterska gotowa, kwestia formalnej obrony i zostanę magistrem. Jesienią 1987 roku miałem sporo czasu, początek małżeństwa i pierwsze dziecko w drodze. Nie miałem pracy i pieniędzy.

Donalda Tuska, Donka, bo tak wszyscy wówczas na niego mówiliśmy, poznałem rok wcześniej. Kojarzyłem jego nazwisko z „Samorządnością", wkładką NSZZ „Solidarność", jaka była drukowana w „Dzienniku Bałtyckim" po 1980 roku, a także środowiskiem „Przeglądu Politycznego", pisma liberałów. Ta nazwa „liberałowie" w latach osiemdziesiątych wydawała się nam tak swojska i naturalna jak RMP, młodopolacy czy konserwatyści. Nie miała nic z groźnego wizerunku, jaki potem zyskała w ustach adwersarzy politycznych w wolnej już Rzeczypospolitej.

Latem 1986 roku wraz ze świeżo poślubioną małżonką oraz naszym duszpasterstwem akademickim wyruszyliśmy na pierwszą wyprawę na zachód Europy. Przez kilka dni byliśmy też w Paryżu. Tam miałem spotkanie, przez swoje powiązania podziemne, z Jakubem Karpińskim, świetnym socjologiem i działaczem emigracyjnym. Od niego, jak dziś pamiętam, na placu Cambronne, dostałem plecak wypełniony emigracyjnymi wydawnictwami i trzysta dolarów na wydawanie „Przeglądu Politycznego". W Gdańsku miałem się skontaktować z niejakim Donaldem Tuskiem i przekazać mu wspomnianą sumę, która

miała być potwierdzona w jednym z najbliższych wydań pisma z napisem 300 – i odpowiednim hasłem. Tak poznałem Donka i jego środowisko.

Nie pamiętam szczegółów, ale wydaje mi się, że to Donald zaproponował mi okresową pracę w Świetliku. Wtedy już regularnie grywałem w piłkę w drużynie liberałów i znałem większość świetlikowego towarzystwa.

Na boisku razem z Donkiem i Wojtkiem Kapustą zazwyczaj stanowiliśmy szpicę atakującą. Filar obrony stanowił Krzysiek Bielecki, który był dość irytujący na boisku, bo bez słowa pochwały, gdy wszystko szło dobrze, a kipiący złością, gdy naszej drużynie się nie wiodło, nawet, a może przede wszystkim, wobec graczy swej drużyny. Jego zaprzeczeniem w czasie zmagań boiskowych był grający *vis a vis* w drużynie młodopolskiej Maciek Płażyński. Zdystansowany, nieulegający emocjom, bardzo zdyscyplinowany w grze. Płażyński ze swą łysiną, chudością sylwetki, powściągliwością wydawał mi się wtedy gościem dalekim, starszym od nas, bardzo poważnym i na wskroś serio. Zdawało się, że był kimś innym od nas, wtedy długowłosych, chodzących we flanelowych koszulach i kurtkach moro. Było jakoś oczywiste, że to on jest prezesem legendarnej spółdzielni Świetlik. Z czasem, przy bliższym poznaniu, okazał się bardzo kontaktową osobą, a jeśli chodzi o metrykę, to był nawet o rok młodszy od Tuska.

Którejś niedzieli podzieliłem się z kolegami z boiska wiadomością, że niedługo zostanę ojcem. Z forsą było krucho i wtedy Donek zapytał, czy nie chcę pobiegać po rusztowaniach z farbą. Zgodziłem się od razu i niedługo potem wylądowałem w Kielcach.

Wiedziałem oczywiście, co to jest legendarna Spółdzielnia Usług Wysokościowych „Świetlik". Trochę od Piotra Adamowicza, trochę od Tomka Zbierskiego, moich gdańskich kolegów z jednego roku studiów. Wcześniej nie miałem okazji pracować dla Świetlika, bo gros czasu spędzałem jednak w Lublinie.

Wtedy też wśród kolportowanych wydawnictw bezdebitowych pojawiał się „Przegląd Polityczny", z którego zapamiętałem głównie bardzo ciekawe, odmienne od innych tekstów politycznych zamieszczanych w periodykach podziemnych, teksty Jędrzeja Braneckiego. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że pod tym pseudonimem ukrywał się Janusz Lewandowski.

W Kielcach malowaliśmy jakąś potężną fabrykę. Ja oczywiście nie zjeżdżałem na linach, robili to koledzy z odpowiednim przeszkoleniem i doświadczeniem. Moje zadanie polegało na pracy na rusztowaniu, czyszczeniu zardzewiałych powierzchni i noszeniu kubłów z farbą. Praca nie była lekka, rzec można czysto kapitalistyczna, bo zależało nam na jak najszybszym jej ukończeniu, zgarnięciu należnej forsy i przeniesieniu się do kolejnego obiektu. Nikt zatem się nie ociągał, pracowaliśmy z pewnością po osiem, a może i więcej godzin. Towarzystwo oczywiście czysto męskie, w zdecydowanej większości faceci starsi ode mnie, ze sporym doświadczeniem w pracach na wysokościach. Poza pracą, a mieszkaliśmy w jakimś hotelu, i w czasie dowożenia nas do fabryki gadaliśmy na każdy temat. Głównie o polityce. Dobrze w pamięci utkwił mi jeden człowiek, z dłuższymi siwymi włosami i brodą. Nazywał się Lech Kosiak i, jak się potem okazało, był mocno związany z Solidarnością Walczącą. Pamiętam, jak kupował co tydzień w kiosku tygodnik „Ład" i wszystkim pokazywał charakterystyczną gwiazdkę przy kolejnym numerze pisma, gdzie było napisane, że ten „Ład" nie ma nic wspólnego z „Ładem" wydawanym w okresie stanu wojennego przez grupę uzurpatorów. Lecha to strasznie bawiło, że w życiu nadziemnym jest już tak, że pewne rzeczy można napisać otwarcie. Ja sam wtedy nie przypuszczałem, że za kilka miesięcy moją pierwszą pracą dziennikarską będzie tygodnik „Ład" i kwartalnik „Pobratymcy" wydawany przez Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych (ODiSS).

Przy okazji pracy w Kielcach odkryłem też samo miasto. Do tej pory, był to wpływ moich kolegów ze studiów, żyłem

w przeświadczeniu, że w tym regionie liczy się tylko Radom, znany z wypadków 1976 roku, a Kielce to taki komunistyczny zaścianek. Ze zdziwieniem odkryłem, że miasto jest bardzo ładne, a na dodatek ma wiele walorów historycznych i patriotycznych.

Do Kielc wróciłem jeszcze raz, na dokończenie realizacji zlecenia. Był to już pewnie listopad, bo pamiętam zimno, jakie nam towarzyszyło w pracy. Oczywiście najprzyjemniejszym momentem było odebranie wypłaty. Nie była to jeszcze epoka przelewów i kart magnetycznych, więc po należny zarobek zgłosiłem się do siedziby spółdzielni znajdującej się przy ulicy Małcużyńskiego. Zdumiony byłem liczbą ludzi, jacy się tam przewijali. Pamiętam z wizyt w biurze Świetlika braci Rybickich, Marka Kotlarza, braci Kamińskich i kilkunastu innych kolegów znanych mi dobrze z piłkarskiego boiska. Wypłata, choć uzyskana przecież przez zwykłego, szarego pracownika, bez jakiegoś specjalnego doświadczenia i umiejętności, jak pamiętam, wystarczyła mojej rodzinie na dwa, trzy miesiące życia, aż do podjęcia przeze mnie pracy we wspomnianym ośrodku ODiSS w Warszawie. Był to zatem bardzo poważny zastrzyk finansowy, taka przyjacielska pomoc dla potrzebującego kolegi. Wiem, że podobne formy wsparcia udzielane były także innym znajomym, jak choćby Wieśkowi Walendziakowi. Dla mnie te środki finansowe to był prawdziwy świetlik w ciemności.

W 1988 roku, po kolejnym wyjeździe na Zachód, tym razem do Anglii, ponownie przywiozłem stamtąd pieniądze dla „Przeglądu Politycznego". Przekazującym był Tadeusz Kadenacy, a środki finansowe pochodziły bodaj ze środowiska pisma „The Spectator". W tym samym roku na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego złożyłem swój podpis pod dokumentem powołującym do życia Kongres Liberalno-Demokratyczny.

*Adam Hlebowicz*

# Malarze przemysłowi

Pracę w Świetliku traktowałem, przede wszystkim, jako przygodę. W robocie na linach kryła się metafora: mogłem zarabiać pieniądze, wisząc ponad ziemią, ponad szarą rzeczywistością, którą jeszcze wtedy rządziła komuna: choć przygarbiona i szczerbata, to ciągle jeszcze była komuna. Patrzyłem więc na świat z góry, z dystansu, a nad głową? Ej, ballado! Niebo błękitne nade mną, czasami chmury przepłyną, czasami ptaki przelecą, a we mnie duma z przynależności do elitarnej grupy, której niestraszne ani strzeliste kominy, ani potężne stoczniowe dźwigi. Odzywał się we mnie bojowy i romantyczny duch dziadka, który w czasie drugiej wojny jako pilot walczył nad Anglią.

* * *

Do Świetlika trafiłem dzięki uczynności Tomka Matulańca, który na Oliwskim Pachołku uczył mnie, jak zawiązywać liny i bezpiecznie zjeżdżać na specjalnej ławeczce. Chyba miał szczęśliwą rękę, bo w czasie kilku lat pracy na zleceniach w Gdańsku, Gdyni, Olsztynie, Kędzierzynie-Koźlu, Rzeszowie, Łosicach, Janowie Podlaskim nie przydarzył mi się żaden wypadek czy choćby kontuzja. Dzięki Tomku!

Pierwsza robota na linach wypadła mi w Łosicach, gdzie malowaliśmy wysoką ścianę budynku przemysłowego. Nasza

brygada zakładała co kilka metrów stanowiska na dachu, po czym z pędzlami i kubłami z farbą zjeżdżaliśmy w dół. Cykl się powtarzał, aż wymalowaliśmy całą ścianę. Niestety, moje pierwsze zjazdy nie wypadły najlepiej. Byłem typowym żółtodziobem: brakowało mi doświadczenia i umiejętności. Swój odcinek malowałem najdłużej, co irytowało resztę brygady. Wieczorem brygadzista podjął decyzję, że jako najwolniejszy jadę na zlecenie do stadniny koni arabskich w Janowie Podlaskim, gdzie będę malował wysokie silosy na paszę. Spakowałem się i wyjechałem, nie przypuszczając, że czeka mnie jeden z najprzyjemniejszych i najciekawszych miesięcy w moim życiu.

Zlecenie w Janowie Podlaskim było proste. Od rana do zachodu słońca szorowaliśmy i malowaliśmy stalowe silosy, patrząc na okolicę, a jakże, z góry. Żyliśmy w rytmie życia stadniny: idąc rano do pracy, mijaliśmy spowite w obłoki kurzu konie wybiegające na pastwiska, kiedy my wracaliśmy do hotelu, konie też wracały do swoich stajni. Było gorące lato, więc praca pod gołym niebem miała też swoje minusy, ale wynagradzały je zapachy okolicznych łąk, możliwość gapienia się na wyjątkowej urody konie oraz niezwykły, nieco tajemniczy nastrój, który dało się odczuć na terenie całej stadniny.

Prace malarskie na wysokościach łączyliśmy z „obserwacjami socjologicznymi w terenie". Tego dnia było już późne popołudnie i słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Kończyliśmy jakiś etap pracy, słońce nie grzało już tak niemiłosiernie, więc żywszym okiem patrzyliśmy na świat poniżej. A tu co kwadrans pojawia się na horyzoncie coraz to bardziej pijany przedstawiciel lokalnej społeczności. Jeden na własnych nogach, inny na rowerze. Nadjechał też nietrzeźwy motor z trzema (sic!) pasażerami. Tych ludzi łączyły trzy cechy: wszyscy byli zalani w przysłowiowe trzy dupy, wszyscy się po drodze wywracali, wszyscy jednak dzielnie, choć nieśpiesznie, podnosili się, strzepywali pył z ubrań i podążali w sobie znanym kierunku. A mnie przypominały się słowa piosenki Stachury:

„Wędrówką jedną życie jest człowieka, idzie wciąż, dalej wciąż, dokąd? skąd?".

Mieszkaliśmy, choć bezpieczniej byłoby powiedzieć nocowaliśmy, na terenie stadniny w niewielkim, ale schludnym hoteliku. Było nas w brygadzie chyba czterech: Mietek, Maciek, kolega z gdańskiego AWF-u, którego imienia niestety nie zapamiętałem, i ja. Mietek Wróbel był gitarzystą, liderem bluesowej kapeli Mietek Blues Band, przywiózł ze sobą szkicownik i w wolnych chwilach coś tam sobie malował. Maciek był krępym, niezwykle silnym mężczyzną o wesołych oczach i kędzierzawej czarnej brodzie. Któregoś dnia przyniósł w kartonowym pudełku gawrona z przetrąconym skrzydłem i bardzo troskliwie się nim zajmował. Kolega z AWF-u, tak go niestety będę nazywał, popisał się w Janowie umiejętnościami bynajmniej nie malarskimi. Przed rozpoczęciem pracy przebieraliśmy się w ciuchy robocze w pomieszczeniu, które dzieliliśmy z lokalną brygadą murarzy. Pewnego poranka jeden z nich przyszedł do pracy mocno pijany i wyraźnie szukał zaczepki. Szturchał ludzi, jątrzył, więc i jego koledzy murarze, i my prosiliśmy, żeby dał spokój, żeby sobie poszedł, ale ten był zacięty i nieustępliwy. W końcu nasz Kolega z AWF-u odwrócił się do pijaczka i powiedział bardzo spokojnie, a nawet z pewną rezygnacją: „No dobrze,... chodź". Podochocony pijaczek wyszedł z budynku na podwórze, gdzie miał się odbyć pojedynek. Lecz nie zdążył się nawet dobrze rozejrzeć, bo otrzymał szybki, precyzyjny i niezwykle silny sierpowy, po którym padł półprzytomny na ziemię. Następnego dnia murarze przynieśli nam skrzynkę wody mineralnej: „To na zgodę". Do końca pobytu w stadninie mieliśmy już spokój.

W Janowie miało miejsce jeszcze jedno ciekawe zdarzenie. Któregoś dnia, już po pracy, siedzieliśmy z kolegami w holu hoteliku. A tu wchodzi do hotelu kilkunastoosobowa barwna grupa mężczyzn i kobiet, na czele której rozpoznałem Franciszka Starowieyskiego. Przypominało to wejście świty dworskiej: na

przedzie Król Słońce, obok i za nim, w półukłonach, dworzanie. Brakowało tyko fanfar i perskich kobierców. Zorientowaliśmy się, że do hoteliku przyjechała na plener grupa malarzy. Rozbiegli się po pokojach, ale już po chwili wrócili do holu, gdzie zasiedli w fotelach, popijając taki czy inny alkohol. Ktoś z nich, może nawet sam Starowieyski, zapytał:

– Panowie malarze?

– Tak – odpowiedziałem. – Malarze przemysłowi.

Starowieyskiemu usta nie zamykały się ani na chwilę. Perorował, tokował, niczym stary indor. Dworzanie tylko z rzadka pozwalali sobie na krótkie wypowiedzi. Starowieyski po jakiejś chwili i nas włączył do swojego audytorium. Właśnie zaczął opowieść o swoich latach studenckich, o ucieczce z domu, odwróceniu się od szlacheckich korzeni, w końcu doszedł do opowieści o obiadach i kolacjach z Włodzimierzem Sokorskim, ówczesnym komunistycznym ministrem kultury, żarliwym promotorem socrealizmu, cynikiem, sybarytą i erotomanem gawędziarzem. Było coś bezwstydnego i zarazem żenującego w tym popisie Starowieyskiego. Nie wytrzymałem i zapytałem:

– Czy zna pan *Potęgę smaku* Herberta?

– Nie, nie pamiętam – odparł Starowieyski, trochę zdziwiony, że pytam, nie czekając na pozwolenie.

– To może przypomnę – wystrzeliłem już mocno podniecony i wzburzony. – „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru / nasza odmowa niezgoda i upór / mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi / lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku…".

Dalej nastąpiła ostra dyskusja: ja bezczelnie o smaku i honorze, o „parcianej retoryce", Starowieyski o okolicznościach czasu, o determinantach, o korzystaniu z możliwości, o otwarciu się na „inną" rzeczywistość. Dwór oniemiał. Młody studencik próbował utrzeć nosa staremu lisowi. Los sprawi, że wiele lat później ten sam studencik zostanie prezesem wydawnictwa, które będzie wydawało książki starego lisa o sztuce.

W czasie zlecenia w Janowie Podlaskim spotkała mnie jeszcze jedna, bardzo osobista przygoda, która sprawiła, że jak nigdy wcześniej ani nigdy potem zbliżyłem się do ...Królestwa Niebieskiego. Dwa, trzy kilometry od stadniny znajduje się właściwy Janów Podlaski, urocze miasteczko z ryneczkiem, zabytkowym kościółkiem i pozostałościami po historycznej siedzibie biskupów podlaskich. Właśnie w zabytkowym kościółku ksiądz w konfesjonale zapytał mnie z pełną powagą:

– Synu, upijasz się?

– Nie – odpowiedziałem po namyśle, ale uczciwie.

– Niedaleko jesteś od Królestwa Niebieskiego – usłyszałem zza kratek konfesjonału.

Wychodząc z kościółka, zobaczyłem, jak pijący piwo mężczyźni walili się po głowach kuflami. Trochę inaczej pomyślałem o pytaniu mojego spowiednika. Ale tylko trochę.

* * *

Każdy kto pracował na wysokościach, wie, że czasami zamiast zjeżdżać na dół i ponownie wdrapywać się, łatwiej jest... wysikać się na górze. Nic w tym nadzwyczajnego, to prosty wynik spotkania się ludzkiej fizjologii i ergonomii pracy. Przypominam sobie scenę, która wydarzyła się gdzieś na południu Polski. Malowaliśmy wówczas kratownice podtrzymujące kominy porozrzucane co kilkadziesiąt metrów na kilkuhektarowym polu jakiegoś zakładu przemysłowego. Muszę dodać, że podczas zleceń nasz język chwilami zbliżał się do języka prostego, niewyszukanego, a nawet wulgarnego. Spieszę wyjaśnić, że było w tym sporo zabawy, czegoś na kształt odważnych ćwiczeń ze stylizacji językowej. Właśnie wtedy zanotowałem dialog, który dobrze oddaje urodę stylistyczną takiego ćwiczenia:

– Donald! Ty się, kurwa, przestań wiercić, ty się weź do roboty! – odezwał się czyjś głos z jednej kratownicy do kogoś, kto wiercił się na drugiej kratownicy.

– Ja się, kurwa, nie wiercę! Ja się próbuję wysikać! – odpowiedział ktoś z drugiej kratownicy.

Tak, nie zaprzeczam. Uczestnikiem tego dialogu był nasz brygadzista Donald Tusk.

* * *

Czy nasza praca była niebezpieczna? Tak, jak każda praca na dużych wysokościach. Choć, jak już to napisałem, podczas pracy w Świetliku nie zdarzyło mi się nic złego, dwa razy poczułem chłód śmierci.

W Rzeszowie czyściliśmy i malowaliśmy potężne kratownice sali widowiskowo-sportowej. Taka kratownica wyrastała z betonowego podłoża i pod kątem czterdziestu stopni pięła się dumnie w górę, żeby podtrzymywać dach hali. Byliśmy podzieleni na pary. Każda para była odpowiedzialna za swoją kratownicę. Pracowałem z Wieśkiem Walendziakiem po wiele godzin dziennie. Po kilku dniach palce u rąk opuchły nam strasznie i wyglądały jak serdelki. Ale pracowaliśmy z zapałem, zarabiając pieniądze na nasze młode rodziny. Z jednej strony chodzenie po kratownicy było stosunkowo proste. Były jednak takie płaszczyzny, które wymagały wychylania się poza kratownicę. Miałem taki patent: stawiałem szeroko stopy na jednej z belek, linkę, którą byłem przywiązany do uprzęży, zaczepiałem do drugiej belki i odchylałem się, co pozwalało mi pracować obydwiema dłońmi. Aż nastąpił taki dzień, kiedy po kolejnym zejściu po farbę i ponownym wejściu na kratownicę zapomniałem się zapiąć. Już miałem się odchylić nad kilkunastometrową przepaścią, kiedy nagle osunęło się wiaderko z farbą, co mi się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Wiadro poszybowało w dół, farba wylewała się pod drodze, tworząc przedziwne kształty, żeby po kilku sekundach plasnąć o ziemię. A pod naszą kratownicą sterczały kilkumetrowe pionowe druty zbrojeniowe. Pomyślałem tylko, że wyciąganie ciała nadzianego na kilkadziesiąt prętów byłoby bardzo uciążliwe.

W Kędzierzynie-Koźlu, tak, to było chyba tam, malowaliśmy metalową konstrukcję dachu nad jednym z pieców elektrociepłowni. Praca byłaby stosunkowo prosta, gdyby nie to, że ten piec... działał. Na stalowych elementach zalegała kilkunastocentymetrowa warstwa kurzu i sadzy, którą usuwaliśmy miotełkami, a następnie pokrywaliśmy farbami zabezpieczającymi. Aż tu nagle, znienacka nastąpił huk, coś jakby wybuch lub wystrzał. Momentalnie zrobiło się ciemno, bo wszystek kurz zalegający konstrukcje wzbił się czarnym tumanem. Zrobiło się przeraźliwie gorąco, bolał każdy oddech. Po omacku rozwiązywaliśmy nasze uprzęże i próbowaliśmy odnaleźć drogę na schody, którymi można było uciec na dół. Kiedy zbiegliśmy kilka pięter, gdzie nie było już kurzu i można było bezboleśnie oddychać, policzyliśmy się i okazało się, że brakuje jednego kolegi. I tu zdarzyło się coś niezwykle ważnego. Połowa brygady zdecydowała, że trzeba się ratować i „spierdalać na dół". Druga zaś, po krótkiej chwili, wróciła na górę, żeby szukać kolegi. Kiedy dotarliśmy do górnego poziomu, okazało się, że nasz zaginiony kolega żyje i jest cały, tyle że w ciemnościach, w pyle i ukropie, nie mógł odwiązać swojej liny asekuracyjnej. Wróciliśmy razem na dół. Tego dnia już nie pracowaliśmy. Żeby odreagować stres związany z wybuchem, postanowiliśmy napić się wódki. To był dzień, w którym dowiedziałem się wiele o sobie i o swoich kolegach.

* * *

Świetlik był enklawą i gospodarczą, i polityczną na ówczesnej mapie Polski. Ale byłoby uproszczeniem powiedzieć, że pracując w Świetliku, rozmawialiśmy wyłącznie o polityce. W większości byliśmy młodymi mężczyznami. Było wśród nas wielu studentów i pracujących już inteligentów, choć pracowali też ludzie bez wyższego wykształcenia. Podczas wielu dni i nocy spędzanych na wspólnych zleceniach rozmawialiśmy praktycznie o wszystkim: o muzyce, o sztuce, o przyrodzie, o przeczytanych

książkach, obejrzanych filmach. Czasami mówiliśmy o naszych dziewczynach lub żonach, które przecież opuszczaliśmy na czas naszych wyjazdów do pracy.

Jeśli nawet nie pracowało się bezpośrednio z kimś znanym z działalności opozycyjnej, to sława takiej osoby trafiała do innych brygad. Pamiętam, że kiedy we wrześniu 1986 roku komuna wypuściła z więzienia Mariusza Wilka, w siedzibie Świetlika, wówczas na starym mieście w Gdańsku, urządzono mu coś na kształt przyjęcia. Kiedy przybiegłem, Mariusz stał z boku i rozmawiał z Maćkiem Płużyńskim. Nie znałem jeszcze osobiście Wilka, więc podszedłem i powiedziałem: „Witaj na wolności!". Mariusz odpowiedział mi jakimś przyjaznym gestem. I zrozumiałem wówczas, że to powitanie było moim wyznaniem dwóch prawd wiary: pierwszej – że Człowieka nie wolno więzić za przekonania polityczne; drugiej – że w przestrzeni, którą stwarzał Świetlik, realizuje się w praktyce zasada ludzkiej solidarności, lojalności i braterstwa.

*Artur Matys*

# Królowie życia

Poznałam niektórych świetlikowców w okresie schyłkowym historii spółdzielni, bo w 1989 i 1990 roku Marek Gąsiorowski, jeden z założycieli Świetlika, był moim mężem. Mieszkaliśmy w Niemczech, często jednak jeździliśmy do Polski, a obowiązkowym punktem każdego pobytu była wyprawa do Gdańska i spotkania ze starymi znajomymi i przyjaciółmi Marka ze spółdzielni.

Punktami spotkań były między innymi knajpa prowadzona przez Robala, mieszkanie Eli i Maćka Płażyńskich, słynna, choć dość obskurna „Amazonka", a potem „Cotton Club", który był już jednak bardziej miejscem spotkań ludzi, których ciągnęło do polityki i którzy koniec końców stworzyli Kongres Liberalno-Demokratyczny. Zamienili pracę z liną na pracę na linie, czyli poszli w politykę.

Nie wiem, co było pierwsze: jajko czy kura? Czy luz finansowy związany z niezwykle wysokimi jak na owe czasy zarobkami spowodował, że imprezy w knajpach stały się punktem dnia ważniejszym niż poranna kawa, czy też ich zamiłowanie do barwnego życia spowodowało, że szukali i znaleźli swój sposób na bezbarwną i siermiężną rzeczywistość? Mieli pieniądze i nie musieli liczyć się z każdym groszem. Niejednokrotnie zarabiali o wiele więcej niż lepiej od nich wykształceni i doświadczeni rodzice. Faktem jest, że umieli się bawić, czasem aż za bardzo. Po jednej imprezie następowała kolejna, a potem

jeszcze jedna. Było kolorowo i bardzo wysokoprocentowo. Dla mnie najfajniejsi świetlikowcy to byli ludzie, którzy usiłowali realizować swoje osobiste marzenia. Malujący wtedy dużo i dobrze Piotr Jahołkowski, grający, śpiewający i komponujący piosenki Królik (Jarek Zajączkowski), odjazdowy gitarzysta Grześ Lipiński. No i ludzie, z którymi było można pogadać nie tylko o polityce. Iżi, niezwykle skromny i elegancki erudyta, w dodatku podobnie jak ja uwielbiający dzieła Józefa Mackiewicza. Maciek Płażyński, on z kolei pozytywnie zaskoczył mnie niezmiennością stylu życia i bycia, bez względu na gwałtowne przyspieszenie kariery. Zajeżdżaliśmy na ulicę Poznańską, gdzie mieszkał Maciek z żoną i dziećmi, i niezmiennie było tak samo – serdecznie i ciepło. To samo mieszkanie, ta sama żona, te same fotele. A jednak – myślałam wtedy – są ludzie odporni na zaszczyty…

Następne lata przyniosły nowe rozdania. Mogłam obserwować koleje losu niektórych spółdzielców. Co stało się z królami życia? Królami „Amazonki", „Basztowej"… Z pewnością uciekali od szarości i przeciętności. „Mała stabilizacja" przerażała ich bardziej niż „wielka katastrofa". I to stało się powodem kariery jednych, ale i totalnego upadku innych świetlikowców. Okazało się bowiem, że negując „małą", nie mają nic przeciwko, a właściwie marzą o naprawdę Dużej Stabilizacji… Z jednej więc strony kariery polityczne naprawdę dużego kalibru, z drugiej – niechęć czy nawet organiczna niemożność podjęcia pracy „średniaka" w sytuacji, gdy dni chwały i wielkich pieniędzy przeminęły bezpowrotnie.

Nazwałam to „syndromem świetlika". Wielu spółdzielców, których poznałam jako luzaków kochających życie i potrafiących czerpać z niego pełnymi garściami, nagle przystopowało. Coraz częściej słyszałam, że jest ciężko, beznadziejnie i nic nie da się zrobić… Ludzie mający na karku różnego rodzaju zobowiązania (żony, dzieci itp.) robili wszystko, by nie znaleźć roboty. Bo każda była „poniżej ich możliwości", „nie dawała

satysfakcji", „była za pół darmo". Patrzyłam na to w oniemieniu, bo mając dwa fakultety, dodatkowo będąc tłumaczem i pisząc artykuły do gazet, uważałam, że nawet mycie kibli może być dobrą robotą – jeśli wykonam ją dobrze!

Często nie mając wykształcenia i doświadczenia w jakiejkolwiek innej pracy niż praca na linie, uważali, że są predestynowani do zarabiania naprawdę dużych pieniędzy. Jednak wywalczony także przez nich kapitalizm okazał się mniej łaskawy niż socjalizm lat osiemdziesiątych. Spółdzielnia dostawała wtedy świetne zlecenia, bo istniały fundusze na remonty, a te pieniądze trzeba było wydać. Wystarczyło odpalić działkę dyrektorowi państwowego przedsiębiorstwa. Nikogo nie obchodziła rentowność firmy. W przeciwieństwie do wolnego rynku, gdzie zysk dyktuje warunki, także i finansowe.

Rosła więc grupa sfrustrowanych i nieszczęśliwych. Trwających w pełnym rezygnacji, a czasami i zawiści letargu. Niegdysiejsi koledzy robili kariery, a inni stojąc w miejscu, cofali się, aż doszli do ściany. Co dziwniejsze, nigdy z ust żadnego przegranego świetlikowca nie usłyszałam, że to właśnie spółdzielnia, a właściwie zarobki, jakie oferowała, utrudniła im życie w normalnym, kapitalistycznym świecie, do którego wszak tak tęsknili. Że to była sytuacja wyjątkowa, którą Oni uznali za normę.

Wydaje mi się, że rzeczowa ocena lat spędzonych w Świetliku miałaby działanie uzdrawiające: było fajnie, bo byliśmy młodzi, zdrowi, a na dodatek dzięki własnej inicjatywie oraz konającemu na naszych rękach socjalizmowi mieliśmy więcej niż inni. Na dodatek w fantastycznym nastroju i klimacie, wśród przyjaciół, bez struktur i korporacyjnych układów… Cóż, każdy idealizuje lata młodości, a jeśli jeszcze na dodatek były to lata tłuste…

*Dorota Sawczyńska-Paśko*

* * *

**Izabela Brodacka-Falzman**

W 1984 roku zostałam zaproszona z mężem i czwórką dzieci na wakacje do leśniczówki Ostrza koło Lendyczka, w której gospodarowali, związani ze środowiskiem Świetlika, Oliwia i Maciek Soczewińscy z Gdańska. To jedne z najmilej wspominanych wakacji w moim życiu. Czuliśmy się jak w raju. Piękny, choć zrujnowany poniemiecki dom w sercu lasu. Do najbliższego sklepu kilkanaście kilometrów. Dzwoniąca w uszach cisza. Na Ostrza zjeżdżali się liczni znajomi i znajomi znajomych. Między innymi Ela i Janek Turowieccy (czyli Żółwiowie), Robert Krygier (Robal) z żoną i córeczką i wielu innych. Żyliśmy w idealnej harmonii. Każdy robił to, co chciał, nikt nikogo nie pędził do roboty, a wszystko składało się samo. Gotowaliśmy wspólnie to, co było. Zapamiętałam zupy szczawiowe i grzyby, bo wystarczyło wyjść na pół godziny z domu, aby zdobyć produkty na obiad. Łaziliśmy po lasach, kąpaliśmy się w krystalicznie czystych leśnych jeziorkach, a wieczorami graliśmy w brydża i przy ognisku dyskutowaliśmy (o dziwo, nie kłócąc się) o polityce.

W czasie następnych wakacji Świetlik realizował w Warszawie remont elewacji budynku Intraco. Wyjechaliśmy z dziećmi do Ochotnicy, zostawiając mieszkanie przy ulicy Poznańskiej do dyspozycji Markowi Gąsiorowskiemu, czyli Siwemu, który był brygadzistą. Zwykły dla naszego domu artystyczny nieład wzbogaciły stosy lin, pojemniki z klejem czy farbą, uprzęże

i brudne kombinezony. Od tego czasu nasze, położone blisko dworca, mieszkanie często służyło gdańszczanom jako hotel czy punkt kontaktowy. Zacieśniły się też przyjaźnie. W tym samym roku spędziliśmy z Żółwiami i czwórką naszych dzieci święta Bożego Narodzenia w schronisku na Ornaku. Z Siwym podróżowałam parę tygodni po Europie. Byliśmy w Alpach Bawarskich, Paryżu, Awinionie, a nawet tydzień spędziliśmy w Antibes na jachcie dozorowanym przez jego kolegę. Balowaliśmy również dwa tygodnie w Sopocie i Gdańsku. Miałam okazję wtedy poznać licznych jego kolegów. Święta Wielkanocne i sylwestry spędzaliśmy z dziećmi w bacówce pod Turbaczem, którą dzierżawił Świetlik. Pomimo że dzierżawa wygasła, nadal jesteśmy tam mile widziani. Ostatni raz byłam tam w lutym zeszłego roku.

Siwy, wytrawny żeglarz zaraził nas do tego stopnia miłością do Jezioraka, gdzie spędzał w dzieciństwie wakacje, że nasz wspólny przyjaciel Witek kupił dom w Jerzwałdzie, a ja trzymam łódkę w Małdytach u kolegi Siwego. W Małdytach osiadła na stałe była żona Siwego Dorota, która mieszkała u nas w Warszawie przeszło rok, po powrocie z Niemiec. Często u niej bywam. Nad Jeziorakiem organizowaliśmy wiele razy biwaki, na które zjeżdżali się: Ela Turowiecka, Siwy, Grześ Lipiński (Lipa), Piotr Jahołkowski (Jahoł) świetny malarz. Ela wielokrotnie zabierała dzieci na wakacje i na narty. Bardzo dużo pomogła naszej rodzinie po śmierci mojego męża. Co roku ktoś z naszej rodziny mieszka u niej w Sopocie.

Ze strony środowiska Świetlika nie spotkało mnie, jak widać, nigdy nic złego – wręcz przeciwnie. Bawiłam się w ich towarzystwie znakomicie, byli pełni fantazji, młodzieńczego uroku i poczucia humoru. Do zakochania we wszystkich naraz i w każdym z osobna.

Wygnanie z raju jak zawsze związane jest z drzewem wiadomości dobrego i złego. Gdyby tak się jakoś nie ułożyło, że elita Świetlika jest dziś polityczną elitą kraju („tak się jakoś

ułożyło, że wszyscy generałowie są partyjni" powiedział kiedyś gen. Florian Siwicki), nic nie stałoby na przeszkodzie, aby kultywować pamięć tego raju. W podobnych środowiskach – taternickich, żeglarskich, jeździeckich – wspólne przeżycia tworzą mit założycielski i nikt nie ma ochoty ani powodu, żeby go podważać. Zjazdy i spotkania – to nabożeństwa takiego kultu, a frazą wiążącą nieustannie odmawianej litanii jest: „czy pamiętasz, jak...?".

22 listopada ubiegłego roku[6] w Sobieszewie koło Gdańska odbyło się jedno z podobnych świeckich nabożeństw. Spółdzielnia „Świetlik" przemianowana później na „Gdańsk" świętowała dwudziestopięciolecie swego powstania. Oczywiście o przebiegu wydarzeń mam informacje tylko z drugiej ręki. Byłam jednym z satelitów tego środowiska poruszających się po dość dalekiej od centrum orbicie i nie było żadnych przyczyn, żeby mnie zapraszać. Donald Tusk, który powinien być w epicentrum, nie zaszczycił jednak kolegów swą obecnością. Nie pierwszy raz zostali tak zlekceważeni. W poprzedniego sylwestra Donald też wolał jakieś bardziej prestiżowe piłkarskie rozgrywki od tradycyjnego, rozgrywanego od dwudziestu pięciu lat meczu.

Nabożeństwo nie przebiegało podobno bez zgrzytów. Najłatwiej byłoby to wytłumaczyć, jak to swego czasu zrobił Michnik, resentymentem niewpuszczonych na salony. Ale przecież dawni współpracownicy i przyjaciele z konspiry „Adasia" nie mieli do niego pretensji o to, że bezlitosna centryfuga społeczna wyrzuciła ich przy jakimś obrocie na margines. Jasne jest, że każde środowisko polityczne przy konsumowaniu sukcesu zwiera szeregi i marginalizuje mniej przydatnych. Przyjaciele z opozycji mieli do Michnika pretensje wyłącznie o to, że brata się z ich oprawcami – Kiszczakiem, Jaruzelskim i Urbanem. Michnik ich po prostu zawiódł. Zrodziło się w nich

[6] 2008 roku.

– może niesłuszne – podejrzenie, że uczestniczyli w jakiejś farsie, w wyreżyserowanej sztuce, i to jako statyści, których teraz niechętnie wpuszcza się nawet do garderoby.

Wracając do Świetlika – okazało się, że nie ma powrotu do beztroskiej atmosfery świetlikowych spotkań, gdyż nie tylko spolaryzowały się poglądy polityczne dawnych przyjaciół, ale pojawiły się niewygodne pytania. Jak to się stało, że w czasach komuny spółdzielnia miała zielone światło dla swoich poczynań? Jak to się stało, że młodzi, niewykształceni chłopcy zarabiali w miesiąc więcej niż lekarz czy urzędnik przez dwa lata? Jak została zlikwidowana firma Gdańsk? Dlaczego niektórzy jej udziałowcy nie zostali rozliczeni? Za czyje pieniądze liberałowie balowali w hotelu „Mariott" i jak muszą się za to rewanżować? Czy to przypadek, że cała gdańska opozycja była jak „owce w zagrodzie", skupiona w jednej firmie, gdzie było ją łatwo obserwować, a może nawet i prowadzić?

To nieprawda, że w środowisku Świetlika takie pytania zadają tylko zawistni nieudacznicy, a nikt spoza tego środowiska nie ma prawa na jego temat się wypowiadać. Inaczej mówiąc, to nieprawda, że o ichtiologii ma prawo mówić tylko ryba!

Nieuchronnie pojawią się przecież następne pytania i wątpliwości. Trzeba sobie uświadomić, że to tylko pierwsza warstwa obieranej cebuli. Nikt nie próbował na przykład (jak na razie) opisywać życia towarzyskiego i uczuciowego tej grupy. Choćby dlatego, że nawet najlepiej poinformowanych nie pociąga perspektywa dziurki od klucza. Bohaterowie tych wydarzeń nie są jeszcze postaciami historycznymi, więc jak na razie nie muszą obawiać się zbyt dociekliwych naukowców. Muszą się jednak liczyć z tym, że gdy – jak Wałęsa – zbudują już swój pomnik z marmuru, jakieś małe myszki zaczną podgryzać jego cokół. I byłoby lepiej, gdyby nie był to cokół z lukru i wazeliny.

A ci odrzuceni, rzekomi nieudacznicy nie potrafią po prostu pogodzić się z tym, że jak wszystkie mity, upadł również mit założycielski spółdzielni Świetlik. Mit wolności, braterstwa,

równości i solidarności. W czasach komuny skutecznie realizowali swoją wolność, przede wszystkim „wolność od". Od państwa, jego struktur, nieznośnej szarzyzny PRL-u. Ich wolność oparta była jednak w dużej mierze na ogromnych, w stosunku do reszty społeczeństwa, zarobkach. Skończyła się z wkroczeniem do kraju wolności ekonomicznej. Rynek usług wysokościowych spłaszczył ich fantastyczne dochody do pensji zwykłych wykwalifikowanych pracowników fizycznych.

Co do równości – struktura pozornie jednorodna, okazała się hierarchiczna. Pęknięcia, które zarysowywały się od początku (kręgi wtajemniczenia, słynne knucie w łazience), ujawniły swe prawdziwe rozmiary dopiero teraz. Nikt nie jest chyba aż tak naiwny ani nie jest aż takim hipokrytą, aby upierać się przy przetrwaniu tego mitu. A tam, gdzie nie ma równości, nie ma też i braterstwa. I z tym najtrudniej się pogodzić.

# Wspólne korzenie

Nasze drogi z Maćkiem Płażyńskim skrzyżowały się w pierwszych dniach stanu wojennego, kiedy zajmowaliśmy się wydawaniem pierwszego, wtedy jeszcze w powielaczowej wersji, biuletynu „Solidarności" – przypomina sobie początki znajomości z przyszłym prezesem Świetlika Jan Krzysztof Bielecki. Parę miesięcy później pojawiła się kolejna, już offsetowa publikacja pod redakcją Mariusza Wilka. I to chyba były moje pierwsze kontakty z przyszłymi alpinistami przemysłowymi. W stanie wojennym, podobnie jak spora część ekipy Świetlika, zostałem negatywnie zweryfikowany przez firmę, w której pracowałem. W czerwcu 1982 roku straciłem pracę i musiałem znaleźć jakiś sposób na życie. Nie pozostawało mi nic innego, jak dołączyć do kolegi, który złożył ze złomu ciężarówkę. Tym składakiem wyruszyliśmy niebawem w Polskę. Mogłem oczywiście dołączyć do kolegów alpinistów, bardziej jednak przekonywał mnie, wymyślony w dużym stopniu przez Jana Szomburga i Janusza Lewandowskiego, inny model firmy. Chcieliśmy nie tyle stworzyć miejsce pracy, gdzie zarobkowanie odbywałoby się za pomocą rąk, co spróbować wykorzystać zdobyte umiejętności i, mówiąc kolokwialnie, pracować głową. I tak zaczęliśmy zajmować się consultingiem. Dla Świetlika w żaden sposób nie byliśmy konkurencją, mogliśmy więc bez przeszkód się przyjaźnić. Ponieważ Doradca był dużo mniejszą i młodszą w sensie założycielskim firmą niż Świetlik, to my chodziliśmy do nich na

towarzyskie imprezy. Dość regularnie spotykaliśmy się na boisku piłkarskim, gdzie toczyliśmy zacięte mecze. Maćka Płażyńskiego doskonale pamiętam jako najlepszego prawego obrońcę, zawsze wsadzał nogę we wszystkie niemożliwe miejsca. Bardzo często „kupowaliśmy" go do meczy rozgrywanych pod innym szyldem. Wspomagaliśmy się też wymianą doświadczeń. Prowadziliśmy pewien rodzaj gry z absurdalnymi przepisami, które dotyczyły spółdzielni, razem jakoś je omijaliśmy. Wszyscy uczyliśmy się prowadzenia firmy, ponieważ nikt nie miał wiedzy na ten temat i doświadczenie zdobywało się „w boju". Wprawdzie pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku były już tak zwane treningi interpersonalne, na które jeździła część jednej i drugiej ekipy. To był konik Jasia Majewskiego, który ściągnął Marka Suchara, wtedy młodego zdolnego psychologa, dziś jednego z bardziej znanych specjalistów od psychologii zarządzania.

Świetlik, podobnie zresztą jak Doradca, był spółdzielnią absolutnie wyjątkową, i to przede wszystkim skład osobowy decydował o „inności" obu firm. Oprócz zarabiania pieniędzy był to też pewien sposób na życie. Sposób, który dawał nam duże poczucie niezależności. I chyba ta niezależność spowodowała, że życiorysy wielu „wysokościowców" ułożyły się w taki czy inny sposób. Ludzie Świetlika „zasilali" już w wolnej Polsce, i robią to do dzisiaj, najwyższe urzędy państwowe. Kiedy pełniłem funkcję premiera, rzecznikiem rządu był Andrzej Zarębski, a Lech Mażewski został moim doradcą – obaj pracowali w Świetliku. Wielu spółdzielców świetnie odnalazło się w biznesie i działalności społecznej. To niepodważalny dowód, że firma ta zgromadziła wtedy niezwykły ludzki potencjał.

Spółdzielnia założona przez Maćka Płażyńskiego i Romana Rojka tak świetnie radziła sobie w szarych latach osiemdziesiątych, ponieważ była dobrze działającą „protezą" w niedoskonałym i kalekim ówczesnym polskim systemie. Świetlik wspaniale „wpasował się" w niszę usług wysokościowych i innych

prac budowlanych, i w dość krótkim czasie stał się monopolistą. Nie było wtedy wolnego rynku, który mógłby szybko wygenerować konkurenta. Działania w tej luce przy pomocy pracowitych i inteligentnych ludzi były możliwe i niezwykle skuteczne. Dopiero prawdziwy wolny rynek zweryfikował firmę. Siłą rzeczy Świetlik stanął wobec olbrzymiej konkurencji. Wraz z upadkiem systemu spółdzielnia straciła swoją nadzwyczajność. Nie stracili jej na szczęście pracujący tam ludzie. Do dziś przyjaźnię się z Andrzejem Kowalczysem, to fantastyczny facet. Wielką osobowością jest Mariusz Wilk, choć to niełatwy człowiek. Oczywiście Iżi, czyli Jarek Czarniecki, drugi znakomity obrońca. To między innymi dlatego chce mi się jechać te kilkaset kilometrów z Warszawy do Gdańska, żeby stanąć z nimi na jednym boisku i jak przeszło dwadzieścia lat temu grać w piłę.

# Młodzi, sprawni, zadziorni, z ułańską fantazją

Spółdzielnia pracy Świetlik powstała w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku i była, formalnie rzecz ujmując, jednostką gospodarki uspołecznionej. W tamtym czasie tworzono wiele innych spółdzielni pracy, szczególnie w województwie gdańskim. Były one, prawie wyłącznie, organizowane przez młodych ludzi.

Z kilkoma z tych firm współpracowałem jako konsultant. Sądzę, że mogę na tej podstawie wyrazić pogląd na temat motywów, którymi kierowali się ich założyciele. Uważam, że dla większości tych ostatnich głównym z nich była chęć działania „na swoim" i zarabiania przyzwoitych pieniędzy. Ważnym elementem bywał również opór przeciw obowiązującemu w Polsce systemowi politycznemu.

Wszystkie te spółdzielnie, będąc formalnie jednostkami gospodarki uspołecznionej, a więc korzystającymi ze wszystkich praw przysługujących tak przedsiębiorstwom państwowym, jak i spółdzielczym, w praktyce funkcjonowały jako jednostki gospodarki nieuspołecznionej, o charakterze bardzo zbliżonym do spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. W ten sposób ci młodzi ludzie, korzystając ze wszelkich przywilejów „jednostek gospodarki uspołecznionej", wymykali się spod skrzydeł gospodarki socjalistycznej.

Na tym tle Świetlik wyróżniał się kulturą organizacyjną, obliczem politycznym i poziomem intelektualnym szeroko rozumianej elity.

Charakterystyczna dla kultury organizacyjnej Świetlika była nie tylko bardzo elastyczna organizacja, ale również bardzo dobre stosunki między spółdzielcami – była to przecież grupa przyjaciół – oraz ich lojalność względem firmy i zaangażowanie w jej rozwój.

Świetlik był niewątpliwie grupą zdeklarowanych przeciwników istniejącego ustroju, zdecydowanych podejmować różnorakie działania zmierzające do obalenia komunizmu, jednak istniały między członkami spółdzielni poważne różnice światopoglądowe. Myślę, że można wyróżnić dwie dominujące wśród członków postawy – konserwatywną, której reprezentantem była „Polityka Polska", oraz liberalną, której reprezentantem był „Przegląd Polityczny". Oba te podziemne czasopisma były wspierane przez Świetlik i jego ludzi.

Użyłem określenia „poziom intelektualny szeroko rozumianej elity", ponieważ nie znalazłem lepszego określenia. W Świetliku była duża, kilkunastoosobowa grupa niezwykle inteligentnych studentów i świeżo upieczonych absolwentów, pracujących jako wykwalifikowani robotnicy. To oni kształtowali sposób bycia całej społeczności spółdzielni.

A przewodził im Król Maciej I Płażyński. To On zasługuje na szczególną uwagę. Młody chłopak, studiujący prawo był niekwestionowanym przywódcą członków spółdzielni. Znałem wielu prezesów młodych spółdzielni. Byli wśród nich średniacy, ale byli też wysokiej klasy szefowie firm. Żaden z nich nie cieszył się takim szacunkiem jak Król Maciej. Spokojny, uśmiechający się do ludzi, uważnie ich słuchający, podejmował najważniejsze decyzje jak doświadczony menedżer.

W Świetliku była lewa kasa. Finansowana z niej była rozmaita działalność opozycyjna. Fundowane były również stypendia dla ludzi, których uważano za ważnych dla przyszłości Polski. W jakimś czasopiśmie przeczytałem wspomnienia Wieśka Walendziaka, który opowiadał, jak to Maciek odpytywał go z przeczytanych lektur, ponieważ Wiesiek otrzymywał ze Świetlika stypendium. A lewą kasę trzymał Maciek. Każdemu

pracownikowi potrącano jakąś kwotę z wynagrodzenia. Maciek dysponował tymi pieniędzmi bez żadnej kontroli, ale nikomu nawet do głowy nie przyszło, że mógłby je wydać niezgodnie z przeznaczeniem. I mieli rację. Maciek był skrupulatny, prowadził swoją lewą księgowość, notując, ile pieniędzy otrzymał i od kogo, komu i ile dał. Gdy się o tym dowiedziałem, to pamiętając o zasadach konspiracji z lat wojny oraz o tym, co wyprawiało UB po wojnie, surowo mu zabroniłem prowadzenia jakiejkolwiek ewidencji. Powinien mnie posłuchać, ale czy to zrobił? Tego nie jestem pewny.

Słów kilka o tych wszystkich chłopakach, którzy tworzyli spółdzielnię i jej niepowtarzalną atmosferę. Młodzi, sprawni, zadziorni, z ułańską fantazją łazili po tych wszystkich kominach, mostach i dachach w taki sposób, że obecnie żaden inspektor nadzoru czy kierownik budowy nigdy by do tego nie dopuścił. Bez dostatecznego przeszkolenia, bez przyzwoitego sprzętu, bez strachu łazili, malowali, konserwowali, pracując często ponad dopuszczalny czas pracy. Tam trup powinien słać się gęsto, a dlaczego tak nie było, to nie wiem. A przy tym wszystkim mieli jeszcze czas na działalność opozycyjną. I to w jaki sposób prowadzoną!!!

Wyjątkowa też była atmosfera na różnych spotkaniach, w których uczestniczyłem. Po pierwsze było wino. Czerwone, takie jakie lubił Maciek. Po drugie kłęby dymu papierosowego. Po trzecie humor. Po czwarte zaś czupurność. W dyskusji nikomu nie odpuszczali.

Konflikt między Maćkiem Płażyńskim a Romanem Rojkiem? Myślę, że każdy dobry socjolog i psycholog społeczny zobaczywszy skład tej grupy, nie miałby wątpliwości, że konflikt tutaj musi wybuchnąć. Tyle energii, tyle ambicji, tyle młodzieńczej zadziorności, a przy tym taki poziom intelektualny! To była mieszanka wybuchowa.

Romana znam znacznie mniej niż Maćka i wielu innych. Myślę, że mają rację ci, którzy twierdzą, że jego wkład w powstanie

spółdzielni był duży. Wskazywałby na to jego dynamizm. Z pewnością był kreatywny i dynamiczny. Z pewnością był również żądny sukcesu. To sprawia, że hipoteza o jego znacznym wpływie na losy spółdzielni jest jak najbardziej słuszna. Jak przez mgłę jednak rejestruję odczucie, że był trudnym i upartym dyskutantem. Chyba było tak, że starał się przeforsować swoje zdanie, blokując się na argumenty rozmówcy. Trudno mi dzisiaj powiedzieć, dlaczego budził moją sympatię.

Nie jest ważne, co było przedmiotem sporu pomiędzy Maćkiem i Romanem, a może lepiej, pomiędzy grupą Maćka i grupą Romana. Ważne, że za mało było miejsca dla tych wszystkich indywidualności. Gdyby nie ten powód sporu, to byłby inny. Gdyby nie było Romana, to byłby jakiś inny, równie ambitny, posiadający cechy przywódcze chłopak.

A tak na marginesie. Jak można zrozumieć, dlaczego jest tyle podziałów między działaczami z byłej opozycji? Czy to nie jest aby jakiś syndrom Świetlika? Poddaję tę myśl pod rozwagę młodemu psychologowi społecznemu lub socjologowi, Anno Domini 2009, aby dokładnie zbadał źródła konfliktów w Świetliku. Może wtedy ze zdumieniem odkryje analogie z zachowaniami naszych obecnych polityków – byłych działaczy opozycji.

I refleksja końcowa. Jestem od tych ludzi ze Świetlika starszy o około trzydzieści lat. Byłem dla nich w połowie lat osiemdziesiątych prawie starym człowiekiem. Z uśmiechem wspominam, jakim zaskoczeniem było dla nich to, że byłem sprawny fizycznie. Przypominam sobie, jak na jednym ze spotkań w 2008 roku któryś z nich powiedział: „Popatrzcie, my mamy teraz tyle lat, co Jasiu miał, gdyśmy razem działali!".

A dla mnie współpraca z tymi chłopakami to była i przyjemność, i wielki zaszczyt.

*Jan Majewski*

# Dobrze, że się nam wszystkim to zdarzyło

Ze Świetlikiem zetknęłam się tuż pod koniec studiów, i był to piękny moment w moim życiu – zaczyna wspominać Krystyna Wróblewska. Co prawda, polska rzeczywistość nie nastrajała optymizmem, ale my byliśmy młodzi i całkiem inaczej się na wiele rzeczy patrzyło. Poznałam to środowisko poprzez kontakt prywatny. Nie był to akt jakiejś mojej aktywności politycznej czy społecznej, po prostu ówczesny partner życiowy, Jarek Połoczański, był tam zatrudniony i w ten sposób zaczęłam spotykać się również częściej z innymi pracownikami firmy.

Od początku czułam, że jest to specyficzna grupa ludzi, której przyszło działać w specyficznych czasach. Praca na wysokościach to była jedna ze składowych ich działalności. Oni przede wszystkim byli zaangażowani politycznie, ale też życie towarzyskie i osobiste kontakty były nad wyraz silne. Miałam do dyspozycji całkiem spore mieszkanie przy Jaśkowej Dolinie w Gdańsku i dlatego wiele z tych mniej lub bardzie poważnych spotkań odbywało się u mnie. Warunki do rozrywki były doskonałe, ponieważ tuż obok znajduje się wspaniały teren leśny, gdzie paliliśmy ognisko. Przemieszczaliśmy się więc tam i z powrotem, i tak do świtu. Były dyskusje do białego rana, był oczywiście alkohol. Pamiętam, że udawało mi się zrobić, jak na tamte czasy, całkiem wymyślne rzeczy do jedzenia. Rozmawialiśmy o wszystkim: o polityce, o marzeniach (wówczas nierealne wydawały nam się marzenia o wolnym kraju). Nie

będę mówiła, że do rana dyskutowaliśmy o poważnych rzeczach. Było też śpiewanie piosenek, szant, tańce i normalne młodzieńcze wygłupy.

Uczestniczyłam również w spotkaniach organizowanych w siedzibach Świetlika, trwało to przez kilka dobrych lat, czasami jeździłam na walne zebrania. Z niektórymi osobami ze spółdzielni mocno się zaprzyjaźniłam, a większość z nich całkiem dobrze poznałam.

Kiedy zaczęła powstawać spółdzielnia, byłam absolwentką anglistyki z jedyną wtedy możliwą szkolną specjalizacją, jednak do uczenia zupełnie mnie nie ciągnęło. Czasy były takie, że trzeba było mieć obowiązkowo zatrudnienie. Miałam propozycję pracy na uczelni, jednak na oficjalny dokument musiałam czekać, podobnie było w Naczelnej Organizacji Technicznej, gdzie prowadziłam kursy języka angielskiego. Oficjalnie dla systemu pozostawałam więc pasożytem i w końcu trzeba było coś z tym zrobić. Wtedy z pomocą przyszli mi prezesi Świetlika – zostałam zatrudniona na kawałeczek etatu, co jeszcze bardziej zbliżyło mnie do firmy. Ja się tam wykazywałam jako tłumacz, ale nie aż tak bardzo, jak mógł wskazywać na to dokument. W pewnym momencie Świetlikiem zainteresowały się zachodnie media, BBC zrobiło nawet duży film dla kanału czwartego, mogłam się naprawdę przydać i miałam ogromną satysfakcję, że potrafię opowiedzieć, jak funkcjonuje ten polski fenomen.

Dla mnie Świetlik to była zupełnie wyjątkowa grupa ludzi, która mogła spotkać się tylko i wyłącznie w ówczesnej rzeczywistości. Ten fenomen polegał na tym, że było to środowisko ludzi bardzo inteligentnych, z dużymi ambicjami, dobrze wykształconych. I taka grupa zebrała się po to, aby zajmować się bardzo nietypową pracą fizyczną, do której nie byli kompletnie przygotowani, której uczyli się w trakcie jej wykonywania. Stworzenie tej firmy dawało im kilka możliwości: Z jednej strony pozwalało na zapewnienie bardzo przyzwoitych środków do życia, z drugiej było wyzwaniem, przygodą

i przedłużeniem młodości, a ponadto stwarzało rewelacyjną możliwość do działalności opozycyjnej. Choć wokół Świetlika zgromadzili się ludzie zupełnie nieprzeciętni, nawet przez chwilę nie pomyślałam, że jest to kuźnia czołowego życia politycznego i społecznego. Nie wierzyłam zresztą, że tak szybko upadnie ten system, myślałam, że kiedyś to musi nastąpić, ale nie za mojego życia. Tymczasem stało się to błyskawicznie i dało wielu z nich szansę wypłynięcia na szerokie wody. Wtedy też mogłam się przyglądać, jak dają sobie radę w nowej rzeczywistości.

Kiedy Maciej Płażyński został wojewodą, ja również pracowałam w urzędzie i miałam z nim codzienny kontakt. Z pewnością nie był typowym urzędnikiem, który trzyma się sztywno swojego fotela. Często zaskakiwał niekonwencjonalnymi zachowaniami.

Romana Rojka znam znacznie mniej i niewiele mogę o nim powiedzieć, spotykaliśmy się od czasu do czasu, wiem, kto to jest, i tyle. Obserwowałam gdzieś z boku to rozchodzenie się dróg założycieli Świetlika, a potem rozpad firmy – myślę, że był absolutnie nieunikniony. Żadna legenda nie trwa wiecznie, a jeśli ma trwać wiecznie, to lepiej, żeby pewien etap się skończył. Nie wydaje mi się, że firma mogłaby dalej funkcjonować i nie jest to tylko sprawa chorego systemu, w którym taki twór zaistniał. Towarzystwo powoli się starzało i naprawdę nie byłoby w stanie już długo tak pracować, a poza tym energia też się wypala. Niedobrze, kiedy do końca życia człowiek robi tę samą rzecz. Mówienie, że firma mogłaby istnieć gdyby... jest pewnym mitologizowaniem. Uważam, że niesłusznie mają żal ci, którzy twierdzą, że odejście w pewnym momencie kilku czołowych postaci Świetlika to zdrada. Wszyscy powinniśmy się cieszyć i być dumni, że nasi koledzy zajmowali tak ważne stanowiska, że gdzieś tam mogli tworzyć nową rzeczywistość. Świetlik był niepowtarzalny w tamtym czasie i dobrze, że się nam wszystkim to zdarzyło.

# Poniżej latały szybowce

Do Świetlika trafiłem w połowie 1987 roku. Z prezesem Maciejem Płażyńskim umówili mnie, o ile dobrze pamiętam, Krzysiek Figiel i Wiesiek Walendziak. Wcześniej, od początku stanu wojennego, zwalczałem komunę, jak mogłem. Współtworzyłem Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, Ruch „Wolność i Pokój". W 1985 roku, w ramach akcji „WiP", odesłałem do ministra obrony swoją książeczkę wojskową i odmówiłem służby w armii, domagając się prawa do zastępczej służby cywilnej. Dostałem trzy lata i dziewięć miesięcy odsiadki, ale po roku, choć początkowo nie objęła mnie amnestia, na skutek rozmaitych akcji, w końcu zostałem zwolniony. Parę miesięcy popracowałem w bibliotece publicznej. Miło było, ale bezpieka stale miała mnie na widelcu. Mogli mnie w każdej chwili zamknąć do tak zwanego wyjaśnienia na czterdzieści osiem godzin, co było wówczas częstą formą dokuczania opozycjonistom. W dodatku happeningi, demonstracje, publikacje, i w ogóle jawna działalność w „WiP" zaczęły owocować wysokimi i licznymi grzywnami. Jeśli chodzi o te ostatnie – zostałem milionerem. Nie chciałem łobuzom płacić nawet grosza, a gdybym był zatrudniony na etacie, ubecy i komornicy kradliby mi pensję. Dla Maćka Płażyńskiego były to wystarczające referencje – zostałem zatrudniony.

Klimat w brygadzie był po prostu fantastyczny. Dowódca – Mirek Błaszkiewicz – razu pewnego zlecił mi wymalowanie wysięgnika na dwustutrzydziestometrowym kominie w Płocku.

Miałem pędzel w zębach, wiadro z farbą w ręku i zero asekuracji. Wysięgnik, czyli kilkumetrowa rura z kołowrotkiem na końcu, bujała się na tej wysokości jak koń. Poniżej latały szybowce, samochody wyglądały jak mrówki. Może ponosi mnie wyobraźnia... ale chyba nie bardzo.

Obecnie tyram, między innymi, jako instruktor jazdy konnej. Kocham chłopczyków ze Świetlika. Parę miesięcy temu wpadłem na spotkanie na Wyspie Sobieszewskiej. Wejście było niełatwe – garnitury, schabowy, nóż-widelec, jak u cioci na imieninach. Ale potem – jeden ryj, drugi, gorzałka, i znów byliśmy młodzi i beztroscy, przynajmniej przez chwilę. Grał Mietek Blues Band. Spotkałem Wojtka, niezapomnianego barmana ze świetlikowej knajpy, Mirka, Wieśka, Arama, Kuźwę, braci Kamińskich i innych muszkieterów. Różne nasze losy i społeczne role, bardzo fajnie było się spotkać i wspominać. Jak malowaliśmy dźwig w Remontówce i przyszła wiadomość o strajku w Stoczni Lenina. Chyba nie było rozmowy. Złożyliśmy sprzęt i cała brygada przelazła przez płot, na strajk, gdzie każdy robił, co umiał. Wspominaliśmy o pijaństwach i fajach marihuany. Szablonach z twarzą Sławka Dutkiewicza, który głodował w więzieniu za odmowę służby wojskowej. Odbijałem je tak uparcie, że można było po nich trafić do naszego robotniczego hotelu w Płocku. Szczęśliwie ubecy nie byli turystami. Wspominaliśmy o zadymie na dachu apteki we Wrzeszczu, na którą portowcy kopsnęli transparent Solidarności. Gliniarze bali się nas zwinąć, a ja sprostowałem potem protokół, że nie byłem Rybą, jeno Panem Rybą. Uwzględniono. Jeśli komuś troszkę zazdroszczę, to Mariuszowi Wilkowi – fantazji, odwagi, życia na zadupiu. Ze Świetlikowej załogi utrzymuję kontakt z Piotrem Jahołkowskim, z którym praktykujemy w tak zwanej sandze zen. Jeśli coś wiem, to tylko to, że wszyscy spotkamy się „na balu u Potęgowej, w niebieskiej tancbudzie" – jak śpiewał Stachura. Będzie balanga.

*Wojciech Jankowski*

# Z dystansu

# Węzły przyjaźni

– Chyba nic tak nie zacieśnia międzyludzkich więzów jak wspólna działalność opozycyjna, ale też sytuacja, kiedy twoje życie zależy od tego, z którym wisisz na linie – mówi Jerzy Hall.

## Żółta suwnica

Wszystko zaczęło się od znajomości zawartej jeszcze w szkole średniej – Jerzy Hall i Roman Rojek chodzą do gdańskiej jedynki, a potem, na studiach też mają ze sobą kontakt. Kościół św. Mikołaja i duszpasterstwo akademickie u dominikanów to kolejne wspólne miejsce. Poza tym dorastają po sąsiedzku – Jerzy na Podwalu, a Roman przy Szerokiej w Gdańsku, więc znają się dość dobrze. Z kolei Macieja Płażyńskiego Jerzy Hall poznaje na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie wszyscy trzej studiują prawo i, jak wielu studentów trójmiejskich uczelni, pracują dorywczo w firmie Techno-Service. Ale w całej historii swoje ważne miejsce ma także – żółta suwnica.

– Formalnie rzecz biorąc, spółdzielnia powstała w 1983 roku i tworzyły ją osoby wywodzące się z różnych środowisk – bo i związane z opozycją solidarnościową, niezależnym ruchem studenckim, ale także ci, którzy pracowali w Techno-Service – rozpoczyna swoją opowieść Jerzy Hall. – I właściwie główna zasada działania spółdzielni, tak jak ja to pamiętam, powstała właśnie w związku z pracą w tej firmie, a dokładnie podczas

zlecenia w Stoczni Komuny Paryskiej. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy chłopaków pracujących na linach – malowali suwnicę, na żółto. – A to byli nasi przyszli koledzy związani z klubem wysokogórskim. I właśnie od nich dowiedzieliśmy się, że można wykonywać prace na wysokościach i zarabiać naprawdę duże pieniądze – wspomina Jerzy Hall.

Żeby docenić genialność tego pomysłu, trzeba znać realia, to znaczy absurdy komuny – ówcześnie obowiązujące normy nie przewidywały czegoś takiego jak praca na linach. Dlatego w kosztorysie usługi typu malowanie komina musiały figurować między innymi punkty: budowanie rusztowania na wysokości, na przykład stu metrów, wymalowanie metra kwadratowego, i potem rozebranie wspomnianego rusztowania.

– Oczywiście rusztowanie trzeba było długo budować, a potem równie długo rozbierać, a samej stoczni zależało na czasie, i wtedy powstała myśl, że przecież można inaczej, czyli znacznie szybciej za te same pieniądze – wyjaśnia Jerzy Hall, wówczas pracownik naukowy Katedry Kryminalistyki na Uniwersytecie Gdańskim, która mieściła się w gdańskiej Katowni.

– I tam pewnego dnia odwiedzili mnie koledzy – Roman Rojek, Jarek Czarniecki, no i Maciek Płażyński, proponując, bym z nimi założył spółdzielnię – wspomina. – Jarka znałem z AZS-u, graliśmy tam w piłkę nożną. Wśród „ojców założycieli" był jeszcze między innymi Janusz Starzyński, bliżej związany z Maćkiem. Wszystkie osoby budziły moje zaufanie. Większość z nas funkcjonowała wcześniej właśnie w Techno-Service. Na początku były nawet próby zdobywania zleceń pod szyldem Techno, jak w skrócie nazywaliśmy tę firmę, ale wiązało się to z jakąś koszmarną biurokracją, no i część zysków trafiała do nich, a nie do nas, i to chyba przechyliło szalę, tak że podjęliśmy decyzję, by zrobić jednak coś samodzielnie – mówi Hall.

Tak więc wkrótce entuzjaści pracy na własny rachunek zwracają się do profesora Wiesława Chrzanowskiego i z jego pomocą tworzą ramy organizacyjno-prawne spółdzielni Świetlik,

z pierwszą siedzibą w mieszkaniu Romana Rojka i kolejną – w mieszkaniu wynajmowanym od teściów Jerzego Halla.

– Firma bardzo szybko zaczęła się rozrastać – przybywali kolejni pracownicy. Pamiętam między innymi dziennikarza Stanisława Danielewicza, który zasłynął tym, że na początku stanu wojennego w którejś z gdańskich gazet, zdaje się, że był to „Dziennik Bałtycki", napisał jakiś artykuł i pierwsze litery poszczególnych wersów układały się w napis „Wrona skona" albo „Wron won", jakoś tak to szło. Mówię o tym, żeby pokazać, że trafiały tam osoby z różnych środowisk, ale z określoną, antykomunistyczną przeszłością – stoczniowcy, portowcy, studenci-działacze NZS-u i tak dalej. Pamiętam też, jak dołączył do spółdzielni Donald Tusk, mój kolejny kolega z liceum. Roman Rojek go ściągnął, a wcześniej przekonał, że lepiej pracować z nami, niż sprzedawać za marne grosze bułki w dworcowym tunelu – wspomina Hall, który z Tuskiem spotykał się zresztą już wcześniej w Techno-Service. – Tworzyliśmy wtedy taką spec-brygadę i świetnie nam się razem pracowało. Był z nami jeszcze Wiesław Byczkowski, obecnie wicemarszałek województwa pomorskiego. Każdy miał określone zadanie. Wiesiek był oddelegowany do picia z bosmanami, którzy wpisywali liczbę przepracowanych godzin. I to tak wyglądało, że on dostawał stawki takie jak my, ale jego zadaniem było zmiękczanie naszego „ekonoma". Jednak po pewnym czasie błagał nas, żeby go z tego zwolnić, bo wątroba już nie wytrzymywała – wspomina ze śmiechem.

## Nie mój żywioł

Pierwsze treningi na Pachołku, pozbawione dreszczyku emocji, nie zapisały się specjalnie w pamięci Jerzego Halla, w przeciwieństwie do pewnego zjazdu z budynku gdańskiej Unitry.

– To był trzypiętrowy biurowiec z oknami do umycia, ale przed rozpoczęciem pracy musieliśmy zrobić odciąg i przymocować go do takiego kominka na dachu. I wygląda na to,

że zabrakło mi wtedy wyobraźni, aby wszystko dokładnie sprawdzić – okazało się, że mój kominek to była lipa, a nie zabezpieczenie, był po prostu tylko zasmołowany, no i w pewnym momencie się wyrwał. Leciałem w dół i w bok. I choć to było raptem tylko kilka metrów, pamiętam, że przez ten ułamek sekundy tyle mi myśli przez głowę przebiegło. Nie wiem naprawdę, jak to się dzieje, jak to możliwe... Ocaliła mnie główna lina asekuracyjna. Dyndałem jeszcze przez chwilę niczym wahadło, i w końcu zjechałem w dół. Kiedy zdjąłem kask, wylałem z niego kałużę potu. Kolega, Maciej Soczewiński, czyli Soczewa, namawiał mnie, bym poszedł do domu, ale wiedziałem, że nie mogę. Gdybym wtedy od razu nie wsiadł na ławeczkę, to już nigdy więcej bym tego nie zrobił. I wsiadłem, ale z całą pewnością praca na wysokości to nie był mój żywioł. Zawsze towarzyszył mi taki element strachu, obawy – kończy opowieść.

## Cały etat na linie

Początkowo Jerzy Hall nie chce rezygnować z działalności naukowej i próbuje godzić pracę na uczelni i w Świetliku, chociaż czuje, że ani jednego, ani drugiego nie robi, tak jak powinien. Jednak ów dylemat wkrótce zostanie rozwiązany.

– To było chyba w 1984 roku. Dostałem stypendium, to znaczy właściwie możliwość odbycia stażu w Interpolu; to było dla mnie bardzo ważne, bo ja już wtedy miałem temat pracy doktorskiej – interesowały mnie fałszerstwa dzieł sztuki. No, a sensowne badania można było zrobić tam, gdzie ten rynek wówczas funkcjonował, czyli na przykład w Europie Zachodniej. Tak więc dowiedziałem się, że Sławek Czarlewski, którego stan wojenny zastał we Francji podczas międzynarodowej konferencji organizacji pracy w Genewie, załatwił to dla mnie; swoją drogą niezwykły człowiek, stworzył tam w Paryżu pierwszy komitet Solidarności i był bardzo zaangażowany w jego działalność – organizował przerzuty przede wszystkim literatury i powielaczy oraz pomocy charytatywnej. Poza tym bardzo

wspierał Świetlik i któregoś pięknego dnia przyszła od niego paczka z profesjonalnymi karabinkami i innymi potrzebnymi akcesoriami alpinistycznymi bardzo renomowanej firmy Petzl. Ale wracając do wcześniejszej myśli, kiedy więc świetlana przyszłość była tuż, tuż przede mną – nie dostałem paszportu; oczywiście w związku z moją działalnością opozycyjną. Już wiedziałem, że nigdzie nie pojadę. W tej sytuacji pozostanie na uczelni wydawało się pozbawione sensu. W każdym razie postanowiłem odejść i zacząłem funkcjonować na pełnych obrotach w Świetliku – wspomina Jerzy Hall.

## Moc przykładu

Kiedy Jerzy Hall po raz pierwszy widzi halę zakładów Polmo w Tczewie, czuje, jakby w jednej chwili przeniósł się jakieś sto lat wstecz, w realia z filmu *Ziemia obiecana*.

– Hala jak tamta w Łodzi, huk, w dole pracują maszyny. Spaść w dół – poszatkuje człowieka. A mamy właśnie myć świetliki nad tymi urządzeniami, ale żeby dotrzeć do tych szybek, trzeba przejść po legarze szerokim może na dwadzieścia centymetrów, w dodatku pokrytym jakąś mazią czy smarem. Wystraszyliśmy się nie na żarty. Każdy mówi: „Maciek, słuchaj, nie dostaniemy się tam, nie ma wyjścia". Po prostu chcieliśmy odpuścić, ale Maciek nic nie mówi, tylko bierze dwa wiadra wody i tak z jednym w prawej, drugim w lewej ręce, jak linoskoczek, już jest na tym legarze, trochę się chwieje, ale idzie, i przeszedł... – opowiada Jerzy Hall z podziwem.

Po chwili dodaje, że właściwie jako coś naturalnego przyjął fakt, że Płażyński został prezesem, bo zawsze uważał go za przykład prawdziwego lidera.

– Wydaje mi się, że on coś takiego miał w sobie, ale z drugiej strony nigdy nie był specjalnym mówcą, osobą mogącą porwać za sobą tłum. Jednak z jego oblicza biła stuprocentowa uczciwość i rzetelność; i to chyba właśnie sprawiało, że w taki naturalny sposób stawał się liderem, no i do tego piękna karta

opozycyjna i siła charakteru. Pamiętam, jak zaczynał pracę o siódmej rano i w takim samym tempie pracował przez dwanaście godzin. Tutaj jedni marudzą, chcą już odpocząć, a Maciek jak w amoku, bez wytchnienia, niczym jakaś maszyna – próbuje wyjaśnić fenomen pierwszego prezesa spółdzielni Jerzy Hall.

Za Nową Motławą pracowali kiedyś w Hydrosterze, zakładzie produkującym urządzenia elektroniczne dla przemysłu okrętowego. Jerzy Hall pamięta to zlecenie dobrze, bo właśnie wtedy oczekiwał narodzin syna. Poza tym w pamięć zapadło mu niekonwencjonalne postępowanie prezesa.

– Czyściliśmy wielką halę produkcyjną – okna z zewnątrz i wewnątrz, zamontowane w takich jak gdyby betonowych kasetonach. Część ludzi na drabinach asekurowała tych wyżej, ale baliśmy się zacząć, bo tam było pełno kabli elektrycznych i co chwila iskrzyło. Tak się złożyło, że dobrali się wtedy sami humaniści. No i wszyscy kierowali oczy na Płażyńskiego. Co robić? A on, jak to on, długo się nie zastanawiał, tylko wsadził tam rękę i kiedy nic się nie stało, stwierdził, że możemy spokojnie robić swoje. Cały Maciek – śmieje się Hall. – Tak bywało na początku działania Świetlika, potem pojawili się ludzie ze znajomością techniki. I chociaż chwilami wyglądało to na brak wyobraźni, to ten osobisty wkład Maćka, wynikający z odpowiedzialności za zadania, których się podejmował, sprawiał, że ludzie naprawdę się przełamywali. Jak on dał radę, to i my musieliśmy, i niemożliwe stawało się możliwe.

## Beznadzieja po horyzont

W polskim społeczeństwie po stanie wojennym dominował nastrój dojmującego pesymizmu i brak wiary, że coś uda się zmienić. Jerzy Hall podkreśla, że było to szczególnie widoczne, kiedy się jeździło na zlecenia w różne miejsca kraju, czy to do Płocka, czy do Kędzierzyna-Koźla, czyli na tak zwane wielkie budowy socjalizmu. Taka właśnie refleksja mogła się wtedy

nasunąć obserwatorom z zewnątrz, a spółdzielcy przecież takimi byli. Mieszkanie w hotelu robotniczym, oglądanie pijanych, wulgarnych robotników i myślenie o tym było trudne, bo przecież mieli jeszcze świeżo w pamięci entuzjazm sierpnia 1980. Wtedy rzeczywiście klasa robotnicza wydawała się siłą nie tylko sprawczą, ale niosącą także odnowę moralną, i taki bezpośredni z nimi kontakt parę lat później mógł nastrajać tylko pesymistycznie. Marazm, zniechęcenie. To było widoczne gołym okiem. Nie trzeba było przeprowadzać żadnych badań socjologicznych. Wystarczyło tydzień pomieszkać w hotelu robotniczym, żeby się o tym przekonać. I to budziło rzeczywiście absolutną niewiarę w to, że coś się tutaj może zmienić. I chociaż Jerzy Hall swojej przyszłości nigdy nie wiązał z wiszeniem na linie, to przyznaje, że te hotelowe doświadczenia wzmocniły w nim determinację zrobienia czegoś na własny rachunek, z większym lub mniejszym sukcesem, żeby nie być skazanym na tę robotniczą rzeczywistość.

W spółdzielni też zresztą zaczyna się gorzej dziać. Pod koniec lat osiemdziesiątych sytuacja firmy pogarsza się – powstaje konkurencja, a spółdzielnia traci impet. Jerzy Hall przypuszcza, że być może na kanwie tej sytuacji zaczął się rodzić konflikt między Romanem i Maćkiem.

– Roman był zwolennikiem profesjonalizacji spółdzielni, bo wiedział, że jeżeli mamy przetrwać i nadal zarabiać, to trzeba zmienić metody. Owszem, znajomi i znajomi znajomych, ale to wszystko musi być w jakichś granicach… Natomiast Maciej uważał, że naczelnym zadaniem Świetlika jest cały czas wspomaganie osób represjonowanych czy niemogących się odnaleźć w ówczesnej rzeczywistości i akceptował proceder dopisywania tak zwanych „martwych dusz" do zleceń. Roman nie godził się na to i twierdził, że lepiej składać się na potrzeby takich osób, byle nie tworzyć fikcji; był za legalizmem i proponował, żeby wprowadzić jakieś rynkowe zasady – wyjaśnia sytuację Hall.

Sam już specjalnie nie jest zaangażowany w ten spór, szuka innego pomysłu na siebie.

– Ja chyba dość wcześnie zacząłem się odcinać od tej świetlikowej pępowiny. W 1986 roku miałem już czworo dzieci. A co tu dużo mówić, to była praca niebezpieczna, chociaż bardzo atrakcyjna finansowo, zwłaszcza w pierwszym okresie, potem już znacznie mniej, ale nie opuszczała mnie myśl, że jeśli mi się coś stanie, żona zostanie sama z małymi dziećmi. To chyba był główny powód mojego odchodzenia ze spółdzielni – wspomina.

## Tajemniczy Roman

– Ja myślę, że konflikt Macieja i Romana to po prostu zderzenie dwóch bardzo silnych osobowości. Zaryzykuję jednak pogląd, że Świetlik w ogóle by nie powstał bez Romana Rojka. Pamiętam, jak on te wszystkie sprawy formalne załatwiał – to przecież Roman jeździł do profesora Wiesława Chrzanowskiego. Tak jak pamiętam go z tamtych lat, nie aspirował wtedy do roli lidera, chociaż zawsze miał swój pogląd, który jasno artykułował. Jednak nigdy nie zauważyłem jakichkolwiek przejawów konfrontacyjnego nastawienia. Ale z drugiej strony nie żyłem tak bardzo życiem spółdzielni, więc być może wszystkiego nie wiedziałem, czegoś nie spostrzegłem – zastanawia się Hall.

Chociaż pojawiają się opinie, że Roman Rojek nigdy nie traktował spółdzielni towarzysko, emocjonalnie, a tylko pragmatycznie, Jerzy Hall nie może się z nimi zgodzić. Jego zdaniem przeczy temu późniejsza działalność autora *Marki narodowej*, a przede wszystkim fakt, że tak wiele osób ze Świetlika zatrudnił u siebie. Jednak przyznaje, że nie potrafił i nie potrafi zrozumieć przyczyny radykalnego odcięcia się od spółdzielnianej przeszłości i konsekwentnego odmawiania udziału we wszelkich towarzyskich spotkaniach, które dotychczas zostały zorganizowane.

– Ja rzeczywiście nie potrafię tego pojąć. Ale zgadzam się, że to „coś" głęboko w nim siedzi. Kiedy zbliżało się dwudziestopięciolecie spółdzielni, wszyscy go namawiali, by przyjechał na spotkanie, ale on pozostał wierny swojej decyzji, którą podjął kiedyś tam z tylko sobie znanego powodu. Cóż, jak widać, na razie tak musi pozostać – zamyśla się Jerzy Hall.

Przyznaje, że jest wielkim admiratorem Rojka, choć ten, jak każdy człowiek, ma i zalety, i wady, ale w prawidłowych proporcjach, co podkreśla z uśmiechem.

– Jako sopocki radny codziennie obserwuję, jakie owoce przynosi działalność charytatywna Romana Rojka. Faktycznie robi to wszystko z autentycznej potrzeby serca, a nie dla poklasku czy osobistej korzyści – i to cenię najbardziej. Według mnie istota człowieczeństwa właśnie na tym polega – mówi z przekonaniem Jerzy Hall.

## Zapoznany bohater

Dla Jerzego Halla to bardzo ważne i symboliczne, że Adam Hodysz – ostatni więzień polityczny PRL-u – po wyjściu z więzienia w 1988 roku także znajduje pracę w Świetliku. Jednak aby to w pełni zrozumieć, należy cofnąć się wstecz o blisko jedną dekadę. Jest rok 1979 i Hodysz jest funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa. Na korytarzu komendy zaczepia Aleksandra Halla (brata Jerzego), który jest tam przesłuchiwany, i proponuje spotkanie. Aleksander Hall postanawia zaryzykować i zgadza się. Podczas rozmowy Hodysz otwarcie przyznaje, że popiera antykomunistyczną działalność, ale z jego perspektywy opozycjoniści są jak dzieci we mgle – nieustannie obserwowani przez tajnych funkcjonariuszy, i on, w miarę możliwości, chce pomagać – przekazywać dane o nich i o wszystkim, o czym powinni wiedzieć opozycjoniści, aby nie wpaść. Na kolejne spotkanie udaje się Bogdan Borusewicz, słynny ze swojego daru „wyczuwania ludzi"; zapada decyzja o podjęciu współpracy z Hodyszem.

– Adam mi kiedyś powiedział, że w pewnym momencie stało się dla niego jasne, gdzie leży racja, gdzie prawda, a gdzie fałsz. To oczywiście nie stało się z dnia na dzień, a było wynikiem dłuższego procesu, ale kiedy Błażej Wyszkowski[7] w 1978 roku rozpoczął głodówkę, miał już pewność, co powinien zrobić. Mówił: „Widziałem, że macie rację, a jesteście bezbronni kompletnie, tak że właściwie można was rozdeptać jak pluskwy – więc postanowiłem działać" – opowiada Jerzy Hall i podkreśla, że była to prawdziwie heroiczna decyzja. – Trzeba pamiętać, że do emerytury esbeckiej brakowało mu wtedy zaledwie kilku lat, a tu małe dziecko, poza tym absolutnie nic nie wskazywało, że coś może drgnąć, zmienić się... W dodatku doskonale wiedział, jak ten bezwzględny mechanizm jego „firmy" funkcjonuje; a mimo to się zdecydował – nie kryje podziwu dla przyjaciela.

Wiadomości otrzymywane od Adama Hodysza są bezcenne i pozwalają w jakimś stopniu zabezpieczyć działania opozycji przed agenturą, między innymi udaje się zdemaskować wielu funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa.

– Dzięki Hodyszowi mieliśmy szansę nie zachłysnąć się sierpniowym zwycięstwem – kontynuuje opowieść Hall. – Kiedy już strajk się skończył i opanowała nas powszechna euforia po podpisaniu porozumień z władzą, to pierwsza informacja od Adama była jak zimny prysznic i sprowadziła nas do parteru: „Słuchajcie, nie łudźcie się, żadnej zmiany nie będzie. Firma pracuje na pełnych obrotach... nie miejcie złudzeń", powtarzał. Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego także nie zawiódł „swoich" i 12 grudnia 1981 roku przekazał informację o zagrożeniu. Tylko po prostu nikt nie spodziewał się, że przybierze ono taką postać. Nikomu nie wystarczyło wtedy wyobraźni,

[7] Błażej Wyszkowski (ur. 3 lutego 1949 w Olsztynie) – inżynier, polski żeglarz, olimpijczyk, później działacz opozycyjny, tworzył Studencki Komitet Solidarności i Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża. Aresztowany i skazany na trzy miesiące prowadził w więzieniu głodówkę protestacyjną.

by przewidzieć stan wojenny. Na szczęście ci, którzy zdążyli się ukryć, uniknęli internowania – wspomina Jerzy Hall.

Adam Hodysz zostaje zdemaskowany i aresztowany w 1984 roku, kiedy próbuje wciągnąć do współpracy po stronie opozycji kolejną osobę.

– Nomen omen trafia do jednej celi razem z zabójcą księdza Jerzego Popiełuszki – Grzegorzem Piotrowskim, który potem w jakiejś książce czy wywiadzie wyznał, że gdyby wiedział, z kim siedzi, udusiłby Hodysza gołymi rękami – dopowiada Hall.

Sąd ogłasza wyrok sześciu lat więzienia, ale w grudniu 1988 roku Adam Hodysz wychodzi na wolność i rozpoczyna pracę w Świetliku. Dopiero trzydzieści lat od upadku komunizmu w Polsce, w 2009 roku zostaje odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

– Jest on dla mnie niezwykle ważnym człowiekiem i dlatego była to dla mnie bardzo ważna i wzruszająca chwila – przyznaje Jerzy Hall. – Wciąż tylko złości mnie, że trzeba było tak długo czekać na oficjalne uhonorowanie takiego bohatera – dodaje po chwili.

## Węzły przyjaźni

Dla Jerzego Halla z całą pewnością Świetlik był nie tylko miejscem zarobkowania, ale czymś więcej – czuł się członkiem wspólnoty. To był jego męski świat i ważny element budowania tożsamości. Dlatego, chociaż dość wcześnie rozstał się ze spółdzielnią w sensie zawodowym, jako przyjaciel nadal czuł się z nią bardzo związany, przez przyjaźnie, które wtedy zapoczątkował, czy umacniał, a które trwają do dziś. Dzielił z większością spółdzielców wspólną pasję – wspólną grę w piłkę; także dziś nie wyobraża sobie, aby w ostatnie przedpołudnie ostatniego dnia roku był w innym miejscu niż na stadionie z chłopakami, bo przecież mecz sylwestrowy to już od lat swojego rodzaju święto Świetlika i okazja do spotkania z przyjaciółmi.

– Kiedyś uczyliśmy się węzłów, które chroniły nas na tych wszystkich kominach, a równolegle wiązaliśmy węzły przyjaźni – śmieje się Jerzy Hall. – Dla mnie większość z nich okazała się odporna na upływ czasu i odległość. Jakiś czas temu przekonałem się o tym za sprawą niezwykłego zdarzenia. Może dwa lata temu odebrałem telefon. W słuchawce słyszę męski głos, pada imię i nazwisko oraz informacja o przesyłce z Republiki Południowej Afryki. Mam rodzinę w RPA, więc domyślam się, że to od nich. Mężczyzna nie chce jednak niczego wyjaśniać przez telefon, tłumacząc, że to dłuższa historia. Nalega, by się spotkać, dodając, że się właściwie znamy. Pytam go więc: „Skoro się znamy, dlaczego zwracasz się do mnie per pan?". „Bo nie wiem, czy mnie kojarzysz" – słyszę w odpowiedzi i przyznaję w duchu, że nie mam bladego pojęcia, kto mówi. Ale wystarczy przypomnienie Świetlika i jednego czy dwóch zleceń w gdańskiej rafinerii, kiedy pracowaliśmy razem. Przed oczami przepływają obrazy. Tak, oczywiście, był wtedy z nami jeszcze Mietek Wróbel... Umawiamy się więc. Jurkiewicz? W pamięci mam drobnego, szczupłego chłopaka, a tutaj staje przede mną potężny facet, tak że w życiu bym go nie poznał. No, ale to ten sam Grzegorz. Pracował w spółdzielni, a potem został marynarzem, pływał na holownikach, a w końcu u jakichś obcych armatorów. Teraz opowiada mi, że jakiś czas temu u wybrzeży Afryki uległ poważnemu wypadkowi – podczas sztormu został przygnieciony kontenerem, połamany, tak że ledwie uszedł z życiem. Helikopterem został ewakuowany ze statku. W czasie, kiedy był już w szpitalu, moja ciocia przeczytała w lokalnej gazecie o jego tragicznym stanie i akcji ratowniczej. Jurkiewicz? To nazwisko było jej znane, bo przyjaciółka mojej mamy nazywa się tak samo, więc bez zwłoki pojechała do szpitala obficie zaopatrzona w owoce, soki i inne wiktuały mające rekonwalescenta postawić na nogi. Ten jednak był ledwo przytomny, ale na szczęście mógł rozmawiać. Tak więc ciocia wyjaśniła, że przeczytała o polskim marynarzu Jurkiewiczu,

a ona zna w Gdańsku rodzinę o tym samym nazwisku, i czy przypadkiem on nie od nich? Okazało się, że nie, ale przyznał, że też jest z Gdańska. Ciocia na to, że jej bliska rodzina również tam mieszka. „Wie pani, szansa, że znam pani krewnych, jest bardzo mała, ale jak się nazywają?" – zapytał raczej z grzeczności. „No, Hallowie" – odpowiedziała ciocia. „Oh, to ja przecież pracowałem z Jurkiem!" – wykrzyknął radośnie, jakby w końcu znalazł się w jakimś dobrze znanym miejscu. Ot, taka historia z drugiego końca świata – zamyśla się Jerzy Hall. – Chyba nic tak nie zacieśnia międzyludzkich więzów jak wspólna działalność opozycyjna, ale też sytuacja, kiedy twoje życie tak naprawdę zależy od tego, z którym wisisz na linie – kończy refleksją.

## Świetlik – historia otwarta

Nie pamiętam nawet, w którym roku trafiłem do spółdzielni – wspomina Mariusz Wilk. Było to na pewno po pierdlu i chyba po napisaniu *Konspiry*, ale kiedy dokładnie – nie wiem. Do więzienia trafiłem za próbę obalenia ustroju! Przy tym nie był to wyrok, bo do wyroku nie doszło, wcześniej nastąpiła amnestia.

Od wprowadzenia stanu wojennego ukrywałem się. I widać ktoś mnie sypnął. Pewnie gdybym poszperał w swojej teczce, to bym się dowiedział, kto. Ale mi się nie chce babrać w tym esbeckim szambie. Wystarczy, kiedy się dowiedziałem, że jeden z moich kolegów ze studenckich czasów, to znaczy Maleszka, okazał się... suką. Odsiedziałem siedem miesięcy w areszcie śledczym na Kurkowej w Gdańsku. Wraz ze mną do aresztu trafiła moja ówczesna dziewczyna Bernadetta Stankiewicz, a dwa dni później na „kotle" urządzonym w naszym mieszkaniu wpadł Maciej Łopiński, z którym w stanie wojennym redagowaliśmy biuletyn „Solidarność". Areszt to była niezła szkoła życia i do dzisiaj nie żałuję. Uważam, że każdy powinien raz w życiu parę miesięcy posiedzieć; między innymi po to, aby się dowiedzieć trochę o sobie, sprawdzić swój charakter. Natomiast drugą odsiadkę, już za Świetlika, uważam za zwykłą stratę czasu. Ten sam pierdel, ci sami klawisze, tylko zarzut inny. Tym razem, a było to bodaj w 1986 roku, trafiłem na Kurkową za współpracę z francuskim wywiadem. Pretekstem był fakt, że wydaliśmy *Konspirę* we Francji. No, ale dosyć tej martyrologii.

Co do pomysłów na życie w owym czasie, to tak się składało, że ilekroć zamierzałem rzucić w diabły całą „politykę" i zaszyć się w górach, by hodować owce (owce to metafora), za każdym razem życie robiło psikusa i nie pozwalało się oderwać. Tak było w 1980, kiedy z moją pierwszą żoną chcieliśmy otworzyć na wsi alternatywny dom dziecka, a tu raptem wybuchły strajki, potem w 1981, kiedy już byłem zmęczony rozgrywkami wewnątrz Solidarności i planowałem osiąść w Sudetach – bach, stan wojenny. Dopiero w 1989, kiedy chłopcy z *Konspiry* zasiedli z komunistami do Okrągłego Stołu, można było pakować manatki i z czystym sumieniem ruszać przed siebie. Bo tak naprawdę polityka nigdy mnie nie interesowała. Moje zaangażowanie – najpierw w opozycję studencką, później w Solidarność, a jeszcze później *Konspirę* – wynikało z wkurwienia. I tyle. No więc tak, do konspiracji straciłem już serce, bo coraz bardziej przypominała tego partyzanta z kawału, co to wysadzał pociągi, wysadzał, choć wojna dawno się skończyła... A z drugiej strony nie mogłem w żaden sposób liczyć na pracę w Trójmieście. I oto pojawił się Świetlik. Z jednej strony można było zarobić trochę grosza na chleb z masłem i whisky, a z drugiej – była to niewątpliwie alternatywa dla konspiry...

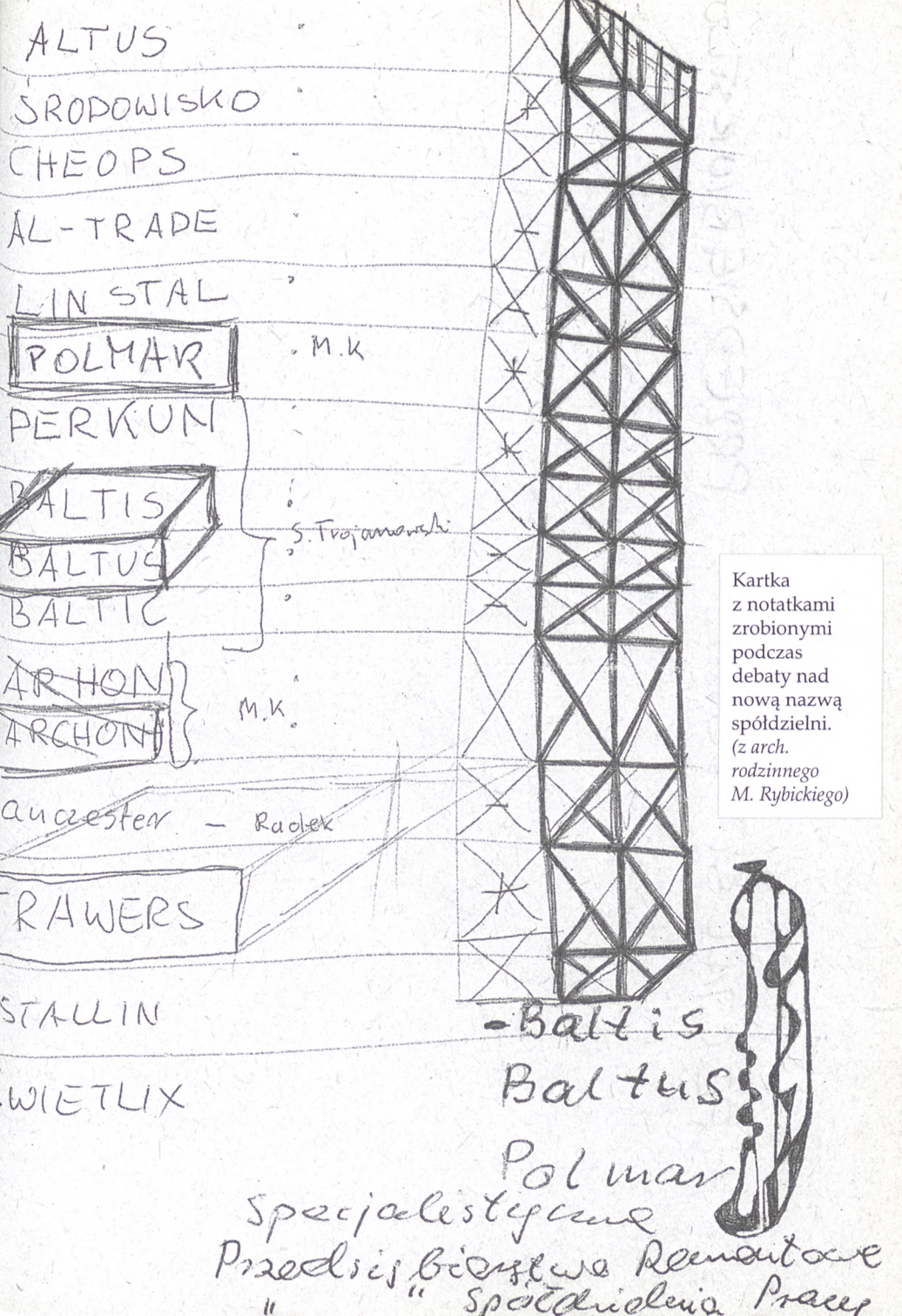
Do spółdzielni wprowadził mnie mój dawny kumpel Andrzej Ereciński, który wkrótce założył własną spółkę Modem. Pierwsza robota..., hmm, niewiele pamiętam. Przeprowadzaliśmy jakąś firmę, taskaliśmy meble, bodajże w Gdyni, a może w Sopocie? Nie pamiętam ani pierwszego spotkania z Maćkiem, ani z Iżim, ani z Markiem. Ba, w ogóle z tamtego okresu niewiele pamiętam, może dlatego, że nie Świetlik był wówczas dla mnie ważną sprawą. To nastąpiło później. Wtedy, po wyjściu z pudła ważna była wolność. To, że można iść przed siebie lub skręcić, gdzie się chce. Zresztą, im dłużej żyję, tym bardziej lubię chodzić. Kenneth White, jeden z mych ulubionych pisarzy-włóczęgów napisał całą księgę na temat „intelektualnego nomadyzmu", był twórcą tego pojęcia. Jeśli próbować

zdefiniować pojęcie „intelektualnego nomady", to najkrócej brzmi to tak: chodzić, aby widzieć! W Świetliku spotkałem paru takich nomadów, może nie intelektualnych, ale w każdym razie włóczęgów: Żółw, Siwy, Hałgas, Królik.

Nie potrafię dokładnie określić, kiedy Świetlik zaczął być dla mnie ważny. To nie był jakiś konkretny przełom. Otóż, w pewnym momencie zaczęło do mnie dochodzić, że to, co robimy w spółdzielni, ma perspektywę i osobną jakość. Innymi słowy, ujrzałem w Świetliku nie tylko firmę, w której można szybko zarobić w krótkim czasie, ale i swojego rodzaju poligon, łączący pracę organiczną i pracę u podstaw z gotowością do kolejnego powstania. Mówiąc jeszcze inaczej, zobaczyłem, że w spółdzielni nie tylko się „knuje", aby obalać komunę (Grabar, Rosiak, bracia Błaszkiewicze i inni), ale i wykuwa kadry na moment, kiedy komuna będzie już obalona. O tym, że się nie myliłem, świadczą późniejsze losy nie tylko wielu świetlikowców (najjaskrawszym przykładem jest oczywiście Donald Tusk), ale i ludzi z innych, zaprzyjaźnionych gdańskich spółdzielni, na przykład Krzysio Bielecki czy Janusz Lewandowski. Kiedy zaczęło mi to łazić po głowie, wtedy zaproponowałem zmianę nazwy spółdzielni ze „Świetlik" na „Gdańsk".

W tym samym mniej więcej czasie zacząłem pracować nad książką pod znamiennym tytułem *Gdańsk – historia otwarta*. Późniejsze wydarzenia, to znaczy Okrągły Stół i 4 czerwca, sprawiły, że porzuciłem ten pomysł na stadium zbierania materiałów i wyjechałem z kraju. Na przykładzie losu paru bohaterów, pracowników spółdzielni Gdańsk, zamierzałem pokazać historię miasta, poczynając od magazyniera Henia, przez Grabara, Jurka Borowczaka i innych, aż do Płażyńskiego i Tuska. Dwaj ostatni bohaterowie powodowali, że historia miasta Gdańska na początku lat dziewięćdziesiątych nie była dla mnie bynajmniej zamknięta, na odwrót – stąd tytuł zamierzonej książki. Czas pokazał, że miałem nosa!

Z pomysłem tym pojechałem zresztą do Stanów, ale tam profesor Allan Mandelbaum skutecznie wybił mi go z głowy,




Kartka z notatkami zrobionymi podczas debaty nad nową nazwą spółdzielni. *(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*

tłumacząc, że zanim tę książkę napiszę, nikt na świecie – poza Polską! – nie będzie już Polską zainteresowany. Zapytałem go, co by mi poradził, a on na to: „Jedź do Rosji! Z Rosji będziesz żył do końca życia, bo Rosja – w odróżnieniu od Polski – zawsze będzie nas – to znaczy resztę świata poza Polską – interesować". Tak też zrobiłem. A jedynym śladem tej książki pozostał niewielki tekst, napisany na prośbę amerykańskiego wydawcy (będący rodzajem preambuły), opublikowany na łamach „Młodej Polski" pod takim właśnie tytułem, czyli *Gdańsk – historia otwarta*, bodaj w 1990 roku. A może rok później? Nie pamiętam.

# Nie ma takiej opcji

– Mój pierwszy komin? W Płocku – bez chwili wahania mówi Tomasz Matulaniec.
Doskonale pamięta poczucie bezwładności tuż po wyjściu za balustradę i strach, że nie poradzi sobie z silnym wiatrem, który jak szmacianą lalkę może go obrócić plecami do komina.
– Osiemdziesiąt metrów powietrza pod stopami i paraliżująca świadomość, że nie ma się czego chwycić, i zapierający dech w piersiach widok na Mazowsze.

## Naturalnie do Świetlika

On sam, podobnie jak większość pracowników spółdzielni, znajduje w niej miejsce, ponieważ ówczesna komunistyczna rzeczywistość dla osób zaangażowanych w opozycję nie stwarza właściwie żadnych perspektyw. Po maturze w 1981 roku dostaje się na ekonomię na Uniwersytecie Gdańskim, a kiedy rozpoczynają się strajki studenckie, bierze w nich udział i w ten sposób poznaje przyszłych kolegów ze Świetlika: Marka Kotlarza i Maćka Płażyńskiego.

– Ludzie się wtedy bardzo zżyli ze sobą, bo to był strajk okupacyjny, więc siedzieliśmy razem na miejscu i mogliśmy się bliżej poznać. A kiedy został ogłoszony stan wojenny, nie poszliśmy

z Kotlarzem na Humanę[8] kontynuować strajku, tylko zostaliśmy oddelegowani do drukowania ulotek na powielaczu. Tak zaczęła się moja przygoda z poligrafią – wspomina.

Tak więc kiedy po długiej przerwie Matulaniec wraca na studia, już zna większość przyszłych założycieli Świetlika i potem także zaczyna w tym przedsięwzięciu uczestniczyć. Podkreśla, że wówczas, w latach osiemdziesiątych, najistotniejsze dla niego są studia, praca w Świetliku, która zapewnia bardzo dobre dochody i działalność opozycyjna. Ta ostatnia związana jest przede wszystkim z podziemnym drukiem i poligrafią.

– W końcu byliśmy już wystarczająco mocni i dobrze wyposażeni w sprzęt, tak że za namową Piotra Kapczyńskiego zaczęliśmy drukować „Przegląd Polityczny"[9] – mówi Matulaniec. – Świetlik to była odskocznia od szarej, peerelowskiej codzienności, bo tam byli ludzie o tych samych, a na pewno podobnych poglądach. Młodzi i bardzo odważni – dodaje z przekonaniem.

## Stocznia Nauta

Matulaniec doskonale pamięta swoją pierwszą pracę w Świetliku – pobudkę bardzo wcześnie rano i przeraźliwe zimno na zewnątrz.

– Malowaliśmy dźwig bramowy w stoczni Nauta w Gdyni. Była zima i jeździliśmy do pracy, zdaje się, na godzinę szóstą rano. To był chyba jedyny okres w moim życiu, kiedy musiałem wstawać prawie w środku nocy i potem pilnować, żeby nie przespać właściwej stacji – wspomina Tomasz Matulaniec.

Pamięta, że na tym samym dźwigu pracował wtedy na pewno Roman Rojek. Był też chyba Wiesiek Walendziak, ale nie ma co do tego pewności. Z tym ostatnim poznał się już na studiach.

[8] Wydział Humanistyczny, a obecnie Wydział Filologiczno-Historyczny Uniwersytetu Gdańskiego.

[9] Kwartalnik polityczny związany ze środowiskiem gdańskich liberałów, wydawany od 1983 roku.

– Byliśmy w jednej grupie koła historycznego, które prowadził nieżyjący już profesor Godlewski, jeśli nie przekręcam nazwiska, człowiek oddany i zasłużony dla naszego pokolenia, to znaczy mam na myśli rocznik 1960 i kilka lat w górę. To wtedy tworzyło się tam całe nasze środowisko – kończy dygresję Tomasz Matulaniec.

Wtedy w Gdyni zaczyna jako „kapeluch". Wspomina, że nie zjeżdżali na linach, bo na początku tak naprawdę nie było takiej potrzeby. To były właściwie prace konserwatorskie, na przykład malowanie dźwigu.

– Ale bez wątpienia przeszedłem wtedy swoisty chrzest, czyli zorientowałem się, o co chodzi i szybko się uczyłem, co i jak robić. Pamiętam, że mój ojciec podpowiadał mi, jak pomalować tę część dźwigu z tyłu, do której trudno było dosięgnąć. Niby proste czy nawet oczywiste, ale podejrzewam, że niejeden z nas pierwszy raz w życiu trzymał w ręku pędzel – wyjaśnia.

Następne zlecenie to prace w hali Resovia w Rzeszowie, wspominane przez wielu z dużymi emocjami. Tomasz Matulaniec nie może się nadziwić, że wszyscy wyszli stamtąd żywi i nikomu nic się nie stało.

– Jak sobie przypomnę, w jaki sposób to robiliśmy, jeszcze wtedy, kiedy nie było czegoś takiego jak karabinki alpinistyczne; mieliśmy tylko strażackie, które się wyginały. No i każdy miał szelki uszyte przez Andrzeja Kubiaka, mocowane do stropu. Jakby to odpadło, to nie wiem, czy ktoś by się z tych szelek przypadkiem nie wymsknął. No tak to było... chyba jest nawet kolekcja zdjęć z tego Rzeszowa – dodaje z uśmiechem.

Matulaniec spędza w hali Resovii całe lato. Mieszkają w piętnastu w jednej sali schroniska PTTK położonego w zabytkowej części miasta, tuż przy starym ratuszu. Wychodzą do pracy rano i wracają wieczorem tak zmęczeni, że od razu praktycznie kładą się spać. Zresztą Rzeszów w tamtych czasach nie ma czym kusić amatorów rozrywek – może dwie, trzy knajpy, gdzie można pójść i przy stoliku piwa się napić, ale nikomu takich eskapad

wieczornych czy nocnych nie chce się urządzać, bo pracują niejednokrotnie także w soboty, byle skończyć jak najszybciej.

– Tak więc w Rzeszowie przeszedłem swój chrzest bojowy, i później to już się jakoś potoczyło – wspomina.

## Strasznie i pięknie

– Mój pierwszy komin? W Płocku – bez chwili wahania mówi Tomasz Matulaniec.

Doskonale pamięta poczucie bezwładności tuż po wyjściu za balustradę i strach, że nie poradzi sobie z silnym wiatrem, który jak szmacianą lalkę może go obrócić plecami do komina.

– Osiemdziesiąt metrów powietrza pod stopami i paraliżująca świadomość, że nie ma się czego chwycić, i zapierający dech w piersiach widok na Mazowsze. Byłem mokry ze strachu. Ale później, kiedy już wiedziałem, co i jak, umiałem sobie z tym poradzić, na przykład przymknąć oczy albo w ogóle nie dopuścić do tego odwiania. Potem już nawet można się było cieszyć z tego, co się widzi. To było naprawdę niesamowite, ale nigdy nie czułem się na tyle pewnie, żeby tak całkiem spokojnie usiąść i zjeżdżać – opowiada Matulaniec.

Każdy pracujący na wysokościach ma wpojony nawyk, że najpierw trzeba wszystko dokładnie sprawdzić, między innymi do czego się przypina: czy do haka, czy piorunochronu. Był przypadek, że jeden z świetlikowców wpiąwszy się do piorunochronu, nieomal nie przypłacił tego życiem. To zdarzenie dobrze zapada wszystkim w pamięć i z czasem staje się jedną z świetlikowych anegdot.

– Nie było miejsca na rutynę. Każdy zjazd, kolejne doświadczenie, to była kolejna nauka. Ja się często nad tym zastanawiałem, jak udało się uniknąć wypadków. I dopiero świętej pamięci Marek Hałgas uświadomił mi pewną rzecz: „Pamiętaj o tym, że każdy uczy każdego". Wtedy zdałem sobie sprawę, że tak właśnie było. Każdy troszczył się o siebie, ale też o drugiego – zamyśla się na chwilę Tomasz Matulaniec.

Na zlecenie zawsze jeździ brygada, w której jest trzech zawodowców i ośmiu kapeluchów – to zasada, którą starają się przestrzegać. Stałą praktyką w spółdzielni jest również to, że doświadczeni pracownicy uczą resztę, jak zawiązywać liny, jak wejść w zjazd i wiązać węzeł.

– Taka naturalna, wewnętrzna kontrola. Brygadzista nie pozwalał kapeluchowi iść samemu na górę, to było oczywiste – podkreśla Tomasz. – W ogóle z żelazną konsekwencją pilnowaliśmy, by na górę nigdy nie iść w pojedynkę. Ktoś, kto miał już doświadczenie, pilnował między innymi, żeby lina była dobrze przypięta. Zawsze też zjeżdżało się na dwóch linach – jedna była nośna, druga zaś asekuracyjna, w razie gdyby tamta pierwsza pękła. Tak naprawdę każdy miał poczucie zagrożenia, które paradoksalnie wynikało z doświadczenia. Zanim się więc świadomie wyszło na balkon na dziesiątym piętrze, zanim się złapało linę, to kilka razy dokładnie sprawdzało się sprzęt. Wtedy Anioł Stróż miał mniej roboty – śmieje się Matulaniec.

## Socjalizm z ludzką twarzą

Pytanie czy komunizm upadnie, postawione w 1983 roku, miało charakter futurologiczny. Tomasz Matulaniec jest o tym święcie przekonany. Potwierdzeniem jest zbiór bibuły[10] zgromadzony w tamtym czasie, z którym do dziś, ze względu na sentyment, trudno mu się rozstać.

– Ja oprócz tego, że byłem podziemnym drukarzem, zajmowałem się też dystrybucją książek, które wówczas były na indeksie, przywoziłem je z Warszawy i dostarczałem pod zaprzyjaźnione adresy. Dla siebie też odkładałem, z myślą, że na emeryturze, kiedy nikt już nie będzie mi mógł nic zrobić, spokojnie sobie poczytam. Teraz mam przy każdej przeprowadzce problem z tą kolekcją, ale wyrzucić jakoś nie mogę. Jedyne,

[10] Obiegowa nazwa wydawnictw konspiracyjnych.

o czym mogliśmy marzyć w latach osiemdziesiątych, to socjalizmu z ludzką twarzą. Tak ja uważam, nie wiem jak inni, ale dla mnie perspektywa była właśnie taka – wyjaśnia. – W praktyce należało uznać, że sytuacja jest, jaka jest, i póki co nie ma się na to wpływu. Ale po jaką cholerę chodzić do stoczni na osiem godzin na szóstą rano, skoro można sobie zorganizować pracę w towarzystwie fajnych ludzi i pracować, kiedy się będzie chciało czy wtedy, gdy skończy się kasa. Wówczas problem był z nadmiarem zleceń; owszem jedne bardziej dochodowe, inne mniej, i prezes musiał wyznaczać, kto bierze które – wspomina.

Czy w 1983 roku Płażyński miał jakąś strategiczną wizję? Czy planował zbudować strukturę biznesową firmy, przygotowaną później do wejścia na rynek? Tomasz Matulaniec na pewno takiej nie miał.

– Wydaje mi się, że Maciek od początku wiedział, jak ma wyglądać spółdzielnia. Takie przynajmniej odnosiłem wraże-

Mleczarnia w Łosicach. Tomasz Matulaniec (klęczy) i Marek Zająkała. *(fot. A. Jodel)*



nie. Stworzył warunki do wewnętrznej wolności i intelektualnego rozwoju. Byliśmy przekonani o słuszności tego, co robimy i był to nasz sposób na życie. Wydawało się nam, że stworzyliśmy optymalny, jak na tamte warunki, sposób funkcjonowania w rzeczywistości komunistycznej – wyjaśnia.

Pomysł Płażyńskiego, zdaniem Tomasza Matulańca, miał szeroki, społeczny charakter. Przede wszystkim spółdzielnia była parasolem ochronnym dla dysydentów. To znaczy, że jeżeli ktoś wychodził z więzienia, albo kogoś zwolnili z pracy za przekonania, czy miał problem ze znalezieniem pracy, to mógł po prostu przyjść do Świetlika. Nikt takiej osoby o nic więcej nie pytał. Poza tym prezes miał jasność, czym się każdy zajmuje i w związku z tym nie wymagał, aby działacze zaangażowani w podziemiu wyjeżdżali w Polskę na pół roku. I, jak podkreśla Matulaniec, wszyscy byli zadowoleni z takiego układu.

## Gdańska Grupa Promocyjna

Kiedy po pewnym czasie było jasne, że wśród spółdzielców istnieje grupa intelektualistów o publicystycznym czy artystycznym zacięciu, powstała inicjatywa znalezienia takiej formy działania, w której osoby pokroju autora *Konspiry* mogłyby się realizować, i tak powstała Gdańska Grupa Promocyjna (GGP).

– Ja myślę, że to był okres, kiedy Maciek był pod dużym wpływem Mariusza Wilka, który jest takim bardzo ekspresyjnym facetem i on mógł prezesa w jakimś tam stopniu natchnąć – zastanawia się Tomasz Matulaniec.

Po chwili zaś przywołuje jeszcze jeden, bardziej pragmatyczny argument – ekonomiczny. Moment powstania GGP zbiega się w czasie z wysoką inflacją i wprowadzeniem tak zwanego popiwku, czyli podatku od ponadnormatywnego wynagrodzenia, który był nakładany na firmy sensu stricte państwowe. Gdańska Grupa Promocyjna została wpisana do rejestru jako spółka akcyjna, a oprócz akcjonariuszy prywatnych był Świetlik, więc w tym wypadku nie było ograniczeń typu kominowe wynagradzanie.




Jeden z projektów graficznych zrealizowanych
przez Gdańską Grupę Promocyjną.
*(z arch. rodzinnego M. Rybickiego)*

– Mariusz Wilk został prezesem tej nowej firmy; zresztą na chwilę, po prostu jest typem człowieka, który nie wytrzyma długo w jednym miejscu, a ja wskoczyłem na stanowisko pełnomocnika zarządu, bo wiadomo, że Maciej nie miał głowy, by jeszcze tym się zajmować. Gdańska Grupa Promocyjna miała być możliwością aktywizacji osób, które się już nie mieszczą w starych ramach. Realizowaliśmy ciekawe pomysły, na przykład wydawaliśmy książki, organizowaliśmy różne kursy, bo już wiadomo było, po prostu to się czuło w powietrzu, że idzie jakieś nowe, i robiliśmy kursy, na przykład kasjera – wspomina Matulaniec.

Jedną z markowych produkcji GGP są materiały promocyjne. Tworzą je profesjonaliści w swoim fachu – znakomity fotografik, legenda Klubu Studentów Wybrzeża „Żak" i współtwórca „Kroniki Studenckiej"[11] Zbigniew Kuba Grabowiecki, a także doskonały grafik Wiesław Grubba. Jednym z dzieł firmy są wydawane co roku duże kalendarze spółdzielniane. Jednak znowu życie weryfikuje zasadność istnienia tego przedsięwzięcia. Z chwilą wejścia ustawy o powszechności działalności gospodarczej przestaje mieć sens utrzymywanie firmy obciążonej czterdziestoprocentowym podatkiem oraz dodatkowymi kosztami. Aby GGP mogła działać w formie spółki akcyjnej, trzeba zatrudnić rewidenta, główną księgową, osobno kasjerkę, jeszcze kogoś w księgowości. A to po prostu staje się nierentowne.

– Ale to był dla mnie osobiście ważny etap, bo mogłem zdobywać nowe doświadczenia i poznać profesjonalną poligrafię, czyli funkcjonujące jeszcze Gdańskie Zakłady Graficzne czy inne firmy działające w tej branży. I rzecz najważniejsza. Kiedy realizowaliśmy zlecenie obsługi reklamowej Huty Stalowa Wola, poznałem moją obecną żonę – dodaje, uśmiechając się Tomasz Matulaniec.

[11] Ilustrowany magazyn studentów Politechniki Gdańskiej, założony w 1958 roku.

## W stronę wolności

– Mariusz Wilk cały czas uprawiał happening. Na przykład te jego aresztowania, kiedy na pytanie nocnego patrolu milicji „Skąd wracasz?", odpowiadał: „Z nocnej wracam przechadzki". Było strasznie i wesoło. Z jednej strony był ten aparat represji, ale z drugiej strony myśmy byli w dość komfortowej sytuacji – mówi Tomasz Matulaniec.

Kiedyś sam zostaje zatrzymany przez milicję, z powodu posiadania nielegalnych książek i spędza noc w komendzie przy Okopowej. Podczas przesłuchania jest zastraszany wyrzuceniem z uczelni oraz dłuższą odsiadką.

– Mówili mi, że już po 22 lipca, i trzeba będzie czekać do następnej amnestii. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy, że posiedzę pół roku. Przecież jest spółdzielnia, chłopaki wspomogą matkę, ojca i nie będzie źle. Na uczelni też miałem jakąś pozycję i nie wydawało mi się, że mogą mnie wyrzucić. O jedno się tylko martwiłem – żeby potem się nie dać jakoś podejść i złamać – wspomina. – Tak, myślę, że za wyjątkiem kilku, kilkunastu osób, które tak naprawdę ucierpiały w tym kraju, reszta mogła jakoś żyć, nikt do nikogo nie strzelał. To były czasy trochę straszne, ale też fajne. Tylko że one są zupełnie nie do powtórzenia – dodaje po chwili.

Strajki w 1988 roku to postawienie kropki nad „i", ale to już nie jest kwestia: wejdą czy nie wejdą.

– To już były inne czasy – mówi Tomasz Matulaniec.

Spółdzielnia Świetlik ma swój znaczący udział w tej ostatniej batalii na drodze do wolności. Pojawia się jednak wewnętrzny konflikt. Część spółdzielców angażuje się, inni z kolei krytykują zbyt dużą aktywność polityczną, z obawy, że wpłynie to negatywnie na pracę, pozyskiwanie klientów czy realizację zleceń. Jednak przeważają ci pierwsi.

– Wtedy oficjalnie pokazaliśmy swoje oblicze, chociaż służba bezpieczeństwa już wcześniej wiedziała, że pomagamy i zatrudniamy opozycjonistów, którzy wyszli z więzienia, ale być

może „smutnym panom" wydawało się, że za pomocą drobnej inwigilacji kontrolują nas. W końcu lepiej mieć zawodników, którzy idą kominy malować, zamiast konspirować. Pewnie dlatego mieliśmy względny spokój – zastanawia się Matulaniec. – Kiedy na przykład Lech Kosiak nosił bibułę do petrochemii, to robił to tak, żeby nie dać się złapać. Zawsze miał dużą torbę, a w niej na dole ulotki, a na górze śruby. Nikomu ze strażników za bardzo się nie chciało grzebać głęboko. Zresztą SB miała świadomość, że jak się pojawiali ludzie ze Świetlika, to są problemy: bibuła, jakieś agitowanie, ktoś wisi na kominie pierwszego maja, kiedy idzie pochód, bo właśnie takie zdarzenia miały miejsce – wspomina Matulaniec.

Główną rolą Świetlika jest to, że pozwala finansować działania nieformalne. To jest najważniejsze.

– Można było pojechać na zlecenie, zarobić i poświęcić się pracy przy „Przeglądzie Politycznym". Ale część spółdzielców głównie liczyła kasę – stwierdza Tomasz.

## Nowa rzeczywistość

Zdaniem Tomasza Matulańca nie było żadnych przełomowych momentów, które mogły doprowadzić do schyłku spółdzielni. Problem generalnie zaczął się wtedy, kiedy większość spółdzielców została mentalnie w latach osiemdziesiątych, a wielkimi krokami nadchodziły dziewięćdziesiąte. Ludzie zaczęli się dziwić, nie mogli zrozumieć, że nagle nie ma kominów do malowania albo że nie opłaca się ich malować. Dalej dziwili się, kiedy firma weszła na dużą budowę, na przykład na Akademię Bankową, i nagle okazało się, że brakuje specjalistów – tynkarzy czy malarzy, którzy potrafią choćby równo pomalować sufit. Matulaniec się nie dziwił.

– Kiedy tak naprawdę ileś lat malowało się kominy dwieście metrów od ziemi, to właściwie nikt nie sprawdzał, czy to jest dobrze pomalowane, czy nie. Jeśli zatrudniłbym swoją świetlikową ekipę do zrobienia remontu w moim mieszkaniu, to

podejrzewam, że na skuciu kafelków by się skończyło. Po prostu chłopaki nie byliby w stanie zrobić niczego więcej – tłumaczy obrazowo. – Moim zdaniem nie było żadnych takich przełomowych momentów, i jak teraz ktoś mówi, że przez Akademię Bankową poszliśmy z torbami, to odpowiadam, że gdyby nie akademia, to trafiłaby się inna budowa, na której byśmy się wyłożyli. Może więc dobrze się stało, że trafiła się ta Akademia Bankowa i dość szybko sytuacja spółdzielni się wyjaśniła. Nie było dla niej miejsca na rynku, nie było miejsca dla tej formy organizacyjnej rodem z komunizmu. Władza każdego spółdzielcy, i tak dalej – to było nie do przyjęcia w nowej rzeczywistości – kontynuuje Matulaniec. – Jedynie struktura biura firmy mogła sprostać wymaganiom nowych czasów. Natomiast nie był do nich przygotowany pion wykonawczy: nie było wykwalifikowanych kadr, nie było specjalistów. W innej sytuacji znalazły się wyspecjalizowane firmy, jak choćby Kominbud czy Środowisko, które stworzyli profesjonaliści, osoby znające się na swoim fachu. Po prostu w pewnym momencie prawa wolnego rynku zaczęły regulować polską rzeczywistość, i to one były kryterium, one decydowały o być albo nie być poszczególnych przedsięwzięć. Tak więc moim zdaniem w nowych czasach Świetlik nie miał szans, by dalej funkcjonować. Po prostu nie było takiej opcji – kończy temat Matulaniec.

## Konflikt tragiczny

Kilka lat wcześniej rozegrały się dramatyczne wydarzenia, które być może już wtedy przesądziły o losie Świetlika. Roman Rojek wyszedł z inicjatywą przekształceń w zakresie działania spółdzielni, tak aby mogła stać się konkurencyjnym przedsiębiorstwem na rynku. Realizacja tego pomysłu wiązała się między innymi z redukcją zatrudnienia nowych pracowników i kierowaniem się w zarządzaniu przede wszystkim rachunkiem ekonomicznym. Po drugiej stronie stał Maciej Płażyński ze swoją mocno zarysowaną koncepcją społeczną działania firmy.

Z perspektywy ćwierćwiecza ów spór nosi wyraźne znamiona konfliktu tragicznego, bowiem opowiedzenie się po którejkolwiek stronie nie przynosiło jednoznacznie korzystnego rozwiązania. Także tragiczny i symboliczny wymiar miała decyzja Romana Rojka o opuszczeniu firmy, kiedy większość spółdzielców opowiedziała się po stronie Macieja Płażyńskiego. Tomasz Matulaniec pamięta to przełomowe zebranie. Pamięta, że trzeba się było opowiedzieć albo za filozofią Romana, albo filozofią Maćka. Mimo upływu czasu jest w stanie zrekonstruować obie.

– Roman chciał, by panowie chodzili do pracy po to, żeby zarabiać, a nie po to, by konspirować. Jeśli on jechał na zlecenie, by zarabiać kasę, a pod sobą miał ludzi niekompetentnych, to było jasne, że będzie musiał pracować za nich. A tego po prostu nie chciał i nie zgadzał się na to. Maciek z kolei miał taką filozofię społecznikowską, żeby spółdzielnia stanowiła azyl dla opozycjonistów. Mniej go obchodziły sprawy finansowe i rozwój firmy jako przedsięwzięcia przynoszącego przede wszystkim coraz większe zyski – wyjaśnia.

Dobrze pamięta też stanowisko, jakie sam wtedy zajął.

– Uważałem, że koncepcja Romana była sensowna, ale wówczas chciałem pracować na dotychczasowych zasadach. Na pewno nie miałem zamiaru całkowicie poświęcić się pracy w spółdzielni. Dlatego optymalnym rozwiązaniem była dla mnie formuła, do której byliśmy przyzwyczajeni, czyli do roboty idziemy wtedy, kiedy chcemy, a nie, kiedy musimy. I tutaj się wszystko rozwaliło – kończy.

## Legendarna atmosfera

Dla Tomasza Matulańca jest sprawą oczywistą, że charakterologicznie gdańszczanie są inni niż reszta mieszkańców Polski. W swych rozważaniach idzie jeszcze dalej, twierdząc, że są inni niż oddaleni zaledwie o kilkanaście kilometrów gdynianie. Jego zdaniem tutaj może się kryć jeden z powodów fenomenu Świetlika.

– Gdańszczanie to w większości ludzie przyjezdni i potomkowie ludzi przyjezdnych, i tak dla przykładu jedna moja babcia pochodziła z Krakowa, a druga z Wileńszczyzny. Świetlik stanowił konglomerat ludzi, których łączyło studiowanie na uniwersytecie. Taka była specyfika tamtych czasów. W rocznicę 13 grudnia zadyma była w Gdańsku, a nie w Gdyni. Wydaje mi się, że taka struktura nie powstałaby w żadnym innym mieście. To jest na pewno specyfika tego właśnie miejsca – przekonuje do swojej teorii.

Rzeczywiście, były próby stworzenia filii Świetlika w różnych miejscach w Polsce, między innymi w Krakowie, ale prę-

Łuków. Od lewej stoją: Andrzej Jodel, szwagier Marka Kotlarza, Donald Tusk; kuca Marek Zająkała.
*(fot. T. Matulaniec)*



dzej czy później pojawiały się jakieś frakcje, ludzie się kłócili i wszystko się rozpadało. Jednak *genius loci* to jedna rzecz, a druga to osoba Macieja Płażyńskiego, któremu Tomasz Matulaniec przypisuje aż dziewięćdziesiąt procent wpływu na to, czym był Świetlik.

– Ja stoję na stanowisku, że postać Maćka jest kluczowa dla zrozumienia fenomenu spółdzielni. Można było zebrać na początku grupę osób, którzy będą zarabiali ekstra kasę w Świetliku, ale w pewnym momencie trzeba było wskoczyć na taki wyższy poziom i wszystkim pokierować. I Maciek to zrobił – stwierdza Matulaniec. – W Świetliku ludzie mieli także poczucie wolności, zarówno finansowej, jak i takiej dosłownej, bo można było przyjść do biura i oficjalnie mówić, że komunizm jest zły i co tylko się chciało; można było umówić się na zadymę na mieście, potem pojechać na zlecenie i zarobić. Poza tym myśmy się dobierali w grupy wyjazdowe pod względem charakterologicznym i wszyscy mieliśmy podobnie sprecyzowane poglądy. To zapewne również wpływało na atmosferę. Przełożenie tego na dzisiejsze warunki jest niemożliwe. Nie ma takiej opcji – stwierdza kategorycznie.

Uważa, że to byłoby przenoszenie standardów gospodarki socjalistycznej na warunki gospodarki rynkowej. A teraz jest tak, że można kogoś lubić, iść z nim na piwo, rozmawiać, ale jeżeli jest się razem w pracy, gdzie wykonywane czynności są i czasochłonne, i energochłonne, to po prostu trzeba pracować. I fakt, że kogoś lubimy, szczególnie nie zmienia niczego.

– Ja pracuję teraz w takiej firmie, gdzie jest super, gdzie robimy integracyjne imprezy wyjazdowe, ale każdy przychodzi do pracy i musi wykonać określone czynności, po prostu pracuje. To nie jest tak, jak było w Świetliku: przychodzę do pracy i dzisiaj pada, więc mówię, że mi się nie chce pracować, i za chwilę zgadza się ze mną reszta ekipy i nie pracujemy – wyjaśnia Matulaniec. – Jednak z drugiej strony nie było to tylko takie „widzi mi się". Deszcz był jednym z uzasadnionych

powodów wstrzymania robót. Jak już się poszło na komin, to się na nim siedziało do skutku. To proste, jak się wejdzie na górę, żeby przez dwie godziny zakładać zjazd, to się nie schodzi po sześciu godzinach, czyli mniej więcej w połowie komina, żeby następnego dnia znowu wchodzić do góry, zjechać do połowy i dokończyć. Na szczęście wszyscy to rozumieli. Ekipa była zgrana – wspomina Tomasz. – To było ważne z praktycznego punktu wiedzenia, bowiem kiedy się tak ciężko pracuje i żyje razem przez trzy tygodnie w jednym mieszkaniu, to jest tak trochę jak na łódce. Trzeba się starać, żeby nie dopuścić do sytuacji konfliktowych, bo kiedy ktoś się spakuje i wyjedzie do domu, reszta ma poważny problem – robotę trzeba przecież skończyć.

## Świetlikowe więzy

Tomasz Matulaniec dość szybko, bo już w 1986 roku, dojrzał do decyzji odejścia ze spółdzielni.

– Pojechałem swego czasu na zlecenie, gdzieś na teren wschodniej Polski, i kiedy były problemy z zaopatrzeniem mojej ekipy w materiały, właściwie przez tydzień nic się nie działo, ludzie poza wydawaniem pieniędzy nie robili nic, wtedy wyraźnie dotarło do mnie, że to kompletnie nie ma sensu. Kiedy więc poczułem, że praca fizyczna przestała mnie bawić, zrezygnowałem. Zresztą tak na dobrą sprawę nigdy nie chodziłem do żadnej pracy z przymusu, żeby tylko zarobić kasę. Tak jest do dziś – wyznaje.

Jednak nadal wiele spraw w życiu Tomasza ma swoje źródło w relacjach zawartych jeszcze w Świetliku, na przykład obecna praca.

– W 2000 roku podczas meczu sylwestrowego doznałem poważnej kontuzji – skręciłem sobie nogę w kolanie. Potem uziemiony siedziałem w domu i Jarek Czarniecki, z którym się przyjaźnię, wiedząc, że nie mam zajęcia, napomknął o mnie Zbyszkowi Pijakowskiemu, a on właśnie potrzebował kogoś z branży poligraficznej do Polmarcu. Myślałem, że to tak na

chwilę, na jakieś pół roku, żeby przeczekać i pójść dalej swoją drogą, ale jestem tutaj do dziś i wcale nie myślę o zmianach – wyznaje.

W dalszym ciągu wielką pasją Tomasza Matulańca jest piłka nożna. Przez kilka lat był w zarządzie Lechii Gdańsk, a ostatnie trzy to wyjazdy na mecze gdańskiej drużyny. To też okazja, aby odkrywać piękne zakątki Polski, na przykład śląskie miasta i miasteczka. Matulaniec ceni i pielęgnuje przyjaźnie zapoczątkowane w Świetliku. Żartuje, że na stare lata nie będzie przecież zmieniał przyjaciół; choć każdy z nich ma inne poglądy, jemu to nie przeszkadza. Zawsze jest miło umówić się na piwo i pogadać.

– Na pewno jest coś takiego, że określenie „spółdzielca" w ustach spółdzielcy ma zupełnie inny ciężar. Kiedy się razem wchodziło na komin i wzajemnie asekurowało, powstawała oczywista więź. Tego wymagała tamta rzeczywistość. Właściwie, kiedy policzę, to jest spora grupa, bo około dziesięciu osób, z którymi spotykam się przynajmniej kilka razy w roku. I cieszę się z tego, że oni są jakoś określeni, wiem, czego się mogę po każdym spodziewać – dzieli się refleksją Tomasz.

Zapewnia, że zawsze mają ze sobą o czym rozmawiać. A jeśli się nie dyskutuje na temat spraw bieżących, to zawsze można wrócić do wydarzeń sprzed lat.

– Trzeba tylko właściwie poprowadzić rozmowę, to znaczy nie należy skupiać się zbytnio na tym, co kto osiągnął, bo to różnie w życiu bywa. Pamięta się gościa wysportowanego, który miał jakieś wielkie plany, wizje, a po latach okazuje się, że siódmy rozwód, jakaś plajta czy inne nieszczęście. Takim pięknym, neutralnym tematem jest zawsze spółdzielnia. Przyjaźnie z tamtego okresu są chyba najbardziej trwałe, dlatego że w większości były bezinteresowne. Właściwie tylko te relacje się rozsypały, w których pojawiły się później konflikty w związku ze wspólnie prowadzonym biznesem, i zniszczyły pierwotne zaufanie – kończy swoją myśl.

## Nieprzekładalne

Tomasz Matulaniec ma pewien kłopot z przekazaniem swoim bliskim i znajomym historii Świetlika, tak by to wszystko właściwie poczuli i zrozumieli.

– Trudno mi o tym mówić. W jaki sposób mam wytłumaczyć moim córkom, co to była spółdzielnia i jak funkcjonował tamten system, gdy w pokoju stoi plazma, laptop i coś tam jeszcze? Nawet wyjaśnienie żonie o siedem lat młodszej ode mnie, co to jest Świetlik, wydaje mi się trudne, bo ta różnica wieku między nami, w sumie znowu nie taka duża, sytuuje nas jednak w zupełnie różnych historycznie i socjologicznie miejscach. Kiedyś podczas rodzinnej rozmowy moje dzieci stwierdziły, że nigdy fizycznie nie pracowałem. Po chwili konsternacji musiałem przyznać, że właściwie nie miały skąd się o tym dowiedzieć, przecież z nimi na ten temat nie rozmawiałem – tłumaczy.

Także wielu osobom, które poznały Tomasza Matulańca już po jego odejściu ze spółdzielni, do głowy by nie przyszło, że gdzieś tam w różnych miejscach Polski wisząc na linach, malował kominy.

– A poza tym opowiadanie komuś znajomemu, że się pracowało w Świetliku, to tak jak chwalenie się, że znam Donalda Tuska. Kiedy ktoś w moim domu widzi zdjęcie Donalda z moimi córkami, to zaraz słyszę: „O Boże, to ty wszystko możesz załatwić". A ja mówię: „Nie ma takiej opcji".

# Stypendysta zaprawiony w bojach

I właśnie kiedy mnie przesłuchiwał jakiś ubek, to miałem takie wyraźne przeczucie, że coś się chyli, ale on, zdaje się, też je miał. W pewnej chwili nie wytrzymałem i zapytałem nieco podniesionym głosem: „Czy pan nie widzi, co się dzieje?! Przecież to w s z y s t k o już się kończy... Niech pan się nie wygłupia z tym przesłuchaniem...". A on na to nic nie powiedział.

## Między Świetlikiem a uniwersytetem

W 1985 roku Wiesław Walendziak jest dobrze zapowiadającym się młodym naukowcem, któremu profesor Roman Wapiński wróży, mimo dość kłopotliwego zaangażowania swojego seminarzysty w działalność opozycyjną, rychłą karierę. Poza tym jest biedny jak mysz kościelna. Wraz z żoną i dwojgiem dzieci gnieździ się w maleńkim lokum, na który składa się pokój z kaflowym piecem i nieogrzewana łazienka. Dużo czasu poświęca pracy w podziemiu, przede wszystkim redaguje dwa czasopisma: „Kierunek" i „Politykę Polską" oraz prowadzi na dużą skalę dystrybucję „Solidarności Regionu Gdańskiego".

– Byłem w podobnej sytuacji życiowej jak większość moich rówieśników zaangażowanych w działalność opozycyjną, czyli mój status materialny był więcej niż podły. Ratowałem się czasami, dorabiając w Techno-Service, niestety kontrolowanym przez ZSP, co nas, pamiętam, strasznie denerwowało. Tam można było

zarobić przy sprzątaniu biur czy wagonów PKP. Więc pojawienie się Świetlika wówczas było takim wydarzeniem podwójnej miary, bo pozwalało zarobić relatywnie bardzo duże pieniądze i w dodatku w bardzo zacnym towarzystwie – wspomina z uśmiechem.

Wiesław Walendziak zdaje sobie sprawę, że z pensji asystenta na uniwersytecie nie będzie w stanie utrzymać rodziny. Decyduje dołączyć do Świetlika.

– Jasne, że trzeba było kogoś znać, ale ja znałem Macieja Płażyńskiego – razem kierowaliśmy strajkiem studenckim na Uniwersytecie Gdańskim w 1981 roku. On jako lider NZS oczywiście był szefem całości przedsięwzięcia, a ja byłem wtedy jednym z liderów strajku na Wydziale Humanistycznym. Zresztą wydaje mi się, że w momencie, kiedy została założona spółdzielnia Świetlik, w gronie jej założycieli było wielu moich bliskich znajomych. Chociaż szczerze przyznam, że po tylu latach trudno mi już rozstrzygnąć, kogo z nich poznałem wcześniej, w działalności podziemnej, a kogo dopiero w Świetliku, bo przecież te światy mocno się przenikały.

## Jubiler i młotkowy

Swoje pierwsze świetlikowe zlecenie Wiesław Walendziak wykonuje w 1985 roku w gdańskim Hydrosterze. Praca polega na uszczelnieniu i myciu okien.

– Wtedy pracowałem z Romkiem Rojkiem, który uczył mnie fachu. Romek był bardzo miły, ale też bardzo wymagający. Kiedy na początku robiłem wszystko strasznie dokładnie, ale wolno, powiedział, nie owijając w bawełnę, że muszę pracować dużo szybciej, bo inaczej zaniżam efekty całej brygady. Na szczęście pokazał mi, jak to robić. Następnej lekcji udzielił mi Maciek Płażyński, który wpadł akurat na moment do Hydrosteru. Pamiętam, właśnie trudziłem się przy wydłubywaniu fragmentów szkła ze starych uszczelnień. Maciek przyglądał mi się przez jakiś czas, kiedy ja niczym jubiler wyłuskiwałem z mozołem

poszczególne kawałeczki, a po chwili, bez słowa chwycił wielki młot i potężnymi uderzeniami rozbił w pył starą izolację. To znaczy w pięć minut zrobił to, co ja robiłem przez godzinę. Wtedy po raz pierwszy widziałem go w akcji. Mnie jeszcze wówczas bardzo brakowało takiej pewności i odwagi.

## Metafizyka, pot i rdza

Wielka hala widowiskowo-sportowa Resovia w Rzeszowie miała być dumą lokalnych władz partyjnych. Budowa przeciągała się jednak, aż w końcu na jakiś czas została wstrzymana, a to, co już wybudowano, zaczęło powoli niszczeć. Kontynuację prac wykończeniowych musiał więc poprzedzić remont. Czyszczenie i malowanie belek pod samym dachem było upiornym zajęciem. Trzeba było pełznąć jak glizda po takiej belce, z podwieszonym pod sobą wiadrem, i czyścić ją najpierw, a potem malować. Szkopuł w tym, że właściwie nie można się było do końca zabezpieczyć, więc należało po prostu cały czas uważać, by utrzymać równowagę. Psychicznie to było naprawdę bardzo trudne, bo omsknięcie w jedną lub w drugą stronę oznaczało lot z około dwudziestu metrów na beton. Wiesław Walendziak wspomina, jak po pierwszym dniu pracy wszyscy starali się śmiechem rozładować ogromne napięcie i strach.

– Pamiętam, jak wieczorem już w hotelu robotniczym wszyscy próbowali żartować, ale było jasne, że każdy miał kompletnie dość po tym pierwszym dniu. Zgasiliśmy światło, wtem Tomek Matulaniec nagle uklęknął i zaczął odmawiać pacierz. Tam, wśród tych naszych bambetli zrzuconych na kupę klęczał. Najpierw zamilkliśmy, a po chwili chłopak po chłopaku, każdy z nas na tym łóżku swoim klęknął i mówił pacierz. Wszystko odbyło się bez słowa komentarza. Nie oznaczało to jakiegoś spektakularnego nawrócenia tych wszystkich barwnych postaci. Myślę, że była to raczej taka wspólna chwila doświadczenia trudu i pewnie też trwogi, która wywołała ten moment refleksji religijnej. To była naprawdę ciężka robota.

Budynek był potwornie zapuszczony i na początek trzeba było wszystko, co się da, wyszorować z rdzy. Chodziliśmy więc po kratownicach i najpierw takimi szczotkami stalowymi je czyściliśmy, a potem malowaliśmy. Dzisiaj to są specjalne urządzenia elektryczne do tego, no a wtedy to my sami byliśmy takimi urządzeniami – śmieje się. – Pamiętam, że wtedy część chłopaków nie miała jeszcze wystarczających umiejętności z asekuracji i z zabezpieczania się na linach, a tam było dużo pracy w powietrzu. Ja zresztą też nie przeszedłem jakiegoś wielkiego szkolenia. Po prostu ktoś mnie szybko nauczył, jak się zawiązać na linie, wpiąć karabinek i spuścić się na tej linie. Pewnie dziś byłby to przynajmniej dwutygodniowy kurs, a wtedy to były dwie godziny samych podstaw i już, reszta wychodziła w praniu. Jak teraz sobie to przypominam ze szczegółami, no i to, że żywi i cali z tego wyszliśmy, to jestem pewien opieki opatrzności nad nami wszystkimi. No bo weźmy choćby moją historię. Przed każdym zjazdem na linie na takiej stalowej rynnie powinno się sprawdzić, czy wszystkie spawy są dokładnie zrobione – i ja tak robiłem. Kiedyś zapiąłem się i chciałem zjechać parę metrów, ale moja lina się zaklinowała i podciągnąłem się z powrotem do góry. Potem okazało się, że metr czy półtora dalej od tego miejsca, gdzie się zaklinowałem, spaw nie był zrobiony, czyli jak bym zjechał do końca, to bym spadł. W dół było jakieś siedem czy osiem metrów, czyli nie tak strasznie wysoko, ale tam były powbijane w cement, na sztorc stalowe żerdzie, więc nadziałbym się na to jak kurczak na rożen i wyglądałbym po prostu jak bohater jakiegoś marnego thrillera. Kiedyś mojemu koledze spadła farba – wiadro z czerwoną farbą, taką rdzawą – i nabiło się na te zbrojeniowe pręty. Wyglądało to paskudnie i działało na wyobraźnię – dodaje. – Ja pracowałem w Resovii dwa tygodnie – kontynuuje opowieść Walendziak. – Dłużej nie mogłem, bo dostałem zapalenia stawów w palcach obu rąk i moje paluszki wyglądały jak serdelki. Wszystko przez farby konserwujące, które były bardzo toksyczne i jak się nie używało właściwych rękawic, a myśmy

nie używali, to często tak to się właśnie kończyło. Przez cały miesiąc byłem wyłączony z roboty – wspomina.

## Kropla kapitalizmu

Praca w Świetliku to nieustanne obcowanie z absurdem. Z jednej strony niegospodarność i bałagan, z drugiej zaś wysokie standardy egzekwowane podczas odbioru zlecenia.

– W Resovii każdy odcinek odbierał inspektor nadzoru. Cała sytuacja była absurdalna, bo to wszystko działo się w morzu socjalizmu, ale wspomniany inspektor odbierał robotę w modelu kapitalistycznym, to znaczy rozliczał nas z każdego centymetra. I jak nie było dobrze zrobione, to nie odbierał, a jak nie odbierał, to ekipa, która robiła dany odcinek, nie dostawała kasy. W Rzeszowie płacono albo za kratownicę, albo za poszczególne belki, na których wspierał się dach, więc jeśli coś było nie tak, wtedy po kieszeni dostawała cała brygada odpowiedzialna za dany element. Zresztą podobnie wyglądał odbiór malowania dźwigu. Też wszystko to działo się w obrębie brygady. W tym miejscu warto wspomnieć, że wtedy te nasze zarobki były naprawdę jakieś szalone. Oczywiście były, kiedy robota została odebrana. Dzięki nim można było wynająć mieszkanie. Ludzie więc przenosili się z akademików, gdzie tłoczyli się w jednym pokoju z żoną i dziećmi, i przenosili do normalnych mieszkań. To była niesamowita odmiana. Dobrze pamiętam, że właśnie dzięki ciężkiej pracy w spółdzielni uzyskiwaliśmy przede wszystkim status normalnego życia, czyli wartość nie do podważenia – wspomina.

Innym przykładem absurdu socjalistycznej gospodarki jest malowanie dźwigów portowych wczesną wiosną, kiedy stal jest jeszcze zmrożona, co daje gwarancję, że farba za rok odpadnie, a malowanie trzeba będzie powtórzyć.

– Doskonale pamiętam, że także w stoczni trzeba było przejść przez odbiór techniczny – robiliśmy więc wszystko bardzo porządnie, mając jednak świadomość, że nim minie rok, farba odpadnie. Ale takie były socjalistyczne procedury i w marcu trzeba

było te żurawie malować na żółto z czarną zebrą. Ta robota do najlżejszych nie należała, zwłaszcza trudny był fragment z tyłu, ten równoważnik dający wyporność dźwigowi. Po prostu, przy malowaniu jego zewnętrznej ściany nie można było się porządnie zabezpieczyć. Była tylko taka listwa szeroka na metr, więc jak się pracowało w czasie lekkiego wiatru, to żuraw trochę „chodził" i było to spore obciążenie psychicznie: świadomość, że jest się bez zabezpieczenia, wszystko jest oszronione i w dodatku lekko się rusza, a człowiek musi z tym wiaderkiem tak jakoś kombinować, by dokładnie pomalować i nie spaść. Ale jak się taki dźwig zrobiło, to pamiętam, że pensja była równa rocznej pensji asystenta na uniwersytecie – więc szybko można było zapomnieć o harówie na wysokości i zająć się pisaniem artykułów, czytaniem książek. Organizacja życia rodzinnego też była łatwiejsza – wspomina Wiesław Walendziak. – Nigdy nie pracowałem non stop, ale właśnie brałem zlecenie dwu- lub trzytygodniowe i potem mogłem się zajmować już tylko działalnością podziemną, a też kończeniem studiów czy pisaniem artykułów – dodaje.

## Stypendysta Świetlika

Po kilku latach działalności na rynku spółdzielnia Świetlik umacnia swoją pozycję na rynku na tyle, że powstają spółki zależne, takie jak na przykład Corina. Sensem istnienia tej ostatniej jest w dużej mierze finansowanie przedsięwzięć związanych z działalnością publicystyczną i wydawniczą. W kręgu Świetlika tworzone są dwa pisma: „Przegląd Polityczny", za którym stoi Donald Tusk z kolegami, i „Polityka Polska", której szefem jest Aleksander Hall, a wśród redaktorów Wiesław Walendziak.

– Pamiętam, jak pewnego dnia w czerwcu 1987 roku zawołał mnie Maciek Płażyński i jak to on, bez zbędnych wstępów powiedział mniej więcej: „Słuchaj, malowanie dźwigów to nie jest twoje powołanie, więc może byśmy wymyślili coś takiego,

że się skoncentrujesz na tym, co tak naprawdę lubisz i robisz". A ja wtedy między innymi redagowałem z kolegami „Politykę Polską" – wyjaśnia Walendziak. – No, dostałem taką propozycję zatrudnienia w Corinie jako specjalista do spraw szkoleń. Miałem pisać artykuły, wydawać w podziemiu książki oraz robić inne pożyteczne rzeczy, ale dźwigów nie miałem już malować – śmieje się. – Byłem kompletnie zaskoczony tą propozycją, ale ją oczywiście przyjąłem, i zostałem stypendystą Świetlika. Taka sytuacja dawała wówczas rzeczywiście duży komfort. To stypendium trwało od lipca 1987 do maja 1988 roku. Potem już nie wróciłem do pracy w spółdzielni, choć formalnie byłem tam jeszcze zatrudniony przez jakiś czas – wspomina. – Pamiętam, mnóstwo artykułów napisałem w tym czasie. W każdym numerze „Polityki Polskiej" był jakiś mój tekst. Właśnie wtedy przygotowywałem też powstanie tygodnika „Młoda Polska", którego pierwszy numer ukazał się w 1989 roku. To był tygodnik katolicki, w którym między innymi publikował swoje dość kontrowersyjne teksty Mariusz Wilk jako Matylda Volf, naprawdę niezły był z niego oryginał. Poza tym Artur Matys, który był zastępcą redaktora naczelnego.

## Przywódca jest jeden

– Maciej od czasu do czasu spotykał się ze mną i rozmawiał o tym, co robię, co już napisałem, czy też nad czym pracuję. Jednak nigdy nie odbywało się to w formie jakiegoś formalnego sprawozdania czy egzaminu. Nie, Płażyński nie miał w sobie nic z belfra. Można powiedzieć, że on miał taką cichą charyzmę, ale miał ją na pewno. Po prostu był wtedy niekwestionowanym autorytetem. Moim zdaniem brało się to stąd, że kiedy było najtrudniej, to on bez ceregieli zapinał się w te pasy i szedł na najtrudniejsze odcinki robót. To była więc taka, powiedziałbym, charyzma, jaką ma dowódca kompanii szturmowej na wojnie – wspomina Walendziak. – Zdawałem sobie sprawę, że istnieje pewna różnica zdań dotycząca zasad działania spółdzielni

między jej założycielami. Na pierwszy rzut oka wydawało mi się, że Romek w znacznie większym stopniu kładł nacisk na aspekt biznesowy całego przedsięwzięcia, mniej akcentując cele prospołeczne czy ekumeniczne. Ale może to nie tak jednak było, bo on przecież w swojej późniejszej działalności biznesowej zawsze uwzględniał te aspekty pozabiznesowe, co więcej, wyraźnie je akcentował. Może bliższa prawdy będzie myśl, że różnica między nimi leżała w kolejności i hierarchii podejmowanych działań. To znaczy Roman Rojek chciał najpierw robić biznes, a potem dopiero, jak coś zostanie z pieniędzy, angażować je w tematy społeczne. Maciej natomiast chciał ciągnąć te dwie sprawy równolegle, jednocześnie. Miało być jedno i drugie w równych proporcjach. W związku z tym było tak, że wewnątrz samej spółdzielni działy się ważne rzeczy o charakterze społecznym. Można powiedzieć, że Maciej zbudował rodzaj syndykatu – spółdzielni, która umożliwiała ludziom robienie innych rzeczy poza biznesem. Ten ostatni istniał po to, żeby animować działalność podziemną, opozycyjną, kulturalną – alternatywną do systemu. Czyli w swoim założeniu to nie była do końca struktura ściśle biznesowa, i to oczywiście w pewnym momencie w otwartej gospodarce musiało o sobie dać znać. Innymi słowy, to, co było siłą tej instytucji, stało się też przyczyną jej zagłady. Jednak dzięki właśnie społecznemu wymiarowi działalności spółdzielni dzisiaj o niej rozmawiamy i z tego samego powodu to właśnie ona zapisała się w historii, a nie inne tego typu przedsięwzięcia – wyjaśnia Wiesław Walendziak i po chwili dodaje. – Nie ulega kwestii, że Maciej i Roman to były dwie silne indywidualności, które się jakoś musiały zderzyć. Uważam, że każde przedsięwzięcie biznesowe musi mieć swojego przywódcę. Jednego przywódcę.

## Spółdzielnia doskonała

Według Wiesława Walendziaka z dzisiejszego punktu widzenia spółdzielnię Świetlik można określić jako przedsięwzięcie społecznościowe.



Walne zgromadzenie spółdzielni, prawdopodobnie czerwiec 1986 r., hotel „Hevelius" w Gdańsku. Od lewej: Marek Kotlarz, Wojciech Kmita, przypuszczanie Andrzej Kubiak, Robert Krygier (zasłonięty), Jan Miotke, Tadeusz Błaszkowski, Ewa Minkiewicz i Maciej Płażyński. *(z arch. rodzinnego E. Płażyńskiej)*

– Świetlik rzeczywiście był społecznością. Wszystkie wspólne imprezy, koncerty Mietek Blues Band, mecze piłki nożnej, robienie bibuły po godzinach – absolutnie tak to było. Prawdziwy projekt społecznościowy – Edward Abramowski[12] byłby zachwycony – mówi Walendziak. – Tylko trzeba pamiętać, że ten ideał mógł funkcjonować dlatego, że wokół było morze absurdu. Tak więc, można było pomalować dźwig i dostać za kilka tygodni harówy roczną pensję nauczyciela, i dzięki

[12] Edward Józef Abramowski (ur. 17 sierpnia 1868 r. w Stefaninie w powiecie wasylkowskim w guberni kijowskiej, zm. 21 czerwca 1918 r. w Warszawie) – polski myśliciel polityczny, filozof, psycholog i socjolog. Bliski przyjaciel Stefana Żeromskiego, pierwowzór Szymona Gajowca w powieści *Przedwiośnie*.

temu otwierała się przestrzeń na czytanie i wydawanie książek, animowanie życia kulturalnego, podziemnego, politycznego, i Bóg wie jeszcze jakiego. Sam jestem przykładem człowieka, który dzięki spółdzielni mógł coś ważnego zrobić – dodaje po chwili. – Tam wszyscy się przewinęli. Tam Mariusz Wilk z takimi okularami, nic nie widząc, ale twardo walczył. Tam każdy... Przecież cała elita trójmiejska przeszła przez tę spółdzielnię. To dzięki pracy w niej można było wynająć mieszkanie i jakoś godnie żyć, a przede wszystkim można było robić to, co robiliśmy wcześniej. Być może, gdyby nie było możliwości zarobkowania w Świetliku, a potem w spółdzielni Gdańsk, to pewnie ileś ważnych rzeczy by się nie wydarzyło. Mariusz Wilk by nie pisał swoich opowiadań po godzinach, Donald by nie redagował „Przeglądu Politycznego", a ja z kolegami „Polityki Polskiej" – bo wielu z nas miało już rodziny, a trzeba było je jakoś utrzymać – mówi z ożywieniem Wiesław Walendziak.

## Mietek Blues Band „Pod Kominkiem"

Wiesław Walendziak nie jeździł na walne zebrania, więc różne historie o atrakcjach towarzysko-kulturalnych, jakie miały tam miejsce, zna jedynie z drugiej ręki. Ale zapewnia, że na miejscu też się wiele działo.

– Była taka świętej pamięci restauracja „Pod Kominkiem" przy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, w miejscu, gdzie dziś jest tak zwany Manhattan. Pamiętam, tam właśnie odbywały się rozmaite imprezy i zawsze przygrywał Mietek Blues Band, którego założyciel i lider także pracował w spółdzielni. Bardzo lubiłem te koncerty. Dla mnie ten blues był takim powiewem Zachodu, bo był w kontrze do ówczesnego rocka socjalistycznego. Przyznam, za kołnierz też wtedy nie wylewaliśmy. Tak, tak, popijało się trochę tej wódki i piwa, ale w sumie jak były ciężkie zlecenia, to nie było tego. Liderami w spółdzielni byli ludzie z charyzmą, a brała się ona z tego, że oni sami potrafili bardzo ciężko pracować i być bezkompromisowi. Na przy-

kład taki Iżi, czyli Jarek Czarnecki, potrafił wypić niejedno piwo i niejedną wódkę w siebie wlać, jak była ku temu okazja, i koledzy spółdzielcy to widzieli, ale jak było ciężkie zlecenie, to pilnował, żeby ludzie w dobrej formie szli na rusztowania. Akurat tego bardzo pilnowano, a zresztą ludzie też się wzajemnie pilnowali, by na trzeźwo wchodzić na górę. W Rzeszowie tak było ciężko, że pamiętam, po robocie nie piło się wódki. Na szczęście, oprócz picia mieliśmy inne pomysły – śmieje się Walendziak. – Wymienialiśmy się książkami i czytaliśmy. Głównie podziemne wydawnictwa. Czasami czytało się coś dlatego, że było zakazane – uśmiecha się. – Wśród tego wszystkiego było jednak dużo dobrej i ważnej literatury. Dzisiaj wydają to już nawet jako załączniki do czasopism i gazet, a wtedy, w latach osiemdziesiątych Hłaskę, Gombrowicza czy Miłosza można było dostać tylko w wydaniach drugiego obiegu. Mało tego, że ludzie czytali, rozmawiali o tym.

## Realne życie

Wiesław Walendziak nie wiązał swojej przyszłości ze spółdzielnią, wiedział, że jest to po prostu życiowy etap. Bardzo ważny etap. Doświadczenia, które wtedy zdobył, procentowały przez kolejne lata i przygotowały go do stawienia czoła różnym trudnym sytuacjom w przyszłości.

– Nie byłem w tym wewnętrznym kręgu spółdzielców. Byłem blisko, ale jakoś też świadomie nigdy swoich losów nie wiązałem ze Świetlikiem tak na dłużej. Doceniałem, że jest Maciek Płażyński i koledzy, którzy dają mi zarobić i ciężko pracowałem. Teraz natomiast wiem, że tamte doświadczenia miały olbrzymie znaczenie. Myślę, że można to rozszerzyć na całą elitę polityczną, która się z tego kręgu zrodziła. Jestem pewien, że spotkania z takim realnym życiem, jakiego doświadczaliśmy wtedy, były bardzo ważne, na przykład spotkania z robotnikami – myśmy przecież mieli taki sam status, realizując zlecenia. Ja później parę razy byłem jakimś tam szefem różnych

przedsięwzięć i wtedy pomagało mi to, czego nauczyłem się w Świetliku. Po pierwsze, budowania relacji z ludźmi. Po drugie zaś, wychodzenia do ludzi w sytuacji konfliktu jak najniżej i jak najszybciej, i rozmawiania z nimi. Tak, dlatego że podczas realizacji zleceń były także różne trudne sytuacje społeczne, nawet konflikty – wspomina Wiesław Walendziak i po chwili kontynuuje swoją myśl. – Jeśliby zapytać tak zwanych działaczy młodzieżowych, którzy zdominowali Prawo i Sprawiedliwość oraz Platformę Obywatelską, o to, co oni robili w życiu, to cóż odpowiedzą? Pewnie, że byli działaczami, czyli obsługiwali starszych kolegów partyjnych. Ich doświadczenie jest właśnie takie, a przecież ci ludzie za chwilę będą rządzili Polską. Ludzie, których doświadczeniem jest produkowanie słów. A gdzie jest doświadczenie takiej twardej, realnej pracy i rozmowy z ludźmi? Myśmy dość często spotykali się z załogami. Pamiętam, jakby to było dzisiaj, kiedy w Stoczni Gdańskiej malowaliśmy dźwigi, a równolegle robotnicy-stoczniowcy robili jakieś naprawy, to rozmawialiśmy. Kiedyś jeden z nich dał mi bibułę, a ja mu sprezentowałem swoją, tak było – takie ciekawe spotkanie. Powiem szczerze, że nawet wspominam tamten czas jako moment takiej męskiej inicjacji. Kiedy wracałem do domu zmarznięty, przewiany wiatrem i mogłem zjeść smażoną kiełbasę wieczorem, i wypić pięćdziesiąt gram wódki, ale za to w kieszeni miałem trochę tych złotówek zarobionych ciężką pracą, to w większym stopniu czułem się dojrzałym mężczyzną, niż przygotowując swój doktorat, którego swoją drogą nigdy nie dokończyłem. Innymi słowy, to wszystko było osobiście dla mnie ważne.

## Komuna w posadach drży

Jeszcze w roku 1987 w kręgach opozycjonistów pracujących w Świetliku brak nadziei na rychłe zmiany w kierunku demokratyzacji życia społecznego. Szara codzienność uwiera, a perspektywa czyszczenia szyb i malowania kominów przez

następne kilkanaście lat przytłacza. Nikt nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobraża sobie, że kres komunizmu jest tak blisko. W 1988 roku Wiesław Walendziak zostaje powołany do odbycia służby wojskowej w jednostce w Węgorzewie. To wtedy, w dość dramatycznych okolicznościach uświadamia sobie, że komunizm już drży w posadach.

– Moje kłopoty w wojsku zaczęły się bardzo szybko. Po prostu domagałem się, aby podczas przysięgi ślubować na wierność Polsce, a nie Związkowi Radzieckiemu. To był 1988 rok. Pozbawiono mnie natychmiast stopnia podchorążego i przeniesiono, już jako szeregowca, do zasadniczej służby wojskowej do Bochni. Jednak nie wsadzono mnie do więzienia, a wcześniej tak by się pewnie stało. Właśnie wtedy pierwszy raz poczułem, że coś drgnęło. No, ale nie przypuszczałem, że w takim tempie to wszystko się stanie – wspomina.

Po czterech miesiącach, w sierpniu, wskutek interwencji episkopatu Walendziak wychodzi z wojska i kieruje się bezpośrednio do Stoczni Gdańskiej i… zostaje aresztowany.

– Trzeciego maja byłem w Stoczni Gdańskiej, kiedy rozpoczął się strajk. Czwartego maja pojechałem do wojska, gdzie po dwóch kolejnych dniach zostałem zdegradowany. No i zdążyłem jeszcze na ostatni dzień sierpniowego strajku, ale kiedy razem z Jackiem Taylorem przez jakiś płot próbowaliśmy wejść na teren stoczni, bezpieka nas zgarnęła, i byliśmy chyba ostatnimi zatrzymanymi – śmieje się. – I właśnie wtedy, jak mnie przesłuchiwał jakiś ubek, to miałem takie wyraźne przeczucie, że coś się chyli, ale on, zdaje się, też je miał. Bo w pewnej chwili nie wytrzymałem i zapytałem nieco podniesionym głosem: „Czy pan nie widzi, co się dzieje?! Przecież to w s z y s t k o już się kończy… Niech pan się nie wygłupia z tym przesłuchaniem…". A on na to nic nie powiedział.

# Męska przygoda

(...) pierwsze spotkanie było na pewno na Kościuszki. Byłem cholernie stremowany, bo tam siedzieli „prawdziwi goście" – żeglarze, alpiniści. Zobaczyłem ogorzałe twarze, na podłodze jakieś liny... Robili wrażenie paki takich bardziej komandosów niż normalnych ludzi. A tutaj ja – od tych bułek i książek kaszubskich...

## Ważne decyzje

W 1981 roku Donald Tusk jest dziennikarzem w „Samorządności"[13], ale po delegalizacji Solidarności jako pracownik związku traci zatrudnienie. Pojawia się możliwość pracy podziemnej i otrzymywania pieniędzy z MKZ-etu[14], ale Tusk, choć pełen wątpliwości, za namową i radą Lecha Bądkowskiego, odrzuca to rozwiązanie.

– Wtedy nie rozumiałem, ile on miał racji, kiedy powtarzał, bym nie dał się namówić na branie pieniędzy od komisarza w MKZ-ecie. Pamiętam, jak mi tłumaczył: „Wiem, że tam są duże pieniądze i ludzie tam idą i je biorą, i zabierają się za podziemną robotę, i że jest to wygodne. Jednak to jest bardzo zła rzecz, jeśli bierze się pieniądze i nie pracuje". Byłem wte-

[13] „Samorządność" – dodatek do gdańskiego „Dziennika Bałtyckiego"; powstał z inicjatywy Lecha Bądkowskiego.

[14] MKZ – Międzyzakładowy Komitet Założycielski Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność".

dy w prawdziwej rozterce, bo przez te kilka miesięcy w „Samorządności" dobrze zarabiałem i posmakowałem finansowej stabilności, i to była naprawdę silna pokusa, ale posłuchałem Bądkowskiego – wspomina.

Tusk rozpoczyna pracę na dwóch etatach – od rana do wieczora sprzedaje drożdżówki w tunelu pod dworcem PKP w Gdańsku, a formalnie ma etat w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, gdzie jest współwydawcą książek. Po pewnym czasie staje się dla niego jasne, że musi znaleźć inne rozwiązanie.

– Tak długo nie dało się wytrzymać, bo cierpiały na tym inne zajęcia, a przede wszystkim życie rodzinne. Gosia była tuż po urodzeniu Michała, więc nie mogła pracować. Wynajmowaliśmy pokój i z pieniędzmi było bardzo krucho, no i jeszcze zaangażowanie w podziemną działalność. Nie udawało mi się tych wszystkich nitek połapać, i takie życie wydawało się kompletnie pozbawione sensu. W końcu poczułem, że trzeba to wszystko po prostu rzucić w diabły i spróbować czegoś innego – tłumaczy.

Tusk dobrze zna liderów Świetlika, zarówno Maćka Płażyńskiego, jak i Romana Rojka – wszyscy trzej byli wśród założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Uniwersytecie Gdańskim.

– Zdaje się, że to Rojek zaprowadził mnie do siedziby na Kościuszki. Tak, pamiętam, to pierwsze spotkanie było na pewno na Kościuszki. Byłem cholernie stremowany, bo tam siedzieli „prawdziwi goście" – żeglarze, alpiniści. Zobaczyłem ogorzałe twarze, na podłodze jakieś liny... Robili wrażenie paki takich bardziej komandosów niż normalnych ludzi. A tutaj ja – od tych bułek i książek kaszubskich...

## Pierwsza robota

W Świetliku nie zadawało się niepotrzebnych pytań i nie wysłuchiwało zbędnych tłumaczeń. Debiutant od pierwszej chwili był wrzucany na głęboką wodę, a właściwie na pewną wysokość, i zdany na siebie. Były to dla większości bardzo

trudne chwile, ale to one uczyły samodzielności i brania odpowiedzialności za każdą decyzję i każdy ruch. Z dzisiejszej perspektywy pierwsza robota w spółdzielni, mycie szyb siedziby Unimoru w Gdańsku, wydaje się Donaldowi Tuskowi bardzo prosta, choć wówczas czuł zupełnie co innego. Pamięta, że Jurek Borowczak był wtedy brygadzistą. Część ekipy pracowała na linach, ale większość w charakterze „kapeluchów", a właściwie „półkapeluchów", bo tak zwany prawdziwy kapeluch to ten, który na dole podpina wiadro z farbą, zadziera głowę i patrzy, jak pracuje zjeżdżający, a Tusk i inni mieli wiadro z wodą, myjkę i drabinę zamiast sprzętu alpinistycznego.

– Borówa mówi mi, że mam zacząć od tamtego rzędu, i gdzieś tam pokazuje, machając ręką, i tyle, i za chwilę już go nie ma. Ja stoję z tym wiadrem i myjką taki zrozpaczony i zastanawiam się, jak mam się tam dostać. Ten początek był bardzo stresujący i nerwowy. Najbardziej bałem się wstydu, że nie wdrapię się do góry. W końcu wchodzę po drabinie, która cała się chybocze i opiera o żelazną ramę, poza którą jest szklana tafla. Jestem przerażony, bo wydaje mi się, że od tego chybotania to szkło zaraz się roztrzaska. W końcu stoję na ostatnim czy przedostatnim szczeblu i cały czas, walcząc o zachowanie równowagi, trzymam wiadro i myję kolejne szyby. Wydawało mi się wtedy, że już nic bardziej przerażającego mnie nie czeka, ale później, po kilku miesiącach wspominałem z uśmiechem Unimor – opowiada Donald Tusk.

## Debiut na linie

Kolejne zlecenie Świetlik realizuje także w Unimorze, w filii na Dolnym Mieście. Tusk jest na dachu i rozmawia ze Zdzichem Kamińskim. Właśnie ma zacząć robotę, też mycie szyb, ale tym razem z tak zwanej ławeczki. Rozmowa ma niejako charakter szkoleniowy, jest krótka i rzeczowa.

– Borówa pyta, kiedy zjeżdżałem, czy miałem jakieś szkolenie. Mówię, że nie, a on na to, że dobra, i pokazuje, jak się wiąże

stanowisko. Pyta, czy już pamiętam. Odpowiadam, że nie bardzo, ale dobra. On, że tu się wiąże, tu ławeczka, no i każe siadać – wspomina Donald Tusk z ożywieniem.

Za chwilę ma nastąpić moment najbardziej przerażający dla każdego debiutanta, czyli pierwszy raz w powietrzu.

– Zszedłem, usiadłem na ławeczce. Byłem z siebie bardzo dumny, że pokonałem ten ogromny lęk. W końcu to poważna sprawa, po raz pierwszy wleźć na taką ścianę. Umościłem się i nagle... – łuuup – w dół! Serce mi stanęło, myślałem, że to koniec. Borówa zapomniał powiedzieć, że kiedy usiądę i zacznę się ruszać, to o jakieś pół do jednego metra mogę opaść, bo ta lina pracuje, czyli się osadza – śmieje się Tusk.

## Elektrownia Jaworzno

Czasem zlecenie okazywało się bardzo trudne i w konsekwencji mniej intratne, co powodowało, że topniała grupa chętnych do jego zakończenia. Spółdzielcy mieli jednak zasadę, że w sytuacji, kiedy robota przestawała być opłacalna i wymagała dużej determinacji, wykonywała ją rada nadzorcza. Dzisiaj, kiedy się słyszy „członek rady nadzorczej", widzi się w myślach obraz kogoś w garniturze, umoszczonego wygodnie w porządnym skórzanym fotelu za solidnym biurkiem. W wypadku Świetlika takie wyobrażenie mija się z prawdą. Przygniatająca większość osób zasiadających w radzie nadzorczej, a wśród nich Donald Tusk, wykonywała pracę robotników. Dopiero po jakimś czasie Maciej Płażyński przestał jeździć na zlecenia – firma się rozrastała i było dużo więcej pracy organizacyjnej i administracyjnej. Ale w swoich wspomnieniach z początków przygody ze Świetlikiem Tusk przechowuje obraz prezesa biegającego tak jak inni z wiadrem i pędzlem.

Kiedy Świetlik wyrusza do Kędzierzyna-Koźla, Donald Tusk ma już spore doświadczenie w pracy wysokościowej i jest członkiem rady nadzorczej, ale przyznaje, że elektrociepłownia Jaworzno okazała się największym wyzwaniem

w jego spółdzielczej karierze. Razem z nim pracują tam wtedy między innymi Mariusz Wilk, bracia Kamińscy, Rysiu Walenczewski, Marek Zająkała, Mietek Wróbel i przez chwilę Witek Neumann. Wszyscy są zgodni, że warunki były ekstremalne. Praca od drugiej w nocy do dziewiątej rano w pięćdziesięciostopniowym upale, tak że plastikowe wiaderka po kilku godzinach zaczynały się topić.

– To była strasznie ciężka robota – odrdzewianie i malowanie legarów, które podtrzymywały dach hali. Były wysokie, na pewno jakieś czterdzieści pięć do pięćdziesięciu metrów. Pod nami, na dole pracowały turbiny. Trzeba było bardzo uważać, żeby nic tam nie spadło, żadna szczota czy pędzel. Straszyli nas takimi odszkodowaniami, że bardzo się staraliśmy, ale było to dodatkowe obciążenie. I ten straszny upał cały czas; pamiętam jeden dostał biegunki na samej górze i nie mógł zejść... Naprawdę, warunki potworne... Nie wszyscy to wytrzymywali... Pamiętam, że Grzesiu Lipiński nadał tak zwany autotelegram, to znaczy przyszedł do niego telegram, że ma wracać pilnie do domu. Dopiero później wyszło na jaw, że on sam był nadawcą, bo po prostu już dłużej nie mógł wytrzymać. Z tego wszystkiego w pewnym momencie trochę przesadziliśmy z brakiem odpowiedzialności. Nie opłacało się niektórych elementów malować z asekuracją, przepinanie było skomplikowane, a my zmęczeni tym trybem życia, tak że w końcu wszystko zaczęło się wydawać trochę odrealnione. Właściwie ja połowę tego zlecenia robiłem bez zabezpieczenia. Kompletnie na wariata, byle szybciej i choć trochę wygodniej – wspomina Tusk.

## Męska przygoda

Hotel robotniczy w Szczakowej, gdzie wówczas mieszkali, znajdował się w pobliżu nieczynnej huty szkła i dworca. Budynek zrobiony z blachy falistej i dykty przygnębiał swoją socjalistyczną bylejakością. Stał jakby na granicy dwóch światów – tego, który kruszył się i nieodwracalnie osuwał w przeszłość,

i drugiego, nieznanego, a przeczuwanego tylko, do którego zdawały się odjeżdżać pociągi zatrzymujące się z rzadka na smutnej, szarej stacyjce otoczonej równie smutnymi, zszarzałymi domami. W hotelu stałymi lokatorami byli młodzi ludzie pracujący w kopalni Jaworzno. Wielu z nich zabijało wolne godziny piciem alkoholu i w związku z tym właściwie nigdy nie trzeźwiało. W takich warunkach atmosfera była gęsta i „zadyma" wisiała w powietrzu, dlatego spółdzielcy instynktownie wiedzieli, że powinni trzymać się razem, w razie czego. Jednak we wspomnieniach Donalda Tuska tamten czas jawi się nie jako katorga, ale raczej męska przygoda.

– To nie była gehenna. W końcu wszyscy byliśmy tam z wyboru. Przez pierwsze lata to było bardzo dobrze płatne zajęcie, które dawało poczucie i niezależności, i w jakimś sensie także prestiżu w związku z pracą na linach. Za każdym razem, kiedy schodziliśmy na zakład, czułem, że budzimy szacunek i respekt: dziesięciu gości nieogolonych, sprawnych fizycznie, z tym sprzętem alpinistycznym... Właściwie niezły szpan – opowiada i śmieje się Donald Tusk. – Tak więc, kiedy wpadaliśmy do jakiejś pijalni piwa na Śląsku, nie czuliśmy zagrożenia. Myślę też o tym teraz jak o takiej męskiej przygodzie, i przyznam, naprawdę nie wiem, czy nie trudniej było Gosi, która w tym czasie sama siedziała w akademiku i opiekowała się Michałem. Właśnie przez to, że było się w ciągłych rozjazdach, w różnych dziwnych miejscach, czasem w trudnych warunkach, ale zawsze w doborowym towarzystwie, z inteligentnymi ludźmi, bez względu na wykształcenie, w większości zaangażowanymi w te podziemne rzeczy. Poza tym, co także miało znaczenie, zaczęliśmy zarabiać realne pieniądze, zaczęliśmy smakować, na czym polega właściwie oaza wolnego rynku w socjalizmie, a to dawało poczucie niezależności. Nie było przełożonych w dosłownym znaczeniu tego słowa, czyli relacji znanych z państwowych przedsiębiorstw. U nas prezesami czy kierownikami byli kumple. To było bardzo intensywne



Zakłady Mięsne w Łukowie. Od lewej: NN, Tomasz Matulaniec, Marek Zająkała, Donald Tusk.
*(fot. A. Jodel)*

przeżycie i wspólnoty, i ryzyka, i większych pieniędzy, i alkoholu. Myśmy się najzwyczajniej w świecie kochali jak bracia. To było naprawdę coś więcej niż wzajemna sympatia. Mieliśmy poczucie więzi, ale też nieustannej imprezy. Oprócz roboty była nieustanna impreza. To miało swój niezaprzeczalny urok – wspomina.

## Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego

Według Donalda Tuska braterska więź, o której wielu z nich mówi po latach, to nie jest jakaś podkolorowana, naciągana, sentymentalna historia, ale coś, co można logicznie wyjaśnić.

– Nie zawsze byliśmy w sympatycznych środowiskach tam, gdzie przyszło nam realizować zlecenia. Szczególnie trudno bywało w hotelach robotniczych, takich jak na przykład ten w Płocku. Z jednej strony ludzie od nas, którzy grali na gitarze, czytali książki czy gadali o filozofii, a piętro wyżej grali w pokera, szybko chwytali za noże i inaczej rozmawiali ze sobą. Myśmy w takich realiach żyli, więc trzeba było trzymać się razem i działać jak zgrana paka – wyjaśnia.

Solidarność panująca między spółdzielcami przejawia się także w sprawiedliwym dzieleniu zysków oraz wzajemnym zaufaniu.

– Maciek wymuszał taką autentyczną solidarność. Jeśli ktoś trafił genialne zlecenie i zarobił krocie, a ktoś inny musiał dokończyć kiepskie i nisko dochodowe, to prezes starał się wyrównywać te dysproporcje. Miał na to specjalną kasę i za zgodą wszystkich komuś dawał więcej. Kluczową sprawą w tym wszystkim była absolutna uczciwość, czyli założenie, że każdy pracuje tak, jak może najlepiej. Ludzie mieli świadomość, że cwaniactwo i markowanie roboty nie wchodziło w grę, i jeśli ktoś kogoś by oszwabił, na przykład na godzinach, to byłby koniec. Taki cwaniak natychmiast tracił autorytet i poważanie. Prosta sprawa – jeśli ktoś symulował pracę, to ktoś inny musiał zrobić więcej. Powstał więc taki kanon niepisanych zasad i wszyscy wiedzieli, że jak „dasz ciała", to „spieprzaj", i dlatego z reguły nie „dawali ciała" – wspomina Tusk.

Solidarność to również niesienie pomocy tym, którzy w trakcie pracy ulegli wypadkowi i potem nie mogli już wykonywać dotychczasowego zajęcia. Nigdy nie są pozostawiani sami sobie – szuka się dla nich innego stanowiska w ramach spółdzielni.

– Wypadki, niestety, także się zdarzały. Najgroźniejszy miał miejsce akurat, kiedy to ja prowadziłem prace w gdańskiej rafinerii. Remontowaliśmy dukt, czyli taką kwadratową rurę, która biegnie nad ziemią i zbiera spaliny. Co jakiś czas wznosi się na kilkanaście metrów nad ziemią, przypominając pionowy

komin, w którym w środku jest kompletnie ciemno. Jeden z naszych poszedł złą drogą i spadł na dół. Tragedia. Urwało mu stopy i miał pękniętą śledzionę. Próbowaliśmy go stamtąd wydostać, przyjechało pogotowie. Aby biedaka wyciągnąć, wycinaliśmy od dołu otwór, bo nie chcieliśmy ryzykować za pomocą lin, od góry, ze względu na kręgosłup. Lekarka zemdlała, kiedy zobaczyła pacjenta, no bo rzeczywiście, źle to wyglądało, ale na szczęście wyszedł z tego, chociaż nigdy już nie był w pełni sprawny. Dla nas wszystkich było oczywiste, że będzie nadal pracować w spółdzielni, kiedy wróci do sił. I tak się stało – pamiętam, był potem dozorcą czy kierownikiem obiektu – opowiada Donald Tusk.

## Warunek podstawowy

Z wielkim rozrzewnieniem wielu spółdzielców, w tym także Donald Tusk, wspomina walne zgromadzenia Świetlika, które zwykle odbywały się poza Gdańskiem. Miejsce tych spotkań było zawczasu starannie wybierane, ponieważ musiało bezwzględnie spełniać kilka warunków, czyli mieć salę konferencyjną, bar z alkoholem, koniecznie piwem, czynny całą noc, a w pobliżu musiało się znajdować boisko do piłki nożnej. To ostatnie stanowiło warunek podstawowy.

– Dla nas zjazd spółdzielni to było absolutne święto, najważniejszy dzień w roku. Pamiętam, zawsze przy tej okazji rozgrywaliśmy mecze. Najpierw jechał ktoś, aby załatwić dobrą lokalizację na walne zgromadzenie, i pewnego razu był to Piotr Jahołkowski, który z nami nie pracował, ale pełnił funkcję kaowca. Władze wysłały go więc, aby znalazł odpowiednie miejsce na konferencję. Nadszedł czas zjazdu. Zawsze pierwszym punktem w planie zajęć po wrzuceniu rzeczy do pokojów był mecz. Szybko się przebieramy, idziemy z piłką. Piotr idzie z nami i po chwili mówi, pokazując ręką, że tam, za tymi drzewami, w lewo jest boisko. Idziemy, patrzymy – a tam zaorane pole, tak że o bieganiu nie ma mowy. Bramek nie ma,

niczego nie ma, a Jahoł stoi kawałek od nas, na skarpie i powtarza, że tam możemy grać. Wpadliśmy w szał. Każdy brał, co miał pod ręką, kamienie, grudy ziemi, i ruszyliśmy na niego. On chyba poczuł, że to nie żarty i że porządnie oberwie, jak go dopadniemy, więc uciekał całe kilometry. Kiedy wrócił po kilku godzinach, emocje zdążyły już opaść i daliśmy mu spokój, ale moim zdaniem cudem uniknął śmierci – wspomina ze śmiechem Donald Tusk.

## Świetlik kontra Gdańsk

Walne zgromadzenie spółdzielni stanowiło ciekawe i jedyne w swoim rodzaju gremium. To ono właśnie podjęło decyzję o zmianie nazwy firmy. Sprawę potraktowano bardzo poważnie. Zostały wygłoszone referaty za i przeciw, a potem miała miejsce bardzo gorąca dyskusja.

– Walne zgromadzenie to było bardzo demokratyczne ciało, właściwie to był fenomen Świetlika. Jedna z ważniejszych dyskusji trwała dwa dni i przeradzała się chwilami w bardzo gorącą awanturę, a dotyczyła zmiany nazwy spółdzielni ze „Świetlik" na „Gdańsk". Pamiętam, Mariusz Wilk wziął na siebie rolę promotora nazwy. To facet z charyzmą i dużą wyobraźnią, i fantazją, lubiący łamać konwenanse awangardzista. On zakwestionował dotychczasową nazwę, bo uważał, że Świetlik to brzmi niepoważnie. Głos zabrał też Zbyszek Gołębiewski, dla mnie największy autorytet w spółdzielni – trochę życia w kopalni przepracował, żeglarz, taki samotnik, bardzo odważny człowiek, naprawdę ciekawy. Było też kilka innych propozycji, a za każdą stał poważny referat. Koniec końców zgodziliśmy się na Gdańsk.

## Świetlik polityczny

Wydaje się, że w Świetliku można doszukiwać się zalążków Platformy Obywatelskiej.

– Siłą rzeczy w spółdzielni było dwóch z trzech założycieli PO. Maciek Płażyński, bezdyskusyjny lider Świetlika i jego

prezes, a poza tym spora grupa spółdzielców uczestniczyła od lat w różnych wspólnych projektach politycznych. Były to takie dwie grupy, trochę niby rywalizujące ze sobą i na boisku piłkarskim, i politycznie, czyli ludzie związani z „Polityką Polską", czasopismem Ruchu Młodej Polski, oraz z „Przekrojem Politycznym", czyli gdańscy liberałowie. Gdzieś tam finalnie te dwa środowiska spotkały się, ale byłoby przesadą powiedzieć, że istnieje taka prosta kontynuacja. Tym bardziej, że w sensie politycznym to myśmy się w różnych miejscach rozstali w 1989 i po 1990 roku. Tak więc, to nie było środowisko jednolite politycznie. Część chłopaków była po prostu z Solidarności i najbardziej nas kręciły ulotki, bibuła, strajk – wyjaśnia. – Do Świetlika trafiali w pierwszym rzędzie ci, którzy byli zaangażowani w nielegalną działalność. Dobrym przykładem jest Mariusz Wilk, który czasami przyjeżdżał na zlecenia i był jednocześnie poszukiwany listem gończym.

## Sierpień 1988

Szczególnym czasem w życiu spółdzielni Świetlik jest rok 1988. W maju i sierpniu właściwie cała spółdzielnia jest albo w stoczni, albo gdzieś w kraju, albo w nielegalnej drukarni. Wszyscy, bez wyjątku.

– Jestem pewien, że w sensie organizacyjnym, logistycznym oraz informacyjnym Świetlik był tą strukturą, która zapewniła obu strajkom – majowemu i sierpniowemu – ogólnopolski zasięg i charakter – mówi Tusk.

Sam w tamtym czasie działa w zespole redakcyjno-wydawniczym pisma „Rozwaga i Solidarność" i jest nieformalnie jego redaktorem naczelnym i merytorycznym. W praktyce oznacza to, że w maju, a szczególnie w sierpniu jest nieustannie w drodze między stocznią, drukarnią i redakcją.

– Pamiętam, że „Rozwaga i Solidarność" jako wielkonakładowa gazeta w czasie majowego strajku wychodziła raz dziennie, a w czasie sierpniowego nawet dwa razy dziennie. To było razem od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy,

które dzięki Świetlikowi w ciągu kilku godzin trafiały do kilkunastu zakładów w całej Polsce – wyjaśnia Tusk.

Redakcja mieściła się w różnych miejscach, ale raz czy dwa SB było o krok od lokalu, gdzie znajdowała się maszyna do pisania, odbywało się wypisywanie matryc i składanie tekstu.

– To pamiętam jak dziś, kiedy z taką wielką IBM-ką przez pół miasta biegałem. Wtedy byliśmy naprawdę o włos od tego, żeby nam zwinęli tę maszynę. Na szczęście, dzięki temu, że trochę lepiej znaliśmy Starówkę, udało się nam zgubić agentom, tak że w ostatniej chwili uciekliśmy ze sprzętem. Chociaż, z drugiej strony, wydaje mi się, że bezpieka po prostu nie miała już wtedy wielkiej determinacji do działania, bo właściwie mogli nas dość łatwo zdjąć, a nie robili tego. Nie pracowaliśmy przecież w pełnym ukryciu, istnieliśmy półoficjalnie, a co więcej, wtedy już część tekstów i apeli była podpisywana nazwiskami.

## „Przegląd Polityczny" i „CDN"

Równolegle z pracą w Świetliku Donald Tusk prowadzi intensywną działalność w prasie podziemnej – przede wszystkim publikuje w założonym przez siebie w 1983 roku „Przeglądzie Politycznym" oraz w gazetach solidarnościowych.

– „Przegląd" był efektem przemyśleń moich i dzisiejszego naczelnego, czyli Wojtka Dudy. To była nasza, taka bardzo prywatna decyzja, rodzaj niezgody na przegraną w strajkach i manifestacjach 12 i 13 października 1982, czyli niezgoda na delegalizację Solidarności. Obaj mieliśmy poczucie, że władze Solidarności kompletnie dały plamę. Podczas tych manifestacji trochę oberwaliśmy i czuliśmy się rozgoryczeni. Już zresztą wcześniej, kiedy razem pracowaliśmy w „Samorządności", mieliśmy trochę różnych pomysłów publicystycznych oraz ideowych i od dłuższego czasu nosiliśmy się z pomysłem stworzenia takiego formacyjnego pisma, ale właściwy kształt przybrało ono dopiero wczesną wiosną 1983 roku – wspomina Tusk.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych Tusk angażuje się też w inne przedsięwzięcia publicystyczne i wydawnicze. Dzięki Jackowi Merklowi współpracuje przy tworzeniu tak zwanej okołostoczniowej prasy, wspierającej działania strajkowo-związkowe. Za ważne uważa spotkanie z Lewandowskim i Bieleckim, które nadaje, jak sam określa, „trochę takiego intelektualnego sznytu" tworzonym w tamtym czasie tekstom.

– Myśmy stanowili taką pakę z Jackiem Kozłowskim i Andrzejem Zarębskim. Spotkaliśmy się tuż po wyjściu Andrzeja z „internatu", a Jacka z wojska, gdzie był dość długo przetrzymywany. Razem współpracowaliśmy przy projektach prasowych, to znaczy robiliśmy różne gazetki solidarnościowe, przede wszystkim oficjalny biuletyn władz Solidarności „Solidarność z Wami", dalej kilkanaście numerów gdańskiej wersji „CDN". To ostatnie było odpowiedzią na pismo „DCN", które było ubecką prowokacją. Przy wydawaniu bardzo zaangażowany był Jacek Kozłowski, nawet „sito" starał się skonstruować, dopóki nie dołączył do nas Piotr Kapczyński, który miał „offsety" i dzięki temu można było pracować bardziej profesjonalnie – wspomina.

## Konflikt osobowości i charakterów

Dwóch przyjaciół, których drogi rozeszły się dwadzieścia kilka lat temu. Konflikt Macieja Płażyńskiego i Romana Rojka jest dramatycznym punktem w historii Świetlika. Nie tylko dlatego, że stał się początkiem końca spółdzielni, ale po prostu w wymiarze międzyludzkiej relacji. Dlaczego dwóch tak niegdyś bliskich przyjaciół nie potrafi się spotkać? Jakich ran nie zagoił czas przez dwadzieścia pięć lat?

– Bywa, że ojciec z synem się pokłócą i przez trzydzieści lat nie odezwą się do siebie. Maciej i Roman mieli bardzo różne osobowości i charaktery, to już było widać, kiedy działali w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Maciek bardzo w jakimś sensie defensywny, a Romek bardzo kreatywny. Przy tym obaj potrafili być trudni, każdy na swój sposób. Roman sprawiał

wrażenie, moim zdaniem nie do końca uzasadnione, trochę takiego aroganta, i ludziom często wydawało się, że ich lekceważy, na przykład kiedy bardzo otwarcie mówił przykre rzeczy prosto w oczy. Maciek był bardziej zamknięty i spokojny, jakby stabilniejszy emocjonalnie. Poza tym bardziej dbał o ludzi. Roman zdawał się troszczyć przede wszystkim o sukces. Jednak na ile jest to prawdziwa ocena, to naprawdę trudno powiedzieć. Poza tym jeden w drugim musiał także widzieć swoje wady i odbijać swoje deficyty. Nie ma siły, musiało to w końcu kiedyś pęknąć – mówi Tusk. – Konflikt między protagonistami Świetlika osiągnął punkt kulminacyjny podczas kluczowej debaty nad wewnętrzną konstytucją spółdzielni. Naprzeciw siebie stanęły dwie różne filozofie prowadzenia firmy. Koncepcja Romana Rojka zakładała, żeby z dotychczasowych pracowników spółdzielni stworzyć elitarną, profesjonalną grupę ludzi, realizującą tylko te zlecenia, które będą gwarantować możliwość dużego zarobku. Pomysł zakładał zakończenie przyjmowania nowych pracowników, tak aby zwiększyć dochody tych, którzy już byli zatrudnieni. Maciej Płażyński z kolei optował za utrzymaniem społecznego charakteru spółdzielni. Chciał, żeby nadal była otwarta, żeby każdy, kto nie był po tamtej stronie politycznej barykady, mógł w Świetliku znaleźć pracę oraz towarzystwo osób podzielających podobne poglądy polityczne. Innymi słowy, w wizji Płażyńskiego Świetlik miał być nie tylko firmą, ale również w dalszym ciągu miejscem rozwoju myśli politycznej i społecznej. Moim zdaniem obie koncepcje były uprawnione. Roman miał taki bardzo konkretny, pragmatyczny, „kapitalistyczny" sposób myślenia, i mówił do ludzi bardzo otwarcie: „Ze mną zarobicie więcej pieniędzy". Jednocześnie miało się rozstrzygnąć, kto ma być szefem, bo przecież za danym konceptem stał jego autor, konkretny człowiek. To były bardzo dramatyczne chwile, ponieważ wybór każdej z tych dwóch zaproponowanych opcji wiązał się ze stratą czegoś ważnego. Miałem wrażenie, że wielu spółdzielców wolałoby tak

naprawdę pójść za Romanem, ale wbrew temu wytworzyliśmy coś na kształt moralnego szantażu, argumentując, że Świetlik to jest przecież wielka instytucja, ideologia. Pamiętam, kiedy sam oddawałem głos, powiedziałem, że gdyby wygrała rok wcześniej koncepcja Romana, nie miałbym szansy być w tej spółdzielni. To znaczy głosowałem jakby wbrew sobie, nie mogąc się uwolnić od niepisanego zobowiązania wierności zastanej, społecznej wizji Świetlika. Z perspektywy czasu widzę jasno, że to nie była szarpanina czy pyskówka, ale dyskusja, stanowiąca preludium do wielkiej debaty, która potem miała miejsce w Polsce między tym bardziej liberalno-wolnościowym skrzydłem a tym bardziej związkowo-socjalnym głosem Solidarności. Te same sposoby myślenia spotkały się już wcześniej w Świetliku. Historia pokazała później, że starcie między Maćkiem Płażyńskim a Romanem Rojkiem to była waga super ciężka, bo to byli poważni goście. Jeden został marszałkiem sejmu, a drugi niekwestionowanym liderem polskiej przedsiębiorczości – puentuje Donald Tusk.

## Na rozdrożu

W 1988 roku, choć jeszcze rządy sprawują komuniści, zapala się zielone światło dla ruchu spółdzielczego i spółek prawa handlowego, tak że jeszcze pod koniec tego samego roku w Trójmieście zostaje zarejestrowanych więcej spółdzielni nowego typu niż w całej Polsce razem wziętych. W Świetliku rozpoczynają się ruchy kadrowe, część ludzi zaczyna odchodzić do innych zajęć. Dojrzewa potrzeba postawienia kilku zasadniczych kwestii dotyczących istnienia Świetlika w obliczu rodzących się zmian i w związku z tym zostaje zwołana druga wielka debata, która ma przynieść oczekiwane rozstrzygnięcia.

– Czy jest szansa uratowania spółdzielni jako firmy? Jak umieścić ją w Polsce wolnego rynku? To była naprawdę ciekawa rozmowa. Myśmy byli elementem tego fenomenu trójmiejskiego, czyli tego gigantycznego boomu małej przedsię-

biorczości. W ramach Świetlika zakładaliśmy też spółki. Maciek myślał o stworzeniu niedużych, nowoczesnych firm, ja także starałem się uczestniczyć w planowaniu tego wszystkiego. Z tych poczynań wykluł się jakiś profil, czyli Corina – spółka budowlana, która szybko upadła, ale to już były zalążki nowoczesnego finansowania polityki, bo celem działania Corina było między innymi finansowe wspieranie młodopolaków[15] i działalności wydawniczej – wspomina Donald Tusk. – Jednak nie miałem złudzeń co do przyczyn sukcesu ekonomicznego Świetlika – kontynuuje swoją myśl. – Wynikał on z chorych zasad, na których opierała się gospodarka socjalistyczna, i braku konkurencji na rynku, kiedy spółdzielnia startowała. Myśmy żyli na przykład z absurdu, jakim była konieczność wydania przez państwowe przedsiębiorstwa określonej kwoty na remonty do końca danego roku. Jeśli zakład zagapił się trochę, pospiesznie szukał firmy, możliwie drogiej, aby zdążyć wydać przyznane pieniądze. To był warunek, aby dostać finansowanie w przyszłości. Kiedy Świetlik powstawał, był jedną z kilku firm wysokościowych, może trzech, które miały do podziału zlecenia w całej Polsce. Z upływem lat firm oferujących podobne usługi zaczęło przybywać, tak że zrobiło się ciasno. W dodatku coraz większa konkurencja wiązała się także z nowymi rozwiązaniami sprzętowymi – kończy swoją refleksję.

## Ostatni zjazd

Jeszcze w roku 1987 nic nie wskazuje na to, że rządy komunistów mogą się skończyć. W środowisku opozycji związanej ze spółdzielnią także przygasa optymizm i większość sądzi, że jeszcze przed nimi długie lata, zanim pojawi się szansa na jakąś zmianę.

– Nic się nie czuło, nikt nie przewidywał, że komuna się skończy. W najśmielszych marzeniach nie myślałem, że jeszcze

[15] Ruch Młodej Polski.

trzy lata na linach, a potem wolność, a potem… ty premier, a ty marszałek Sejmu – śmieje się Tusk. – Przyznam, kiedy zlecenie było takie bardziej uciążliwe i siedzieliśmy po robocie, i piliśmy, graliśmy w karty i gadaliśmy, to coraz częściej pojawiały się smutne refleksje, że to nie ma sensu. Pamiętam, czasami towarzyszyła mi wtedy taka obawa, że do końca życia będę pracował fizycznie na utrzymanie, i to nie było szczególnie budujące. Miałem przecież inne plany i pomysły, i nie chciałem z nich rezygnować – opowiada Donald Tusk.

Na szczęście w tak doborowym towarzystwie wszelkie przeszkody i trudności czy chwile zwątpienia przeżywa się inaczej, w poczuciu oderwania od szarej codzienności. Środowisko Świetlika przypomina oazę na smutnej pustyni PRL-u.

– Potrafiliśmy z tego wszystkiego zrobić mega zabawę, bo zawsze była piłka nożna, polityka, alkohol, robota i ludzie z poczuciem humoru. Sport był bardzo ważny, nie tylko piłka nożna. Mieliśmy bardzo silną sekcję żeglarską i narciarską, i to wszyst-

Sylwester w siedzibie firmy Corina, 1987 lub 1988 r.
*(z arch. rodzinnego R. i B. Krygierów)*



ko bardzo nam pomagało. Jednak z drugiej strony, wyobrażenie, że tak ma być do końca życia, naprawdę mnie przerażało – wyznaje.

Dlatego łatwo zrozumieć szczególne znaczenie pewnego zdarzenia, jakie ma miejsce latem 1988 roku, o którym opowiada Tusk.

– Kiedy patrzę na przeszłość z dzisiejszej perspektywy, widzę to trochę nawet jak jakieś metafizyczne przeżycie. Był 1988 rok, lato, niedługo po strajku sierpniowym, tym „wygranym", tak go nazwijmy. Ponownie siedziałem na dachu Unimoru. Właśnie wciągałem sprzęt do góry, kiedy nagle na dole stanął Mariusz Wilk, który wtedy już nie pracował, i krzyknął do mnie: „Donald, weź zejdź z dachu, jak możesz, i przebieraj się, bo przyjechał Zbigniew Brzeziński, jest w Brygidzie[16] i zgodził się, żebyś zrobił z nim wywiad do «Przeglądu Politycznego»". Szybko zlazłem na dół, spakowałem się i pojechałem. W końcu wtedy ten wywiad jednak nie doszedł do skutku, już nie pamiętam dlaczego. Dopiero później, chyba Jacek Kozłowski w pociągu do Warszawy nagrał rozmowę z Brzezińskim. Jednak najważniejszy dla mnie jest ten symboliczny moment, tak go zapamiętałem: schodzę, szybko pakuję te brudne ciuchy, jadę do Brzezińskiego, jakbym jechał do wielkiej polityki... i później to już się potoczyło. Potem już nigdy na kominie ani dachu nie wisiałem, to był ten ostatni raz w Unimorze. Czas zatoczył pętlę, tam zacząłem i tam skończyłem przygodę ze Świetlikiem – wspomina Donald Tusk.

## Zagubieni w nowej Polsce

Być może Świetlik był najlepszym miejscem na ten dziwny czas marzeń i walki o wolność. Kiedy zaś ta ostatnia stała się faktem, okazało się, że nie wszyscy potrafią się w nowym świecie odnaleźć i zadomowić.

[16] Kościół pod wezwaniem św. Brygidy w Gdańsku. Jedno z miejsc spotkań opozycji.




Donald Tusk i Maciej Płażyński
podczas meczu sylwestrowego 31 XII 2009 r.
*(KFP, fot. Krzysztof Mystkowski)*

– Przyznam, że zawsze odczuwaliśmy trochę rozgoryczenia, bo część ludzi nie znalazła swojego miejsca w tej nowej Polsce. Nie do końca sprawiedliwe wydawało mi się to, że część poszła do polityki, część do biznesu, a więc tylko niektórzy zrobili „kariery". Wcześniej sądziłem, i przyzwyczaiłem się do tej myśli, że cały Świetlik idzie zawsze w górę albo w dół, albo w bok, ale razem. Jednak, niestety, to było coraz mniej możliwe, chociaż większość z nas starała się o sobie pamiętać i uważam, że elementarne zrozumienie i sprawiedliwość jest w tej ekipie do dziś. Myślę, że dzięki temu właśnie mogła w Trójmieście powstać Platforma, i to w tak dużej skali. Także w tym sensie, że zawsze potrafiliśmy się odnaleźć w tych różnych zdarzeniach

z Maćkiem, ze Sławkiem Rybickim, Aramem... Ciągle jesteśmy w jakimś sensie razem. Nie zapominamy o sobie, choć czasami, niektórzy może odnoszą takie wrażenie. Jednak siłą rzeczy jest mniej okazji do spotkań, bo dzisiaj zbieramy się w większym, świetlikowym gronie przez sentyment... To jedyny powód... Niestety, trudno na sentymencie budować jakieś stałe relacje, po tylu zaszłościach i kiedy się jest na co dzień w tak różnych miejscach.

## Mit czy fenomen?

– To była naprawdę dobra szkoła życia, na pewno dużo fajniejsza i intensywniejsza niż wojsko. Jestem pewien, że doświadczenie tych kilku lat ciężkiej pracy fizycznej w szczególnych warunkach dobrze nam wszystkim zrobiło. Jeśli się to nosi w pamięci, nie ma ryzyka, że woda sodowa uderzy do głowy. Po Świetliku nikomu nie odbija do końca na szczęście – śmieje się Donald Tusk. – Trudno łeb do góry zadzierać tylko dlatego, że się szczęśliwie awansowało i pogardzać ludźmi, kiedy się tyle lat przemieszkało w hotelach robotniczych. Mam szacunek do ciężkiej, fizycznej pracy i anonimowego robotnika, bo sam nim byłem przez wiele lat. Mam teraz dzięki temu lepszy kontakt z realnym życiem. Dzięki temu naprawdę wiem, o czym mówią bezdomni, kiedy z nimi rozmawiam podczas wigilii, czego życzyć takim osobom, kiedy przełamujemy się opłatkiem. Tak, w Świetliku zdobyłem wiedzę bezcenną. Ani przez chwilę nie żałowałem, że tam jestem, choć czasami bywało bardzo ciężko. To pułapka i błąd myśleć o Świetliku jako fenomenalnym miejscu, dlatego że stamtąd wyszli bardzo znani ludzie, którzy osiągnęli szczyty. Przecież stwierdzenie, że to Świetlik spowodował polityczną karierę Płażyńskiego czy Tuska byłoby nieprawdą. Nie, to nie tak. Nie można w ten sposób myśleć, choć zdaję sobie sprawę, że takie uproszczenie jest kuszące. To prawda, że Świetlik był fenomenem, ale wcale nie dlatego, że ktoś z nas później zrobił karierę. Ale dlatego,

że po prostu sam w sobie był wyjątkowym zjawiskiem, i byłby nim dłużej, nawet gdyby komuna trwała jeszcze dziesięć lat, a my dalej pracowalibyśmy wyłącznie jako robotnicy. Jestem pewien, że fenomen Świetlika tworzyły wyraziste, niezwykłe osobowości. Późniejsze losy wielu spółdzielców pokazały, jacy fajni i ciekawi ludzie tam się spotkali. Historia nas wcisnęła w taką przedziwną sytuację, do tego przysłowiowego hotelu robotniczego, gdzie w jednym pokoju siedział filozof, poeta, marszałek Sejmu, pisarz, który w końcu wylądował na Syberii. Innymi słowy, cały przekrój społeczny, a przy tym wszystkim każdy na swój sposób ciekawy, wybitny i osobliwy, a też trochę wariat, w dobrym tego słowa znaczeniu. Przecież trzeba było mieć coś z wariata, żeby włazić na te kominy – śmieje się Donald Tusk. – Poza tym tamte lata były w jakimś sensie męską szkołą życia, kiedy prawie każdy posmakował, co to znaczy dostać milicyjną pałką, co znaczy być kibicem Lechii na meczu w Gdyni przeciwko Arce, co znaczy samemu grać na boisku, co znaczy mieszkać w hotelu robotniczym, wisieć na kominie, czuć się sprawnym fizycznie. To właśnie te proste doświadczenia kształtowały nas jako facetów. Wiem, że dzięki nim jesteśmy dojrzalsi i silniejsi, także fizycznie, bo to wszystko, co wymieniłem, miało niekwestionowane znaczenie, miało wartość.

# Biogramy bohaterów

**Bielecki Jan Krzysztof** – przewodniczący Rady Gospodarczej przy Prezesie Rady Ministrów. Od stycznia do grudnia 1991 roku premier polskiego rządu. W latach 2003–2009 prezes Zarządu Banku Pekao S.A. Działacz opozycyjny, jeden z ekspertów Solidarności. W 1985 roku założył, działającą do dziś, firmę consultingową Doradca, zatrudniającą między innymi represjonowanych działaczy opozycji. Dyrektor i przedstawiciel Polski w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju w Londynie (1993–2003). Laureat Nagrody Kisiela, zapalony kibic piłki nożnej.

**Borowczak Jerzy („Borówa")** – polityk, współtwórca i działacz Solidarności, dyrektor Fundacji Centrum Solidarności. W 1980 roku razem z Bogdanem Borusewiczem, Bogdanem Felskim i Ludwikiem Prądzyńskim zainicjował strajk w Stoczni Gdańskiej. Przez wiele lat należał do bliskich współpracowników Lecha Wałęsy. Był też prezesem Lechii Gdańsk. Honorowy Obywatel Miasta Gdańska. Wolny czas lubi spędzać nad wodą, wędkując; z przyjemnością ogląda także mecze piłki nożnej. Ma żonę i dwoje dzieci.

**Chodnikiewicz Tomasz** – obecnie prowadzi własną firmę budowlaną. W dużej mierze jest to kontynuacja prac i usług wykonywanych przez Świetlik. Mąż Basi, którą poznał właśnie w spółdzielni. Ojciec Izy i Matusza.

**Czarniecki Jarosław („Iżi")** – ostatni prezes spółdzielni. Obecnie prowadzi własną firmę doradztwa gospodarczego. Wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej Lechii Gdańsk. Podczas studiów działał w samorządzie i parlamencie uczelnianym. Pasjonat piłki nożnej (trenował w klubie „Sokół Sokółka"). Podczas sylwestrowych meczów gra na pozycji obrońcy. Wielbiciel literatury, a w szczególności twórczości Henryka Sienkiewicza. Żonaty, ma dwoje dzieci.

**Falzmann Brodacka Izabela** – urodziła się 26 stycznia 1944 roku. Studiowała fizykę, uczyła w liceum. Teraz zajmuje się tłumaczeniami. Ma pięcioro dorosłych dzieci, jedną wnuczkę, psa i połowę konia wyścigowego.

**Frankiewicz Henryk** – jeden z najstarszych pracowników spółdzielni. Brał aktywny udział w zajściach grudniowych na terenie województwa gdańskiego w 1970 roku, organizator strajku w gdańskiej stoczni. Wiceprzewodniczący Zakładowego Komitetu NSZZ „Solidarność" Gdańskiej Stoczni Remontowej. W latach 1981–1982 internowany, przebywał w Strzebielinku. Mąż Urszuli. Tato Joanny i Izabeli, dziadek Agnieszki, Magdaleny, Oskara, Mikołaja, Jakuba i Dawida. Zapalony wędkarz i grzybiarz. Uwielbia przebywać na łonie przyrody.

**Frankiewicz Urszula** – żona Henryka Frankiewicza, została „zwerbowana" do Świetlika przez swojego męża; pracowała jako kasjerka. Domatorka i mistrzyni w pieczeniu ciast. Od zawsze pasją Urszuli Frankiewicz były książki, a własną potrzebę tworzenia realizuje, haftując obrazy. Ostatnio namiętnie rozwiązuje krzyżówki. Mama Joanny i Izabeli, babcia Agnieszki, Magdaleny, Oskara, Mikołaja, Jakuba i Dawida. Najlepiej czuje się z dala od miasta, w kaszubskich plenerach.

**Gąsiorowski Marek („Siwy")** – urodził się w 1959 roku w Gdańsku, dzieciństwo spędził w Tczewie. Studia rzucił dla żeglarstwa,

przygody i podróży. Ponad połowę życia spędził za granicą, jednak ciągle powraca do ojczyzny. Zarabia na życie, serwisując wiatraki w całej Europie. Rodziny nie założył. Jeszcze nie podjął decyzji, czy osiądzie w swoim lesie nad jeziorem, czy wyruszy ostatecznie w niekończącą się podróż bez powrotu, na ukochane morza południowe.

**Gołębiewski Zbigniew** – przekora, jak sam przyznaje, to dominująca cecha jego charakteru i wiele życiowych sytuacji właśnie z niej wynika. Nonkonformista, nieznoszący propagandy, telewizji, samochodów i piłki nożnej. Uwielbia sporty związane z dużą przestrzenią, takie jak żeglarstwo, windsurfing, kajakarstwo, narciarstwo biegowe, a najbardziej jazdę na łyżwach po zamarzniętych jeziorach. Trzykrotny mistrz Polski w Akademickich Mistrzostwach w Windsurfingu. Kapitan jachtowy. W swoim dorobku ma kilka medali Morskich Mistrzostw Polski, w tym jeden złoty, zdobyty na jachcie „Carmen" w 1977 roku. Z powodzeniem bierze udział w Biegu Piastów.

**Grabowski Mirosław** – urodził się w 1951 roku w Malborku, obecnie mieszka w Gdańsku. Pracował między innymi w Gdańskiej Stoczni Remontowej i Porcie Gdańsk. Aktywny działacz opozycji. W 2009 roku odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Namiętny wędkarz i narciarz; dużą radość znajduje także w grzybobraniu i jesiennych spacerach po lesie. Bardzo lubi muzykę Jeana Michela Jarre'a. Mąż Alicji, tata Kariny, Przemka i Marcina, dziadek Mai, Mikołaja i Adama.

**Hall Jerzy** – urodził się w 1956 roku w Gdańsku, gdzie skończył I LO. Absolwent prawa na Uniwersytecie Gdańskim. Od 1976 roku związany z opozycją antykomunistyczną. Obecnie przedsiębiorca, prowadzi księgarnię naukową na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Szczęśliwie żonaty z Janiną. Tata Łukasza, Janka, Bogumiły, Joanny, Aleksandry i Jakuba. Radny miasta Sopotu. Pasjonat piłki nożnej, piłkarz

– obecnie w stanie spoczynku, wierny kibic Lechii Gdańsk, aktywny koszykarz i cyklista, także amator dobrej literatury, namiętnie słucha jazzu i bluesa, fan zespołu Mietek Blues Band.

**Hlebowicz Adam** – dziennikarz, publicysta, dyrektor Radia Plus w Gdańsku. Absolwent historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Autor dziewięciu książek poświęconych między innymi podróżom po krajach dawnego ZSRS; opublikował ponad pięćset artykułów w prasie polskiej i zagranicznej. Laureat nagród Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Katolickiego Stowarzyszenia Wydawców. Autor filmów dokumentalnych *Wilno – miasto poetów* i *Buntownik z Litwy*. Żonaty, ojciec trojga dzieci. Pasjonat przyrody i normalności wokół siebie.

**Jahołkowski Piotr** – od kilkunastu lat studiuje japoński zen pod kierunkiem Jakusho Kwong Roshiego; jest współzałożycielem gdańskiej Sangi Kannon. Jeden ze współzałożycieli Związku Twórców Fahrenheit oraz Akademii Multimedialnej w Gdańsku, w której wykładał przez dwa lata. Mieszka i tworzy w Kolonii Artystów Młode Miasto na terenie Stoczni Gdańskiej, oswajając postindustrialne przestrzenie. Malarz i rzeźbiarz. Od wielu lat współpracuje z sopockim Sfinksem, współtworząc widowiska pokazywane w Sopocie i wielu miastach Polski, a także w Berlinie, Wilnie, Rydze i Rio de Janeiro. Autor akcji i muzyczno-malarskich performansów, pasjonat gry na bębnie. Mówi: „Ponieważ istnieje tylko umysł, studiuję umysł".

**Jankowski Wojciech („Jackob")** – jest pustelnikiem na kaszubskiej wsi, od wielu lat uczniem Jakusho Kwong Roshiego. Praktykuje w Buddyjskiej Wspólnocie Zen Kannon. Ma zostać wyświęcony na mnicha w tradycji zen soto. Znana postać Ruchu „Wolność i Pokój" (WiP). Był pierwszym „WiP-owskim" więźniem skazanym za odmowę służby wojskowej. Kiedy jesienią 1986 roku, po ogłoszeniu amnestii, odzyskali wolność prawie

wszyscy więźniowie, on został za kratami; uwolniony dopiero po wielu akcjach protestacyjnych zorganizowanych przez „WiP" w jego sprawie. Opiekuje się zwierzętami i sprawuje opiekę nad zendo – miejscem medytacji. Ma dorosłą córkę.

**Kmita Wojciech** – żeglarz, obecnie przedsiębiorca, mieszka z dala od zgiełku, w okolicach Częstochowy. W latach dziewięćdziesiątych wraz z żoną Małgorzatą opłynął świat na zbudowanym przez siebie jachcie „Temi". Autor książki *Cztery lata na huśtawce*, opisującej tę wyprawę. Samotnik, sam o sobie mówi: „pesymistyczny idealista". Ojciec Tomasza.

**Kosiak Lech („Dziadek", „Ponury")** – dziś już na emeryturze. Były pracownik Zarządu Melioracji Urządzeń Wodnych Województwa Pomorskiego w Gdańsku. Jeden z bardziej aktywnych działaczy opozycyjnych, kilkakrotnie aresztowany. Działacz Wolnych Związków Zawodowych „Solidarność". W 1988 roku razem z Andrzejem Gwiazdą stał na czele strajku w Gdańskiej Stoczni Remontowej. Wyróżniony odznaką Zasłużony Działacz Kultury (2001), odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2008). Kiedyś dusza towarzystwa, dziś domator, najchętniej spędza czas z żoną, Marylą, którą poznał w Świetliku. Wraz z nadejściem wiosny wyjeżdżają do letniego domku na Kaszubach. Tam z radością kosi, grabi, przycina i majsterkuje.

**Kowalczys Andrzej** – pełnomocnik Zarządu Województwa Pomorskiego ds. Współpracy z Organizacjami Pozarządowymi. Wcześniej pracował w Urzędzie Miejskim w Sopocie. Terapeuta uzależnień w Sopockiej Poradni Profilaktyki i Terapii Uzależnień. Od lat z powodzeniem organizuje mecze piłki nożnej drużyny piłkarskiej „Politycy i przyjaciele", której przewodzi. Oprócz piłki nożnej bardzo lubi grać w tenisa i jeździć na rowerze. Interesuje się ornitologią. Chętnie też leniuchuje przed telewizorem. Żonaty, ma córkę Martę.

**Kotlarz Marek** – obecnie prowadzi firmę wydawniczą „Exter". Jeden z animatorów Niezależnego Zrzeszenia Studentów, uczestnik strajków studenckich w 1980 roku. Główny księgowy spółdzielni, później jej wiceprezes. Razem z Wiesławem Walendziakiem przygotowywał program „Bez znieczulenia". Próbował także swoich sił w dziennikarstwie i produkcji filmowej. Miłośnik literatury fantasy. W 2009 roku ukazał się jego debiut beletrystyczny *Opowiadania z pierwszej połowy*. Jest także autorem wydanej w 2010 roku książki *Ameryka stronnicze refleksje*. Żonaty, ojciec Marty oraz bliźniaków Michała i Macieja.

**Krygier Robert („Robal")** – z wykształcenia technolog żywności, ale należy do grupy tych, co to „żadnej pracy się nie boją". Obecnie zatrudniony jako administrator w miesięczniku „Poznaj Świat". Od czasu do czasu grywa w piłkę nożną, choć dość powściągliwie wypowiada się na temat własnego talentu w tej dziedzinie. W czasach Świetlika podczas firmowych meczów najczęściej stawał na bramce. Za to bardzo lubi jeździć na nartach. Żonaty, ma dwoje dzieci.

**Lipiński Grzegorz – życzył sobie, aby napisać:** No cóż, od tamtych lat mogę stwierdzić, iż jestem wciąż „My", a wielu spośród „mych" stało się „onymi". Zresztą nie wiem, czy stali się, czy byli „śpiochy" lub tylko „spadochroniarze". A może to „mądrość" kompromisu, tj. swoistej lobotomii, po której nie ma się świadomości bycia wolnym. Zrozumieć niewolnika jest ciężko, zwłaszcza gdy kiedyś miał swobodę wyboru. Staram się być Polakiem i służyć Polsce – myślą, słowem i, jak Bóg daje, uczynkiem.

**Majewski Jan** – profesor nadzwyczajny Powiślańskiej Szkoły Wyższej, dr hab. nauk ekonomicznych, członek Rady Naukowo-Technicznej Centrum Badawczo-Rozwojowego ENERGA;

emerytowany profesor nadzwyczajny Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego (UG). Były udziałowiec firmy Doradca Consultants Ltd. sp. z o.o. Były przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" UG. W latach osiemdziesiątych organizator niezależnych obozów adaptacyjnych dla studentów tej uczelni. Dosyć blisko współpracował z NZS-em oraz spółdzielnią Świetlik. Kiedyś z zamiłowaniem grywał w brydża i koszykówkę.

**Matys Artur** – niezależny wydawca, mieszka i pracuje w Warszawie. W latach 2006–2008 był prezesem wydawnictwa „Prószyński i S-ka". Wcześniej zajmował się wydawaniem książek o tematyce medycznej. Podczas studiów związany był z Ruchem Młodej Polski, współpracował z podziemnymi wydawnictwami. Był członkiem redakcji „Tygodnika Powszechnego". Z zamiłowania podróżnik i fotograf. Zwiedził Afrykę i obydwie Ameryki. Ojciec trojga dzieci.

**Matulaniec Tomasz** – urodził się w 1962 roku w Gdańsku, gdzie mieszka do dziś. Z wykształcenia ekonomista, a z zamiłowania poligrafik. Powołanie w tym kierunku odkrył, działając w podziemiu przy produkcji materiałów antykomunistycznych. Wielki pasjonat piłki nożnej i przyjaciel Lechii Gdańsk. Współorganizator meczów sylwestrowych Świetlika. Poza tym pasjonuje go wędkarstwo, podróże i koncerty rockowe. Mąż Danuty, tata Zuzanny i Alicji.

**Merkel Witold („Inżynier")** – prowadzi własną firmę budowlaną. Członek Rady Nadzorczej spółdzielni Świetlik i kierownik Sekcji Pomiarów Nieniszczących. Podczas studiów na Politechnice Gdańskiej współpracownik niezależnych pism i wydawnictw związanych z Ruchem Młodej Polski (RMP), zaplecza technicznego i zaopatrzenia drukarni. Współorganizator spotkań działaczy opozycyjnych, skrzynek kontaktowych,

łącznik w przekazywaniu korespondencji i środków finansowych. Uczestnik strajków w Stoczni Gdańskiej. Kiedyś bardzo często jeździł konno, teraz, jak mówi z uśmiechem: „już nie ta kondycja, ale ogromny sentyment pozostał". Żonaty, ojciec trojga dzieci, ma dwa koty i dwa psy.

**Nowak Czesław** – prezes Stowarzyszenia „Godność". W latach osiemdziesiątych jeden z najbardziej aktywnych opozycjonistów. Brał udział w strajkach robotniczych w grudniu 1970 roku. Dziesięć lat później, w sierpniu organizował strajk w Porcie Gdańskim; redagował niezależne pismo „Portowiec". Za swoją działalność opozycyjną był dwukrotnie więziony. Były radny miasta Gdańska i poseł na Sejm. W 2006 roku został uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Żonaty, ojciec trojga dzieci i dziadek.

**Olszewski Rafał** – prezes zarządu PKS Gdańsk Oliwa S.A. Wcześniej pracował jako brygadzista i kierownik robót w Świetliku. Amator zimnych morskich kąpieli, od kilku lat członek Gdańskiego Klubu Morsów. Bierze udział w międzynarodowych zawodach w pływaniu w zimnej wodzie. Promuje zdrowe zasady życia; ma dwoje dzieci.

**Pawłowski Janusz („Jaśko")** – obecnie właściciel restauracji „Tawerna Rybaki" w Sopocie. Na początku lat osiemdziesiątych był kierowcą strajkowym. Od 1986 roku pracownik Świetlika – najpierw fizyczny, a potem kierowca prezesa spółdzielni. W 1988 roku podjął dodatkowo pracę w Video Studio Gdańsk, gdzie realizował filmy dokumentalne. Po 1989 roku dziennikarz w „Gazecie Gdańskiej". W 1991 założył i prowadził wraz z żoną Iwoną do 2006 roku znany gdański lokal „Cotton Club". W 2002 roku otworzył również „Tawernę Rybaki". W 2010 roku miał miejsce wspólny debiut literacki małżeństwa – książka kucharska zatytułowana *Ryby jak z Tawerny*. Miłośnik podróży,

literatury i dobrych filmów, a także aktywnego wypoczynku, najchętniej w basenie, a jeszcze chętniej obok, na leżaku.

**Płażyński Maciej (1958–2010)** – pierwszy prezes spółdzielni Świetlik i jeden z jej współzałożycieli. W latach 1990–1996 wojewoda gdański powołany przez pierwszego niekomunistycznego premiera Tadeusza Mazowieckiego. Współtwórca Platformy Obywatelskiej, marszałek Sejmu III kadencji. Od maja 2008 roku do tragicznej śmierci w kwietniu 2010 roku prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Był pasjonatem polityki i wielkim fanem oraz propagatorem piłki nożnej, w którą sam chętnie grywał. Mąż Elżbiety, ojciec Jakuba, Katarzyny i Kacpra. Zginął 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem.

**Rybicki Mirosław** – obecnie pracuje w spółce działającej na rynku nieruchomości. W sierpniu 1980 roku uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, współorganizator drukarni strajkowej. Współpracownik Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. W latach 1981–1982 ukrywał się; drukarz i kolporter podziemnego pisma regionu „Solidarność". W 2009 roku odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Żonaty, ma troje dzieci.

**Sawczyńska-Paśko Dorota** – urodziła się w Poznaniu. Absolwentka turystyki i rekreacji na AWF-ie. Skończyła także podyplomowe studia w SGH w Warszawie. Pracowała między innymi jako producent i dziennikarz dla TVP, TVN i ZDF. Jest instruktorem jeździectwa, prowadziła zajęcia z hipoterapii. Obecnie wspólnie z mężem Jackiem i dziećmi – Joasią oraz Stasiem – mieszka na Mazurach, gdzie prowadzą rodzinne gospodarstwo agroturystyczne. Mają ponad dwadzieścia hektarów przepięknego krajobrazu, dwanaście koni, dwa psy i kota. Wypiekają chleb, wędzą wędliny, produkują sery, nalewki, dżemy

i tym podobne. Organizują także koncerty poezji śpiewanej oraz imprezy turystyczne.

**Surdykowska Zofia** – obecnie na emeryturze. Najstarszy pracownik spółdzielni i nieoceniony jej zaopatrzeniowiec. Mama Krzysztofa.

**Tusk Donald** – premier polskiego rządu. Urząd ten sprawuje już drugą kadencję, począwszy od 2007 roku. Przywódca Platformy Obywatelskiej i jej współzałożyciel. Wicemarszałek Sejmu IV kadencji i wicemarszałek Senatu IV kadencji. Jeden z założycieli Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Historyk z wykształcenia, gdańszczanin zakochany w rodzinnym mieście, autor serii albumów *Był sobie Gdańsk*. Zapalony piłkarz amator, lubi kino i dobrą literaturę. Mąż Małgorzaty, ojciec Kasi i Michała, dziadek Mikołaja.

**Turowiecka Elżbieta** – absolwentka Wydziału Fizyki Technicznej Politechniki Gdańskiej, która na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych została współzałożycielką stowarzyszenia „Wolni Tkacze Gdańscy". Nagrodzona w 1990 roku nagrodą srebrnego Tura na IV Ogólnopolskim Konkursie Nieprofesjonalnej Twórczości Tkackiej w Turku za walory artystyczne i techniczne pracy zatytułowanej *Zima w górach*. Od siedemnastu lat jej życie zawodowe jest związane z pracą na rzecz ochrony środowiska. Miłośniczka gór, uwielbia kąpiele, szczególnie morskie.

**Turowiecki Jan („Żółw")** – do dziś wykonuje prace na wysokościach – razem z dwoma kolegami prowadzi firmę świadczącą usługi w zakresie alpinizmu przemysłowego. Znakomity polski himalaista. Od 1978 roku członek Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto". Uczestnik wielu wypraw, między innymi na ośmiotysięczniki – Annapurnę i Shisha Pangma (obydwie

ekspedycje zakończone sukcesem). Swój pseudonim zawdzięcza mamie, która ze względu na „oszałamiające" tempo, z jakim się poruszał, nazwała go tak w dzieciństwie.

**Walendziak Wiesław** – od 2005 roku wiceprezes spółki Prokom Investments S.A. Historyk z dziennikarskim i publicystycznym zacięciem. W latach dziewięćdziesiątych prowadził w telewizji publicznej programy „Bez znieczulenia" i „Lewiatan", wyróżnione telewizyjną Nagrodą Wiktora. Był dyrektorem programowym, a następnie generalnym Telewizji Polsat. W 1994 roku został prezesem zarządu Telewizji Polskiej. Przez długi czas zaangażowany był w politykę. Współtworzył Akcję Wyborczą „Solidarność" i należał między innymi do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego oraz Prawa i Sprawiedliwości. W 2009 roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

**Wilk Mariusz** – znakomity polski pisarz i publicysta, obecnie mieszkający w Rosji; współpracuje z „Rzeczpospolitą" (dodatek „Plus – Minus"); do 2000 roku korespondent paryskiej „Kultury"; współautor *Konspiry* – wydanej w Paryżu i jednocześnie w drugim obiegu w Polsce głośnej książki o podziemnej Solidarności. Podczas wydarzeń w sierpniu 1980 roku był współredaktorem biuletynu strajkowego NSZZ „Solidarność" wydawanego w Stoczni Gdańskiej. Dwukrotnie zatrzymany i aresztowany, między innymi za rzekomą współpracę z przedstawicielami obcego wywiadu. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Poza *Konspirą* do najbardziej znanych książek pisarza należą między innymi *Wilczy notes*, *Dom nad Oniego* i *Wołoka*. Jak podkreśla, jego trzy wielkie miłości to Rosja, żona Natasza i córeczka Matylda.

**Wróbel Mieczysław** – urodził się i mieszka w Gdańsku. Muzyk, malarz, ilustrator, akwarelista, prezentował swoje prace między

innymi na indywidualnej wystawie w Szwecji. Współzałożyciel i lider legendarnej formacji bluesowej Mietek Blues Band. W 2009 roku za długoletnią działalność artystyczną uhonorowany Nagrodą Prezydenta Miasta Gdańska. Związany przez lata z Klubem Studentów Wybrzeża „Żak", gdzie oprócz koncertowania pracował na etacie plastyka w latach 1992–1996. Miłośnik piękna kaszubskich pejzaży, które często uwiecznia w swoich akwarelach. Interesuje się także literaturą, zwłaszcza książkami Czesława Miłosza, filozofią teologii oraz mistyką katolicką, szczególnie św. Faustyną. Uwielbia rodzinne wyprawy plenerowe. Ojciec Marianny, Wojtka i Hani.

**Wróblewska Krystyna („Kika")** – czuje się gdańszczanką, choć pochodzi z południa Polski. Z wykształcenia filolog angielski. Początkowo tłumaczka tego języka; w czasach minionego systemu praca ta była dla niej źródłem ogromnej satysfakcji i dawała możliwość uczestniczenia w ważnych wydarzeniach polityczno-społecznych „od środka" i spotykania niezwykłych ludzi. Od dłuższego czasu zdeklarowany samorządowiec – pracuje w administracji publicznej. Z ogromnym przekonaniem i zaangażowaniem działa na rzecz kontaktów międzynarodowych województwa pomorskiego – szczególnie wspiera aktywność młodzieży w tym zakresie. Niezwykle ceni sobie fakt, że Polska jest wolnym, demokratycznym krajem i członkiem Unii Europejskiej.

**Zarębski Andrzej** – obecnie prowadzi własną firmę doradztwa medialnego „Zarębski i wspólnicy". Doskonale sprawdzał się w roli dziennikarza; publikował w „Przeglądzie Politycznym" i „Gazecie Gdańskiej". Był doradcą politycznym Jana Krzysztofa Bieleckiego, a później rzecznikiem prasowym jego rządu. Współtworzył pierwszą ustawę o radiofonii i telewizji i zasiadał w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, w której pełnił funkcję sekretarza. Lubi czytać książki, a od czasu do czasu

sam coś pisze. Pasjonuje go dobre kino, szczególnie spod znaku Martina Scorsese'a. Stara się też być na bieżąco z kolejnymi dziełami polskiej kinematografii, choć czasami przychodzi mu to z trudnością. Uwielbia spotkania z córkami – a ma ich pięć.

– W dalszym ciągu uważam, że czasami trzeba naruszyć przyjaźń, mając oczywiście zupełne przekonanie, że można coś osiągnąć w interesie publicznym. Jeśli wymiar ideowy zgadza się z towarzyskim, to świetnie. Ale jeśli tak nie jest, to raczej trzeba się rozstać, choć bywa to dramatyczne i bolesne – mówi z przekonaniem pierwszy prezes Świetlika. Maciek w dalszym ciągu broni swojej decyzji sprzed ponad dwudziestu lat, kiedy twardo powiedział nie najbliższemu przyjacielowi.

(*Najważniejsi są ludzie – Maciej Płażyński*)

(…) pierwsze spotkanie było na pewno na Kościuszki. Byłem cholernie stremowany, bo tam siedzieli „prawdziwi goście" – żeglarze, alpiniści. Zobaczyłem ogorzałe twarze, na podłodze jakieś liny… Robili wrażenie paki takich bardziej komandosów niż normalnych ludzi. A tutaj ja – od tych bułek i książek kaszubskich…

(*Męska przygoda – Donald Tusk*)

O dziwo, pieniądze w plecaku były suche, w odróżnieniu od tych, którymi płaciliśmy w taksówce. Maciek wyciągał banknoty z kieszeni i naklejał na szybę, żeby trochę podeschły. Taksówkarz był ciekawy, cóż takiego nas spotkało. Wyjaśniliśmy, że szliśmy do Sztynortu. Nastąpiła dłuższa cisza. „Po lodzie? A którędy?", zapytał w końcu. Powiedziałem, że przez Dargin, a on na to: „O, panowie, tam trzech czy czterech czeka na wiosnę, żeby, jak lody puszczą, ich zwłoki wyciągnąć".

(*Pranie pieniędzy na Mazurach – Robert Krygier*)



**Iwona Demska** – pasjonatka tenisa, w który, mimo braku sukcesów, uparcie grywa. Nie stroni od dobrej literatury i filmu. Lubi długie spacery i wycieczki rowerowe. Od kilkunastu lat pracuje w Radiu Plus, gdzie zajmuje się publicystyką. Książka *Świetlik. Życie zawieszone na linie* jest jej literackim debiutem.



**Anna Oller** – z wykształcenia polonistka i literaturoznawczyni; pracowała w portalach internetowych i publikowała swoje teksty między innymi w „Dzienniku Bałtyckim". Od kilku lat zgłębia tajniki psychoanalizy – w teorii oraz praktyce. Bardzo lubi wyprawy w plener i śpiewanie w zespole Fasollanci. Mieszka w Gdyni z synem Filipem i kotką Tuną.

www.wydawnictwooskar.pl

ISBN 978-83-89923-74-5